



Lea Ypi

Wolna

Dzieciństwo i koniec świata w Albanii



Lea Ypi

Wolna

Dzieciństwo i koniec świata w Albanii

Przełożył Krzysztof Środa

wydawnictwo  czarne

Wołowiec 2022

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Tytuł oryginału angielskiego *Free. Coming of Age at the End of History*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografia na okładce © Barry Lewis / In Pictures Ltd. /Corbis via Getty Images

Copyright © by Lea Ypi, 2021

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2022

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Środa, 2022

Opieka redakcyjna Jakub Bożek

Redakcja Magdalena Błędowska

Korekta Anna Skóra / d2d.pl, Barbara Sikora / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-609-7

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

CZĘŚĆ I

1. Stalin
2. Inny Ypi
3. 471: krótka biografia
4. Wujek Enver zostawił nas na zawsze
5. Puszki po coca-coli
6. Towarzyszka Mamuazel
7. Zapach kremu przeciwsłonecznego
8. Brigatista
9. Ahmet kończy studia
10. Koniec historii

CZĘŚĆ II

11. Szare skarpety
12. List z Aten
13. Wszyscy chcą wyjechać
14. Gra w konkurencję
15. Zawsze miałam przy sobie nóż
16. To wszystko jest częścią społeczeństwa obywatelskiego
17. Krokodyl
18. Reformy strukturalne
19. Nie płacz
20. Jak reszta Europy
21. 1997
22. Filozofowie rozmaicie tylko *interpretowali* świat; idzie jednak o to, aby go *zmienić*

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Kolofon

Pamięci mojej babki
Leman Ypi (Nini), 1918–2006

Ludzie nie tworzą swojej historii z własnej woli.
Ale tworzą ją sami^[1].

Róża Luksemburg

CZĘŚĆ I

1

Stalin

Nigdy się nie zastanawiałam, co znaczy wolność, dopóki nie przytuliłam Stalina. Z bliska wyglądał na wyższego, niż się spodziewałam. Pani Nora, nasza nauczycielka, mówiła, że imperialiści i rewizjoniści lubią podkreślać, że Stalin był niski. W rzeczywistości jednak nie był tak niski jak Ludwik XIV, o którego wzroście – jak zauważała – o dziwo nie wspominali. Tak czy inaczej, dodawała poważnym głosem, skupianie się na powierzchowności człowieka, a nie na tym, co naprawdę ważne, to typowy błąd imperialistów. Stalin był gigantem, a jego czyny okazały się znacznie ważniejsze od fizycznego wyglądu.

Tym, co czyniło Stalina wyjątkowym, tłumaczyła dalej, była umiejętność uśmiechania się oczami. Dacie wiarę? Uśmiechanie się oczami? Wszystko dlatego, że sympatyczny wąs zdobiący jego twarz zasłaniał wargi, więc jeśli ktoś patrzyłby tylko na usta, nie wiedziałby, czy Stalin się uśmiecha, czy też robi coś zupełnie innego. Wystarczyło jednak spojrzeć na jego oczy, brązowe, przenikliwe, mądre, i wtedy wiedziało się wszystko. Niektórzy ludzie nie potrafią spojrzeć komuś w oczy. Najwyraźniej mają coś do ukrycia. Stalin patrzył na ludzi wprost i jeśli miał ochotę, jeśli ktoś postępował właściwie, jego oczy się uśmiechały. Nosił skromny płaszcz i zwykłe brązowe buty. Lubił wkładać prawą dłoń pod lewą połę płaszcza, jakby kładł ją na sercu. Lewą rękę często trzymał w kieszeni.

– W kieszeni? – pytaliśmy. – Czy to nie jest niegrzeczne chodzić z ręką w kieszeni? Dorośli zawsze zwracają nam uwagę, żeby wyjąć ręce z kieszeni.

– No tak – mówiła Nora – ale w Związku Radzieckim jest zimno. A poza tym Napoleon zawsze miał rękę w kieszeni. I nikt nigdy nie powiedział, że to niegrzeczne.

– Nie w kieszeni – odezwałam się nieśmiało. – W kamizelce. W tamtych czasach to była oznaka dobrego wychowania.

Nauczycielka zignorowała mnie i zamierzała przejść do innej kwestii.

– I był niski – przerwałam jej.

– Skąd wiesz?

– Babcia mi powiedziała.

– Co ci powiedziała?

– Że Napoleon był niski, ale kiedy zobaczył go nauczyciel Marksa, Hangel czy Hegel, nie pamiętam, powiedział, że była to dusza świata siedząca na koniu.

– Hangel – poprawiła mnie. – Hangel miał rację. Napoleon odmienił Europę. Wprowadził oświeceniowe instytucje polityczne. Był wielkim człowiekiem. Ale nie tak wielkim jak Stalin. Gdyby nauczyciel Marksa zobaczył Stalina, nie na koniu oczywiście, ale na przykład stojącego na czołgu, również powiedziałby, że widzi duszę świata. Stalin stał się żywotną inspiracją dla większej liczby ludzi, dla milionów naszych braci i sióstr w Afryce i Azji, nie tylko w Europie.

– Czy Stalin kochał dzieci?

– Oczywiście, że kochał.

– Jeszcze bardziej niż Lenin?

– Mniej więcej tak samo, ale jego wrogowie starali się to ukryć. Chcieli, żeby Stalin wyglądał na gorszego niż Lenin, bo Stalin był silny i bardziej im zagrażał. O wiele bardziej. Lenin odmienił Rosję, a Stalin odmienił świat. Dlatego nigdy nie mówiono o tym, że Stalin kochał dzieci równie mocno jak Lenin.

– A czy Stalin kochał dzieci równie mocno jak Wujek Enver?

Nauczycielka zawahała się.

– Czy kochał je bardziej?

– Przecież znacie odpowiedź – powiedziała z ciepłym uśmiechem.

Możliwe, że Stalin kochał dzieci. Niewykluczone, że dzieci kochały Stalina. Pewne jest natomiast, absolutnie pewne, że ja nigdy nie kochałam go bardziej niż tego deszczowego grudniowego popołudnia, gdy pognałam z portu do niewielkiego ogrodu obok Pałacu Kultury. Byłam spocona, drżąca, a serce biło mi tak mocno, że wydawało się, że wypluję je na ziemię. Przebiegłam najszybciej, jak mogłam, prawie dwa kilometry i wreszcie zobaczyłam ogród. Gdy na horyzoncie pojawił się Stalin, wiedziałam, że jestem bezpieczna. Stał tam, jak zwykle dostojny, w swoim skromnym płaszczu i butach z brązu, z prawą dłonią schowaną pod płaszczem – tak jakby podtrzymywał nią serce. Zatrzymałam się i rozejrzałam, by sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie, i podeszłam bliżej. Z prawym policzkiem przyciśniętym do uda Stalina, z rękoma wyciągniętymi, by objąć jego kolano, byłam prawie niewidoczna. Próbowałam uspokoić oddech. Zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć. Jeden. Dwa. Trzy. Kiedy doszłam do trzydziestu siedmiu, przestałam słyszeć szczekanie psów. Grzmiący odgłos kroków stawianych na betonie był teraz zaledwie odległym echem. Czasem rozbrzmiewały tylko hasła skandowane przez uczestników protestu: „Wolność, demokracja, wolność, demokracja”.

Gdy upewniłam się, że jestem bezpieczna, odsunęłam się od Stalina. Usiadłam na ziemi i przyjrzałam mu się uważniej. Ostatnie krople deszczu na jego butach wysychały, a farba na płaszczu zaczynała blaknąć. Wyglądał tak, jak opisywała go nauczycielka Nora – olbrzym z brązu. Jego ręce i stopy były większe, niż się spodziewałam. Wygięłam szyję do tyłu i spojrzałam w górę, by sprawdzić, czy wąs faktycznie zakrywa górną wargę i czy jego oczy się śmieją. Ale nie było uśmiechu. Nie było też oczu, warg ani wąsów. Chuligani ukradli Stalinowi głowę.

Zakryłam dłonią usta, żeby stłumić krzyk. Stalin – olbrzym z brązu, który stanął w ogrodzie Pałacu Kultury na długo przed moimi narodzinami – został zdekapitowany? Stalin, którego Hangel, gdyby go zobaczył, nazwałby duszą świata na czołgu? Dlaczego? O co im chodziło? Dlaczego krzyczeli: „Wolność, demokracja, wolność, demokracja”? Co to znaczyło?

Nigdy nie zastanawiałam się nad wolnością. Nie było takiej potrzeby. Mieliśmy mnóstwo wolności. Czułam się tak wolna, że często postrzegałam

moją wolność jako brzemię, a niekiedy, tak jak tego dnia, jako zagrożenie.

Nie zamierzałam dołączać do protestu. Nie bardzo wiedziałam, co to jest protest. Zaledwie kilka godzin wcześniej stałam w deszczu przed bramą szkoły, zastanawiając się, którą drogą wracać do domu. Mogłam skrócić w lewo, w prawo albo pójść prosto. Miałam wolność wyboru. Z każdą z dróg wiązały się jakieś dylematy, więc musiałam rozważyć różne ich aspekty oraz konsekwencje i podjąć decyzję, której – wiedziałam o tym – być może pożałuję.

Tego dnia faktycznie jej pożałowałam. Dokonałam wolnego wyboru drogi do domu, okazało się jednak, że wybór był zły. Po lekcjach miałam dyżur w grupie sprzątającej klasę. Robiliśmy to na zmianę czwórkami, ale chłopcy zwykle znajdowali jakieś wymówki, więc zostawały tylko dziewczęta. W mojej grupie miałam koleżankę, Elonę. Normalnie wyszłybyśmy razem i zatrzymały się na rogu przy siedzącej na chodniku staruszce, która sprzedawała ziarna słonecznika. Spytałybyśmy ją: „Możemy spróbować? Są solone czy niesolone? Prażone czy nie?”. Kobieta otworzyłaby kolejno trzy torby: ze słonecznikiem prażonym i solonym, prażonym i niesolonym, nieprażonym i solonym, a my spróbowałybyśmy po kilka ziaren z każdej z nich. Jeśli miałyśmy jakieś drobne, mogłyśmy wybierać do woli.

Potem, przegryzając ziarna słonecznika, poszłybyśmy w lewo, do domu Elony, żeby pod jej drzwiami pomęczyć się trochę z zardzewiałymi kluczami przyczepionymi do maminego łańcuszka, który nosiła pod szkolnym mundurkiem. Po wejściu do mieszkania musiałybyśmy zdecydować, w co się bawimy. W grudniu wybór był prosty. W tym czasie zaczynał się ogólnokrajowy konkurs piosenki, więc przygotowywałybyśmy własne utwory i udawały, że zamierzamy wystąpić w telewizji. Ja pisałam teksty, a Elona je śpiewała. Czasem, posługując się dużą drewnianą łyżką i kilkoma garnkami, dodawałam podkład perkusyjny.

Ostatnio jednak Elona straciła zainteresowanie konkursem piosenki. Wolą bawić się w panny młode i matki. Nie chciała, żebym waliła w garnki w kuchni. Prowadziła mnie do pokoju rodziców, gdzie przymierzałyśmy zapinki do włosów należące do jej mamy, przebierałyśmy się w jej starą suknię ślubną, robiłyśmy sobie makijaż i udawałyśmy, że

karmimy lalki. Gdy przychodziła pora obiadu, musiałam zdecydować, czy wolę, jak Elona, bawić się dalej, czy też może warto namówić ją na usmażenie jajek albo, jeśli jajek nie było, zjeść chleb z oliwą, a czasem sam chleb. To jednak były banalne wybory.

Prawdziwy dylemat powstał, gdy tamtego dnia pokłóciłam się z Eloną o sprzątanie. Uparła się, że powinnyśmy nie tylko zamieść podłogę, ale również ją umyć, bo jeśli tego nie zrobimy, nigdy nie dostaniemy proporczyka dla najlepszych sprzątaczek miesiąca, na czym bardzo zależało jej mamie. Powiedziałam, że przecież w parzyste dni tygodnia tylko zamykamy podłogę, zamykamy i myjemy w dni nieparzyste. A ponieważ był dzień parzysty, mogłyśmy ją tylko zamieść i wyjść wcześniej, nie tracąc szansy na proporczyk. Odparła, że nauczycielka spodziewa się czegoś więcej, i spytała, czy pamiętam, jak moi rodzice zostali wezwani do szkoły, gdy przestałam przykładać się do sprzątania. Powiedziałam, że to nieprawda; rodziców wezwano, bo podczas poniedziałkowej kontroli wykryto, że mam za długie paznokcie. Upierała się, że to bez znaczenia, że tak czy inaczej właściwe sprzątanie polega na zamiataniu podłogi oraz jej myciu i nawet gdybyśmy na koniec miesiąca dostały proporczyk, ona będzie się czuła tak, jakbyśmy oszukiwały. Poza tym, dodała, jakby kończyły się jej inne argumenty, tak właśnie sprząta w domu, ponieważ tak robiła jej mama. Odpowiedziałam, że nie może za każdym razem powoływać się na mamę, żeby postawić na swoim. Wysłałam rozzłoszczona. Kiedy stałam w deszczu przed szkolną bramą, zastanawiałam się, czy Elona ma prawo oczekiwać, że wszyscy będą dla niej mili nawet wtedy, gdy nie ma racji. Myślałam też nad tym, czy powinnam udawać, że lubię zamiatać i myć podłogę, tak jak udawałam, że lubię się bawić w panny młode i matki.

Nigdy jej tego nie powiedziałam, ale nienawidziłam tej zabawy. Nienawidziłam pokoju jej mamy i przymierzania sukni ślubnej. Nie bawiło mnie zakładanie ubrań zmarłej osoby i dotykanie kosmetyków, których używała jeszcze kilka miesięcy temu, tak jakbyśmy były nią. Wręcz przeciwnie. To stało się tak niedawno, Elona czekała na narodziny małej siostrzyczki, która – myślałam – mogłaby się bawić z moim młodszym braciszkiem. Jednak jej mama zmarła, a siostrzyczka trafiła do sierocińca.

Została tylko suknia ślubna. Nie odmawiałam ubierania się w nią, bo nie chciałam ranić Elony, ani nie mówiłam jej, że te zapinki do włosów wydają mi się odrażające. Mogłam oczywiście powiedzieć, co sędzę o zabawie w panny młode i matki, tak jak mogłam zostawić ją samą, żeby myła podłogę. To była moja wolność – nikt mnie przed tym nie powstrzymywał. Uznałam więc, że lepiej będzie, jak Elona usłyszy prawdę, nawet jeśli ją to zaboli. Nie mogłam ciągle kłamać, żeby było jej przyjemnie.

Jeśli nie skręcałam w lewo, żeby pójść do Elony, mogłam skręcić w prawo. To była najkrótsza trasa do domu, prowadząca przez dwie wąskie alejki, które łączyły się z główną ulicą naprzeciwko małej piekarni. Tu pojawiał się kolejny dylemat. Codziennie po szkole, w krytycznym momencie, gdy miał podjechać samochód dostawczy, zbierała się tam spora grupa dzieci. Jeśli wybierałam tę drogę, dołączałam zwykle do tak zwanej akcji ciasteczkowej. Ustawiałam się w szeregu z innymi dziećmi pod murem piekarni, żeby niespokojnie czekać na przyjazd ciężarówki, obserwować drzwi i nasłuchiwać odgłosów możliwych zakłóceń ruchu ulicznego, takich jak ludzie na rowerach czy furmanki. W pewnym momencie drzwi piekarni się otwierały i wychodziło dwóch robotników niosących skrzynki z ciasteczkami. Wyglądali jak dwaj bliźniaczy bracia Atlasowie dźwigający Ziemię. Powstawało wtedy małe zamieszanie, ponieważ wszyscy rzucaliśmy się do przodu, skandując: „Wy chciwcy, wy chciwcy, ciasteczek, ciasteczek, wy chciwcy!”. Nasz uporządkowany szereg rozsypywał się i dzielił na szturmowy oddział ubranych w czarne mundurki dzieci, które machały rękoma, próbując chwycić za kolana mężczyzn ze skrzynkami, oraz ariergardę tłoczącą się w bramie, która miała utrudnić im wyjście. Tragarze wyginaли dolną część ciała, chcąc uwolnić się od tych uścisków, i usztywniali część górną, by nie upuścić skrzynek. Gdy jednak jakaś skrzynka spadała, wywiązywała się walka – a wtedy z piekarni wychodził kierownik, niosąc porcję ciasteczek wystarczającą do nakarmienia wszystkich dzieci i skłonienia ich, by się rozeszły.

Byłam wolna, więc mogłam skręcić w prawo albo pójść prosto, ale gdy szłam w prawo, mogłam spodziewać się właśnie czegoś takiego. To wydawało się absolutnie niewinne. Byłoby czymś nieracjonalnym, a może wręcz nieuczciwym oczekiwać od jedenastolatki wracającej po

prostu do domu i nierozglądającej się za żadnymi smakołykami, że nie zareaguje na cudowny zapach ciasteczek wydostający się przez otwarte okna piekarni. Równie nierozsądnie byłoby wymagać, by minęła obojętnie inne dzieci, ignorując ich krępujące, dociekliwe spojrzenia, tak jakby w ogóle nie interesował jej przyjazd ciężarówki. O to jednak właśnie poprosili mnie rodzice wieczorem przed tamtym grudniowym dniem 1990 roku. Po części dlatego decyzja, którądy wracać do domu, okazała się bezpośrednio związana z kwestią wolności.

To była częściowo moja wina. Nie powinnam przynosić do domu ciasteczek, jak jakichś trofeów. Ale winna była również nowa kierowniczka piekarni. Pracowała od niedawna, więc nie wiedziała jeszcze wszystkiego o panujących tam zwyczajach i uznała pojawienie się dzieci za wydarzenie jednorazowe. Zamiast dać nam – tak jak robili to jej poprzednicy – po jednym ciasteczku, rozdawała całe torebki. Zaskoczeni tą zmianą i jej możliwymi konsekwencjami dla akcji ciasteczkowej, w następnych dniach, zamiast zjeść wszystko na miejscu, schowaliśmy pełne torebki do tornistrów i uciekliśmy w pośpiechu.

Przyznaję, nie wyobrażałam sobie, że gdy rodzice zobaczą ciastka i dowiedzą się, skąd je mam, zrobią taką awanturę. A z pewnością nie spodziewałam się, że pierwszym ich pytaniem będzie: „Czy ktoś cię tam widział?”. Oczywiście, że ktoś mnie widział, choćby kobieta, która rozdawała nam torebki. Nie, nie pamiętałam *dokładnie* jej twarzy. Tak, była w średnim wieku. Ani wysoka, ani niska, powiedzmy, średniego wzrostu. Ciemne faliste włosy. Szeroki, serdeczny uśmiech. Tata zbladł. Wstał z fotela i złapał się za głowę. Mama wyszła z pokoju, dając mu znak, by poszedł za nią do kuchni. Babcia, nic nie mówiąc, pogłaskała mnie po głowie, a mój braciszek, któremu dałam jedno ciasteczko, wyczuł nasze zdenerwowanie i przestał je gryźć. Usiadł w kącie i się rozpłakał.

Musiałam przysiąc, że nigdy więcej nie wejdę na podwórze piekarni ani nie dołączę do dzieci czekających pod murem. Musiałam też oświadczyć, że rozumiem, jak ważne jest, żeby nie przeszkadzać pracownikom w wykonywaniu ich obowiązków – bo przecież gdyby wszyscy zachowywali się tak jak ja, wkrótce ciasteczka całkiem zniknęłyby ze sklepów.

– WZA-JEM-NOŚĆ – powiedział tata z naciskiem. – Socjalizm jest zbudowany na zasadzie wzajemności.

Kiedy składałam tę przysięgę, wiedziałam, że trudno mi będzie jej dotrzymać. A może nie będzie? Kto wie? Musiałam jednak wykazać dobrą wolę i przynajmniej spróbować. Nie miałam na kogo przenieść odpowiedzialności za to, że zamiast skrócić w prawo, pójdę prosto, albo że wrócę po Elonę, gdy skończy sprzątanie, by pobawić się z nią w panny młode i matki, albo że postanowię tego dnia zapomnieć o ciasteczkach. Każda z tych decyzji należała do mnie. Wybrałam najlepiej, jak mogłam, a mimo to znalazłam się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Rezultatem mojego wolnego wyboru był śmiertelny strach – bałam się, że psy wrócą i mnie pożrą albo że zostanę stratowana przez spanikowany tłum.

Nie mogłam przewidzieć, że natknę się na uliczny protest i że zostanę uratowana przez Stalina. Gdyby nie to, że widziałam ostatnio w telewizji relacje z zamieszek w innych krajach, nie wiedziałabym nawet, że osobliwe widowisko, w którym uczestniczą ludzie wykrzykujący jakieś hasła oraz policjanci z psami, nazywa się właśnie „protestem”. Kilka miesięcy wcześniej, w lipcu 1990 roku, dziesiątki Albańczyków wspinały się na mury zagranicznych ambasad, żeby dostać się do środka. Nie rozumiałam, dlaczego ktokolwiek chciał się zamknąć w ambasadzie obcego kraju. Rozmawialiśmy o tym w szkole. Elona powiedziała mi, że kiedyś pewna rodzina, sześć osób – dwóch braci i cztery siostry, weszła do włoskiej ambasady w Tiranie przebrana za turystów. Zostali w niej i mieszkali w dwóch pokojach – pięć lat, całe pięć lat. Wtedy w naszym kraju pojawił się inny turysta, tym razem prawdziwy. Nazywał się Javier Pérez de Cuéllar^[2]. Porozmawiał z nimi, a potem z władzami Partii, którym wytłumaczył, że ludzie ci pragną zamieszkać we Włoszech.

Historia opowiedziana przez Elonę zaciekała mnie, więc spytałam tatę, o co w niej chodziło.

– To byli *uligani*. Tak mówią na nich w telewizji – powiedział.

Wyjaśnił mi, że „chuligan” to cudzoziemskie słowo, którego nie da się przetłumaczyć na albański. Chuligani to głównie groźni młodzi mężczyźni,

którzy chodzą na mecze piłki nożnej, piją za dużo alkoholu i wpadają w kłopoty. Biją się z kibicami innych drużyn i palą bez żadnego powodu ich flagi. Występują głównie w krajach Zachodu, chociaż jest ich trochę również na Wschodzie, ale ponieważ Albania nie należy ani do Zachodu, ani do Wschodu, nigdy ich tu nie było – aż do niedawna.

Przypomniałam sobie o chuliganach, próbując zrozumieć to, co właśnie zobaczyłam. Jasne, jeśli ktoś jest chuliganem, to nie ma nic przeciwko temu, by przeskakiwać przez mury ambasad, krzyczeć na policjantów, zakłócać porządek publiczny i odcinać głowy pomnikom. Jasne, robili to samo na Zachodzie. Być może przedostali się stamtąd do naszego kraju, żeby narobić tu zamieszania. Ale ludzie, którzy kilka miesięcy temu wspinali się na ambasady, z pewnością nie byli cudzoziemcami. Co ci wszyscy chuligani mieli ze sobą wspólnego?

Mgłiście pamiętałam wydarzenie sprzed roku nazywane upadkiem muru berlińskiego. Rozmawialiśmy o tym w szkole i pani Nora wyjaśniła nam, że miało ono związek z walką między imperializmem a rewizjonizmem, które są swoimi zwierciadlanymi odbiciami, tyle że teraz oba zwierciadła zostały rozbite. Jednak żadne z nich nas nie dotyczy. Wrogowie ciągle próbują obalić nasz rząd i ciągle im się to nie udaje. Pod koniec lat czterdziestych rozstaliśmy się z Jugosławią, która zerwała ze Stalinem. W latach sześćdziesiątych, kiedy Chruszczow pohańbił stalinowskie dziedzictwo i oskarżył nas o „odchylenie lewicowo-nacjonalistyczne”, zerwaliśmy relacje dyplomatyczne ze Związkiem Radzieckim. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych zakończyliśmy sojusz z Chinami, ponieważ postanowiły dążyć do bogactwa i zdradziły ideały rewolucji kulturalnej. Ale to było bez znaczenia. Otaczali nas potężni wrogowie, wiedzieliśmy jednak, że jesteśmy po właściwej stronie dziejów. Zawsze, gdy nam grozili, Partia, wspierana przez lud, stawała się silniejsza. Przez stulecia walczyliśmy z wielkimi imperiami i pokazywaliśmy światu, że nawet mały naród żyjący na skraju Bałkanów może mieć dość siły, by się im oprzeć. Teraz trwała nasza walka o to, by dokonać najtrudniejszej transformacji – przejść od socjalizmu do komunistycznej wolności, od rewolucyjnego państwa rządzącego się sprawiedliwymi prawami do bezklasowego społeczeństwa, w którym samo państwo stanie się zbędne.

Wolność miała oczywiście swoją cenę, mówiła pani Nora. Broniąc naszej wolności, zawsze byliśmy sami. Ale teraz to *oni* płacą swoją cenę. *Oni* są w rozsypce. A my jesteśmy silni. Będziemy przewodzić i dawać przykład. Nie mamy pieniędzy ani broni, lecz nadal opieramy się syreniemu śpiewowi rewizjonistów ze Wschodu i imperialistów z Zachodu, a nasze istnienie daje nadzieję innym małym narodom, których godność jest deptana. Zaszczyt, jakim było życie w sprawiedliwym społeczeństwie, był równie wielki jak wdzięczność za to, że jesteśmy chronieni przed okropieństwami wydarzającymi się w innych krajach, gdzie dzieci umierały z głodu i zimna lub były zmuszane do pracy.

– Czy widzicie tę dłoń? – spytała pani Nora na koniec swojej przemowy, unosząc dumnie prawą rękę. – Ta dłoń zawsze będzie silna. Ta dłoń zawsze będzie walczyć. Wiecie dlaczego? Ponieważ ona uścisnęła rękę towarzysza Envera. Nie myłam jej przez kilka dni po zjeździe. Ale nawet gdy ją już umyłam, pozostała w niej siła. I nigdy mnie nie opuści, aż do śmierci.

Myślałam o dłoni pani Nory i o tym, co mówiła nam zaledwie kilka miesięcy temu. Wciąż siedziałam na ziemi przed odlanym z brązu pomnikiem Stalina, próbując się pozbierać i znaleźć dość odwagi, by wstać i wrócić do domu. Starłam się przypomnieć sobie każde jej słowo, jej dumę i siłę, z jaką mówiła nam, że będzie bronić wolności, ponieważ uścisnęła dłoń Wujka Envera. Chciałam być taka jak ona. Pomyślałam, że ja również muszę bronić mojej wolności, muszę przewyciężyć strach. Nigdy nie uścisnęłam dłoni Wujka Envera. Nigdy go nie spotkałam. Ale może noga Stalina wystarczy, bym stała się silna.

Wstałam. Starłam się myśleć tak jak moja nauczycielka. Mieliśmy socjalizm. Socjalizm dawał nam wolność. Uczestnicy protestu się mylili. Nikt nie szukał wolności, bo wszyscy byli już wolni, tak jak ja, i z tej wolności korzystali bądź jej bronili, podejmując własne decyzje w sprawach takich jak droga, którą wraca się do domu – albo skręca się w prawo, albo w lewo, albo idzie się prosto. Być może podobnie jak ja zgromadzili się w pobliżu portu przez pomyłkę, trafili w niewłaściwe miejsce w niewłaściwym czasie. Być może widząc milicjantów i ich psy, bardzo się wystraszyli, tak jak wystraszyli się milicjanci i psy na widok biegnącego tłumu. Obie strony mogły na siebie nastawać, nie wiedząc, kto

kogo goni, a ludzie zaczęli krzyczeć „wolność, demokracja” po prostu ze strachu i zagubienia – dlatego, że nie chcieli tych wartości stracić, a nie dlatego, że się ich domagali.

Być może nie miało to nic wspólnego ze Stalinem. Może jego pomnik został uszkodzony nocą przez burzę i deszcz. Może ktoś już zabrał jego głowę, żeby go naprawić, i wkrótce przyniesie ją z powrotem, aby wstawić ją na dawne miejsce, razem z bystrymi śmiejącymi się oczami, z grubym sympatycznym wąsem zasłaniającym górną wargę – i będzie tak, jak mi o tym opowiadano, tak jak było zawsze.

Uścisnęłam Stalina ostatni raz, odwróciłam się, spojrzałam na horyzont, żeby sprawdzić, jak daleko mam do domu, wzięłam głęboki oddech i pobiełam.

2

Inny Ypi

– *Mais te voilà enfin! On t’attend depuis deux heures! Nous nous sommes inquiétés! Ta mère est déjà de retour! Papa est allé te chercher à l’école! Ton frère pleure!*^[3] – grzmiała ubrana na czarno wysoka, szczupła postać. Nini czekała na wzgórzu od ponad godziny. Pytała przechodniów, czy mnie widzieli. Wycierała nerwowo ręce o fartuch i mrużyła oczy, żeby wypatrzeć mój czerwony tornister. Wiedziałam, że babcia jest rozgniewana. Miała specyficzny sposób besztania ludzi – robiła to tak, by czuli się odpowiedzialni, przypominała im, że ich postępowanie wpływa na los bliźnich, a ich egoistyczne priorytety uniemożliwiają innym realizację własnych celów życiowych. Gdy kontynuowała swój francuskojęzyczny monolog, u stóp wzgórza pojawił się tata. Biegł zdyszany pod górę, trzymając swój inhalator dla astmatyków jak miniaturowy koktajl Mołotowa. Oglądał się za siebie, jakby się obawiał, że ktoś za nim idzie. Schowałam się za babcią.

– Skończyła sprzątać i wyszła ze szkoły – powiedział, podbiegając do Nini. – Próbowałem ją znaleźć, ale nigdzie jej nie widziałem. – Był zdenerwowany. Zatrzymał się, żeby skorzystać z inhalatora. – Zdaje się, że jest jakiś protest – wyszeptał i wykonał gest oznaczający, że resztę opowie dopiero w domu.

– Ona jest tutaj – powiedziała babcia.

Tata odetchnął z ulgą, ale gdy mnie zobaczył, spoważniał.

– Idź do swojego pokoju – rozkazał.

– To nie był protest. To byli *uligani* – wymamrotałam, idąc przez podwórko.

Zastanawiałam się, dlaczego tata użył tego innego słowa: „protest”.

W domu zastałam mamę zajętą gruntownym sprzątaniami. Znosiła ze strychu przedmioty, których nie widzieliśmy od lat: worek z wełną, zardzewiałą drabinę i książki dziadka z czasów jego studiów. Widziałam, że ona też jest zdenerwowana. Miała taki zwyczaj, że koła swoje niepokoje, znajdując sobie nowe domowe obowiązki. Im bardziej się denerwowała, tym ambitniejsza stawała się skala tych projektów. Gdy była na kogoś zła, nie odzywała się, tylko zaczynała łomotać garnkami, przeklinać sztuce spadające na podłogę, wyrzucać tacki z kuchennych szafek. Gdy była zła na samą siebie, przestawiała meble, przeciągała stół na drugą stronę pokoju, składała krzesła na kupę i zwijała dywan, żeby wyszorować podłogę.

– Widziałam *uliganów* – oznajmiłam, by podzielić się z nią moimi przeżyciami.

– Podłoga jest mokra – powiedziała groźnym głosem i trąciła moją kostkę końcem szczotki, dając mi do zrozumienia, że powinnam zostawić buty na zewnątrz.

– A może to nie byli chuligani – mówiłam dalej, rozwiązując sznurówki. – Może to byli protestujący.

Zatrzymała się i rzuciła mi puste spojrzenie.

– Jediną chuliganką jesteś ty – odpowiedziała, unosząc szczotkę znad podłogi i machając nią dwa razy w kierunku mojego pokoju. – W naszym kraju nie ma protestów.

Mama zawsze była obojętna na sprawy związane z polityką. Dawniej interesowali się nimi tylko tata i babcia (jego mama). Często rozmawiali o rewolucji w Nikaragui i wojnie o Falklandy. Z entuzjazmem powitali wiadomości o rozpoczęciu negocjacji w sprawie zniesienia apartheidu w RPA. Tata mówił, że gdyby był Amerykaninem i został powołany do wojska, żeby walczyć w Wietnamie, odmówiłby służby. Często podkreślał, że mamy szczęście, ponieważ nasz kraj popierał Wietkong. Lubił sobie żartować z najbardziej tragicznych spraw, a moje koleżanki uwielbiały jego dowcipy na temat antyimperialistycznej polityki. Gdy zapraszałam je do siebie na noc i kładłyśmy się wieczorem na materacach rozłożonych na

podłodze sypialni, tata wsuwał głowę przez uchylone drzwi i rzucał: „Pogodnych snów, obozie palestyńskich uchodźców!”.

Jednak ostatnie wydarzenia w Europie Wschodniej, czyli, jak się u nas mówiło, w „bloku rewizjonistycznym”, sprawiły, że poczuliśmy się jakoś inaczej. Trudno powiedzieć, na czym to polegało. Pamiętam mgliście, że we włoskiej telewizji usłyszałam coś o Solidarności. Wyglądało na to, że chodzi o protest robotników, a ponieważ żyliśmy w państwie robotniczym, pomyślałam, że byłoby interesujące, gdybym napisała o tym w biuletynie „informacji politycznych”, który przygotowywaliśmy w szkole. Kiedy jednak spytałam o to ojca, powiedział:

– Nie sądzę, żeby to było ciekawe. Ale mam coś innego, o czym należałoby napisać w biuletynie. We wsi, w której pracuję, spółdzielnia przekroczyła wielkość produkcji zaplanowaną na bieżącą pięciolatkę. Z kukurydzą się nie udało, z pszenicą już tak. Wczoraj wieczorem mówili o tej spółdzielni w wiadomościach.

Gdy pojawiał się temat protestów, rodzice niechętnie odpowiadali na pytania. Okazywało się, że są albo zmęczeni, albo zirytowani, wyłączali telewizor bądź ściszało go tak, że nic nie można było usłyszeć. Wyglądało na to, że nikt nie podziela mojego zaciekawienia tą sprawą. Było oczywiste, że nie mogę oczekiwać od nich żadnych wyjaśnień i że rozsądniej poczekać na lekcję etyki w szkole, żeby zapytać panią Norę. Ona zawsze dawała jasne, jednoznaczne odpowiedzi. Mówiła o polityce z entuzjazmem, jaki moi rodzice okazywali tylko wtedy, gdy w jugosłowiańskiej telewizji pojawiały się reklamy mydeł i kremów. Kiedy tata widział w TV Skopje jakieś produkty do higieny osobistej, wołał natychmiast: „Reklama! Reklama!”. Mama i babcia porzucały wtedy swoje kuchenne prace i biegły do pokoju, żeby w ostatnim momencie spojrzeć na piękną kobietę, która z rozkosznym uśmiechem na twarzy pokazywała, jak należy myć ręce. Jeśli pozwoliły sobie na chwilę zwłoki i pojawiły się już po zakończeniu reklamy, tata tłumaczył się, mówiąc: „To nie moja wina, wołałem was, ale przyszłyście za późno!”. Wtedy zwykle zaczynała się kłótnia o to, że *one* nie zdążyły, ponieważ *on* nigdy nie pomaga im w domu. Kłótnia szybko przechodziła w obrzucanie się wyzwiskami, a wyzwiska mogły doprowadzić do walki, często z meczem jugosłowiańskich koszykarzy

w tle, która trwała do chwili, gdy w telewizorze pojawiał się kolejny blok reklamowy. W mojej rodzinie kłócono się o wszystko. Z wyjątkiem polityki.

W sypialni znalazłam zapłakanego Laniego, mojego brata. Gdy mnie zobaczył, otarł łzy i zapytał, czy przyniosłam ciasteczka.

– Dzisiaj nie, poszłam inną drogą – odpowiedziałam. Wyglądał tak, jakby miał się znowu rozplakać. – Muszę tu zostać. Żeby się zastanowić nad sobą. Chcesz posłuchać historii? O człowieku na koniu, który przypominał duszę świata, ale potem odrąbano mu głowę.

– Nie chcę jej słuchać – odpowiedział. Łzy znowu płynęły mu po twarzy. – Boję się. Boję się ludzi bez głowy. Chcę ciasteczka.

– Chcesz pobawić się w szkołę? – zaproponowałam, bo poczułam się nieco winna.

Lani skinął głową. Lubiliśmy bawić się w szkołę. Lani siadał przy moim stole i udawał nauczyciela. Notował coś, podczas gdy ja przygotowywałam pracę domową. Najbardziej podobały mu się lekcje historii. Najpierw uczyłam się na pamięć wydarzeń, a potem powtarzałam głośno tekst, dodając mu dramatyzmu dialogami prowadzonymi przez historyczne postaci, w które często wcielały się moje lalki.

Tamtego dnia postaci i wydarzenia były nam dobrze znane. Uczyliśmy się o okupacji Albanii przez włoskich faszystów podczas II wojny światowej, skupiając się na dziesiątym premierze kraju. Człowiek ten, przez panią Norę nazywany albańskim Quislingiem, był odpowiedzialny za rezygnację z niepodległości po ucieczce króla Zogu i poddanie Albanii Włochom. Panowanie Zogu i wszystko, co z niego wynikło, położyło kres albańskim aspiracjom, by stać się prawdziwie wolnym społeczeństwem. Po stuleciach niewoli w Imperium Osmańskim i dziesiątkach lat walki przeciwko wielkim mocarstwom, które zamierzały podzielić kraj, w 1912 roku patrioci ze wszystkich regionów zjednoczyli się, zapominając o religijnych i etnicznych podziałach, by walczyć o niepodległość. Niedługo później, opowiadała pani Nora, Zogu wyeliminował swoich przeciwników, zagarnął władzę i ogłosił się królem wszystkich Albańczyków. Był nim do czasu, gdy kraj dostał się, przy pomocy albańskich kolaborantów, pod okupację faszystów. 7 kwietnia 1939 roku,

gdy zaczęła się włoska inwazja, wielu żołnierzy i zwykłych obywateli dzielnie walczyło z włoskimi okrętami wojennymi, broniąc się swoim ubogim uzbrojeniem przed pociskami artylerii do ostatniej kropli krwi. Ale inni Albańczycy – bejowie, obszarnicy i elity biznesu, czyli ci, którzy wcześniej służyli okrutnemu, eksploatującemu poddanych królowi – rzucili się, żeby witać siły okupacyjne i zająć stanowiska w nowej kolonialnej administracji. Niektórzy, w tym były premier, dziękowali nawet Włochom za uwolnienie kraju spod jarzma króla Zogu. Kilka miesięcy później premier zginął w wybuchu bomby lotniczej. Tego dnia tematem mojej lekcji historii było życie tego zdrajcy, który kolaborował z królem i poniósł śmierć jako faszystowski drań.

Kiedy mówiliśmy w szkole o faszyzmie, wszyscy byli podekscytowani. Prowadziliśmy ożywione dyskusje i pęcznieliśmy z dumy. Nauczyciele pytali, czy mamy jakichś krewnych, którzy walczyli w czasie wojny albo wspierali ruch oporu. Na przykład dziadek Elony w wieku lat piętnastu poszedł w góry i dołączył do partyzantów, by walczyć z włoskimi najeźdźcami. Po wyzwoleniu Albanii, w 1944 roku, przedostał się do Jugosławii, by wspomóc tamtejszy ruch oporu. Często przychodził do nas i opowiadał o swojej partyzanckiej przeszłości, a także o tym, że Albania i Jugosławia były jedynymi krajami, które zwyciężyły w wojnie bez pomocy aliantów. Inne dzieci wspominały dziadków oraz ich braci i siostry, którzy pomagali antyfaszystom, dając im żywność i schronienie. Czasem przynosiły do szkoły ubrania i przedmioty należące do krewnych, którzy w młodości oddali życie w walce: koszulę, ręcznie haftowaną chusteczkę, list wysłany do rodziny na kilka godzin przed egzekucją.

– Czy mamy jakichś krewnych, którzy uczestniczyli w walce z faszyzmem? – pytałam moją rodzinę.

Długo się zastanawiali, grzebali w rodzinnych fotografiach, konsultowali się z dalszymi krewnymi i wreszcie znajdowali – Baba Mustafa, czyli dziadek dalekiego kuzyna żony mojego stryja. Baba Mustafa miał klucze do meczetu. Pewnego dnia ukrył w nim grupę partyzantów, którzy zaatakowali nazistowski garnizon, gdy po wycofaniu się z Albanii Włochów zastąpili ich Niemcy. Pełna entuzjazmu opowiedziałam tę historię podczas lekcji.

– Wytłumacz jeszcze raz, jakie pokrewieństwo was łączy – powiedziała Elona.

– Ale co on robił w meczecie? Dlaczego miał klucze? – dowcipkowała Marsida.

– A co się stało potem z partyzantami? – chciała wiedzieć trzecia koleżanka, Besa.

Próbowałam odpowiedzieć na te pytania najlepiej, jak mogłam, ale prawda była taka, że nie znałam dość szczegółów, by zaspokoić ich ciekawość. Dalsza rozmowa stawała się zagmatwana, a potem krępująca. Po kilku takich wymianach zdań zarówno moje pokrewieństwo z Babą Mustafą, jak i jego wkład w walkę z faszyzmem okazywały się problematyczne albo mocno przesadzone. Na koniec trudno mi się było oprzeć wrażeniu, że nawet pani Nora uważa, iż jest on wytworem mojej wyobraźni.

Każdego 5 maja, czyli w dniu pamięci o bohaterach tamtej wojny, w naszej dzielnicy pojawiali się delegaci Partii, aby po raz kolejny złożyć kondolencje rodzinom męczenników i zapewnić, że dar krwi złożony przez ich bliskich nie poszedł na marne. Wyglądałam przez kuchenne okno i obserwowałam z pełną goryczy zazdrością moich znajomych, ubranych odświętnie, niosących wielkie bukiety świeżo ściętych czerwonych róż, wymachujących flagami i śpiewających partyzanckie pieśni, gdy prowadzili gości w stronę swoich domów. Ich rodzice wychodzili na ulicę, żeby uścisnąć dłonie przedstawicieli Partii, i wtedy wykonywano oficjalne fotografie. Kilka dni później do szkoły docierały albumy z tymi zdjęciami. Ja nie miałam nic do zaoferowania.

Nie dość, że w mojej rodzinie nie było żadnego męczennika sprawy socjalizmu, którego można by upamiętnić, to jeszcze albański Quisling, dziesiąty premier i zdrajca narodu, wróg klasowy, obiekt nienawiści i pogardy w naszych szkolnych dyskusjach, nazywał się tak samo jak ja i mój ojciec: Xhaferr Ypi. Co roku, gdy jego nazwisko pojawiała się w podręcznikach, musiałam cierpliwie wyjaśniać, że chociaż nazywamy się tak samo, nie jesteśmy spokrewnieni. Tłumaczyłam, że mój tata został nazwany po swoim dziadku, który – tak się złożyło – miał takie same imię

i nazwisko jak nasz dziesiąty premier. Te rozmowy powtarzały się co roku. Nienawidziłam ich.

Czytając swoje zadanie z historii, wstrzymałam oddech, zastanowiłam się przez chwilę, zdenerwowałam, po czym wstałam z książką w rękę.

– Chodź ze mną – rozkazałam Laniemu. – To znowu o tym innym Ypi.

Poszedł za mną posłusznie, wciąż trzymając w ustach długopis, którym wcześniej rysował. Trzasnęłam drzwiami i pomaszerowałam do kuchni.

– Nie idę jutro do szkoły! – oznajmiłam.

Początkowo nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Mama, tata i babcia siedzieli tyłem do wejścia po jednej stronie dębowego stolika, na ustawionych obok siebie składanych krzesłach. Łokciami opierali się o blat, a dłońmi trzymali za skronie. Ich twarze były pochylone tak nisko, jakby mieli zaraz umrzeć. Wszyscy troje wyglądali na pochłoniętych dziwnym zbiorowym rytuałem, polegającym na oddawaniu czci tajemniczemu przedmiotowi zasłoniętemu przez ich głowy.

Oczekiwałam jakiejś reakcji na moje oświadczenie. Usłyszałam jedynie uciszające syknięcia. Stałam na palcach i wychyliłam się do przodu. Na środku stołu zobaczyłam radio.

– Nie idę jutro do szkoły!

Podniosłam głos i zrobiłam kilka kroków w głąb kuchni, trzymając książkę otwartą na stronie ze zdjęciem premiera. Lani tupnął nogą w podłogę i spojrzał na mnie porozumiewawczo. Tata odwrócił się gwałtownie z miną człowieka, który czuje się winny, bo przyłapano go na działalności wywrotowej. Mama wyłączyła radio. Zdążyłam jednak usłyszeć dwa ostatnie słowa: „polityczny pluralizm”.

– Kto pozwolił wam wyjść z sypialni? – Pytanie taty zabrzmiało jak groźba.

– Znowu o nim piszą – powiedziałam, ignorując je. Wciąż mówiłam głośno, ale mój głos zaczął drżeć. – O tym Ypi, zdrajcy. Nie pójdę jutro do szkoły. Nie zamierzam tracić czasu na wyjaśnianie, że nie mamy nic wspólnego z *tym człowiekiem*. Mówiłam to już wszystkim i wciąż powtarzam. Ale oni nadal będą pytać i pytać, tak jakby mnie nie słyszeli, a mi kończą się już wyjaśnienia.

Wygłaszałam ten monolog już wcześniej, za każdym razem, gdy na lekcjach historii, literatury czy etyki pojawiał się temat faszyzmu. Rodzice zawsze zabraniali mi opuszczać szkołę. Wiedziałam, że tym razem też mi na to nie pozwolą. Nigdy nie potrafiłam im wyjaśnić, jak to jest, gdy czuję w klasie presję koleżanek i kolegów. I nigdy nie potrafiłam wyjaśnić koleżankom i kolegom, jak to jest żyć w rodzinie, w której przeszłość wydaje się nie mieć znaczenia, a liczą się jedynie rozmowy o teraźniejszości i plany na przyszłość. Nie potrafiłam też wyjaśnić samej sobie dręczącego mnie w tamtym czasie poczucia – umiem je wyartykułować dopiero teraz – że moje życie, w domu i poza nim, nie było tak naprawdę jednym życiem, lecz dwoma. Te życia czasem się uzupełniały i wzajemnie wspierały, częściej jednak zderzały z niezrozumiałą dla mnie rzeczywistością.

Rodzice patrzyli na siebie. Nini spojrzała na nich, a potem odwróciła się w moją stronę i powiedziała tonem, który miał być zarazem twardy i uspokajający:

– Oczywiście, że pójdziesz do szkoły. Nie zrobiłaś nic złego.

– *My* nie zrobiliśmy nic złego – poprawiła ją mama, po czym wskazała dłonią na radio, by dać mi do zrozumienia, że chce słuchać dalej i że moja obecność w kuchni nie jest już pożądana.

– Tu nie chodzi o mnie – nalegałam. – Tu nie chodzi o nas. Chodzi o zdrajcę. Gdybyśmy mieli bohatera, którego moglibyśmy czcić, opowiedziałabym o nim w klasie i wszyscy przestaliby mnie obsesyjnie pytać o moje związki z tym innym Ypi. Ale nie mamy w naszej rodzinie nikogo takiego. Nikogo, nawet wśród dalszych krewnych. Nikogo, kto kiedykolwiek próbowałby bronić naszej wolności. Nawet w tym domu nikt nigdy nie zadbał o wolność.

– To nieprawda – powiedział tata. – Ktoś o nią dba. Mamy ciebie. Ty to robisz. Ty jesteś bojowniczką, która o nią walczy.

Rozmowa toczyła się tak samo jak mnóstwo razy wcześniej. Babcia tłumaczyła, że opuszczanie lekcji z powodu nazwiska jest irracjonalne, tata próbował żartować, żeby zmienić temat, a mama myślała tylko o tym, by powrócić do zajęcia, które jej nietaktownie przerwałam.

Tym razem jednak wydarzyło się coś niespodziewanego. Mama odsunęła się od radia, wstała, spojrzała na mnie i rzuciła:

– Powiedz im, że Ypi nie zrobił nic złego.

Nini zmarszczyła brwi i popatrzyła na tatę, który próbując uniknąć jej wzroku, sięgnął po swój inhalator i zerknął zatroskany na mamę. Ale mama odpowiedziała mu ostrym spojrzeniem. Jej oczy pałały gniewem. Wyglądała na kogoś, kto świadomie postanowił zmącić wszystkim spokój. Nie zwracając uwagi na niemy wyrzut w oczach ojca, ciągnęła dalej:

– On nie zrobił nic złego. Czy był faszystą? Nie wiem. Może był. Czy bronił wolności? To zależy. Żeby być wolnym, trzeba być żywym. Może próbował ratować życie. Jakie szanse miała Albania w walce z Włochami? *Faszyści* już przejęli kraj. Kontrolowali rynek. To Zogu dał im udziały w największych państwowych firmach. Włoskie towary pojawiły się na długo przed włoską artylerią. Nasze drogi zostały zbudowane przez faszystów. Architekci Mussoliniego zaprojektowali rządowe budynki na długo przed tym, zanim zajęli je jego urzędnicy. To, co oni nazywają faszystowską *inwazją*...

Wykrzywiła twarz w sarkastycznym uśmiechu, wymawiając słowo „inwazja”, i przerwała.

– To nie jest właściwy moment – wtrąciła się Nini i zwróciła do mnie: – Liczy się to, że ty nie zrobiłaś nic złego. Ty nie masz się czego obawiać.

– Kim są *oni*? – spytałam zbita z tropu i zaciekawiona słowami mamy.

Nie rozumiałam wszystkiego, co powiedziała, ale byłam zaskoczona długością jej wypowiedzi. Takie wykłady nie były w jej stylu. Pierwszy raz słyszałam mamę wygłaszającą opinie o polityce i historii. Nie wiedziałam, że ma jakiegokolwiek.

– Mówią, że Zogu był tyranem i faszystą – kontynuowała, nie reagując na moje pytanie ani na ostrzeżenie babci. – Jeśli rządzi tobą jeden tyran, jaki sens ma przeciwstawianie się innemu? Jaki sens ma poświęcanie życia w obronie niepodległości kraju, który już jest okupowany, a niepodległy tylko z nazwy? Prawdziwymi wrogami ludu... Nie ciągnij mnie za rękaw – przerwała, zwracając się do taty, który podszedł do niej, ciężko oddychając. – Oni mówią, że był zdrajcą, no cóż...

– Kim są *oni*? – spytałam raz jeszcze, coraz bardziej zaintrygowana.

– Oni to... to... Mama ma na myśli rewizjonistów – wyjaśnił w jej imieniu tata, a potem zawahał się, nie wiedząc, co ma powiedzieć dalej, więc zmienił temat: – Prosiłem cię, żebyś poszła zastanowić się nad sobą do sypialni. Dlaczego z niej wyszłaś?

– Bo się zastanowiłam. Nie chcę iść do szkoły.

Mama prychnęła drwiąco. Odeszła od stolika i zaczęła tłuc garnkami oraz trzaskać wrzucanymi do zlewu sztućcami.

Następnego dnia rano Nini nie przyszła jak zwykle, by mnie obudzić i wysłać do szkoły. Nie powiedziała dlaczego. Wiedziałam, że coś jest inaczej, że wczoraj stało się coś, co musi zmienić mój sposób postrzegania własnej rodziny i rodziców. Trudno powiedzieć, czy to coś wiązało się jakoś z moim spotkaniem ze Stalinem, z audycją radiową albo z tym premierem, którego działalność, śmierć i obecność w moim życiu próbowałam bezskutecznie ignorować. Zastanawiałam się, dlaczego tata szeptał, rozmawiając z mamą o proteście. Dlaczego nie nazwał jego uczestników chuliganami? Zastanawiałam się również nad tym, dlaczego mama usprawiedliwia postępowanie faszystowskiego polityka. Jak mogła sympatyzować z ciemniejszym ludem?

W kolejnych dniach protestów było coraz więcej. Teraz nawet państwowa telewizja tak je nazywała. Zapoczątkowane w stolicy przez studentów, rozprzestrzeniały się na resztę kraju. Krążyły pogłoski, że robotnicy szykują się do wyjścia z fabryk i dołączenia do młodych ludzi na ulicach. Coś, co zaczęło się od fali zamieszek wywołanych sytuacją gospodarczą, gdy studenci zbuntowali się z powodu braku żywności, niedogranych akademików i przerw w dostawie prądu do sal wykładowych, zamieniło się w coś innego – w żądanie zmiany, której istota była niejasna nawet dla tych, którzy się jej domagali. Prominentni akademicy, w tym byli członkowie Partii, udzielali niebywałych wywiadów rozgłośni Głos Ameryki, tłumacząc, że niezadowolenia studentów nie można sprowadzać do kwestii gospodarczych. W ich ruchu, wyjaśniali, chodziło o zerwanie z systemem jednopartyjnym i uznanie politycznego pluralizmu. Chcieli *prawdziwej* demokracji i *prawdziwej* wolności.

Dorastałam w przekonaniu, że rodzina podziela moją miłość do Partii, pragnienie służenia krajowi, pogardę dla wrogów oraz żal, że nie mamy żadnych wojennych bohaterów, których pamięć moglibyśmy czcić. Tym razem poczułam, że jest inaczej. Na moje pytania o politykę, kraj, protesty oraz prośby o wyjaśnienie, co się dzieje, rodzice odpowiadali krótko i wymijająco. Chciałam wiedzieć, dlaczego wszyscy domagają się wolności, skoro – jak mówiła pani Nora – byliśmy już jednym z najbardziej wolnych narodów świata. Kiedy wymawiałam w domu jej imię, rodzice przewracali oczami. Zaczęłam podejrzewać, że nie są osobami, po których można się spodziewać wyjaśnień, i że nie powinnam już im ufać. Nie chodziło tylko o to, że nie odpowiadali na pytania. Zastanawiałam się, w jakiej właściwie rodzinie się urodziłam. Zważyłam w nich, a zważenie to sprawiało, że słabło moje poczucie pewności tego, kim jestem.

Dziś zdaję sobie sprawę z czegoś, czego wtedy nie potrafiłam zrozumieć: że wzorce, które mnie kształtowały w dzieciństwie, te niewidzialne prawa tworzące strukturę mojego życia, sposób postrzegania ludzi, których opinie nadawały sens mojemu światu – że wszystko to zmieniło się na zawsze w grudniu 1990 roku. Przesadziłabym, mówiąc, że tego dnia, gdy przytuliłam Stalina, stałam się dorosła i właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że sama będę musiała nadać ten sens. Jednak bez żadnego koloryzowania mogę powiedzieć, że tego dnia straciłam dziecięcą niewinność. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy wolność i demokracja to rzeczywistość, w której żyliśmy, czy też tajemniczy przyszły stan, o którym wiem bardzo niewiele.

Babcia zawsze mówiła, że gdy nie umiemy wyobrazić sobie przyszłości, musimy zwrócić się ku przeszłości. Zaczęłam rozmyślać nad historią mojego życia, nad tym, jak przyszłam na świat i jak on wyglądał, zanim się tu pojawiłam. Powracałam do szczegółów, co do których mogłam się mylić, bo byłam za mała, by je właściwie zapamiętać. Słyszałam tę historię niezliczenie wiele razy – była to opowieść o stałej, niezmiennej rzeczywistości, w której stopniowo znajdowałam własne, choć niejednoznaczne miejsce. Tym razem było inaczej. Tym razem brakowało stałych punktów, wszystko trzeba było odtwarzać od początku. Historia mojego życia nie była już ciągiem zdarzeń, do których doszło w jakimś

określonym czasie, lecz historią poszukiwania właściwych pytań, których zadanie nigdy nie przyszło mi do głowy.

3

471: krótka biografia

Pochodziłam z rodziny, jak to określała pani Nora, „inteligenckiej”.

– W tej klasie jest za dużo inteligentkich dzieci – powiedziała kiedyś w szkole z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– Inteligent – pocieszył mnie tata – to po prostu ktoś, kto skończył studia. Ale nie martw się, tak czy inaczej, wszyscy jesteśmy robotnikami. Żyjemy w państwie klasy robotniczej.

Wprawdzie oboje moi rodzice byli „inteligentami”, ponieważ studiowali na uniwersytecie, jednak żadne z nich nie studiowało tego, co chciało. Z tych dwóch historii bardziej zagmatwana wydaje się historia taty. Był bardzo uzdolniony w naukach ścisłych, już w liceum wygrał olimpiady matematyczną, fizyczną, chemiczną i biologiczną. Chciał studiować matematykę, ale przedstawiciel Partii zasugerował mu, że ze względu na jego „biografię” powinien raczej dołączyć do prawdziwej klasy robotniczej. W mojej rodzinie często używano tego słowa – „biografia” – lecz nigdy go nie rozumiałam. Miało tak wiele zastosowań, że trudno było domyślić się jego znaczenia w konkretnych kontekstach. Gdy ktoś pytał moich rodziców, jak się poznali i dlaczego wzięli ślub, odpowiadali: „Taka biografia”. Gdy mama pisała pisma w sprawie pracy, przypominano jej: „Tylko nie zapomnij napisać kilku zdań o swojej biografii”. Gdy zaczynałam kolegować się w szkole z kimś nowym, rodzice pytali się nawzajem: „Czy wiemy coś o jego biografii?”.

Biografie starannie dzielono na dobre i złe, lepsze i gorsze, czyste i skażone, przejrzyste i powikłane, podejrzane i wiarygodne, te warte pamięci i te, o których należy zapomnieć. Biografia była uniwersalną odpowiedzią na wszystkie pytania, podstawą, bez której wszelka wiedza

traciła swoją rangę i stawała się zaledwie opinią. Są słowa, których znaczenia nie ma sensu dociekać – albo tak proste, że one same i to, co się z nimi wiąże, jawią się jako oczywiste, albo wstydzimy się przyznać, że po tych wszystkich latach, gdy je słyszeliśmy, wciąż ich nie rozumiemy. Takim słowem jest „biografia”. Gdy zostawało wypowiedziane, trzeba było je zaakceptować.

Tata był jedynakiem. Oficjalnie miał na imię Xhaferr, tak jak albański Quisling, ale wszyscy mówili na niego Zafo, dzięki czemu nie musiał się tłumaczyć za każdym razem, gdy się przedstawiał. Zafo wychowywała tylko matka. W 1946 roku, kiedy miał trzy lata, mój dziadek Asllan, którego nigdy nie spotkałam, zostawił ich i wyjechał gdzieś na studia. To była część jego biografii. Po piętnastu latach Asllan wrócił. Rodzina urządziła przyjęcie, żeby to uczcić, a Nini uszmkowała usta. Tata nigdy nie widział jej z makijażem i powiedział, że nie poznaje matki, że wygląda jak kłown i że nie powinna z nimi dłużej mieszkać. Potem strasznie pokłócił się ze swoim ojcem. Nini wytarła szminkę i już nigdy więcej się nie malowała. Spory między dwoma mężczyznami ciągnęły się przez lata. Tata odmawiał uznania władzy Asllana, natomiast dziadek mówił, że siła woli taty jest „jak masło” i że żyje jak „zadowolona świnia”. Nini lubiła przytaczać całe zdanie wypowiedziane przez jej męża: „Lepiej być niezadowolonym człowiekiem niż zadowoloną świnia”. Tata jednak nigdy nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Często, zwłaszcza wtedy, gdy dokuczała mu astma, miewał napady lęku, które starał się za wszelką cenę ukrywać.

Zafo zachorował na astmę w dzieciństwie, mniej więcej wtedy, gdy Partia zażądała, by Nini opuściła swój dom i zamieszkała w zatechłym baraku. To również była część ich biografii. Dziadka nie było, kiedy to się stało. Później mawiał, że wielu ludzi ma astmę, więc tata nie powinien za bardzo narzekać. Mówił też, że powinien codziennie dziękować naszym władzom za to, że żyjemy w socjalizmie, bo gdybyśmy żyli na Zachodzie, byłby kloszardem i zarabiał na życie, śpiewając pod mostem piosenki *bobdylan*. To również wydało mi się bardzo tajemnicze, nie tylko dlatego, że nikt nie wytłumaczył mi, co to jest *bobdylan*, lecz także z tego powodu, że tata nie miał absolutnie słuchu muzycznego i nigdy nie grał na żadnym

instrumencie. Pasjonowały go natomiast dwie rzeczy, których próbował mnie nauczyć: tańczyć „jak mały Ali” i stosować „magiczne wzory Viète’a” do rozwiązywania problemów algebraicznych. To pierwsze polegało na wykonywaniu serii boksinerskich ruchów. Jednak gdy już mi się wydawało, że je opanowałam, trening się skończył, bo ojcu brakowało tchu. Nauka tego drugiego mogła trwać całymi dniami, czasem nawet tygodniami, podczas których jego zachwyty nad wzorami Viète’a narastał proporcjonalnie do mojej frustracji.

Trudny do zrozumienia element biografii ojca stanowiło nie to, że zabroniono mu zdawać na studia, lecz to, że mimo tego zakazu zdołał się na nie dostać. Na kilka dni przed rozpoczęciem roku akademickiego pojawił się przed komisją lekarską. Moja babcia zawiadomiła ją, że jeśli nie pozwoli synowi studiować, to on się zabije. Członkowie komisji zadali mu kilka pytań i odesłali do domu z pismem zalecającym odpowiednim władzom dopuszczenie go do wyższej edukacji. Nie wolno mu było jednak studiować matematyki, bo potem mógłby zostać nauczycielem, a z powodu swojej biografii nie mógł nim być. Skierowano go na wydział leśnictwa, co mu najwyraźniej wystarczyło, bo nigdy nie próbował się zabić. Zaczął dojeżdżać do Tirany z Kawai, małego miasta, gdzie mieszkała jego rodzina wraz z wieloma innymi rodzinami o podobnych historiach.

Dla ojca matematyka była jedną z największych pasji, natomiast mama niczego nie nienawidziła bardziej niż właśnie jej. Ona również miała pecha, ponieważ nie tylko musiała studiować matematykę, lecz także uczyć jej w liceum. Można przypuszczać, że skoro została obdarzona takim zaufaniem, że mogła pracować jako nauczycielka, podczas gdy tacie na to nie pozwolono, to miała lepszą biografię niż on, choć tylko nieznacznie, bo gdyby miała o wiele lepszą, nie wyszłaby za niego. Uwielbiała Schillera i Goethego, chodziła na koncerty Mozarta i Beethovena i uczyła się grać na gitarze od gości ze Związku Radzieckiego odwiedzających Dom Pionierów – jednak tylko do czasu, gdy po dwudziestym zjeździe tamtejszej partii zerwaliśmy stosunki z tym krajem. Mamę przyjęto na wydział literatury, ale rodzice, borykający się z kłopotami finansowymi, namówili ją

do zmiany kierunku, bo studiując naukę ścisłą, mogła ubiegać się o stypendium.

Urodziła się jako trzecie dziecko w rodzinie, która doczekała się ich siedmiorga, pięciu dziewczynek i dwóch chłopców. Jej matka, Nona Fozi, pracowała w zakładach chemicznych, a ojciec, nazywany przez nas Baçi, zajmował się czyszczeniem rynien. Na nielicznych zdjęciach mamy z czasów jej młodości, jakie się zachowały, jest strasznie chuda, delikatna i ma podkrążone oczy, tak jakby cierpiała na anemię. Nigdy nie mówiła o swoim dzieciństwie, ale musiała żyć w biedzie. Gdy tata zaproponował kiedyś, żebyśmy obejrzeli film dokumentalny o wielkim głodzie w Bengalii, powiedziała:

– Zafo, wiem, co to głód, nie muszę go oglądać w telewizorze.

Nie lubiła telewizji. Jedyne wyjątki czyniła dla nadawanego w Jugosławii serialu *Dynastia*, nie tyle z powodu szczególnego zainteresowania fabułą, ile raczej dla przyjemności oglądania wnętrza.

– To bardzo ładne – mówiła rozmarzona. – Bardzo, bardzo ładne.

Jej rodzina mieszkała i dzieliła się pieniędzmi z dwiema babkami oraz kuzynem jej ojca, Hysenem, który został osierocony w wieku trzynastu lat. Mama była strasznie przywiązana do Hysena. Kiedy podczas wojny przywieziono ją do domu ze szpitala położniczego, Hysen odmówił mówienia na nią Vjollca, jak miała na imię, i oświadczył, że jest piękna jak lalka. Od tamtej pory wszyscy nazywali ją Doli. Hysen uczył się w Wiedniu, w szkole z internatem, nauczył mamę tańczyć walca oraz recytować *Króla olch* Goethego. Czasem chodziła po domu, deklamując: „*Wer reitet so spät durch Nacht und Wind? Es ist der Vater mit seinem Kind*”^[4]. Pytanie wygłaszała donośnym głosem, który ściszała przy odpowiedzi. Zawsze mi się wydawało, że jest to opowieść o dziecku, które nie może zasnąć. Jednak pewnego zimowego wieczora, gdy za oknem szalała burza, a my piekliśmy na ogniu kasztany, wyrecytowała cały wiersz, a potem go przetłumaczyła. Kiedy przypominam sobie jego dwa ostatnie wersy, wciąż czuję dreszcz, który przebiegł mi wtedy po plecach: „Dolata na dworzec... lecz próżna otucha! Na ręku ojcowskim już dziecię bez ducha”.

Mama i Hysen mieli jeszcze inną wspólną pasję: z kawałków papieru robili samochody, statki i samoloty, które wysyłali w wyimaginowane podróże. Hysen cierpiał na ataki jakiejś choroby psychicznej. Po każdym z nich zapadał w głęboki sen przypominający śpiączkę. Kiedy się budził, mówił wyłącznie po niemiecku, potem mieszanką niemieckiego i albańskiego, a kiedy czuł się już na tyle dobrze, by wstać z łóżka, rysował razem z moją mamą mapy naszego miasta Durrës, na których zaznaczali wybrane fragmenty otaczających je terenów, budynki, drogi, a potem robili statki z papieru, przewożące, jak twierdzili, nasze rodzinne złoto. Wszystkie statki nazywali imieniem iliryjskiej królowej Teuty, której piracka flota napadała na rzymskie okręty i miasta. Każdy miał jednak inny numer: Teuta I, Teuta II, Teuta III. Mama opowiadała, że Hysen przygotowywał się do nastania, jak to nazywał, „czasu pokoju”. W czasie pokoju, zapowiadał, mama i jej rodzeństwo zamieszkają w zamku, będą przechadzać się po swoich włościach, dosiadać koni wyścigowych i ubierać się jak księżęta i księżniczki. Kiedy Hysen opowiadał o tym, czego mogą się spodziewać, gdy nadejdzie „pokój”, mama potrafiła zapomnieć, że przez cały dzień nic nie jadła.

Hysen nauczył ją grać w szachy, a rodzice namawiali, żeby wstąpiła do miejskiego klubu szachowego, bo wtedy dostanie za darmo dresy i będzie mogła jeździć na turnieje. Jako dwudziestodwulatka została krajową mistrzynią szachową i utrzymała ten tytuł przez kilka lat. Pamiętam rytmiczny stukot jej obcasów, gdy przemierzała wielką salę w Pałacu Sportu, gdzie trenowała młodych szachistów. Chodziła od jednego rzędu stolików do następnego przy akompaniamencie tykania dużych drewnianych zegarów szachowych stojących między graczami. Każdą grę obserwowała w milczeniu przez kilka minut, a gdy widziała, że któreś z dzieci jest bliskie popełnienia błędu, wyciągała palec wskazujący, stukając nim raz czy dwa w zagrożonego konia lub laufra i przechodziła do kolejnego stolika.

– To jest sport dla mózgu – mawiała, by zachęcić mnie do gry.

Ja jednak wyczekiwałam na chwilę, gdy musiała się zająć innymi dziećmi, żeby wymknąć się do kolejnej sali i obserwować grających w ping-ponga. Traktowała to jako osobistą obrazę.

– Piękno szachów – tłumaczyła mi – polega na tym, że nie mają nic wspólnego z biografią. Wszystko zależy od ciebie.

Kiedy chorowała, opisywała zmiany zachodzące w jej ciele z tą samą monotonna i beznamietną precyzją, z jaką wyjaśniała podstawowe zasady poruszania się figur na szachownicy. Mówiła tylko o tym, co się działo, nigdy zaś o tym, co w związku z tym czuła. Rzadko się skarżyła; nie widziałam, by płakała. Były od niej pewność siebie i poczucie władzy, typowe dla osób potrafiących w jakiś sposób przekonać innych, że odmowa podporządkowania się byłaby działaniem wbrew ich własnym interesom. Zawsze panowała nad sobą. Zawsze – z wyjątkiem momentu moich narodzin. Rankiem tego dnia, gdy miała być przyjęta do szpitala, zamknęła się w łazience i próbowała ułożyć włosy we fryzurę, jaką widziała niedawno w telewizji u osoby, która została właśnie, jako pierwsza kobieta, premierem Wielkiej Brytanii. Ponieważ mama w ogóle rzadko się czesała, a tym bardziej nie wymyślała sobie fryzur, było to wyraźną oznaką jeśli nie paniki, to przynajmniej wyjątkowego niepokoju.

8 września 1979 roku „Zëri i Popullit”, oficjalny organ prasowy Partii, donosił o napaści rodezyjskiego rasistowskiego rządu Abła Muzorewy na Mozambik, krytykował nowe próby jądrowe przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych, opisywał niedawną aferę korupcyjną w policji w Houston, świadcząca o degeneracji systemu kapitalistycznego, i demaskował wyzysk dzieci w zakładach włókienniczych w Madrycie. W długim artykule wstępnym potępiono Głos Ameryki i agencję Nowosti jako narzędzia ideologicznej agresji dwóch największych światowych mocarstw. W dziale spraw zagranicznych znalazła się deklaracja solidarności z uczestnikami trwających na całym świecie strajków: pracownikami portowymi z Rotterdamu, robotnikami z brytyjskiej firmy motoryzacyjnej Leyland oraz nauczycielami z Peru, Kostaryki i Kolumbii. Urodziłam się o dziesiątej rano.

Próby poczęcia mnie trwały kilka lat. Jak lubił mawiać tata, mniej więcej od czasu podpisania porozumień helsińskich w sierpniu 1975 roku. Kiedy przyszedłam na świat, moje szanse na przeżycie oceniono na trzydzieści procent. Rodzice nie odważyli się nadać mi imienia. Świętowali

więc narodziny szpitalnego numeru 471. Tylko martwe dzieci nie miały numeru, a ponieważ nie byłam jeszcze martwa, było co świętować.

– Rozpaczaliśmy przez dziesiątki lat – mówiła później babcia. – Kiedy się urodziłaś, pojawiła się nadzieja. Nadzieja jest czymś, o co trzeba walczyć. Przychodzi jednak chwila, gdy okazuje się złudzeniem. To bardzo niebezpieczne. Wszystko zależy od tego, jak się interpretuje fakty.

Numer 471 wystarczał, by dać mojej rodzinie nadzieję, choć znikomą.

Od razu po porodzie rozdzielono mnie z mamą. Ona została na oddziale położniczym, żeby doszła do siebie po operacji, a mnie przewieziono do innego szpitala i podłączono do różnych urządzeń, bym przeżyła. Mój stan nie poprawiał się jednak aż do chwili, gdy babcia poprosiła o pozwolenie na zabranie mnie do domu. Kiedy po pięciu miesiącach opuściłam inkubator, ważyłam niecałe trzy kilogramy, czyli tyle co noworodek, ale wtedy szanse na moje ocalenie wzrosły do pięćdziesięciu procent.

– To było tak, jak z tymi amerykańskimi zakładnikami w Teheranie – żartował później tata. – Ale gdyby Nini nie nalegała, więziliby cię dłużej.

Fakt, że prośba babci została wysłuchana, stanowił dobry znak dla naszej biografii.

Pokój, który rodzice wynajmowali od byłego pracownika spółdzielni, zmienił się na kilka pierwszych miesięcy w oddział intensywnej terapii. Ojciec przynosił drewno z podwórka, żeby podtrzymywać ogień, mama siedziała do późna w nocy, szyjąc dla mnie ubranka, a babcia sterylizowała wszystko, co wpadło jej w oczy: sztucce, nożyczki, garnki, ale także przedmioty niemające nic wspólnego ze mną, takie jak młotek czy obcęgi. Gości wpuszczano pod warunkiem, że nosili maseczki, a ponieważ trudno je było kupić, goście wkrótce zniknęli.

– W żadnej innej rodzinie ona by nie przeżyła – powiedziała w dniu moich pierwszych urodzin doktor Elvira, która regularnie nas odwiedzała, by sprawdzić mój stan zdrowia. – Gratulacje! Możecie już przestać nazywać ją 471. Spójrzcie na te pucołowate policzki. Lepiej nazwijcie ją „faszerowaną papryką”.

Kiedy byłam mała, zaaplikowano mi chyba jakieś dziwne środki wzmacniające odporność, ponieważ wyjąwszy te pierwsze kilka miesięcy,

właściwie nigdy nie chorowałam. W dzieciństwie zdarzało mi się to tak rzadko, że zaczęłam idealizować choroby. Wyobrażałam sobie, że proces zdrowienia jest czymś w rodzaju nagrody przyznawanej garstce wybrańców. Zastanawiałam się, jakich czynów trzeba dokonać, by zasłużyć na wysoką gorączkę, wydobywający się z płuc kaszel czy choćby zwykły ból gardła. Kiedy w mojej klasie pojawiała się jakaś zakaźna infekcja, prosiłam dzieci zwolnione z lekcji, żeby pozwoliły się przytulić. Miałam nadzieję, że się od nich zarazę. W tych nielicznych przypadkach, gdy mi się to udawało, zostawałam w domu, sączyłam herbatkę z liści laurowych i prosiłam babcię, by opowiadała mi, jak to się stało, że numer 471 został faszerowaną papryką. Chciałam wiedzieć, jak wyglądała moja biografia.

– Byłaś wcześniakiem – odpowiadała zawsze. – Pojawiłaś się, zanim byliśmy na to gotowi. Ale poza tym twoja biografia jest najlepszą z możliwych.

Dopiero gdy Elona straciła swoją mamę w sytuacji bardzo podobnej do naszej, uświadomiłam sobie, że również dla nas mogło to się skończyć inaczej, niż się skończyło. Moje życie wydało mi się wtedy cudowną przygodą. Jednak Nini nigdy nie uznawała tego za cud; odrzucała po prostu możliwość, że sprawy mogły się potoczyć w odmienny sposób. Odtwarzała pierwsze miesiące mojego życia, łącząc ze sobą przyczyny i skutki tak precyzyjnie, jakby chodziło o analizę naukowej teorii, o wyjaśnianie praw natury, a nie opis zdarzeń, które mogły się zakończyć tak lub owak. Dla niej sukces był zawsze zasługą właściwych ludzi, dokonujących właściwych wyborów, walczących o nadzieję, gdy było o co walczyć, i interpretujących fakty tak, by można było odróżnić nadzieję od złudzenia.

Na koniec babcia dodawała, że jesteśmy zawsze odpowiedzialni za swój los. „Biografia” ma kluczowe znaczenie w poznawaniu granic własnego świata, lecz gdy te granice są już rozpoznane, zyskujemy wolność wyboru i stajemy się odpowiedzialni za nasze decyzje. Będziemy osiągać zyski i ponosić straty. Musimy wystrzegać się zawrotów głowy w obliczu sukcesów i nauczyć się godzić z porażkami. To było podobne do tego, co mama mówiła o ruchach na szachownicy – do gry można przystąpić wtedy, gdy zna się jej reguły.

Wujek Enver zostawił nas na zawsze

– Stało się coś strasznego – powiedziała Flora, nasza przedszkolna opiekunka, i kazała nam, pięcio- i sześciolatkom, usiąść na ustawionych w półkolu kolorowych krzeselkach. Był 11 kwietnia 1985 roku. – Wujek Enver... zostawił nas... zostawił... na zawsze.

Wydobywała z siebie te słowa tak, jakby to było jej ostatnie tchnienie, ostatnie zdanie, na które potrafiła się zdobyć. A potem sama osunęła się na jedno z dziecięcych krzeselek, trzymając dłoń na sercu, tak jakby czuła tam ból, potrząsając głową i głęboko oddychając: wdech, wydech, wdech, wydech. Zapadła długa cisza.

Następnie Flora energicznie wstała i przetarła oczy. Po tych kilku minutach milczenia zmieniła się w inną osobę.

– Dzieci – zaczęła uroczyście – posłuchajcie uważnie. To bardzo ważne, żebyście zrozumiały. Wujek Enver odszedł. Lecz jego dzieło wciąż żyje. Partia żyje. Wszyscy będziemy kontynuować jego dzieło i podążać za jego przykładem.

Tego dnia rozmawialiśmy dużo o śmierci. Moja koleżanka Marsida, której ojciec zajmował się reperowaniem butów, a dziadek, zanim praktyki religijne zostały zdelegalizowane, był przełożonym meczetu, powiedziała, że w dawnych czasach ludzie wierzyli, że kiedy umieramy, to tak naprawdę nie umieramy. Oczywiście, odpowiedziliśmy, oczywiście, że nie umieramy. Wszystkie nasze dokonania, tak jak dzieło Wujka Envera, wciąż żyją. Marsida jednak zaprotestowała, mówiąc, że nie to miała na myśli. Nie chodziło jej o to, że po naszej śmierci żyją nasze dzieła, tylko o to, że gdy ludzie umierają, jakaś ich część wciąż żyje i udaje się w inne miejsce. W jakie – to zależy od tego, jak postępowali w swoim życiu. Marsida nie

pamiętała, jak ta cząstka się nazywa. Dowiedziała się tego wszystkiego od dziadka.

Nie uwierzyliśmy jej. Inne miejsce?

– Jak ktoś nieżywy może się dokądkolwiek udać? – zapytałam. – Jak nie żyjesz, to się nie ruszasz. Kładą cię wtedy od razu do trumny.

– A widziałaś kiedyś tak naprawdę nieżywego człowieka? – spytała Marsida.

Przyznałam, że nie. Ale widziałam trumny. I widziałam, dokąd trafiają. Opuszczają je na linach głęboko pod ziemię. Widywałam to, gdy jeździliśmy w niedzielę na cmentarz odwiedzić grób dziadka. Widziałam nawet groby dzieci. Raz zarysowałam marmurową płytę na jednym z nich kawałkiem szkła znalezionym na ziemi. Babcia nakrzyczała na mnie wtedy. Na tym nagrobku znajdowała się czarno-biała fotografia uśmiechniętej dziewczynki z dużą kokardą. Była trochę podobna do mnie. Zabiła się, bo spadła z drzewa. Nini powiedziała mi, że cmentarze służą do tego, byśmy wiedzieli, gdzie znajdują się zmarli, i byśmy mogli ich odwiedzać, żeby opowiadać im o tym, jak kontynuujemy ich pracę.

Marsida stwierdziła, że ona również widziała trumny, i to wiele razy. Nie tylko te dla dorosłych, pomalowane na czarno; raz widziała małą trumnę, która była czerwona i tak lekka, że mógł ją nieść jeden człowiek.

Do naszej rozmowy dołączyła Besa, dziewczynka trochę starsza od nas. Ona widziała na własne oczy nieżywego człowieka. To był jej wujek. Zajrzała przez dziurkę od klucza do pokoju, gdzie go położono, by go umyć, ubrać w najlepsze z jego ubrań i włożyć do trumny. Otwarta trumna już tam była, tuż obok niego. On leżał na kanapie. Był biały jak kreda, ale miał krew na głowie, bo zabił się, spadając podczas pracy ze słupa telegraficznego.

– Ciocia była oburzona, że kiedy to się stało, nikt nie zamknął mu oczu – powiedziała. – To niemożliwe, żeby jakaś jego część gdzieś powędrowała.

– Tak – przytaknęłam. – Babcia mówiła mi, że kiedy ludzie umierają i chowa się ich w ziemi, ciałami żywią się robaki, a potem oni mieszają się z ziemią i stają się nawozem potrzebnym do tego, by mogły z niej wyrosnąć inne rzeczy, kwiaty, rośliny i tak dalej. Oni nie mogą nigdzie wędrować.

– Poza tym nieżywi ludzie śmierdzą – dodała Besa. – Kiedy umarł wujek, słyszałam, jak ciocia mówi, że trzeba szybko zorganizować pogrzeb, bo jeśli nie pochowamy go od razu, to zacznie śmierdzieć.

– A fuj – wzdrygnęłam się. – Kiedyś mieliśmy w lodówce salami i jak wyłączyli prąd, zaczęło śmierdzieć. Śmierdziało tak bardzo, że mój tata biegał po domu z klamerką do wieszania prania na nosie, wdychał powietrze przez szeroko otwarte usta i krzyczał: „Pomocy! Pomocy!”.

Wszystkie się roześmiałyśmy. Usłyszała to pani Flora i wysłała nas za karę do kąta, żebyśmy się zastanowiły, jak można się śmiać w dniu tak smutnym dla całego narodu. Gdy wróciłam do domu i powiedziałam babci, że Wujek Enver nie żyje i że zostałam wysłana do kąta z powodu salami, które zgniło w naszej lodówce, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Nie wiem, czy przyczyną był wstyd spowodowany naganą nauczycielki w tym właśnie dniu, czy też smutek związany z utratą Wujka Envera, albo połączenie tych dwóch czynników – czy może coś zupełnie innego, niemającego związku z tamtymi sprawami.

Ta pierwsza rozmowa o śmierci i o tym, co się dzieje po niej, powtórzyła się w szkole kilka lat później. Pani Nora powiedziała nam, że w dawnych czasach ludzie gromadzili się w wielkich budynkach zwanych kościołami albo meczetami, żeby śpiewać pieśni i recytować wiersze poświęcone komuś lub czemuś nazywanemu Bogiem (nie należy go mylić z bogami greckiej mitologii, takimi jak Zeus, Hera czy Posejdon). Nikt nie wiedział, jak wygląda ten jedyny Bóg, ludzie mieli na ten temat różne wyobrażenia. Niektórzy, katolicy i prawosławni, wierzyli, że Bóg miał dziecko, które w połowie było człowiekiem. Inni, jak muzułmanie, uważali, że Bóg jest wszędzie, zarówno w najmniejszych cząstkach materii, jak i w całym wszechświecie. Jeszcze inni, żydzi, wierzyli, że Bóg wysłał króla, który zbawi ich w czasach ostatecznych. Uznawano też różnych proroków. W przeszłości grupy religijne zaciekle się zwalczały, zabijając i okaleczając niewinnych ludzi, z powodu sporów o to, który prorok był prawdziwy. Ale w naszym kraju tak się nie działo. W naszym kraju katolicy, prawosławni i muzułmanie zawsze szanowali się nawzajem, ponieważ bardziej dbali o naród niż o opinie na temat natury Boga. A potem pojawiła się Partia i im więcej ludzi uczyło się czytać i pisać, tym bardziej się przekonywali, że

religia to złudzenie, podtrzymywane przez bogatych i potężnych po to, by dać biednym fałszywą nadzieję, obiecywać im sprawiedliwość i szczęście w życiu pośmiertnym.

Zapytaliśmy, czy życie po śmierci istnieje.

– Nie istnieje – odpowiedziała pani Nora z typową dla niej pewnością siebie.

Tłumaczyła, że w tym wszystkim chodziło o to, by odwieść ludzi od walki o ich prawa w jedynym życiu, jakie jest im dane, tak żeby bogaci mogli ich wykorzystywać.

Kapitałiści, choć nie każdy z nich wierzy w Boga, utrzymywali jego kult, ponieważ ułatwiał on eksploatację robotników i pozwalał przerzucać winę za nędzę, jaką powodowali, na jakąś magiczną istotę. Kiedy jednak ludzie nauczyli się czytać i pisać oraz pojawiła się Partia, która ich poprowadziła, przestali wierzyć w Boga. Przestali też wyznawać wszystkie inne przesady – takie jak złe spojrzenie czy odpędzanie nieszczęść za pomocą czosnku – które miały utwierdzać ich w przekonaniu, że nie są wolni, bo ich życiem rządzą nadprzyrodzone moce. Na szczęście dzięki pomocy Partii zrozumieliśmy ostatecznie, że Bóg jest wymysłem, mającym utrzymywać nas w strachu i skłaniać do uległości wobec tych, którzy twierdzą, że potrafią objaśniać Boskie słowa i prawa.

– Ale trudno jest wykorzenić całkowicie ideę Boga – mówiła pani Nora. – Niektórzy ludzie, reakcyjniści wciąż w niego wierzą. Gdy Partia stała się dość silna, by z nimi walczyć, podjęto spontaniczne działania w celu przekształcenia wszystkich miejsc kultu w ośrodki sportowe i edukacyjne dla młodzieży. Kościoły stały się salami gimnastycznymi, a meczety centrami konferencyjnymi. Nie tylko więc nie ma Boga, nie ma również u nas kościołów i meczetów. Zniszczyliśmy je wszystkie. – I dodała nieco podniesionym głosem: – Nie wolno nam nigdy wrócić do tych wstecznych praktyk. Nigdzie nie ma Boga, nie ma życia pozagrobowego, nie ma nieśmiertelnej duszy. Gdy człowiek umiera, to umiera. Wieczne są tylko nasze dzieła, projekty, które zrealizowaliśmy, idee, które zostawiamy innym, by mogli kroczyć dalej naszą drogą.

Myślałam czasem o słowach pani Nory, gdy wracając ze szkoły, przechodziłam obok budynku mieszczącego siedzibę Partii i patrzyłam

w jedno z okien. Robiłam to odruchowo, bo tak zawsze robiła mama, kiedy tędy szłyśmy. Powtarzałam ruch jej oczu. Z jakiegoś powodu siedziba Partii kojarzyła mi się z Bogiem i myślami o życiu po śmierci. To się zaczęło pewnej niedzieli, gdy wracaliśmy z cotygodniowej rowerowej przejażdżki. Jechałam za rodzicami i w pewnym momencie usłyszałam, jak mama szepce do taty:

– Nie, nie to okno z doniczką. To drugie. On wołał wtedy: „*Allahu akbar!*”.

– *Allahu akbar* – powtórzył tata.

– Kim on był? – zapytałam, wciąż pedałując. – Co to znaczy *allahu aka*? Tata odwrócił się gwałtownie.

– Nic – odpowiedział. – Nic nie znaczy.

– Przed chwilą powiedziałaś „*allahu aka*” – nalegałam. Wyprzedziłam ich i zatrzymałam rower tuż przed nim.

– Podśłuchiwanie rozmów dorosłych to bardzo brzydki zwyczaj – powiedział wyraźnie poirytowany. – „*Allahu akbar*” to słowa, które wypowiadali ludzie wierzący w Boga, żeby uczcić jego wielkość.

– To coś takiego jak „Niech żyje Partia”? – spytałam.

– Bóg to nie to samo co Partia – wyjaśnił tata. – Muzułmanie mówili „*Allahu akbar*” w czasie modlitw. Wiesz przecież o różnych wyznaniach religijnych, bo pani Nora opowiadała wam o nich podczas lekcji etyki. Allah to po arabsku Bóg.

– A czy znamy kogoś, kto był dawniej muzulmaninem?

– My jesteśmy muzulmanami – odpowiedziała mama i sięgnęła do torby po chusteczkę, żeby zetrzeć błoto, które zauważyła na moich butach.

– *Byliśmy* muzulmanami – poprawił ją tata. – W Albanii większość ludzi była muzulmanami.

Spytałam, czy muzulmanie wierzyli w życie po śmierci. Mama, wciąż schylona nad moimi zabłoconymi butami, potaknęła głową.

– Czyli byli tak samo głupi jak ludzie, którzy wierzyli w innego Boga – powiedziałam, uwalniając się od uścisku mamy, by wsiąść na rower i znów pognać przed siebie.

Zawsze gdy wracałam ze szkoły i mijałam siedzibę Partii, przypominałam sobie mężczyznę, który krzyknął „*Allahu akbar*” z okna na piątym piętrze. Jakie to dziwne, myślałam, że ci wszyscy religijni fanatycy nie potrafią się zgodzić co do tego, jak właściwie wygląda Bóg, ale wszyscy wierzą, że jakaś część nas będzie żyć po śmierci. Jeśli coś mogło przekonać nas, dzieci, o nieracjonalności religii, było to właśnie owo śmieszne przeświadczenie, że po tym życiu czeka nas następne. W szkole uczono nas myśleć o powstawaniu i ginięciu w kategoriach teorii ewolucji. Patrzyliśmy na naturę oczami Darwina, a na historię oczami Marksa. Odróżnialiśmy od siebie naukę i mit, rozum i uprzedzenia, zdrowy sceptycyzm i dogmatyczne przesady. Uczono nas wierzyć, że słuszne idee i aspiracje przetrwają dzięki zbiorowym wysiłkom, lecz życie jednostek musi się skończyć, tak jak kończy się życie owadów, ptaków i innych zwierząt. Wiara w to, że ludzie zasługują na inny los niż reszta przyrody, uczyniłaby z nas niewolników mitu i dogmatu, byłaby pogwałceniem zasad nauki i rozumu. A liczyły się tylko nauka i rozum. Tylko dzięki nim mogliśmy poznawać przyrodę i świat. Im więcej wiedzieliśmy, tym łatwiej było wyjaśniać i kontrolować sprawy, które kiedyś wydawały się tajemnicze.

– Rozumiesz to? – pytałam Nini przez łyżę w dniu śmierci Envera Hoxhy. – Wujek Enver już nie żyje. Jego dzieła będą żyć wiecznie. Ale moje marzenie, by go spotkać, nigdy się nie spełni.

Babcia namawiała mnie, żebym coś zjadła. Wychwalała byrek, który upiekła.

– Próbowałam go sama. Jest wyborny.

Dziwiłam się, jak można jeść w takim dniu. Jak w ogóle można myśleć o jedzeniu? Nie byłam głodna. Czułam zbyt wielki smutek. Wujek Enver odszedł na zawsze. Wszystkie jego książki, które tak kochałam, zostaną niepodpisane. Nie mieliśmy nawet jego zdjęcia w dużym pokoju. Będę za nim strasznie tęskniła.

– Wytnę jego zdjęcie z książki, którą napisał dla swoich przyjaciół pionierów, i oprawię je – ogłosiłam. – Postawię przy moim łóżku.

Nini przestała mówić o obiedzie.

– Masz rację – powiedziała. – Ja też nie jestem głodna. Spróbowałam tylko kawałeczek.

Postanowiła jednak odwieść mnie od zamiaru wycięcia fotografii:

– W tym domu nie niszczy się książek.

Pogrzeb odbył się kilka dni później. Skończyła się słoneczna pogoda i zaczął siąpić deszcz. Wpatrywaliśmy się w ekran telewizora, na którym widać było tysiące ludzi stłoczonych po obu stronach głównego bulwaru Tirany, żeby obserwować żałobną procesję: płaczących żołnierzy, zawodzące stare kobiety, które z rozpaczyny drapały się po twarzach, studentów patrzących przed siebie pustymi spojrzeniami. Obrazom tym towarzyszyła muzyka symfoniczna. Sprawozdawca mówił mało i bardzo wolno, jak Syzyf zmuszony do wygłaszania komentarzy w czasie wtaczania pod górę głazu. „Nawet przyroda opłakuje utratę jednego z największych rewolucjonistów naszych czasów”. Urwał i nastąpiła długa chwila ciszy. Słychać było tylko dźwięki żałobnego marsza. „Zawsze, gdy 1 maja towarzysz Enver pojawiał się na trybunie, pogoda zmieniała się i zza chmur wychodziło słońce. Dziś nawet niebo płacze. Krople deszczu mieszają się z ludzkimi łzami”.

Rodzice i babcia patrzyli w milczeniu.

„Kraj opłakuje swojego najwybitniejszego syna, ojca założyciela współczesnego albańskiego narodu, mądrego stratega, który zorganizował ruch oporu przeciwko włoskiemu faszyzmowi, błyskotliwego generała, który pokonał nazistów, rewolucyjnego myśliciela, któremu obce były oportunizm i sekciarstwo, dumnego męża stanu, który dał odpór jugosłowiańskim rewizjonistom pragnącym zaanektować nasz naród, polityka, który nigdy nie uległ angloamerykańskim imperialistycznym knowaniom ani sowieckiej i chińskiej rewizjonistycznej presji”. Kamera ukazała trumnę przykrytą wielką albańską flagą, następnie pogrążone w żalu twarze członków Biura Politycznego i wreszcie nowego sekretarza generalnego Partii, który miał wygłosić mowę. Muzyka wciąż grała. Po kolejnej przerwie sprawozdawca zebrał siły i odezwał się znowu: „Towarzysz Enver pracował zarówno na rzecz narodu, jak i międzynarodowej proletariackiej solidarności. Wiedział, że jedyna droga

naprzód wiedzie przez narodowe samookreślenie połączone z nieustającą walką przeciwko wewnętrznym i zewnętrznym wrogom socjalizmu. Teraz towarzysz Enver zostawił nas, byśmy tę walkę prowadzili bez niego. Będzie nam brakować jego znakomitego przywództwa, jego mądrych słów, jego rewolucyjnej pasji i jego ciepłego uśmiechu. Będziemy za nim tęsknić. Nasz ból jest ogromny. Musimy nauczyć się przekuwać go w siłę. Zrobimy to jutro – dziś ból jest zbyt wielki”.

– Już wiem! – przerwała ciszę mama. – Cały czas się zastanawiałam. To z III symfonii Beethovena. Ten marsz żałobny. To Beethoven.

– Nie, to nie on – odpowiedział natychmiast tata, tak jakby czekał na jej słowa. – To albański kompozytor. Nie pamiętam który. Ale już to słyszałem, to nie jest nowy utwór – dodał z entuzjazmem, na jaki zdobywał się tylko wtedy, gdy miał okazję zaprzeczyć słowom mamy.

– Zafo, nie masz o tym pojęcia – odpowiedziała. – Przecież ty w ogóle nie masz słuchu. Kiedy ostatnio byłeś na koncercie muzyki poważnej? Jedyne, czego słuchasz, to radiowe relacje sportowe. Ta muzyka to druga część III symfonii, czyli *Eroiki*. Jest zatytułowana *Marsz żałobny*.

Byli już blisko kłótni, ale Nini zainterweniowała, przyznając rację mamie.

– To fragment symfonii, którą Beethoven skomponował na cześć Napoleona. Też ją poznaję. Asllan bardzo ją lubił.

Odwołanie do autorytetu dziadka zawsze kładło kres rodzinnym sprzeczkom.

– Czy zabierzecie mnie, żebym mogła oddać mu cześć przy grobie? – spytałam ze łzami w oczach.

Byłam sparaliżowana obrazami przesuwającymi się na ekranie. Nie rozumiałam, dlaczego moja rodzina, zamiast płakać, dyskutuje o muzyce.

– W tę sobotę – odpowiedziała nieco zagubiona babcia.

– Ale czy już w sobotę będą wpuszczać odwiedzających?

– Nie, na grób Wujka Envera nie – poprawiła się Nini. – Myślałam, że pytasz o grób dziadka.

– Wszystkie kolektywy pracownicze będą w najbliższych tygodniach składać hołd towarzyszowi Enverowi – wyjaśnił tata. – Gdy przyjdzie moja

kolej, zabiorę cię.

Przez kilka tygodni czekałam na tę wizytę. Pewnego dnia tata wrócił z pracy i oświadczył, że był w Tiranie, by odwiedzić grób Wujka Envera.

– Byłeś tam? – spytałam. Byłam rozczarowana i wściekła. – Powiedziałaś, że mnie zabierzesz. Nie dotrzymałeś słowa.

– Próbowałem – tłumaczył się przeproszającym tonem. – Wyjeżdżaliśmy wcześniej rano, pierwszym pociągiem. Chciałem cię obudzić, ale spałaś tak mocno, że mnie nie słyszałaś. Nini też cię wołała, odwróciłaś się tylko na drugi bok. Robiło się późno i musiałem wyjść. Nie martw się, faszerowana papryczko. Jestem pewien, że następnym razem się uda.

Byłam niepokieszona. Szlochając, powiedziałam, że moi rodzice najwyraźniej nie kochali Wujka Envera tak mocno jak ja. Chyba w ogóle go nie kochali. Byłam pewna, że kłamię, że nawet nie próbowali mnie obudzić, bo gdyby powiedzieli mi wieczorem, że mamy odwiedzić jego grób, nie spałabym przez całą noc, a rano od razu wyskoczyłabym z łóżka. Prawda była taka, że nic ich to nie obchodziło. Nie zależało im ani na odwiedzeniu grobu Wujka Envera, ani na tym, żeby mieć jego zdjęcie w dużym pokoju. Prosiłam milion razy o oprawioną w ramkę fotografię Wujka Envera, lecz nigdy mi jej nie dali. Wszyscy znajomi mieli jego zdjęcie ustawione na półce z książkami, a moja przyjaciółka Besa miała nawet dużą fotografię, na której siedziała na jego kolanach. Została zrobiona podczas ostatniego zjazdu, gdy wręczyła mu bukiet róż i recytowała wiersz poświęcony Partii. Ja nie byłam na żadnym zjeździe, więc nie mieliśmy nic.

Rodzice próbowali mnie pocieszyć. Mówili, że kochają Partię i Wujka Envera równie mocno jak ja, a jego zdjęcia nie mamy tylko dlatego, że zostało oddane do powiększenia. Mama wyjaśniła, że przecież musi być w odpowiednio ładnej ramie, którą trzeba zrobić na wymiar. Zwykle drewniane ramy, jakie można kupić w sklepie, nie są godne Wujka Envera.

– Pracujemy nad tym – dodał tata. – To będzie urodzinowa niespodzianka.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

– Nie zrobicie tego na moje urodziny – powiedziałam, ocierając łzy. – Wiem to. Po prostu zapomnicie. Nie kochacie Wujka Envera. Widać, że za

nim nie tęsknicie, bo gdybyście tęsknili, już mielibyście małe zdjęcie, a potem kupilibyście większe.

Rodzice wyglądali na przestraszonych. Spoglądali na siebie.

– Wyjawię ci sekret – powiedziała Nini. – Spotkałam Wujka Envera. To było wiele, wiele lat temu, kiedy ja i twój dziadek byliśmy młodzi. Oni się kolegowali. Jak mogłabym go nie kochać, skoro byliśmy przyjaciółmi?

Obiecała, że pewnego dnia pokaże mi listy, które do siebie pisali.

– Ale – dodała – musisz mi za to obiecać coś w zamian. Nigdy nie powiesz, ani nam, ani nikomu innemu, że nie kochamy Wujka Envera i że za nim nie tęsknimy. *Tu vas me donner ta parole d'honneur*^[5], prawda?

5

Puszki po coca-coli

Moja rodzina godziła się z tym, że pewne zasady są ważniejsze od innych, a pewne obietnice z biegiem czasu się przedawniają. Nie różniła się pod tym względem od innych ludzi, od reszty społeczeństwa, a nawet państwa. Jednym z elementów procesu dojrzewania było uświadamianie sobie, które zasady tracą z czasem ważność, które muszą zejść na drugi plan wobec innych, ważniejszych obowiązków, a które pozostają nienaruszalne.

Weźmy na przykład sklep spożywczy. Zawsze była w nim kolejka. Ustawiała się, zanim jeszcze przyjeżdżał samochód dostawczy. Można było do niej dołączyć, chyba że znało się kierownika sklepu. Taka obowiązywała generalna zasada. Ale system miał luki. Każdy mógł na pewien czas opuścić kolejkę, jeśli miał przedmiot, który zastępował go w czasie nieobecności, taki jak stara torba na zakupy, puszka, cegła albo kamień. Istniała jednak inna zasada, mocno lansowana i bezzwłocznie wprowadzana w życie, że w chwili przybycia samochodu dostawczego przedmiot zastępujący cię w kolejce natychmiast traci swoją funkcję. Nie miało znaczenia, czy zostawiłeś torbę, puszkę, cegłę czy kamień. Torba stawała się znowu torbą i nie była już tobą.

Kolejki dzieliły się na takie, w których nie wydarzało się nic, i takie, w których zawsze się coś działo. W tych pierwszych funkcję utrzymania społecznego porządku można było powierzyć przedmiotom. W tych drugich, pełnych życia, zgiełku i emocji, należało być ciągle obecnym i poruszać wszystkimi kończynami, ponieważ ludzie próbowali spojrzeć na ladę, zobaczyć, ile czego zostało i co właśnie zostało dostarczone, a kierownik czasem się rozglądał, szukając w kolejce znajomych, którym mógłby przyznać pierwszeństwo.

Kiedyś, gdy dopiero uczyłam się systemu kolejkowego, pomyślałam, że dla czego właściwie miałabym zostawiać kamień w kolejce po ser, by przejść do kolejki po naftę i zostawić tam puszkę, skoro ani w jednej, ani w drugiej nic się nie działo. Wtedy się dowiedziałam, że niektóre kolejki mogą stać przez cały dzień, a czasem również noc lub kilka nocy, więc zaakceptowanie reprezentacyjnej funkcji toreb, pudełek lub kamieni odpowiedniej wielkości miało wielkie znaczenie, ponieważ w przeciwnym razie ich właściciele musieliby trudzić się reprezentowaniem samych siebie. Ludzie sprawdzali co jakiś czas zostawione przedmioty i kontrolowali, czy toreb, puszek i kamieni nie przesunięto nieumyślnie albo nie zastąpiono innymi, nieuprawnionymi przedmiotami. W rzadkich przypadkach, gdy system się załamywał, w kolejce dochodziło do kłótni, wybuchów złości i aktów agresji, a ona sama robiła się coraz dłuższa. Ludzie walczyli zaciekle nad dwoma podobnymi do siebie kamieniami, workiem podrzuconym w miejsce, gdzie powinna być siatka na zakupy, albo bańką na naftę, która nieoczekiwanie stała się dwa razy większa.

Warto jednak było zachowywać się w kolejce uprzejmie i łączyć siły z osobami dbającymi o zachowanie wysokich standardów – dzięki temu nawiązywało się prawdziwe przyjaźnie. Bywało, że sąsiad z ogonka albo koleżanka poznana podczas wspólnego pilnowania porządku okazywali się osobami, do których można się było zwrócić o pomoc w razie różnego rodzaju kłopotów: gdy rozchorowała się babcia, a potrzebny był ktoś do opieki nad dzieckiem, gdy podczas przygotowywania urodzinowego tortu odkryłeś, że skończył się cukier, albo gdy trzeba było wymienić się kartkami żywnościowymi, bo pewnych produktów miało się aż za dużo, a innych wcale. W każdej takiej sprawie można było liczyć na znajomych i sąsiadów. Gdy pojawiał się problem, pukało się do ich drzwi o każdej porze dnia i nocy. Jeśli nie mieli potrzebnych rzeczy albo nie mogli nic zrobić w danej sprawie, proponowali jakieś produkty zastępcze albo odsyłali do rodziny, która była w stanie pomóc.

Subtelna równowagę między przestrzeganiem zasad a ich naruszaniem zachowywano również w innych obszarach życia. Na przykład wtedy, gdy przyszło się do przedszkola lub szkoły w wymiętym albo, co gorsza, zaplamionym mundurku, gdy fryzjer czy rodzice ostrzygli dziecko w stylu,

który można było uznać za imperialistyczny, gdy zapuściło się paznokcie na nieakceptowaną długość lub pomalowało je lakierem o rewizjonistycznej barwie, takiej jak ciemna purpura. Później odkryłam, że to samo odnosiło się również do kwestii bardziej ogólnych, na przykład do tego, czy mężczyźni i kobiety są sobie faktycznie równi, czy opinie nisko i wysoko postawionych funkcjonariuszy partyjnych mają tę samą wagę, jak poważne konsekwencje mogą mieć żarty z Partii i państwa, oraz – jak w moim przypadku – z kim można dzielić się refleksjami na temat fotografii wiszących w salonie.

Sztuka polegała na tym, by wiedzieć, jaka zasada odnosi się do danej sytuacji, a w idealnym przypadku również to, czy jej moc maleje z czasem, czy była kiedykolwiek traktowana tak poważnie, jak się uważa, czy jej wymagania są bardzo surowe w odniesieniu do pewnych aspektów i słabsze w odniesieniu do innych – a także na tym, by dostrzec te różnice, zanim będzie za późno. Biegłość w rozpoznawaniu subtelnej granicy między koniecznością stosowania się do zasad a możliwością ich łamania była dla nas, dzieci, prawdziwą oznaką dorastania, dojrzewania i społecznej integracji.

Jeśli chodzi o mnie, to pewnego sierpniowego wieczora 1985 roku zrozumiałam, że złożona rodzicom obietnica, iż nigdy nie zdradzę ich obojętnego stosunku do fotograficznych pamiątek po naszym przywódcy, jest absolutnie wiążąca, tak bardzo, że błędą przy niej wszystkie inne. Stało się to pod koniec dnia, którego większość spędziłam na czubku drzewa figowego w ogrodzie Papasów.

Papasowie byli naszymi najbliższymi sąsiadami. Mieli po sześćdziesiąt kilka lat, a ich dzieci wyprowadziły się z domu, zanim przyszłam na świat. Moja mama zaprzyjaźniła się z Doniką Papas, gdy wspólnie stawily opór kobiecie, która ich zdaniem chciała zająć należne im miejsce w kolejce po naftę. Donika, podobnie jak mama, podchodziła do ludzi nieufnie i na początku robiła wrażenie osoby wrogiej. Była niska, pulchna i często kłóciła się z sąsiadami. Miała też złą opinię wśród dzieci, choć dla mnie była nadzwyczajnie słodka. Przed przejściem na emeryturę pracowała na poczcie. Spędziła w życiu tak wiele czasu, krzycząc „alo, alo!” przez popsute linie telefoniczne, że zaczęła zastępować wszystkie samogłoski

głoską A i wydłużać końcówki wszystkich słów, tak jakby dzwoniła na alarm: ALAA, ALAA, ALAA. Kiedy zaś wołała mamę, którą nazywano Doli, mówiła: DALAA, DALAA, DALAA.

Mąż Doniki, Mihal, był poważanym funkcjonariuszem partyjnym. Nosił gruby wąs przypominający nieco wąs Stalina. Walczył podczas wojny, pokonał wielu wrogów, za co dostał z tuzin orderów. Uwielbiałam się nimi bawić – bardziej chyba, niż on był z nich dumny. Fascynowała mnie jego opowieść o nazistowskim żołnierzu, którego zabił, blondynie o imieniu Hans. Mihal chciał mu dać wody, żeby zmył z ust krew, zanim wyda ostatnie tchnienie, ale Hans odmówił i wciąż mamrotał: „Heil Hitler”. Zapytałam Mihala, jak zabił Hansa, ale on wolał opowiedzieć o ostatniej rzeczy, jaką wtedy zapamiętał – o cienkim wąsiku Hansa, jeszcze, jak mówił, nie w pełni wyrośniętym.

– Mój własny wąs też jeszcze nie wyrósł w pełni – dodał, a ja się zdziwiłam, bo opowiadał o Hansie niemal z sympatią, tak jakby to był jego dawno utracony przyjaciel, z którym dzielił miłe wspomnienia, a nie śmiertelny wróg, któremu odebrał życie.

Papasowie często pożyczali nam pieniądze, opiekowali się mną, kiedy rodzice i babcia wyjeżdżali, i mieli klucze do naszego domu. Spędzałam długie letnie dni w ich ogrodzie, jadłam ich winogrona, a potem zasiadałam z nimi do obiadu. Mihal dawał mi próbować swojej raki i pozwalał skakać ze stołu w jego dawnej partyzanckiej czapce na głowie. Z ogrodu rozpościerał się wspaniały widok na morze i rósł w nim gigantyczny figowiec z pysznymi owocami. Mihal powiedział mi, że gdy wejdzie się na to drzewo, można obserwować zachód słońca i liczyć okręty wypływające z portu. Byłam jednak ostrożna, bo przypominała mi się dziewczynka pochowana niedaleko grobu dziadka, która zabiła się, spadając z drzewa.

Jednak tamtego dnia, w sierpniu 1985 roku, zdobyłam się na odwagę, żeby się wspiąć. Ale nie po to, by obserwować zachód słońca czy liczyć statki w porcie. Postanowiłam wejść na szczyt drzewa. To był mój protest. Tego lata moja rodzina i Papasowie nie odzywali się do siebie. Pod koniec czerwca mama i Donika pokłóciły się, wciągając w tę awanturę wszystkich innych. Skończyło się tak, że jedyną osobą z naszej rodziny, z którą rozmawiali Papasowie, byłam ja.

Przyczyną kłótni stała się puszka po coca-coli. Jakoś w połowie czerwca mama kupiła ją od innej nauczycielki z jej szkoły za cenę, za jaką w sklepie dla turystów można było kupić obraz przedstawiający naszego narodowego bohatera Skanderbega. Spędziła całe popołudnie, zastanawiając się z babcią, gdzie umieścić puszkę, a ponieważ była pusta, rozważały opcję przyozdobienia jej różą z naszego ogrodu. Uznały jednak, że róża to zły pomysł, bo odciągałaby uwagę oglądających od estetycznych walorów samej puszki, postawiły ją więc bez żadnych ozdób na najpiękniejszej z naszych haftowanych serwet.

Kilka dni później puszka zniknęła. A potem pojawiła się na telewizorze Papasów.

Papasowie mieli dostęp do naszego domu – pomogli nam w otrzymaniu pozwolenia na jego budowę – i wiedzieli, że trzymamy wszystkie pieniądze w kieszeni starego płaszcza dziadka. Miałam wrażenie, że wiedzą również całkiem sporo o naszej biografii, ale nigdy ich o to nie pytałam, bo nie bardzo rozumiałam jej znaczenie i nie chciałam się skompromitować. Mihał, który wciąż działał w lokalnej organizacji partyjnej, zawsze wspierał rodziców w różnych sprawach urzędowych i bronił ich na zebraniach Partii oraz rady dzielnicowej.

Uczestnictwo w radzie było obowiązkowe dla wszystkich mieszkańców, natomiast do Partii mogli należeć tylko wybrani – ci, którzy mieli dobre biografie. Moi rodzice na to nie zasługiwali, lecz Mihał był weteranem i jego opinie na temat innych kandydatów miały duże znaczenie. Pewnego razu prawie zablokował przyjęcie naszej sąsiadki Very, ponieważ na zebraniu rady oświadczyła, że moja rodzina to reakcyjniści, którzy wykręcają się od niedzielnego sprzątnięcia ulic. Niedzielne sprzątnięcie było teoretycznie dobrowolne, w praktyce jednak okazywało się, że to jeden z tych przypadków, gdy znaczenie zasady jest odwrotne do jej brzmienia. Kiedy rodzice się tu sprowadzili, próbowali ją właściwie zrozumieć. I w końcu ją zrozumieli.

Spędzaliśmy wiele czasu z Papasami. W niedziele rodzice sprząkali z nimi ulice i pomagali razem innym sąsiadom, gdy trzeba było zorganizować ślub albo pogrzeb. Ludzie zwykle wyprawiali wesela w ogrodzie i zapraszali na nie setki osób. Wszyscy się mobilizowali, by

pomóc w przygotowaniu potraw, przyniesieniu ławek i stołów z pobliskiej szkoły, urządzeniu podium dla orkiestry. Nasze dwie rodziny zawsze wspólnie nosiły ławki i siedziały obok siebie w czasie obiadu oraz całej ceremonii. Dzieci zostawały aż do świtu, śpiewały i tańczyły. W kulminacyjnym momencie zabawy goście podchodzili do panny młodej, wymachując stulekowymi banknotami, które następnie, jak nakazywał zwyczaj, lizali i przyklepiali jej do czoła. Mihal zawsze przyklepał banknot do mojego, mówiąc, że tańczę lepiej od panny młodej i jestem od niej mądrzejsza.

Pod koniec lata mama i Mihal łączyli siły, by wyprodukować raki. Czekając całymi dniami na skapujący z końca rurki alkohol ze sfermentowanych winogron i próbując raki, by sprawdzić jej moc, wspominali dawne czasy. Podśluchałam kiedyś, jak mama mówiła o latach trzydziestych i o porcie w naszym mieście. Powiedziała Mihalowi, że największy ze statków należących do jej rodziny wciąż jest używany do eksportu towarów. Nie zrozumiałam tego, więc spytałam później Mihala, o co chodziło. Powiedział, że nie rozmawiali o *varka*, tylko o *arka* (czyli nie o okrętach, lecz o skrzyniach), a potem spytał, czy nie chciałabym zatańczyć na stole, na którym jadł *meze*.

Piszę o tym wszystkim, by było jasne, że mamie nigdy nie przysłoby do głowy oskarżać Papasów o kradzież. Tu jednak chodziło o puszkę po coca-coli. W tamtym czasie był to przedmiot niezwykle rzadki. Jeszcze rzadsza była wiedza o jego przeznaczeniu. Takie puszkę stanowiły wyznacznik statusu społecznego. Ludzie, którzy jakoś je zdobyli, eksponowali puszkę w swoich salonach, najczęściej na haftowanych serwetkach na telewizorach lub odbiornikach radiowych, niekiedy tuż obok fotografii Envera Hoxhy. Bez puszkę wszystkie nasze domy wyglądały podobnie. Ich ściany były tak samo pomalowane, stały w nich takie same meble. Puszkę po coca-coli coś zmieniała, nie tylko wizualnie. Między ludzi wkradała się zazdrość. Pojawiały się wątpliwości. Znikało zaufanie.

– Moja puszkę! – krzyknęła mama, gdy odnosząc pożyczony od Doniki wałek do ciasta, zobaczyła czerwony przedmiot na ich telewizorze. – Co tu robi moja puszkę?

Donika zmrużyła oczy, jakby nie mogła patrzeć na wyciągnięty w stronę puszkę palec wskazujący mamy albo jakby nie potrafiła uwierzyć w to, co widzi.

– To moja puszka – odpowiedziała dumnie. – Niedawno ją kupiłam.

– *Ja* ją niedawno kupiłam – odparła mama. – No i patrzmy, gdzie się w końcu znalazła.

– Chcesz powiedzieć, że ukradłam moją puszkę? – spytała wyzywająco Donika.

– Chcę powiedzieć, że *twoja* puszka jest tak naprawdę *moją* puszką.

Tego dnia mama i Donika pokłóciły się jak nigdy wcześniej. Zaczęły przy telewizorze, a potem wyszły na drogę, wyzywając się i wymachując wałkami do ciasta na oczach przechodniów. Donika krzyczała, że mama jest burżujką przebraną za nauczycielkę, a mama – że Donika jest wieśniaczką przebraną za urzędniczkę pocztową. Po chwili jednak pojawił się świadek, sąsiad pracujący w wytwórni papierosów, który potwierdził, że sprzedał Donice pustą puszkę dzień po tym, jak mama kupiła swoją.

W tej sytuacji mama wygłosiła oficjalne przeprosiny, ale Donika i Mihal byli tak urażeni, że ich nie przyjęli. Odwrócili się do niej plecami i poszli do domu. Od tej pory przestali wołać moich rodziców przez okno, by zaprosić ich na poranną kawę. Gdy spotykali się w sklepowej kolejce, nie zwracali na siebie uwagi. Raz nawet Donika udała, że nie rozpoznaje dużego, wspaniałego kamienia zostawionego przez mamę, żeby ją reprezentował w kolejce, mimo że pochodził z ogrodu Papasów. Nigdy nie odkryliśmy, kto ukradł naszą puszkę po coca-coli, uznaliśmy jednak, że niezależnie od tego, jak bardzo podnosiła standard naszego salonu, kupowanie kolejnej może być ryzykowne. Dostrzegłam w tym okazję, by poprosić o zastąpienie puszką, która zniknęła z telewizora, fotografią Wujka Envera, rodzice jednak po raz kolejny zignorowali tę prośbę.

Latem Papasowie wciąż pozwalali mi wspinać się na drzewa w ich ogrodzie, ale nie zapraszali mnie już na obiad. Gdy spytałam Mihala, czy mogę się pobawić jego orderami i partyzancką czapką, powiedział, że może kiedy indziej.

– Tu chodzi o godność – usłyszałam któregoś dnia, jak tłumaczy Donice. – Oni podeptali naszą godność.

Zacząłam podejrzewać, że gniewają się na moich rodziców nie z powodu oskarżenia o kradzież puszki, lecz za coś innego, znacznie poważniejszego, coś, czego rodzice nie mogli naprawić ani zrekompensować. Byłam zrozpaczona. Nienawidziłam patrzeć, jak Donika w milczeniu drepcze tuż za mamą w kolejce po ser, brakowało mi jej cienkiego, piskliwego głosu, którym oznajmiała mamie, wyglądając przez okno, że zrobiła kawę: „Dalaaaa, Dalaaaa, kaaafaaaa, kafaaaaa”. Rodzice też rozpaczali, tyle że nie wiedzieli, co jeszcze mogliby powiedzieć w ramach przeprosin.

Po kilku takich tygodniach uznałam, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Postanowiłam, że ukryję się w ogrodzie Papasów i udam, że się zgubiłam, tak by rodzice zaczęli mnie szukać. Gdy Papasowie zobaczą, że szuka mnie cała okolica – wyobraziłam sobie – i jak moi rodzice cierpią z powodu zniknięcia ich ukochanej pierworodnej córki, może dołączą do poszukiwań, a wtedy nasze rodziny znów zbliżą się do siebie i będzie tak jak wtedy, gdy razem sprząтали ulice i siadywali obok siebie przy weselnych stołach.

Moja strategia zadziałała. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach we wszystkich możliwych miejscach – z wyjątkiem gałęzi drzewa figowego, gdzie nikt nie spodziewał się mnie znaleźć – moja babcia była zdesperowana, ojciec błąkał się roztrzęsiony po ulicy ze swoim inhalatorem w dłoni i nawet mama, która nigdy nie płakała, miała łzy w oczach. Gdy Papasowie ją zobaczyli, zapomnieli o puszkach po coca-coli. Donika przytuliła mamę, choć ta nigdy nie pozwalała się przytulać, i powiedziała jej, że wszystko będzie dobrze, że zaraz mnie znajdą. Obserwowałam to z wierzchołka drzewa i w tym momencie uznałam, że między naszymi rodzinami zapanowała zgoda. Schodziłam bardzo ostrożnie, a mimo to podrapałam sobie i poraniłam kolana, więc gdy pojawiłam się z krwią ciekącą po nogach i łzami ciekącymi po twarzy, żeby wyjaśnić szczegóły mojego planu, wszyscy nadmiernie się wzruszyli. Przyznałam, że specjalnie wdrapałam się na czubek figowca i zniknęłam. Tłumaczyłam, że nie mogę już dłużej patrzeć na to, jak nasze rodziny, moja i Papasów, udają, że nie

widzą się w kolejkach, że chcą siadać obok nich podczas weselnych przyjęć, bawić się czapką Mihala i skakać z ich stołu na kanapę. Papasowie oświadczyli wtedy:

– To już nieważne. Wszystko zostało wybaczone i zapomniane.

Nawet moja babcia przytaknęła – ona, która miała zwyczaj kończyć wszystkie spory francuską maksymą „*Pardonnez moi, oublier jamais*”, czyli: „Wybaczymy, ale nigdy nie zapomnimy”.

Tego wieczora rodzice zaprosili Papasów na *meze*. Pili raki i śmiali się serdecznie z tego, jacy byli głupi, pozwalając, by podzieliły ich puszki po coca-coli. Mihal polizał stulekowy banknot i przylepił go do mojego czoła. Powiedział, że byłam bardzo sprytna i dzielna, wchodząc na sam czubek drzewa. A nieco później dodał, że puszki coca-coli są produkowane w imperialistycznych krajach, więc być może docierają do Albanii jako narzędzie demoralizacji, przemycane podstępnie przez wrogów w celu niszczenia naszych więzi, wzajemnego zaufania i solidarności. Spotkanie trwało już na tyle długo, że kiedy to powiedział, nie było wiadomo, czy mówi poważnie, pamiętam tylko, że wszyscy się śmiali, dolewali sobie raki, wznosili toasty na pohybel imperializmowi, a potem śmiali się znowu.

Donika była jednak bardzo poważna, gdy zaoferowała mamie swoją puszkę po coca-coli. Powiedziała, że możemy ją trzymać w naszych domach na zmianę – dwa tygodnie na jednym telewizorze, a potem dwa tygodnie na drugim. Mama odmówiła, tłumacząc, że absolutnie nie zasługujemy na taką życzliwość. Wprost przeciwnie, stwierdziła, gdybyśmy wciąż mieli naszą puszkę, to *ona* podarowałaby ją Donice, żeby mogła trzymać w swojej sól, a w naszej pieprz, tak jak w tych zestawach, które widziała w serialu *Dynastia*. Donika odpowiedziała, że nie ma takiej potrzeby, puszki po coca-coli zaczęły się już robić zbyt powszechne. Teraz najbardziej poszukiwane są te biało-pomarańczowe, ale zapomniała, jaka nazwa jest na nich wypisana, coś w rodzaju „fantazja” albo „fantastyczne”. A potem pochwaliła serwetkę, na której wcześniej stała u nas puszka, dodając, że wygląda znacznie ładniej bez żadnych dodatków, bo tulipan wyhaftowany na niej przez mamę jest tak piękny, że szkoda go zasłaniać.

– Mieliśmy na niej umieścić zdjęcie Wujka Envera – odezwałam się radosnym głosem wśród tego zgiełku. – Ale oni nigdy nie chcieli mieć nic

wspólnego z Wujkiem Enverem. Ciągłe mi obiecywali, że postawią tam jego zdjęcie, ale nigdy tego nie zrobili. Nie wydaje mi się, by lubili Wujka Envera.

Mówiłam to, ośmielona słowami Mihala, który pochwalił mnie za mój spryt. Bawiłam się banknotem, który przed chwilą od niego dostałam.

Atmosfera w pokoju nagle się zmieniła. Wszyscy zdrętwieli. Mama, która z uśmiechem na ustach opowiadała Donice, jak tęskniła za jej baklawą, zamilkła i spojrzała na nią uważnie, tak jakby próbowała odgadnąć jej myśli. Nini, która w małym aneksie kuchennym przygotowywała kolejne potrawy, weszła do pokoju z garnkiem umytych właśnie ogórków. Jej dłonie drżały. Tata, który dokładał sobie oliwek i sera ze wspólnego półmiska, upuścił widelec. Przez chwilę słychać było tylko komary tańczące wokół lampy w naszym salonie.

Mihal zmarszczył brwi. A potem odwrócił się do mnie z bardzo poważnym, surowym wręcz spojrzeniem.

– Chodź tutaj – powiedział, przerywając ciszę, i poprosił, żebym usiadła mu na kolanach. – Myślałem, że jesteś mądrą dziewczynką. Pochwaliłem dzisiaj twój spryt. Ale mądre dziewczynki nie mówią takich rzeczy, jakie ty powiedziałaś przed chwilą. To było głupie. To była najgłupsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem. – Zaczerwieniłam się i poczułam, że moje policzki stają się gorące. – Twój rodzice kochają Wujka Envera. Kochają Partię. Nie możesz nigdy więcej mówić nikomu tych głupot. W przeciwnym razie nie zasłużysz na to, by bawić się moimi orderami.

Pokiwałam głową. Zaczęłam drzeć i byłam bliska płaczu. Mihal musiał to poczuć i chyba pożałował swojego tonu. Złagodził go.

– Nie płacz teraz – powiedział. – Nie jesteś dzieckiem. Jesteś dzielną dziewczynką. Kiedy dorośniesz, będziesz walczyła dla swojego kraju, dla Partii. Twój rodzice czasem się mylą, tak jak z tą puszką po coca-coli, ale są dobrymi, ciężko pracującymi ludźmi i dobrze cię wychowują. Dorastali w socjalizmie, kochają Partię i Wujka Envera. Rozumiesz? Nigdy nie możesz powtarzać tego, co tu powiedziałaś.

Znowu pokiwałam głową. Wszyscy inni milczeli.

– Chodź – powiedział. – Wzniesiemy jeszcze jeden toast. Za twoją przyszłość wolną od podziałów wywołanych przez puszkę po coca-coli. – Podniósł swój kieliszek, ale powstrzymał się przed wypiciem jego zawartości, tak jakby przyszło mu do głowy coś jeszcze, coś bardzo ważnego. – Musisz mi obiecać, że jeśli kiedykolwiek będziesz miała tego rodzaju głupie myśli na temat swojej rodziny, przyjdiesz do mnie i mi o nich powiesz. Tylko mnie, nikomu innemu, nawet cioci Donice. Rozumiesz?

6

Towarzyszka Mamuazel

– Towarzyszko Mamuazel, proszę się natychmiast zatrzymać! Jesteś aresztowana!

Flamur stał przede mną na szeroko rozstawionych nogach, z rozłożonymi rękoma. W lewej dłoni trzymał kij trzy razy dłuższy niż on sam. W prawej ścisnął coś małego, coś, czego nie mogłam zobaczyć.

– Oddaj mi swoją juicy fruit – rozkazał.

– Sprawdzę – powiedziałam, zdejmując z włosów czerwoną jedwabną kokardę. Zajrzałam do mojego tornistra. – Sprawdzę, ale nie jestem pewna, czy mam juicy fruit. Być może mam wrigley's spearmint albo hubbę bubbę.

– Masz juicy fruit. Widziałem wczoraj, że Marsida ci ją dała.

– Nie mam juicy fruit – zaprzeczyłam. – Mogę ci dać hubbę bubbę. Wyglądają podobnie.

Wyjęłam z kieszeni złożony na płasko kolorowy papierek i podsunęłam go sobie pod nos, by pokazać, że jest bardzo świeży. Papierek pachniał lepiej niż zwyczajna mieszanka gumy i potu – prawie tak samo jak jego dawna zawartość; prawie przypominał prawdziwą rzecz. Flamur puścił swój kij i otworzył prawą dłoń, pokazując własną kolekcję opakowań, żeby sprawdzić, co w niej ma.

– To jest naprawdę świeże – tłumaczyłam. Wziął mój papierek i go powąchał.

– Doobre – powiedział. – Jak myślisz, ile to ma?

– Nie jestem pewna, ale nie więcej niż trzy miesiące. Może cztery. To zależy od tego, do ilu osób należał wcześniej, a także...

– No tak, to jasne – przerwał mi agresywnym tonem. – Myślisz, że tylko ty znasz się na tych sprawach, bo mówisz po francusku?

Nauczyłam się nie reagować na takie prowokacje. Wciąż patrzyłam na niego błagalnie. Byłam bliska płaczu, ale zdawałam sobie sprawę, że jeśli istnieją istoty, których Flamur nienawidzi bardziej niż dziewczynek z kokardami we włosach, to są to z pewnością beksy. Wiedziałam, że jeśli się rozpłaczę, stracę całą moją kolekcję opakowań.

– Zostaniesz zwolniona z aresztu, jeśli podasz mi hasło – powiedział Flamur, chwytając papierek po hubbie bobbie. – Niech ci się nie wydaje, Mamuazel, że nie widziałem, jak ściągasz z głowy kokardę.

– Hasło... – wyszeptałam. – Hasło to „Śmierć faszystom, wolność dla ludu”.

To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Możliwe, że zapamiętałam tę scenę tak dobrze, bo powtarzała się mniej więcej w tej samej formie prawie codziennie. Flamur nie był jedynym groźnym łobuzem w naszej dzielnicy. Najgroźniejszy, Arian, kilka lat od nas starszy, rzadko pojawiał się na ulicy, gdzie się bawiliśmy. A jeśli się pojawiał, to zwykle po to, by zabrać komuś skakankę, przerwać grę w klasy i pogonić dzieci do domu, bo robi się późno, albo zarządzić, że mamy skończyć grać w piłkę i zacząć zabawę w faszystów i partyzantów. Gdy widział, że się go słuchamy, wracał do siebie, a my dalej robiliśmy to, co nam kazał. Nikt nie wiedział, co się stanie, jeśli nie wykonamy jego poleceń. Nikt nigdy nie próbował tego sprawdzać.

Flamur był innym typem łobuza. Ciągłe przebywał na ulicy, którą patrolował od naszego powrotu ze szkoły aż do zmroku. Najmłodszy z czworga rodzeństwa i jedyny chłopiec w rodzinie; jego trzy starsze siostry wciąż mieszkały w ich domu i pracowały w pobliskiej wytwórni papierosów. Wszystkie miały różne nazwiska zaczynające się na literę B: Bariu, Bilbili i Balli. Tylko nazwisko Flamura zaczynało się inaczej i było takie samo jak nazwisko jego matki: Meku. Twierdził, że jego ojciec wyjechał, żeby walczyć z Rzymianami i Osmanami. Gdy Marsida ośmieliła się kiedyś zwrócić mu uwagę, że już dawno temu przestaliśmy walczyć z tymi imperiami, odciął jej nożyczkami koński ogon.

Jeśli był sam, siadał na schodach pod czyimiś drzwiami i bębniąc w garnek, wyśpiewywał na cały głos pełną melancholii cygańską piosenkę miłosną, aż inne dzieci wyszły z domów i zebrały się na placu zabaw. Decydował wtedy, od jakich gier mamy zacząć i w jakiej kolejności, kto ma odczekać jedną turę, bo został przyłapany na oszukiwaniu, i jakie wyjątki należy zrobić, żeby dopuścić do zabawy młodsze dzieci. Je również straszyl. Zakładał na głowę skórzaną torbę z wyciętymi otworami na oczy – wyglądał wtedy jak duch – i niespodziewanie je łapał. Nosił zwykle za dużą na niego żółto-zieloną bluzę z brazylijską flagą i przemierzał ulice ze stadkiem bezdomnych psów, którym nadał nazwiska słynnych brazylijskich piłkarzy: Sócrates, Zico, Rivellino i Pelé. Ten ostatni, jego ulubieniec, był na wpół ślepy i miał jakąś chorobę skóry. Flamur nienawidził kotów. Jeśli spotkał jakiegoś bezdomnego kociaka, potrafił go rzucić na stertę śmieci na końcu drogi i podpalić. Nie cierpiał również dziewczynek z kokardami. To on kazał wszystkim mówić na mnie towarzyszka Mamuazel i pytał mnie o hasło.

Jedna ze starszych sióstr Flamura została wezwana przez Partię do siedziby rady dzielnicy, ponieważ roztrzaskała krzesło na jego plecach. Gdy dowiedziała się o tym moja babcia, niemal wyszła z siebie z oburzenia i wykrzyczała, że przemoc wobec dzieci niczym się nie różni od przemocy stosowanej przez państwo.

Dorastając, czułam, że moje dzieciństwo nie jest typowe, ale nie wiedziałam, pod jakim względem. Rodzice nigdy mnie nie bili. Mama zwykle zachowywała dystans i trzymała mnie w ryzach mocą swojego autorytetu. Tata w razie potrzeby wysyłał mnie na kilka godzin do ich sypialni, żebym „zastanowiła się nad sobą”. Nazywałam to, z dziecięcą przesadą, „więzieniem”, bo nie było tam żadnych zabawek. Czasem pozwalał mi wziąć ze sobą książkę. W tych chwilach zranionej dumy wybierałam powieści przedstawiające los sierot, takie jak *Nędznicy*, *Bez rodziny* czy *David Copperfield*. Nigdy jednak nie dopuszczałam do tego, by cierpienia bohaterów przesłoniły mi mój własny ból albo umniejszyły niesprawiedliwość, jaka mnie spotkała. Czytając te opowieści, fantazjowałam na temat mojej własnej rodziny i po kilku godzinach przebywania w świecie tamtych dzieci miałam coraz więcej pytań

dotyczących tego, kim właściwie jestem. Tak jak moi bohaterowie marzyłam o niespodziewanym pojawieniu się szlachetnego nieznanego albo o szczęściu, jakie da mi odnalezienie dalekiego krewnego.

W sypialni rodziców pisałam długie listy do Cocotte, jednej z kuzynek babci, mieszkającej samotnie w Tiranie, która często przyjeżdżała do nas na zimę. Nazywałam je „listami z więzienia”, numerowałam i dzieliłam tematycznie. Skarżyłam się w nich na surowość rodziców, na to, że mówili do mnie po francusku na ulicy, nie dbając o to, że mogą to usłyszeć moi znajomi, i że zawsze wymagali, bym była najlepszą uczennicą w szkole, również z wuefu, do którego nie miałam żadnego talentu.

Cocotte tak naprawdę miała na imię Shyqyri, ale nie lubiła, kiedy tak się do niej zwracano. W rodzinie babki wszyscy mieli prawdziwe imię i drugie – przybrane – francuskie. Cocotte dorastała razem z babcią w Salonikach. Były Arnautkami – tak Turcy nazywali w czasach Imperium Osmańskiego albańską mniejszość – ale rozmawiały ze sobą po francusku, tak jak Nini ze mną. Gdy Cocotte przyjeżdżała, spała w naszym pokoju. Gawędziły z babcią do późna w nocy, wspominając dalekie miejsca i kraje: Stambuł i tamtejszego paszę, emigrantów z Sankt Petersburga, paszporty w Zagrzebiu, bazary w Skopje, bojowników z Madrytu, statki w Trieście, konta bankowe w Atenach, ośrodki narciarskie w Alpach, psy w Belgradzie, rajdy samochodowe w Paryżu i łoże w operze w Mediolanie.

Podczas tych chłodnych zimowych wieczorów nasz małeńki pokój zmieniał się w kontynent – kontynent przesuujących się granic, zapomnianych bohaterów nieistniejących już armii, zabójczych pożarów, wystawnych balów, sporów o majątek, ślubów, śmierci i narodzin. Chciałam to zrozumieć, połączyć jakoś moje dzieciństwo z dzieciństwem Nini i Cocotte, wyobrazić sobie ich świat, poukładać te lata, które wydawały się zagubione w czasie, zapamiętać osoby, których nie znałam, i przypisać znaczenie zdarzeniom, przy których mnie nie było. Czułam się zagubiona, a czasem wręcz przerażona z powodu wszechogarniającego chaosu, o którym się dowiadywałam. Dorośli ludzie, którzy tracili ze sobą kontakt, statki, które nigdy nie wypłynęły w morze, dzieci, które nie przeżyły swojego życia. Gdy jednak już mi się wydawało, że moje próby

zrozumienia wkrótce się powiodą, Nini i Cocotte przestawały mówić po francusku i nagle przechodziły na grecki.

Obie były do siebie niesłychanie przywiązane, a jednocześnie tak od siebie różne, jak to tylko możliwe. Wyjechały do Albanii jako dorosłe kobiety: Nini – żeby pracować dla rządu, Cocotte – żeby znaleźć męża. Cocotte nie lubiła Greków ani Turków, nie lubiła też żydowskich mężczyzn, chociaż niechętnie przyznawała, że byli ostatnimi inteligentnymi ludźmi w Salonikach. Okazało się, że nie lubi również Albańczyków. W każdym razie jej rodzice mieli do wszystkich zastrzeżenia: ten jest niekulturalny, tamten nie dość zamożny, a jeszcze inny politycznie podejrzany. W rezultacie Cocotte nigdy nie wyszła za mąż. Miała zmyślonego męża, na którego mówiła Rexhep albo, po francusku, Rémy.

– W przeciwieństwie do twojego dziadka – powiedziała mi w obecności babci – Rémy nigdy nie narobił swojej żonie kłopotów.

Te kilkutygodniowe pobyty Cocotte stanowiły jedyny czas, kiedy mówiłam po francusku bez niechęci. Poza tym nienawidziłam tego. To nie był mój język. Moja babcia nie była Francuzką. Nie rozumiałam, dlaczego mi to zrobili, dlaczego najpierw nauczyli mnie francuskiego, a dopiero potem albańskiego. Cierpiałam, gdy dzieci na ulicy, zachęcane przez Flamurę, nabijały się z mojego koślawego albańskiego, na przykład kiedy plasterki jabłka, które jedliśmy jako przekąskę, nazywałam *des morceaux de pommes*. Rodzice moich znajomych byli bardziej wyrozumiali, ale nawet oni wyglądali na skonsternowanych, gdy pod koniec dnia babcia wzywała mnie do domu, a oni słuchali, jak w niezrozumiałym dla nich języku wygłaszam podsumowanie wydarzeń.

– Dlaczego francuski? – spytali kiedyś babcie. – Dlaczego nie rosyjski, angielski czy grecki? Jest tak wiele innych języków.

– Nie lubię Greków. A poza tym nie znam rosyjskiego ani angielskiego – dodała, być może po to, by zaznaczyć swoją niechęć do imperializmu.

Najbardziej jednak znienawidziłam francuski wtedy, gdy musiałam się stawić przed specjalną komisją pedagogiczną, by dowieść, że nadaję się do rozpoczęcia nauki. Normalnie dzieci nie musiały zdawać żadnych testów, żeby dostać się do szkoły. Edukacja była obowiązkowa i zaczynała się w wieku sześciu lub siedmiu lat. Na kilka tygodni przed początkiem roku

szkolnego nauczyciele dzielili się na trzy- lub czteroosobowe zespoły, które chodziły po mieście od drzwi do drzwi, sprawdzając, czy wszystkie dzieci zostały zapisane. Partia była bardzo dumna z tego, że w kraju w rekordowym tempie zlikwidowano analfabetyzm. W telewizyjnych reportażach pokazywano stare kobiety z dalekich wiosek na północy, które nauczyły się czytać i nie podpisywały się już krzyżykiem, lecz imieniem i nazwiskiem. Przed rozpoczęciem roku szkolnego panowało wielkie ożywienie; szczęśliwe dzieci tłoczyły się przed sklepami dla pionierów, a rodzice gawędzili ze sobą w klasach, gdzie sprzedawano podręczniki. Pierwszego dnia szkoły wszyscy byli ubrani w lśniące jasne mundurki, mieli świeżo obcięte, uczesane włosy i gromadzili się na ulicach z bukietami kwiatów w dłoniach. Pani Nora powiedziała kiedyś:

– W krajach imperialistycznych taki entuzjazm zdarza się tylko w czasie wyprzedaży.

Nikt nie wiedział, co to jest wyprzedaż, ale czuliśmy, że głupio byłoby o to pytać.

Kończyło się lato 1985 roku. Bardzo chciałam iść do szkoły. Mama nauczyła mnie czytać i pisać, częściowo po to, by poprawić mój albański, wciąż kulejący, bo wszyscy w domu mówili do mnie po francusku, a częściowo po to, żebym nie potrzebowała już pomocy w czytaniu należącego kiedyś do niej starego wydania rosyjskich bajek. Moje szóste urodziny wypadały tydzień po oficjalnym rozpoczęciu roku szkolnego, więc rodzice kupili mi czerwony skórzany tornister. Na początku mi się podobał, ale tylko do chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że większość dzieci ma brązowe i czarne torby, zazwyczaj przeznaczone do noszenia w ręku. Tylko nieliczni nosili je na plecach. Takie torby sprzedawano przed początkiem roku w sklepach dla pionierów, gdzie można było dostać również czarne mundurki, czerwone chusty i wszelkie inne szkolne przybory: zeszyty, długopisy, ołówki, linijki, cyrkle, kątomierze, stroje do wuefu. Czerwone plecaki stanowiły rzadkość. Pojawiały się w magazynach tylko na kilka dni i zazwyczaj się sprzedawały, zanim dotarły do sklepu. Mój stał się jeszcze jedną rzeczą, z której musiałam się tłumaczyć. Dołączył do haftowanych sukienek z koronkowymi obszyciami, które zakładałam na

obchody 1 maja i niedzielne spacery, białych skórzanych bucików uszytych na miarę przez tatę Marsidy, który był szewcem, oraz płaszcz zrobionego na drutach na wzór modelu ze zdjęcia, które znaleziono na kartce wyrwanej z magazynu o modzie dziecięcej, przemyconego skądś z Zachodu.

Kiedy zrozumiałam, że czerwony tornister otworzy jeszcze jeden front zniechęcania się nade mną, odechciało mi się iść do szkoły. Przez kilka dni szczęście mi sprzyjało. Żadna szkoła w mieście nie chciała nagiąć przepisów i przyjąć mnie w tak młodym wieku. Ale rodzice nalegali. Uważali, że jestem już gotowa i że w przedszkolu będę się nudzić. Poradzono im, by wystąpili o specjalne zezwolenie do wydziału edukacji Centralnego Komitetu Partii. Pewnego sierpniowego popołudnia, po zakończeniu oficjalnych godzin pracy Komitetu, pojawiliśmy się przed komisją złożoną z partyjnych funkcjonariuszy, którzy mieli rozpatrzyć moją sprawę.

Rodzice przygotowywali się do tego spotkania od kilku dni. Układali kwestie do wygłoszenia, próbowali przewidzieć pytania, na które będą musieli odpowiedzieć, i kazali mi powtarzać wszystkie wiersze na temat Partii i Wujka Envera, jakie znałam, oraz partyzanckie pieśni, jakich nauczyłam się w przedszkolu. Pamiętam, jak szliśmy nerwowym krokiem w stronę budynku Komitetu Centralnego Partii, rodzice przodem, a ja, z babcią trzymającą mnie za rękę, kilka metrów za nimi. Miałam na sobie jasnoczerwoną sukienkę, pod prawą pachą ścisnęłam kurczowo brązową teczkę z książką, z której uczyłam się czytać, i drugą, z zadaniami arytmetycznymi. W pewnym momencie, gdzieś w połowie drogi, mama obejrzała się, żeby zobaczyć, jak daleko w tyle zostałyśmy, i wskazując wstążkę trzymającą mój koński ogon, wydała z siebie okrzyk będący czymś pomiędzy skowytem a piskiem:

– Biała! Ona jest biała!

Na jej twarzy malowało się przerażenie. Tata nawet się nie odezwał, nie czekając na instrukcje, odwrócił się i pognął do domu. Po kwadransie, a może po godzinie, dogonił nas zdyszany, z czerwoną wstążką w jednej ręce i inhalatorem w drugiej. Usłyszał, że nie ma czasu na inhalacje. Kiedy wchodziliśmy wszyscy po schodach prowadzących do wydziału edukacji,

zostałam skarcona za pogwizdywanie melodii nowej partyzanckiej pieśni, której nauczyłam się tego dnia.

Podczas spotkania tata wygłosił mowę otwierającą. Nie powiedział, że niedopuszczenie mnie do nauki tylko z tego powodu, że moje urodziny wypadają tydzień po rozpoczęciu roku szkolnego, byłoby nieracjonalne. Komunistyczne społeczeństwo ceni edukację ponad wszystko – zaczął – a Partia może być pewna lojalności gorliwej przedstawicielki młodego pokolenia rewolucjonistów, tak gorliwej, że wielokrotnie już wyrażała pragnienie rozpoczęcia nauki jak najprędzej. Oczywiście, dodał, on zdaje sobie sprawę, że ostateczna decyzja należy do Partii i że decyzja ta, taka bądź inna, będzie słuszna. Rodzice mieli jednak czelność uważać, że mój entuzjazm zasługuje co najmniej na to, bym mogła wyrazić go sama.

Mówił to wszystko wpatrzony w wiszący na ścianie portret Wujka Envera, tak jakby nie zwracał się do osób obecnych w pokoju, lecz bezpośrednio do naszego przywódcy. Jeden z członków komisji, gapiąc się nieruchomym wzrokiem w pustkę, stukał palcami w blat stołu, drugi notował coś, zerkając co jakiś czas na lnianą sukienkę mamy, trzeci zaś patrzył na babcię, jakby już kiedyś ją gdzieś widział. Czwartą osobą była kobieta z krótkimi włosami, w prostym ciemnoszarym kostiumie, z przyklejonym do twarzy tajemniczym uśmiechem, która zawiesiła spojrzenie na stojącej przed nią na stole czerwonej fladze.

Po wygłoszeniu wszystkich mów, sprawdzanie z czytania i matematyki oraz recitalu poetyckich deklamacji członkowie komisji robili wrażenie sceptycznych. Wzdychali, przewracali oczami, podnosili brwi i wymieniali spojrzenia. Mężczyzna, który do tej pory delikatnie stukał w blat trzema palcami, teraz robił to obiema dłońmi, zwiększając tempo. Brzmiało to jak bębnienie deszczu. Drugi, ten, który robił notatki i zerkał na sukienkę mamy, odłożył długopis i zaczął wpatrywać się w tego pierwszego.

Ciszę przerwała babcia. Spoglądając na trzeciego mężczyznę, którego – zdaje się – ona również skądś znała, rzuciła:

– Towarzysz Mehmet mówi po francusku. Lea potrafi czytać również w tym języku. Może dalibyście jej coś do przeczytania po francusku?

– Nie możemy tego sprawdzić – odpowiedziała uśmiechnięta kobieta. – Nie mamy tu książek dla dzieci. A już na pewno książek dla dzieci *en*

français – dorzuciła niemal szyderczo.

– Może przeczytałaby coś z dzieł towarzysza Envera – zaproponowała Nini. – Tu na półce widzę przekład jego dzieł wybranych – dodała.

Mężczyzna, którego nazwała Mehmetem, pokiwał głową. Ktoś przyniósł książkę i otworzył na przypadkowej stronie. Przeczytałam na głos kilka linijek, ale zacięłam się na jednym słowie, które pamiętam do tej pory: *collectivisation*. Walczyłam, by je wymówić.

– *Collevisation* – powiedziałam. – *Collectivation* – poprawiłam się. – *Cllectivis...* – nie potrafiłam już dokończyć. Czułam, że utknęłam, i łzy napłynęły mi do oczu.

W tym momencie członkowie komisji zaczęli klaskać – spontanicznie, wszyscy równocześnie.

– Jesteś bardzo bystra! – wykrzyknął towarzysz Mehmet. – To bardzo trudne do wymówienia, nawet po albańsku. Możesz uczyć swoich kolegów. Możesz ich nawet uczyć czytania po francusku. Czy wiesz, że Wujek Enver, kiedy był młody, uczył w szkole francuskiego? Będziesz taka jak on?

Skinęłam głową.

– Czytałam wszystkie książki, jakie Wujek Enver napisał dla dzieci – powiedziałam, oblizując łzy i smarki ciekące mi z nosa. – Wiem, co znaczy *collectism*. To znaczy, że wszyscy pracujemy lepiej, kiedy dzielimy się pracą. Tylko nie potrafię tego wymówić.

Komisja postanowiła pominąć próg wieku dla rozpoczęcia nauki w szkole i wręczyła nam pismo, które wymieniało wyjątkowe okoliczności uzasadniające tę decyzję. Rodzice wracali do domu w ekstazie. Rozprawiali z wielkim ożywieniem o tym, jakie miałam szczęście, że trafiliśmy na towarzysza Mehmeta, którego babcia wiele lat temu uczyła francuskiego w szkole w Kawai, gdzie rodzina taty mieszkała przed moimi narodzinami. Chcieli kupić piwo, żeby to uczcić, ale w sklepie nic już nie zostało z cotygodniowej dostawy, więc poprzestali na domowej raki i *meze*, na które zaprosili Papasów. Wznosili toasty nie za Partię, lecz za moją edukację, wypijając jedną raki za drugą, żartując i śmiejąc się głośno. Skończyli dobrze po północy.

Jeśli o mnie chodzi, byłam dumna i zakłopotana zarazem. Dumna, ponieważ wkrótce miałam pójść do szkoły, i zakłopotana, bo ciągle nie potrafiłam wymówić słowa *collectivisation*. Po wyjściu z budynku Komitetu Centralnego wciąż próbowałam i wciąż mi się nie udawało. Gdy Mihał poprosił mnie, żebym zaśpiewała jakąś piosenkę po francusku, zamiast spełnić jego życzenie, oświadczyłam, że nienawidzę tego języka. Nienawidzę go, powiedziałam, od pierwszego dnia *crèche*, żłobka, gdzie dzieci uznały, że jestem od nich inna, bo mówię tylko po francusku. Teraz bałam się, że w szkole również nie znajdę przyjaciół, *ponieważ* mówię po francusku. Poza tym nie rozumiałam, dlaczego musimy rozmawiać w języku, którego nikt nie rozumie, języku kraju, w którym nigdy nie byliśmy ani nie mieliśmy żadnych znajomych. Nini próbowała mnie przekonywać:

– Pamiętasz słowa towarzyszy z komisji? Wujek Enver też mówił po francusku. I przez wiele lat studiował we Francji. Potem uczył dzieci takie jak ty. Francuski jest ważnym językiem, językiem wielkich pisarzy i filozofów czasów oświecenia, a Francja to ojczyzna francuskiej rewolucji, która rozpowszechniła ideały wolności, równości i braterstwa, o czym uczyłaś się w szkole.

Potrząsnęłam głową, by zaprotestować, ale Nini nie ustawała.

– Wiesz już, czym była rewolucja francuska. Widziałaś w teatrze kukiełkowym *Cosette* i bardzo ci się podobało, pamiętasz?

Wciąż myślałam o przedszkolu, ale wzmianka o *Cosette* sprawiła, że postanowiłam wyznać wszystko to, o czym do tej pory nie śmiałam mówić. Opowiedziałam, że dzieci podciągały mi sukienkę i szarpały moje wstążki, że przezywały mnie towarzyszką Mamuazel, że szydziły ze sposobu, w jaki chodzę, i kpiły z używanych przeze mnie wyrażen – wszystko z powodu mojej francuszczyzny. Drugi raz tego dnia się rozplakałam.

– Jeśli jesteś z tego powodu nieszczęśliwa, nie musisz mówić po francusku – powiedziała Nini, a nasi sąsiedzi przytaknęli.

Od tej pory język francuski został oficjalnie unieważniony – z wyjątkiem tygodni, gdy była u nas *Cocotte*. Babcia mówiła do mnie po francusku tylko w trzech sytuacjach: gdy wieczorem bawiłam się zbyt długo z koleżanką, a ona chciała mi dyskretnie zasugerować, że

powinniśmy kończyć, kiedy sama była wściekła i potrzebowała dać upust swoim emocjom, i gdy mnie besztła.

Zapach kremu przeciwsłonecznego

Nasze próby dowiedzenia się czegoś o świecie zewnętrznym kojarzą mi się do tej pory ze słowem „Dajti” – tak nazywano samotny masyw górski otaczający naszą stolicę i dominujący nad jej pejzażem, tak jakby ją schwytał i trzymał w niewoli. Mimo że fizycznie odległy, zawsze nam towarzyszył. Nigdy tam nie byłam. Wciąż nie wiem, co miało znaczyć „odbierać z Dajti”, kto odbierał, od kogo i jak. Podejrzewam, że na górze znajdował się jakiś satelitarny czy telewizyjny przekaźnik. Owo „Dajti” było obecne w każdym domu, w każdej rozmowie, w każdej głowie. „Widziałem to wczoraj wieczorem przez Dajti”. Czyli: „Jestem wciąż żywy. Złamałem prawo. Myślałem”. Przez pięć minut. Przez godzinę. Przez cały dzień. Dowolnie długo – „Dajti” zawsze tam było.

Kiedy tata irytował się programem albańskiej telewizji, mówił:

– Zobaczę, czy można złapać Dajti. – A potem wchodził na dach, przekręcał naszą antenę i wołał przez okno: – Jak teraz, lepiej?

– Tak samo jak wcześniej – odpowiadałam.

Kilka minut później krzyczał znowu:

– A jak teraz?

– Zniknęło! Całkiem zniknęło! Przedtem było lepiej.

Słyszałam jego przekleństwa, a następnie metaliczne dźwięki świadczące o tym, że wciąż porusza anteną. Im bardziej się niecierpliwił, tym bardziej malały szanse na to, że sygnał powróci.

Latem było lepiej, przynajmniej teoretycznie. Przy dobrej pogodzie mieliśmy dwie możliwości: Dajti i Direkti. Direkti, czyli sygnał bezpośredni, można było odbierać prosto z Włoch, dzięki temu, że

mieszkaliśmy blisko Adriatyku. Wyobrażałam sobie Dajti jako bóstwo gór, a Direkti jako bóstwo morza. Direkti było znacznie bardziej kapryśne niż Dajti. Z Dajti wyglądało to tak, że gdy ustawiło się już dobrze antenę, wiadomo było, że sygnał urwie się tylko na czas *telegiornale*, czyli włoskich wiadomości. Direkti natomiast zwodziło. Gdy działało dobrze, można było obejrzeć nawet *telegiornale* – od początku do końca. Bywały jednak dni, gdy Direkti stawało się przez chwilę „zwierciadłem”, jak mówił tata, by wyrazić swoją satysfakcję z jakości obrazu, a potem zmieniało się w nicość – szary ekran pokryty drgającą pajęczyną. Oznaczało to, że gdy w telewizji relacjonowano ważny mecz, na przykład finał Serie A, w którym grał Juventus, tata miał dylemat: albo wybrać Dajti, licząc na to, że sygnał, choć niedoskonały, będzie stabilny, albo zaryzykować z nieprzewidywalnym „zwierciadłem” Direkti. Często wybierał tę drugą opcję, ale wizja poniesienia konsekwencji błędnej decyzji doprowadzała go do skrajnego niepokoju. W takich sytuacjach wchodził na dach pogrążony w smutku, jak ktoś, kto wie, że musi stawić czoła znacznie potężniejszemu przeciwnikowi.

– Idę spojrzeć na antenę – mówił wtedy zrezygnowanym głosem, w którym czasem pojawiała się nuta rozpacz.

Od relacji taty z anteną – psychologicznego dramatu naznaczonego dialektyką przyciągania i odpychania oraz poszukiwaniem subtelnej równowagi między tryumfem a porażką – zależał dostęp całej rodziny do najistotniejszych informacji z zagranicy, od zamachu na Jana Pawła II do pogłosek o tym, że po ostatnim festiwalu w San Remo Al Bano i Romina Power zerwali ze sobą.

Bez Dajti i Direkti w telewizji nie byłoby zbyt wiele do oglądania. W dni powszednie o szóstej po południu nadawano bajkę, a zaraz po niej film rysunkowy. Oba programy wywoływały konflikty, ponieważ kolidowały z meczami jugosłowiańskich koszykarzy. Jedyne kompromis, na jaki godził się tata, polegał na przełączaniu kanałów co pięć minut. W niedzielę było nieco lepiej. O dziesiątej można było obejrzeć teatrzyk kukielkowy, po którym leciał film dla dzieci, a potem, w telewizji macedońskiej, *Pszczółka Maja*. Później trzeba było zdać się na zrządzenia losu: program o ludowych pieśniach i tańcach z różnych regionów kraju,

reportaż o spółdzielniach produkcyjnych, które przekroczyły plan pięcioletni, zawody pływackie, prognoza pogody.

Sytuacja się poprawiła, gdy codziennie o piątej po południu zaczęto nadawać program *Języki obce w domu*. Była to audycja telewizji albańskiej, więc nie podlegała arbitralnej władzy, jaką nad naszym życiem miała antena na dachu. Poza językiem angielskim pojawiały się również francuski i włoski, a także dział *Gimnastyka w warunkach domowych*. Gimnastyki nigdy nie spróbowałam. Mieliśmy mnóstwo ćwiczeń każdego dnia przed rozpoczęciem lekcji – cała kohorta nauczycieli i uczniów zbierała się na szkolnym podwórku, by wykonywać skłony, obroty rękoma i rozciągać mięśnie, a następnie ślubować wierność Partii. Z wielkim entuzjazmem oglądałam natomiast lekcje języków obcych, zwłaszcza włoskiego. Pomyśl, mówiłam sobie, o ile fajniej będzie oglądać kreskówki na Rai Uno, gdy będziesz wiedzieć, o co w nich chodzi.

Języki obce w domu stały się przedmiotem ożywionych dyskusji na placu zabaw. W programie zawsze pojawiało się coś, czego można było się nauczyć – nie tylko w sprawach językowych, lecz także na temat obcych kultur. Pamiętam poważną rozmowę o robieniu zakupów w Anglii, wywołaną przez scenkę z supermarketu, w której matka odczytuje listę, a jej dzieci znajdują odpowiednie produkty na półkach. Makaron – jest. Chleb – jest. Pasta do zębów – jest. Napoje – są. Piwo – jest.

W ten sposób odkryliśmy, że tam kolejki nie są do niczego potrzebne. Że każdy może wybrać dowolny produkt spożywczy, jaki mu przypadnie do gustu. Że półki są zavalone towarami, a klienci kupują tak dużo, że nie są w stanie tego unieść. Że ludzie nie muszą mieć kartek i że najwyraźniej nie ma żadnych ograniczeń w kwestii tego, co kupują i w jakich ilościach. Dziwiliśmy się: skoro mogą kupować żywność, kiedy tylko zechcą, dlaczego robią jej zapasy?

Najbardziej zagadkowe jednak było to, że każdy produkt miał swoją własną markę. Na opakowaniach, zamiast ogólnej nazwy rodzajowej, takiej jak „pasta do zębów”, „makaron” czy „piwo”, znajdowało się coś, co wyglądało na imię albo nazwisko osoby: makaron Barilla, piwo Heineken, pasta do zębów Colgate. Dotyczyło to również samych supermarketów.

Dlaczego sklep nie może nazywać się po prostu piekarnią, sklepem mięsny, sklepem odzieżowym albo sklepem z kawą?

– Wyobraź sobie – powiedziała Besa – że ktoś ma sklep, który nazywa się „Mięso Ypi” albo „Kawa Marsidy”. Czy „Chleb Besy”.

– To są chyba nazwiska ludzi, którzy robią te rzeczy – zauważyłam. – Wiecie, tak jak my mamy plastik wyprodukowany przez brygadę Pierwszego Maja.

Ta interpretacja została jednak zakwestionowana. Pani Nora wyjaśniła, że poza granicami Albanii nikt nie zna imion ani nazwisk ludzi, którzy wytwarzają rzeczy, czyli imion i nazwisk robotników. Powiedziała nam, że na Zachodzie znane są tylko nazwy fabryk, gdzie te rzeczy powstają, nazwiska ludzi, którzy posiadają te fabryki, oraz ich dzieci i dzieci ich dzieci. Tak jak w *Dombeyu i synu*^[6].

Kolejną sprawą, która wprawiała nas w zakłopotanie, było przeznaczenie sklepowych wózków.

– One służą do wożenia dzieci – powiedziałam.

– Do wożenia jedzenia – poprawiła mnie Marsida.

– Nie, do wożenia dzieci – upierałam się.

– No dobrze, do jednego i do drugiego – wtrąciła się Besa. – Widziałyście, co dzieci podrzuciły do tego wózka? – dodała z miną osoby, która potrafi odróżnić sprawy ważne od nieistotnych szczegółów. – Matka odkryła to dopiero przy kasie, kiedy musiała zapłacić. Wydaje mi się, że to była puszka coca-coli.

– Tak, to cola – powiedziała Marsida. – Ale kupiła ją dla dzieci. Mówiły, że chce im się pić. Może w sklepie nie było wody. Może oni jednak nie mają wszystkiego.

– Myślę, że to jest napój – wyszeptałam, tak jakbym ujawniała jakąś tajemnicę. – Te puszki, które widujecie czasem u ludzi na szczycie regałów, służą do przechowywania napojów.

I wtedy wtrącił się Flamur, karmiący kośćmi swojego ulubionego psa Pelégo:

– Bla, bla, bla – powiedział kpiąco. – Jasne, że coca-cola to napój. Wszyscy to wiedzą. Kiedyś jej spróbowałem. Zobaczyłem, że jakiś

chłopak, turysta, wyrzuca puszkę do śmieci. Wziąłem ją. Była jeszcze do połowy pełna, więc spróbowałem. Smakuje trochę jak czerwona aranzhata, którą sprzedają turystom na plaży.

Wszyscy spojrzeli na niego podejrzliwie.

– I wtedy on mnie zobaczył. Patrzył na mnie wściekłym wzrokiem – opowiadał Flamur, podnosząc głos, tak jak to robił wtedy, gdy mówił o swoim ojcu walczącym z Osmanami. – Był zły, bardzo zły. Ale mnie nie uderzył. Zaczął płakać, więc oddałem mu puszkę. Od razu oddałem. A on płakał jeszcze bardziej, kopnął ją, podeptał i zniszczył. Była już do niczego, nie nadawała się nawet do postawienia na półce.

Nie wiedzieliśmy, czy mu wierzyć. Pani Nora mówiła, że większość młodych turystów odwiedzających Albanię pochodzi ze środowisk burżuazyjnych. Słyną z wielkiej podłości, tak wielkiej, że blednie przy niej podłość Flamura, a nawet samego Ariana. Kto wie, co potrafią zrobić z puszką? Gdy Flamur odszedł, Marsida spytała:

– Myślicie, że naprawdę wziął puszkę tego chłopaka?

– Trudno powiedzieć – odparła Besa. – Spędza wiele czasu, grzebiąc w śmieciach. Szuka resztek dla swoich psów. W każdym razie jej nie ukradł. Chłopak wrzucił ją do kosza.

– Nie wydaje mi się, żeby to była prawda – powiedziałam. – Nigdy nie spotkałam żadnych dzieci turystów.

W szkole przestrzegano nas, żebyśmy nie zadawali się z ludźmi wyglądającymi inaczej niż my. Radzono, byśmy schodzili z drogi turystom i nigdy, pod żadnym pozorem niczego od nich nie przyjmowali, zwłaszcza gumy do żucia.

– Przede wszystkim wystrzegajcie się turystów mających gumę do żucia – podkreślała pani Nora.

Czasami widzieliśmy z daleka zagraniczne dzieci, które odwiedzały latem plażę nad Adriatykiem przy hotelu dla cudzoziemców. Ich plażę od naszej oddzielał rów wykopany w piasku, ale w wodzie rowu nie było. Przy takich okazjach ja i moi kuzyni podpływaliśmy do plaży dla turystów, nurkowaliśmy, skakaliśmy do wody i robiliśmy w niej fikołki, żeby zwrócić na siebie uwagę. Niekiedy wyśpiewywaliśmy angielską rymowanąkę *Baa*

Baa Black Sheep: „*Ban ban backship, eni eni you*”. Patrzyli na nas wtedy wzrokiem, w którym zakłopotanie mieszało się z lękiem. Kuzyni namawiali mnie, żebym powiedziała im „dzień dobry” po francusku. Początkowo odmawiałam. Nie dlatego, że pani Nora ostrzegała nas, byśmy nie rozmawiali z turystami – wydawało mi się, że zakaz ten nie dotyczy płytkiej wody, gdzie trudno handlować gumą do żucia – ale dlatego, że wciąż nienawidziłam francuskiego. Gdyby mówienie po francusku było takie fajne, myślałam, nie dokuczano by mi z tego powodu. Nie proszono by mnie o to tylko wtedy, gdy pojawiali się turyści.

– Nie będę się z nimi witać – protestowałam. – Nie znamy ich. Nie odpowiedzą nam. A poza tym skąd mamy wiedzieć, czy znają francuski? Mogą mówić w innym języku.

Kuzyni nazywali mnie wtedy mięczakiem i tchórzem, więc żeby pokazać im, że taka nie jestem, wypowiadałam wreszcie, choć niechętnie: „*Ça va?*”. Dzieci tylko się na nas gapiły. Mówiłam: „*Ciao!*”. Przewracały oczami. Dodawałam więc jedyne zdanie, jakie znałam po niemiecku: „*Woher kommen Sie?*”, czyli: „Skąd jesteście?”. Choć powinnam była raczej pytać: „Dokąd idziecie?”, bo w tym momencie one odchodziły. Moi kuzyni stwierdzali wtedy, że je wystraszyłam, że powinnam się uśmiechnąć.

– Wróćcie, proszę – mamrotałam pod nosem, patrząc, jak dzieci znikają za wielkimi kolorowymi ręcznikami.

Nienawidziłam patrzeć, jak znikają. Nienawidziłam ich za to, że nie odpowiadały. A jeszcze bardziej nienawidziłam siebie za to, że uległam presji.

Dzieci turystów miały niezwykle zabawki w jaskrawych barwach, tak inne od naszych, że czasem zastanawialiśmy się, czy to w ogóle są zabawki. Pływały na dmuchanych materacach ozdobionych wizerunkami nieznanymi nam postaci. Miały wiaderka i łopatkę o dziwnych kształtach oraz egzotyczne plastikowe przedmioty, których nie potrafiliśmy nawet nazwać. A poza tym inaczej pachniały. Był to zapach kuszący, uzależniający niemal, tak że miało się ochotę iść za tymi dziećmi i je przytulać, by poczuć go lepiej. Zawsze wiadomo było, że gdzieś w pobliżu są zagraniczne dzieci, bo

na plaży pojawiał się wtedy ten dziwny zapach kwiatów pomieszanych z masłem.

Spytałam babci, co to jest. Wyjaśniła mi, że te dzieci pachną kremem przeciwsłonecznym, gęstym białym płynem, którym ludzie się smarują, by chronić skórę przed słońcem.

– My nie mamy czegoś takiego – powiedziała. – Używamy oliwy. Tak jest zdrowiej.

Dzięki niej mogłam w końcu nazwać ten zapach.

– One pachną kremem przeciwsłonecznym – oznajmiłam pewnego dnia kuzynom.

– Czuję go teraz – powiedział jeden z nich. – Czuję krem przeciwsłoneczny. Poszły tędy. Dalej, chodźmy za nimi.

I szliśmy aż do chwili, gdy zniknęły ze swoimi rodzicami w autokarze albo w restauracji, do której nie wolno nam było wchodzić. Pozostawało jednak wiele innych pytań. Co one czytają? Czy lubią *Alicję w krainie czarów*, *Kubę Guzika i maszynistę Łukasza* i *Opowieść o Cebulku*? Czy one również muszą zbierać kwiaty rumianku, by pomóc zakładom zielarskim? Czy konkurują między sobą o to, kto pamięta więcej imion greckich bogów? Albo o to, kto zna więcej miejsc bitew stoczonych przez starożytnych Rzymian? Czy podziwiają Spartakusa? Czy biorą udział w olimpiadach matematycznych? Czy marzą o podboju kosmosu? Czy lubią baklawę?

Myślałam o tych zagranicznych dzieciach z zaciekawieniem i zazdrością, ale czasem również ze współczuciem. Było mi ich szczególnie żal w Dniu Dziecka, czyli 1 czerwca, kiedy rodzice dawali mi prezenty, zabierali na plażę, na lody albo do wesołego miasteczka. Z tej okazji dostawałam całoroczną prenumeratę różnych dziecięcych czasopism, z których dowiadywałam się o losie innych dzieci na świecie. 1 czerwca w przeznaczonym dla dzieci od sześciu do ośmiu lat magazynie „Małe Gwiazdki” zamieszczano rysunki zatytułowane *Dzień Dziecka u nas i u nich*. Na jednym z nich po lewej stronie widać było tłustego kapitalistę w wielkim cylindrze kupującego lody dla swojego tłustego syna, a obok, na chodniku przed sklepem, dwoje wynędzniałych dzieci. Napis nad nimi głosił: „Dla nas Dzień Dziecka nigdy nie nadejdzie”. Po prawej stronie

znajdowały się flagi krajów socjalistycznych, szczęśliwe dzieci trzymające kwiaty i prezenty, czekające z rodzicami przed sklepem z lodami. „Kochamy Dzień Dziecka” – brzmiał podpis. Kolejka po lody była bardzo krótka.

Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęłam czytać pismo dla nastolatków „Horyzont”. Wciąż byłam na nie za młoda, ale tata je bardzo lubił, bo były w nim działy poświęcone matematyce i fizyce oraz rubryka z ciekawostkami naukowymi i astronomicznymi. Czasami musiałam mu przypominać, że kupił je dla mnie i ma oddać egzemplarz. W „Horyzoncie” często pisano o dzieciach z Zachodu. Nie na tyle szczegółowo, by dać odpowiedź na wszystkie nasze pytania, ale wystarczająco, byśmy mogli sobie uświadomić, jak bardzo się od nas różnią. Ich świat, w przeciwieństwie do naszego, był podzielony na bogatych i biednych, na burżuazję i proletariąt, na tych, którzy mają nadzieję, i tych, których jej pozbawiono, na wolnych i uciemżonych. Były dzieci uprzywilejowane, które tak jak ich burżujscy rodzice dostawały wszystko, czego chciały, ale nigdy nie dzieliły się niczym z dziećmi gorzej sytuowanymi, o których nędzy nie miały pojęcia. Były dzieci biedne i uciskane – te musiały spać pod gołym niebem, ich rodzice nie mieli pieniędzy, by na koniec miesiąca popłacić rachunki, nie mogły chodzić regularnie do szkoły, bo zmuszano je do pracy, szukały diamentów w kopalniach i mieszkały w slumsach. Regularnie ukazywały się artykuły o losie dzieci w Afryce i Ameryce Południowej oraz omówienia książek na temat segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych i apartheidu.

Wiedzieliśmy, że nigdy nie spotkamy tych biednych, upokarzanych i gnębionych przez kapitalistów dzieci, bo one nie podróżowały. Współczuliśmy im, ale nie przychodziło nam do głowy, że przecież my też nie podróżujemy. Nie mogliśmy, bo otaczali nas wrogowie. Poza tym nasze wakacyjne wyjazdy finansowała Partia. Być może kiedyś Partia będzie na tyle potężna, że zdoła pokonać wszystkich wrogów i da każdemu pieniądze na zagraniczne wyjazdy. Tak czy inaczej, my już żyliśmy w najlepszym miejscu. Tamte dzieci nie miały nic. My wiedzieliśmy, że nie mamy wszystkiego. Mieliśmy jednak wystarczająco dużo, wszyscy posiadaliśmy te same rzeczy oraz to, co liczy się najbardziej, czyli prawdziwą wolność.

W kapitalizmie ludzie twierdzą, że są wolni i równi, ale są wolni tylko na papierze, ponieważ jedynie bogaci mogą korzystać ze wszystkich praw. Kapitałiści zarobili pieniądze, kradnąc ziemię, łupiąc zasoby całego świata i bogacąc się na czarnych niewolnikach.

– Pamiętacie *Czarnego chłopca*? – pytała pani Nora po tym, jak przeczytaliśmy zadaną nam w szkole autobiografię Richarda Wrighta. – W burżuazyjnej dyktaturze biedny czarny człowiek nie jest wolny. Prześladowuje go policja. Prawo pracy jest przeciwko niemu.

U nas wolność była dla wszystkich, a nie tylko dla ciemężycieli. Pracowaliśmy nie dla kapitalistów, lecz dla samych siebie, i dzieliliśmy się wytworami naszej pracy. Nieznana nam była chciwość, nie mieliśmy powodów do zazdrości. Potrzeby każdego obywatela były zaspokojone, a Partia wspomagała nas w rozwijaniu naszych talentów. Jeśli ktoś miał talent do matematyki, poezji, tańca albo czegoś jeszcze innego, mógł pójść do Domu Pionierów i wstąpić do kółka naukowego bądź poetyckiego czy do zespołu tanecznego, żeby wykorzystać swoje zdolności.

– Czy wyobrażacie sobie, że gdybyście żyli w kapitalizmie, wasi rodzice musieliby za to wszystko płacić? – pytała pani Nora. – Tam ludzie pracują jak woły, ale kapitałiści nie dają robotnikom tego, na co zasługują, bo w przeciwnym razie nie mieliby zysków. Oznacza to, że robotnicy przez część czasu pracują za darmo, jak niewolnicy w starożytnym Rzymie. Tak, dostają pensję, ale jeśli chcieliby, żeby ich dzieci rozwijały swoje talenty, musieliby płacić za prywatne lekcje, a na to oczywiście ich nie stać. Czy to jest wolność?

A jednak turystów było stać na wszystko. Kupowali potrzebne im rzeczy w sklepie „walutowym”, gdzie płaciło się tylko zagranicznymi pieniędzmi. Sklep walutowy był miejscem, gdzie spełniały się wszystkie marzenia, chociaż pani Nora tłumaczyła, że to nie są marzenia, tylko prymitywne kapitalistyczne aspiracje. Znajdował się obok Muzeum Bohaterów Ruchu Oporu. Zaglądałyśmy tam z Eloną za każdym razem, gdy szłyśmy z klasą do muzeum: 11 stycznia z okazji rocznicy powstania Republiki, 10 lutego, by uczcić młodych przeciwników faszyzmu, 22 kwietnia z okazji urodzin Lenina, 1 i 5 maja oraz 10 czerwca, gdy świętowaliśmy powstanie Armii Ludowej, 16 października – w dzień urodzin Envera Hoxhy, 8 listopada –

w rocznicę założenia Partii oraz 28 i 29 listopada z okazji Święta Niepodległości. Siedzącą za ladą kobietę nazywaliśmy Meduzą, bo miała kręcone, niesforne włosy i nieprzyjazne spojrzenie, które sprawiało, że ludzie zastygali w drzwiach i zastanawiali się dwa razy przed wejściem do środka. Meduza zawsze trzymała przed sobą „Zëri i Popullit”, rozłożoną wciąż na tej samej stronie, i żując pestki słonecznika, wpatrywała się w wejście. Po lewej stronie gazety leżała kupka całych pestek, a po prawej łupiny tych, które już zjadła. Łuskała ziarna, nie patrząc na nie – ani przez chwilę nie spuszczała z oczu drzwi.

Gdy wchodziłyśmy, nic nie mówiła, ale przestawała żuć. Przez kilka minut patrzyła na nas w milczeniu. Jeśli była zima, mówiła:

– Czego tu chcecie? Macie jakieś dolary? Nie. Więc zmykajcie. I zamknijcie drzwi. Jest zimno.

A jeśli było lato, mówiła:

– Czego tu chcecie? Macie jakieś dolary? Nie. Więc zmykajcie. I zostawcie otwarte drzwi. Jest gorąco.

Po czym powracała do przeżuwania słonecznika.

Nigdy jednak nie wychodziłyśmy natychmiast. Patrzyłyśmy na wystawione przedmioty. Puszek coca-coli było tyle, że mogłabym zastawić nimi wszystkie półki, nawet gdyby usunąć z nich książki, by zrobić miejsce. Prażone słoje orzeszki ziemne, które smakowały pewnie tak jak prażone słoje ziarna słonecznika, a może nawet smakowały lepiej, bo inaczej po co ludzie mieliby płacić za nie dolarami? Telewizor Philips, identyczny jak ten u Metów, którzy jako jedyna rodzina w okolicy posiadali kolorowy odbiornik. „Macie bilety?” – pytali żartem, gdy w pierwszy dzień nowego roku przed ich philipsem zasiadało około czterdzieścioro dzieci, by obejrzeć turecką wersję *Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*.

Na środku sklepu stał pięknie wyeksponowany motocykl MZ. Zajmował większość wolnej przestrzeni i żeby dojść do lady, trzeba go było obejść – tak jak w Moskwie trzeba obejść grób Lenina, żeby dostać się do wyjścia z mauzoleum. Był również czerwony biustonosz, w którym Elona, mimo że nie miała jeszcze piersi, zakochała się na zabój. Mnie podobał się kapelusz przeciwsłoneczny.

Niektóre przedmioty ze sklepu walutowego przypominały upominki, jakie kierowcy ciężarówek przywozili z zagranicznych kursów dla swoich żon i dzieci albo dla żon i dzieci krewnych i sąsiadów: długopisy Bic, mydła Lux, nylonowe pończochy. Nieco rzadziej przywozili droższe rzeczy, takie jak bawełniane koszulki, szorty i kostiumy kąpielowe. Ludzie, którzy paradowali w nich latem na plaży, wyróżniali się z tłumu i otrzymywali przezwiska nawiązujące do noszonych przez nich marek, w rodzaju „facet zielone Speedo” czy „dziewczyna czerwony Dolphin”. „Wyglądasz jak turysta” – mówili ich znajomi.

Na ogół uznawano to za komplement. Czasami było to ostrzeżenie. Niekiedy – groźba. Turysta nie mógł być jednym z nas. Turystę spotykało się rzadko, ale łatwo rozpoznawało. Turysta ubierał się inaczej. Turysta miał nietypową fryzurę – jego włosy były albo przycięte w dziwny sposób, albo wcale, a bywało też tak, że został ostrzyżony całkiem niedawno na granicy, zgodnie z wymogami naszego państwa, co dla podróżników ze świata stanowiło niewielką cenę za możliwość odwiedzenia kraju, którego obywatele podróżowali po świecie tylko w wyobraźni.

Turyści przyjeżdżali latem. W czasie sjeisty włączyli się po ulicach przy akompaniamencie cykania świerszczy, obrzucani zamglonymi spojrzeniami miejscowej ludności, spieszącej do domu, by zdążyć na krótką choćby popołudniową drzemkę. Nosili wielobarwne plecaki z plastikowymi buteleczkami na wodę, które okazywały się za małe w zetknięciu z ekstremalnym upałem, dławiącym wszelkie skojarzenia ze Związkiem Radzieckim i przypominającym im raczej Bliski Wschód. Interesowało ich wszystko: rzymski amfiteatr, wenecka wieża, port, stare mury miejskie, wytwórnia papierosów, wytwórnia gumy, szkoły, siedziba Partii, pralnie chemiczne, sterty śmieci czekające na sprzątnięcie, uliczne szczury, wesela, pogrzeby, rzeczy, które się zdarzyły, rzeczy, które się nie zdarzyły, oraz te, które może się zdarzyły, a może nie. Chodzili z aparatami Nikon, żeby łowić oznaki naszej dawnej świetności i obecnej biedy, albo – w zależności od poglądów – naszej obecnej świetności i dawnej biedy. Wiedzieli, że sukces tych fotograficznych łowów zależy głównie od dobrej woli miejscowych przewodników, którzy często pracowali dla tajnych służb,

z czego turyści nie zdawali sobie sprawy. Nie wiedzieli więc, że zależą od tych przewodników całkowicie.

Turyści nigdy nie chodzili pojedynczo, zawsze w grupie. Minęły lata, zanim zrozumiałam, że były dwa rodzaje tych grup: realiści i marzyciele.

Marzyciele wywodzili się ze środowisk marksistowsko-leninowskich. Przyjeżdżali głównie ze Skandynawii, rozczarowani socjalną katastrofą nazywaną tam socjaldemokracją. Przywozili ze sobą słodycze dla miejscowych, ci jednak rzadko je przyjmowali. Uwielbiali nasze państwo, które jako jedyne na świecie zdołało zbudować społeczeństwo pryncypialnie i bezkompromisowo socjalistyczne. Zachwycali się wszystkim: prostotą naszych haseł, porządkiem w fabrykach, czystością dzieci, posłuszeństwem koni ciągnących furmanki i przekonaniem podróżujących na nich chłopów. Nawet nasze komary miały w sobie coś wyjątkowego i heroicznego, bo piły krew i nie oszczędzały nikogo, z samymi turystami włącznie. Ta grupa to byli nasi zagraniczni towarzysze. Zastanawiali się, jak można wyeksportować nasz model ustrojowy do innych krajów. Zawsze machali i uśmiechali się do nas, nawet jeśli robili to z daleka. Wierzyli w światową rewolucję.

Grupa drugiego rodzaju składała się ze znerwicowanych przedstawicieli Zachodu, znudzonych plażami nad Balatonem i na Bali, narzekających na tłumy turystów w Moskwie i Meksyku. Należeli do niszowych klubów podróżniczych, a ekskluzywne agencje turystyczne sprzedawały im najbardziej egzotyczną przygodę w miejscu położonym w sercu Europy, odległym o godzinę lotu od Rzymu i dwie godziny od Paryża, a zarazem tak dalekim, ze swoimi groźnymi górami, bajkowymi plażami, nieprzystępnymi mieszkańcami, niezrozumiałą historią i skomplikowaną polityką, że ośmielają się do niego wyprawiać tylko najbardziej natchnieni wędrowcy. Przyjeżdżali tu rozwiązać zagadkę, odkryć prawdę. Była to jednak prawda, którą już dawno zaakceptowali. Rozmawiali o niej, sącząc koktajle na Bali i wychylając kieliszki wódki w Moskwie. Była to prawda natury politycznej. A oni nie mieli żadnych przekonań politycznych poza jednym – że socjalizm, w każdym miejscu i w każdej postaci, jest sprzeczny z ludzką naturą. Zawsze to podejrzewali. A teraz już wiedzieli. Oni też do nas machali. Czasem. Lecz nie uśmiechali się tak często. Też

mieli słodczyce i chcieli rozmawiać. Niekiedy im się udawało. Gdy jednak próbowali po raz kolejny, nikt im nie odmachiwał i nikogo nie interesowały słodczyce. Nie byli w stanie odgadnąć, czy miejscowi mieszkańcy, którzy dzielili się z nimi swoimi poglądami, byli przypadkowymi przechodniami, czy agentami służby bezpieczeństwa. Mogło być tak albo tak. Wiedzieli, że trudno to stwierdzić. Ale zawsze próbowali.

Nie wiem, z jakiej grupy pochodzili turyści, których spotkałam, gdy wybrałam się z mamą i jej klasą na wycieczkę do Lezhy. To był wyjątkowo upalny jesienny dzień 1988 roku. Próbowalam przejść przez ulicę, gdy nagle usłyszałam ludzi wołających po francusku:

– *Attention! Petite fille, attention!*

– *Ça va* – odpowiedziałam odruchowo, nieco urażona, bo przecież widziałam, że ich autokar właśnie parkuje, a poza tym nie potrzebowałam, by ktoś mi mówił, jak mam przechodzić przez nasze ulice, na których samochody nie tłoczą się tak jak na Zachodzie.

Po chwili zostałam otoczona przez ponad tuzin istot ludzkich, patrzących na mnie tak, jakby wreszcie znalazły swoje ulubione zwierzątko w zoo. Czułam wszędzie zapach kremu przeciwsłonecznego. To było nieznośne. Nie chciałam za nimi iść ani się z nimi obściskować.

Pytali, jak nauczyłam się francuskiego. Ile mam lat? Gdzie mieszkam? Powiedzieli, że są Francuzami, i pytali, czy wiem, gdzie jest Francja. Przytaknęłam. A czy wiem coś o Francji? Uśmiechnęłam się. Znów poczułam się urażona. Jak mogli zadawać mi takie pytania? Jak mogli przypuszczać, że nie wiem, gdzie jest Francja? Nie chciałam z nimi rozmawiać. Postanowiłam jednak pokazać, że wiem więcej, niż im się zdawało. Zaśpiewałam jedną z ulubionych piosenek babci:

*Je suis tombé par terre,
C'est la faute à Voltaire,
Le nez dans le ruisseau,
C'est la faute à Rousseau^[7].*

– Gavroche! – wykrzyknął jeden z turystów. – Znasz piosenkę Gavroche'a! Znasz *Nędzników*!

Pozostali wyglądali na zdumionych, tak jakby nigdy nie słyszeli o Gavroche'u albo nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli przed chwilą.

Wzruszyłam ramionami. Wyjęli z toreb słodczyce.

– Chcesz coś słodkiego? – pytali.

Potrząsnęłam głową. Jakaś kobieta wyciągnęła pocztówkę.

– Wiesz, co to jest?

Na pocztówce było kolorowe zdjęcie wieży Eiffla. Zawahałam się.

– Weź ją – powiedziała. – *Un petit souvenir de Paris* – dodała, żeby mnie przekonać.

Pomyślałam o babci. Czy ucieszyłaby się, gdybym przywiozła z Lezhy kartkę pocztową z Paryża? Ale zawołała mnie mama, więc pobiegłam do naszego autobusu. Gdy odjeżdżaliśmy, patrzyłam przez okno na grupę turystów. Zobaczyłam kobietę, która chciała dać mi pocztówkę. Ona też mnie widziała. Uśmiechnęła się znowu i pomachała do mnie wieżą Eiffla, tak jakby to była chusteczka.

8

Brigatista

Kiedy wracałam do domu z wycieczki do Lezhy, nie byłam już smutna. Nuciałam w myślach piosenkę Gavroche'a, na którą nakładały się słowa pieśni: „Witaj, Enverze Hoxha, wielki jak nasze góry i ostry jak ich granie”, wyśpiewywanej na całe gardło przez uczniów siedzących z tyłu autobusu. Im dłużej myślałam o spotkaniu z turystami, tym bardziej słabło moje oburzenie. Nieprzyjemne podejrzenie, że oni wiedzą o nas mniej niż my o nich, wydało mi się teraz zabawne, a nawet podbudowujące. Zostałam poddana testowi i nabierałam coraz większej pewności, że go zdałam.

Gdy po powrocie zasiedliśmy w kuchni do obiadu, opowiedziałam o tym zdarzeniu całej rodzinie. Mimo ulgi, jaką czułam, musiałam wyglądać na zmartwioną, bo babcia wstała od stołu i nic nie mówiąc, poszła do pokoju. Po kilku minutach wróciła z zakurzoną plastikową torbą pełną wypłowiałych fotografii. Wyjęła z niej czarno-białą pocztówkę z wieżą Eiffla i podała mi ją. Na jej odwrocie ktoś napisał: „Gratulacje! Październik 1934”. Pod spodem było coś jeszcze, może podpis, ale tak blady, że całkiem nieczytelny. Wyglądał wręcz tak, jakby ktoś zadał sobie trud, by go zmazać.

– Proszę – powiedziała babcia. – My już mamy wieżę Eiffla, więc nie musisz się martwić.

Mama, która rozstawiała talerze, spojrzała na obrazek w mojej dłoni i stwierdziła:

– Z tych turystów, którzy tu przyjeżdżają, jest taki sam pożytek jak z czubka wieży Eiffla.

Byłam zaintrygowana. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że z odwiedzających nas turystów może być jakiś pożytek. Chodziło im tylko o to, by sprawdzić naszą wiedzę o ich krajach.

– A jaki jest pożytek z czubka wieży Eiffla? – spytałam.

– Żaden – odpowiedziała. – W tym rzecz.

– Chyba taki, że można się z niego rozejrzeć – odezwał się tata.

– No właśnie – powiedziała mama. – Tak jak to robią turyści.

– A powiedziałaś im, że czasem wyglądasz jak Gavroche? – zapytał tata, żeby zmienić temat.

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową. Często mówił na mnie Gavroche. To było jedno z dwóch przezwisk, które mi nadał po tym, jak musiał zrezygnować z „faszerowanej papryczki”, ponieważ nie jadłam już na tyle dużo, bym zasługiwała na takie miano.

– W co się dzisiaj bawiłaś, żeby kiedyś, tak jak Gavroche, móc pójść na barykady? – pytał, gdy wracałam pod koniec dnia do domu, czerwona na twarzy, zdyszana i spocona po godzinach spędzonych na pogoniach za faszystami, walkach na kije z rzymskimi najeźdźcami i obserwowaniu z drzew osmańskich wojsk oblegających miasto.

Później, gdy byłam już nastolatką i chciałam, żeby traktowano mnie poważniej, obciąłam włosy na krótko, by raz na zawsze pozbyć się z mojego życia wstążek. A ręcznie szyte koronkowe sukienki zamieniłam na nieco za duże chłopięce ubrania i frygijską czapkę. Teraz rozwiały się wątpliwości – to była manifestacja pewności siebie.

– Widzę, że wciąż wyglądasz jak Gavroche – zauważył tata. Trudno było odgadnąć, czy miała to być krytyka, czy pochwała.

Wpatrywałam się w pocztówkę, którą pokazała mi babcia.

– Możesz ją wziąć – powiedziała. – Jeśli będziesz o nią dbała.

Ścisnęłam kartkę w palcach. Czułam, że się pocę.

– Czy dostałaś ją od turystów, kiedy byłaś mała?

Nini się uśmiechnęła. Wyjaśniła, że dostał ją mój dziadek, który studiował we Francji, w miejscu zwanym Sorboną. Dał mu ją na zakończenie studiów jego najlepszy, nieżyjący już przyjaciel.

– We Francji! Studiował we Francji! Jak Wujek Enver! Też nauki przyrodnicze? Mówiłaś mi, że byli kolegami! Poznali się tam?

– Nie, twój dziadek studiował prawo. Znali się z Enverem już wcześniej. Przyjaźnili się już w liceum francuskim w Korczy. Ale tak, we Francji też się często spotykali. Obaj należeli do Frontu Ludowego.

– A co to jest Front Ludowy?

– Front Głupców – wtrąciła się mama.

Tata spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Babcia jednak ciągnęła dalej, jakby jej nie usłyszała. Tłumaczyła, że Front Ludowy był wielkim ruchem walczącym z faszyzmem. Organizował wiece i protesty, próbował stworzyć szeroki, ogólnoeuropejski ruch oporu. Podczas wojny domowej w Hiszpanii Brygady Międzynarodowe wspierały siły republikańskie w walce z faszystami. Mój dziadek chciał się do nich przyłączyć.

– Mój dziadek działał w wielkiej antyfaszystowskiej organizacji razem z Wujkiem Enverem?! – dopytywałam z ledwo skrywaną ekscytacją. – Nigdy mi o tym nie mówiłaś! Nigdy nie wspominałaś, że dziadek walczył z faszystami! Mogłabym 5 maja przynieść jego zdjęcia do szkoły! Mamy jakieś zdjęcia? Mamy jego listy? Coś, co mogłabym pokazać moim kolegom?

– No cóż, on nie dotarł do Hiszpanii – opowiadała dalej babcia. – Kiedy jego ojciec dowiedział się, że dziadek jest na granicy i zamierza dołączyć do Brygad Międzynarodowych, wysłał list do albańskiego ambasadora, prosząc, żeby go odesłał do kraju.

– Dlaczego to zrobił?

Babcia albo nie usłyszała mojego pytania, albo wolała je zignorować.

– Wrócił do Albanii, ale przywiózł ze sobą antyfaszystowskie ulotki. Próbował organizować jakieś spotkania, jednak policja to odkryła.

– Ale dlaczego jego ojciec nie chciał, żeby dziadek walczył z faszystami?

Nie mogłam zrozumieć, jak ktoś mógł mieć coś przeciwko zwalczaniu faszyzmu w Hiszpanii, Francji, Albanii czy w dowolnym innym miejscu. Zdenerwowałam się, że ojciec mojego dziadka nie tylko nazywał się tak samo jak nasz dawny premier, ale był też, tak jak on, faszystą.

– No cóż, nie wiem. Przypuszczam, że był trochę staromodny – powiedziała babcia niepewnym tonem. – Różnili się w poglądach politycznych.

– Dziadek spotkał jeszcze Wujka Envera?

Babcia urwała. Zmrużyła oczy i zastanawiała się przez chwilę.

– Oni... Oni... stracili kontakt. Ale mamy wieżę Eiffla! – zawołała. – To jest ważne!

Ja się jednak uparłam i nie odpuszczałam:

– To wtedy dziadek zaczął studiować na uniwersytecie?

Nini była chyba zmęczona nadmiarem pytań. Spojrzała na tatę, szukając pomocy. Pomoc jednak nie nadeszła.

– Najpierw otworzył sklep z alkoholem – opowiadała dalej. – Próbował praktykować prawo, ale odmówiono mu licencji, bo sprzeciwiał się faszyzmowi, a to były czasy króla Zogu. Uniwersytet... nie, to było kilka lat później. Kiedy skończyła się wojna.

– Co tam robił?

– Och, nic nadzwyczajnego. Uczył się rosyjskiego i angielskiego. Badał te języki, tłumaczył. Wiesz, takie sprawy. Leuszka – zapytała – czy mogłabyś pójść i przynieść jakieś sztucce?

– Czy właśnie wtedy wyprowadził się na długi czas z domu? – spytałam, patrząc na tatę. – Żeby studiować na uniwersytecie? To dlatego Nini wychowywała cię sama?

– Tak – odpowiedział. – Przetłumaczył *Kandyda* Woltera.

– Wolter! Wolter! Zastanawiałam się, kim oni byli, Wolter i Rousseau. Chodzi o to, że nie wiem o nich nic poza tym, że przyczynili się do rewolucji francuskiej.

Babcia gorliwie przytaknęła. Wyglądało na to, że zmiana tematu przyniosła jej ulgę. Chyba nie chciała sobie przypominać, że dziadek zostawił rodzinę i gdzieś odszedł, żeby spędzić wiele lat na badaniu języków i tłumaczeniach.

– Nic więcej nie musisz wiedzieć – powiedziała.

Zawsze gdy pojawiał się temat rewolucji francuskiej, poprawiał jej się humor. Mogła o niej mówić bez końca. Opowiedziała mi wszystko, co

wiedziała: jak rewolucja się zaczęła, kto brał w niej udział, co stało się z Ludwikiem XVI i Marią Antoniną, a także z biednym delfinem. Lubiła powtarzać słowa Robespierre'a, że sekret wolności tkwi w kształceniu ludzi, a sekret tyranii – w utrzymywaniu ich w niewiedzy. Opisywała słynne bitwy Napoleona i znała nazwiska uczestniczących w nich generałów. Próbowала mnie ich nauczyć, ale nie byłam w stanie tego pamiętać. Opowiadała o ludziach związanych z rewolucją, począwszy od posiedzenia Stanów Generalnych, po koniec wojen napoleońskich – o zwycięzcach, przegranych i tych pomiędzy. Robiła to tak szczegółowo i dokładnie, jakby chodziło o jej krewnych.

– Twoja babcia uważa, że rewolucja francuska przyniosła światu wolność – odezwał się tata, komentując jej entuzjazm. – Ale to była piękna idea, której nigdy nie urzeczywistniono.

– Wolter i Rousseau byli filozofami oświecenia – ciągnęła babcia. – Dlatego Gavroche mówi, że to ich wina. Oni jako pierwsi wyłożyli idee, o które walczono podczas rewolucji. Uważali, że ludzie rodzą się wolni i równi, że mają prawo samodzielnie myśleć i podejmować własne decyzje. Walczyli z ignorancją, przesądami i panowaniem możnowładców.

– No właśnie. Tak jak Marks i Hangel. Czy Wolter i Rousseau też używali gilotyny? – spytałam.

– Nie, gilotyna pojawiła się później.

– A Marks i Hangel jej używali?

– Hegel – poprawiła mnie Nini. – Chyba masz na myśli Marksa i Engelsa? Marks i Engels, no cóż... Nie, właściwie nie. Pisali książki, organizowali wiece i tak dalej. Oni również twierdzili, że wszyscy rodzą się wolni i równi, i myśleli... No przecież wiesz, co myślał Marks.

– Mówił, że w kapitalizmie nie ma wolności, bo robotnicy nie mogą robić tego wszystkiego, co robią kapitaliści – dokończyłam, dumna z mojego wkładu w dyskusję.

– Właśnie tak – potwierdził tata. – Miał rację. W socjalizmie... – urwał na moment i zaczął zdanie inaczej: – W kapitalizmie nie chodzi o to, że biednym nie wolno robić tego, co wolno bogatym. Wolno im, ale nie mogą. Wolno im na przykład wyjechać na wakacje, ale nie mogą, bo muszą cały

czas pracować, żeby zarabiać pieniądze. W kapitalizmie, jeśli nie masz pieniędzy, nie możesz pojechać na wakacje. Dlatego potrzebna jest rewolucja.

– Żeby pojechać na wakacje?

– Żeby zmienić porządek świata.

Kiedy tata mówił o jakiegokolwiek rewolucji, ożywał się tak samo jak babcia, gdy mówiła o rewolucji francuskiej. W mojej rodzinie każdy miał swoją ulubioną rewolucję, tak jak każdy miał jakiś ulubiony owoc. Ulubionym owocem mamy był arbuz, a ulubioną rewolucją – angielska. Ja najbardziej lubiłam figi i rewolucję październikową. Tata podkreślał, że podobają mu się wszystkie rewolucje, ale najbardziej lubi tę, która dopiero nadejdzie. Jeśli chodzi o owoce, najwyżej cenił pigwę, ponieważ jednak niedojrzałą pigwą można się udławić, nie zawsze pozwalał sobie na tę przyjemność. Ulubionymi owocami babci były daktyle. Trudno je było zdobyć, lecz zdążyła nacieszyć się nimi w dzieciństwie. Preferowała oczywiście rewolucję francuską, co bardzo irytowało tatę.

– Rewolucja francuska niczego nie osiągnęła – mówił teraz. – Niektórzy są wciąż niewyobrażalnie bogaci i podejmują wszystkie decyzje, podczas gdy pozostali są biedni i nie mogą zmienić swojego życia. – Pokręcił głową. – Utknęli w pułapce, tak jak ta mucha. – Wskazał bzyczącą muchę, która obijała się o szybę kuchennego okna. Potem zastanowił się i dodał coś, jakby właśnie przyszło mu to do głowy, chociaż dodawał to zawsze, powtarzał za każdym razem, by wyjaśnić, dlaczego jego ulubiona rewolucja jeszcze nie nadeszła: – Spójrz tylko na świat, brigatista, spójrz na świat.

Nie miał wprawdzie swojej ulubionej rewolucji, ale miał ulubionych rewolucjonistów, których nazywał *brigatisti*. „Brigatista” to był ten drugi przydomek, jaki mi nadał, gdy przestał nazywać mnie „faszerowaną papryczką”. Jego znaczenie zrozumiałam, dopiero gdy byłam już o wiele starsza, ale pamiętam, że używał go zwykle wtedy, gdy naruszyłam jakąś zasadę. Z czasem zaczęłam się domyślać, że znaczy on to samo co „wichrzycielka”, czyli osoba, która rzuca wyzwanie władzy. Tata mówił na przykład: „Chodź tu, brigatista, spójrz, co zrobiłaś”, „Brigatista, spóźniłaś się” albo: „Brigatista, co my mamy z tobą zrobić? Nie odrobiłaś jeszcze pracy domowej”.

Poza tym wydawało mi się, że określenie to ma coś wspólnego z przemocą, bo tata użył go w odniesieniu do innych dzieci tylko raz, gdy powiedziałam mu, że odmówiłam uczestnictwa w egzekucji kota, który ukradł jedzenie przeznaczone dla psów Flamura. Flamur pojawił się na placu zabaw, niosąc kota, zawiązał mu sznurek na szyi i kazał dzieciom ciągnąć za koniec sznurka, żeby go udusić. Kiedy opowiedziałam to tacie i dodałam, że nie zgodziłam się ciągnąć za sznurek, stwierdził:

– Czyli nie jesteś prawdziwą brigatista.

Jego ton wyraźnie wskazywał, że w tym wypadku słowo to nie było komplementem.

Użył go jeszcze przy innej okazji, tym razem odnosząc je również do siebie. Było to podczas jednej z naszych wizyt na cmentarzu, gdzie często spotykaliśmy żebraka zwanego Ziku. Ziku, Rom w średnim wieku, nie miał nóg i nosił krótkie spodnie, tak by widać było ślady po szwach w miejscu, gdzie odcięto mu kończyny. Poruszał się, pełzając po ziemi, a gdy widział tatę, zaczynał się czołgać coraz szybciej, aż w końcu nas doganiał i zagradzał nam drogę. Pomyślałam kiedyś, że Ziku jest niższy nawet ode mnie.

– Towarzysze, towarzysze! – wołał. – Macie dziś coś dla mnie?

Tata opróżniał wtedy kieszenie. Dosłownie. Oddawał mu wszystko, co miał. Po spotkaniu z Ziku przechodziliśmy czasem obok cukierni i kiedy widziałam kolejkę świadczącą o tym, że wkrótce mogą pojawić się lody, ciągnęłam tatę za rękaw. Wkładał wtedy ręce do pustych kieszeni i mówił:

– Nic mi nie zostało. Widziałas przeciw Ziku. Nie martw się. Nie bądź skąpa jak twoja mama. Czyż nie jesteśmy brigatisti?

Z tej rozmowy wywnioskowałam, że brigatisti to ludzie gotowi dzielić się z innymi swoimi pieniędzmi, a mój tata uważa się za jednego z nich, bo chętnie oddaje to, co ma. Kiedy byłam z Nini i spotykałyśmy Ziku, ona też dawała mu jakieś drobne, ale nie tyle co tata. Zostawiała sobie kilka monet, żeby kupić mi lody, a gdy stałyśmy po nie w kolejce, mówiła:

– Biedny Ziku. Wiesz, on pewnie nie lubił chodzić do szkoły i teraz musi prosić ludzi o pieniądze, bo jest niewykształcony. Powinien był odrabiać prace domowe i czytać książki, tak jak ty.

Mama nigdy mu niczego nie dała.

– Ziku powinien pracować – mówiła.

– Przecież on nie ma nóg – odpowiadałam.

– Ale ma ręce!

– Ale nie ma wykształcenia! – zauważałam.

– To jego wina! Powinien był się uczyć. Jak ludzie chcą się uczyć, to się uczą. Mnie nikt nie dawał drobnych, kiedy dorastałam.

Spytałam tatę, dlaczego musimy oddawać Ziku wszystkie pieniądze, jeśli to jego wina, że nie chodził do szkoły i nie lubił się uczyć. Tata powiedział, że to nie musi być jego wina. Tłumaczył, że dziś romskie dzieci mają obowiązek chodzić do szkoły i mieszkać w blokach, ale kiedy Ziku był dzieckiem i wychowywał się w jakimś taborze, wyglądało to pewnie inaczej.

– Nie słuchaj swojej matki – dodał. – Ona nie dałaby Ziku niczego, nawet gdyby miał doktorat. Chce wszystko oszczędzać.

Zawsze kpił z mamy i jej skłonności do oszczędzania. Kiedy dyskutowali na temat jakiegoś zakupu, rozważając na przykład zasadność nabycia nowego zimowego płaszcza, pytał ironicznie, tak jakby była kapitalistką:

– Jak oceniasz tę inwestycję?

Mama nigdy nie śmiała się z jego żartów, również z tych, które dotyczyły innych osób. Ale też nigdy nie protestowała. Wzruszała ramionami, a potem wydawała polecenie:

– Przynieś swój stary płaszc. Odwróć kołnierz na drugą stronę i będzie jak nowy.

Według taty i babci pogarda dla pieniędzy była oznaką szlachetności. Oszczędności uważali za brzemię, którego należy się pozbyć, za zagrożenie dla ludzkiej wolności. Gdy w rodzinnej kasie pojawiały się jakieś zaoszczędzone pieniądze, nawet niewielkie, tata i Nini wpadali w panikę i zaczęli się zastanawiać, co za nie kupić albo komu je dać, żeby zapobiec katastrofie, jaką byłoby zgromadzenie finansowej nadwyżki. Urodziny świętowali, wydając rozrzutnie pieniądze. Każdy dostawał co najmniej jeden prezent, a czasem kilka. Babcię i ojca cieszył stan

permanentnego zadłużenia – a odkąd pamiętam, byliśmy cały czas zadłużeni. W rzadkich przypadkach, gdy udawało się nam zapłacić miesięczne rachunki i pokryć podstawowe wydatki, zaczynali szukać innych, bardziej wyszukanych potrzeb, by rozdysponować oszczędności.

Pod koniec każdego miesiąca babcia zaglądała do pustej szuflady i wołała:

– Wszystko wydaliśmy! Nic nam nie zostało!

W jej głosie wybrzmiewał pewien niepokój, ale też niezrozumiała dla mnie nuta radości, tak jakby nie tylko informowała o nadchodzących kłopotach, lecz także ogłaszała osiągnięcie celu stanowiącego powód do dumy. Myślę, że była to rodzinna tradycja, bo Cocotte opowiadała mi kiedyś, gdy grałyśmy w pokera na ziarna fasoli, że dawno temu ona i babcia grały w pokera na prawdziwe pieniądze i nie przejmowały się wcale, gdy je traciły. Podśluchałam również, jak późnym wieczorem, w czasie pogawędek prowadzonych przed zaśnięciem, Cocotte mówiła Nini, że ich dziadek, pasza, dobrze robił, zachęcając wszystkich do trwonienia rodzinnej fortuny na biżuterię, podróże i najdroższe łoże w operze, bo przecież potem cały majątek i tak przepadł.

Mama i tata, a także rodziny, z których się wywodzili, Velisowie oraz Ypi, wyznawali całkowicie odmienne wartości i mieli zasadniczo przeciwstawne podejście do każdej niemal sprawy: jak długo można cerować ubrania, zanim kupi się nowe, czy *Sacco i Vanzetti* jest lepszym filmem niż *Przeminęło z wiatrem*, czy dzieci śpią lepiej, jeśli popłaczą sobie przed zaśnięciem, czy można pić lekko skwaśniałe mleko, jak bardzo, jeśli w ogóle, wypada się spóźnić na spotkania albo przez ile dni można żywić się resztkami jedzenia, zanim trzeba będzie przyznać się do porażki i je wyrzucić. Ypi brzydzili się pieniędzmi, a Velisowie je wielbili. Ci pierwsi przestrzegali dawnego kodeksu honorowego, podczas gdy drudzy byli dumni z tego, że go lekceważą. Rodzina ojca interesowała się bardzo polityką, również w dalekich krajach, a rodzinę mamy polityka obchodziła tylko wtedy, gdy miała bezpośredni wpływ na jej życie. To ironia losu, że te dwa rody połączył ślub, bo w innych okolicznościach mogłyby zostać zaprzysięgłymi wrogami. Historia uczyniła ich jednak sojusznikami. Żadna ze stron nie czerpała satysfakcji z konfliktów związanych z tym

współistnieniem, obie jednak znalazły strategie radzenia sobie z nimi. Wszyscy byli zaskakująco szczerzy w wyrażaniu nawzajem dezaprobaty dla swojej moralnej postawy. Nie było innego wyboru, mówili, oni musieli się pobrać. Wszystko sprowadzało się do „biografii”.

Odraza taty do pieniędzy nie ograniczała się do niechęci wobec oszczędnościowych nawyków mamy i jej krewnych. To ona była źródłem jego wrogości do kapitalizmu, który – jak mówił – żeby przetrwać, musi pomnażać zyski, napędzając cykl kupowania i sprzedawania. Mama natomiast twierdziła, że jeśli ktoś dorobił się wielkich pieniędzy, to może na nie zasłużył. Tata jednak upierał się, że nie ma innego sposobu na zarabianie pieniędzy niż wyzyskiwanie tych, którzy ich nie posiadają. Jeśli ktoś ma ich dużo, ma również władzę i może wpływać na ważne decyzje, sprawiające, że tym, którzy w punkcie wyjścia mają ich mało, bardzo trudno osiągnąć podobną pozycję społeczną.

– Każdy robi, co może, brigatista – podsumowywał – ale w ostatecznym rachunku do zmiany porządku świata potrzebna jest rewolucja, bo nikt nie zrezygnuje ze swoich przywilejów, jeśli nie zostanie do tego zmuszony.

Wiele lat później, kiedy zaczęłam studia, dowiedziałam się, że mój przydomek pochodzi od Czerwonych Brygad, włoskiej lewicowej organizacji terrorystycznej, jednej z wielu działających w różnych krajach Europy Zachodniej w latach siedemdziesiątych. Tata skończył studia na uniwersytecie w Tiranie latem 1968 roku. Pamiętał więc zabójstwo Martina Luthera Kinga w kwietniu tego roku, ucieczkę de Gaulle’a do Niemiec podczas strajków studenckich w maju i radzieckie czołgi, które w sierpniu wjechały do Pragi, co skłoniło Albanię do wyjścia w geście protestu z Układu Warszawskiego. Wydarzenia te wystarczyły, by nabrał przekonania, że ostateczne zwycięstwo nie nastąpi, dopóki wszystkie ofiary niesprawiedliwości na całym świecie nie staną się wolne. Tamtego lata myślał przez chwilę, że wolność jest możliwa, że wymaga ona sprzeciwu wobec władzy w każdej jej postaci. Ale protesty studenckie się zakończyły, a młodzi ludzie okupujący place porobili kariery polityczne, zastępując dawne ideały wolności mętą retoryką demokracji. Wtedy, jak mówił, zdał sobie sprawę, że „demokracja” to po prostu inna nazwa stosowanej przez

państwo przemocy, będącej na ogół zagrożeniem abstrakcyjnym, ale tylko do chwili, gdy możni poczują, że mogą stracić swoje przywileje.

Pod wpływem wydarzeń oglądanych we włoskiej i jugosłowiańskiej telewizji tata zafascynował się rewolucyjnymi grupami, które odrzucały w całości prawo oraz demokrację parlamentarną i wierzyły, że lud tylko przemocą może zakończyć przemoc stosowaną przez państwo. Podziwiał Giangiacoma Feltrinelliego, włoskiego wydawcę, który nie dbał o finansowe interesy swojej bogatej rodziny i odrzucał demokratyczną retorykę liberalnego państwa. Opowiadał mi, że Feltrinelli zginął w eksplozji materiałów wybuchowych; przenosił je podczas akcji rewolucyjnej organizacji Gruppi di Azione Partigiana. Opisywał jego śmierć tak szczegółowo, ze wszystkimi psychologicznymi detalami, jakby był przy niej obecny i sam ledwo uszedł z życiem. Gdy tego słuchałam, nie potrafiłam jeszcze zrozumieć, o co chodziło w całej tej operacji i dlaczego wysadzenie słupów elektrycznych miałoby wywołać rewolucję.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w albańskiej telewizji niewiele mówiono o Czerwonych Brygadach. Tata śledził doniesienia na ich temat, słuchając potajemnie włoskiego radia. Później, gdy dorosłam, próbowałam zrozumieć jego fascynację rewolucyjną przemocą. Musiał widzieć jakieś paralele między krytyką opresyjnego państwa i swoim własnym położeniem. Mówił, że terroryzm nie byłby konieczny, gdyby walczące z państwem organizacje rewolucyjne dysponowały takim samym uzbrojeniem jak armia. Nienawidził wojen, był pacyfistą. Rewolucja wydawała mu się jednak czymś romantycznym. Był wolnym duchem, który utknął w państwie o wyjątkowo sztywnym porządku politycznym, człowiekiem z biografią, której sobie nie wybrał, ale która wyznaczała jego miejsce w tym świecie. Musiał sam szukać sensu i wypełniać swoje moralne obowiązki, nie dopuszczając do tego, by tłumaczył mu je ktoś inny, ktoś, kto przypisywał znaczenie faktowi, dla mnie całkowicie nieistotnemu, że ojciec nazywał się tak samo jak dawny premier.

Kiedy jednak próbował tłumaczyć to wszystko tak, by inni mogli go zrozumieć i jakoś zareagować, kiedy próbował wyjaśniać, czym jest wolność od represyjnej państwowej maszyny i rynkowego wyzysku, brakowało mu słów. Wiedział, co budzi jego sprzeciw, lecz miał kłopot

z opisaniem, czym chciałby to zastąpić. Zdania, teorie, idee tłoczyły się w jego głowie, a on szukał sposobu, by je uporządkować, by wyłożyć swoje poglądy i podzielić się nimi. Ostatecznie jednak wszystko rozlatywało się na tysiące kawałków: to, co wiedział, kim był, kim chciał być, czego pragnął. Tak jak życie rewolucjonistów, których wielbił za ich bohaterską śmierć; tak jak jego ulubiona rewolucja, która nigdy się nie wydarzyła.

Ahmet kończy studia

Pod koniec września 1989 roku, kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego, do naszej klasy dołączył chłopiec o imieniu Erion. Jego rodzinę przeniesiono z Kawai, miasta, gdzie mieszkała moja rodzina, zanim się urodziłam. Posadzono go na miejscu obok mnie. Przedstawił się, a kiedy usłyszał moje imię, zawołał radośnie:

– Ty jesteś Lea! Lea Ypi! Rodzice mówili mi, żebym cię poszukał. Jesteśmy spokrewnieni. Mój dziadek to kuzyn twojej babci. Razem się wychowywali. Mam dla niej wiadomość. Musisz powiedzieć babci, że Ahmet skończył studia. On wrócił. Ahmet to mój dziadek. Możecie go odwiedzić.

Kiedy powiedziałam w domu, że spotkałam nowego kuzyna, wszyscy byli zaskoczeni.

– Trochę za późno na odkrywanie nowych krewnych, nie sądzisz? – zażartował tata.

Wtedy przekazałam wiadomość.

– Ahmet... – wyszeptała zamyślona Nini. – Ahmet wrócił. I chce, żebyśmy go odwiedzili. Powinniśmy pojechać? – zastanawiała się. – Pogratulować mu ukończenia studiów? Powinniśmy kupić mu prezent?

Tata był za, ale mama pokręciła głową.

– Musimy być ostrożni – powiedziała. – Jego zmarła żona, Sonia, była nauczycielką. A sam Ahmet na pewno ma już pracę.

– Przecież jest za stary, żeby pracować – zaproponował tata.

Zamyślona Nini wciąż wpatrywała się w ścianę.

– Tak, dla niego to już późno – powiedziała w końcu. – Jest teraz stary. Ale kto wie?

Ta rozmowa nie miała sensu. Dlaczego nie mielibyśmy odwiedzić człowieka, którego żona była nauczycielką? Dlaczego nie mielibyśmy złożyć gratulacji krewnemu, który właśnie skończył studia?

– Chciałabym pobawić się z Erionem – powiedziałam. – On jest miły. Chcę go zobaczyć.

Po długiej dyskusji rodzina zdecydowała się na odwiedzin. Kupiliśmy pudełeczko rachatłukum, wizyta się odbyła, kuzyn i kuzynka spotkali się po latach.

Od tej pory Ahmet często do nas przychodził. Pukał do drzwi laską z drewna czereśni, którą się podpierał. Przynosił drobne upominki, na przykład malowane latawce czy kapelusze z kartonu, a niekiedy przyprowadzał Eriona – bawiliśmy się wtedy w szkołę moimi lalkami. Ahmet mówił powoli, niemal z trudem. Pachniał tytoniem i nosił ze sobą gazetę zwiniętą w rurkę, którą łaskotał mnie pod podbródkiem. Kiedy sięgał po spodeczek z filizanką kawy, jego dłonie drżały, a łyżeczka w filizance dzwoniła o jej krawędź. Patrzyłam wtedy na jego prawą dłoń pozbawioną kciuka. Miał długie palce o jasnożółtej barwie. Wyglądały jak pomalowane, ale tak naprawdę pożółkły od tytoniu, z którego skręcał papierosy.

Kiedy Ahmet zastawał u nas Cocotte, wszyscy mówili po francusku, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi. Pewnego razu spytałam, czy zagraliby ze mną w pokera na ziarna fasoli, ale Cocotte powiedziała, że poker to burżuazyjna gra. Nie zrozumiałam tego, nie chciałam jednak oponować, więc nie zdradziłam Ahmetowi, że zawsze gram z Cocotte w pokera i nikt wtedy nie mówi, że to burżuazyjne. Ahmet usiadł na kanapie obok babci i zaczął opowiadać, jak wiele się zmieniło podczas jego nieobecności.

– Jest tak wiele dobrych rzeczy. Wszędzie obfitość. Sklepy są pełne. Ludzie szczęśliwi. Panuje spokój i dostatek.

Nini spokojnie przytakiwała.

Kilka miesięcy później tata dowiedział się, że zostaje przeniesiony z biura mieszczącego się kilka kilometrów od centrum miasta do innego

oddziału, w dalekim miasteczku Rrushkull. Musiał teraz wstawać znacznie wcześniej, jeszcze przed świtem, i najpierw jechać po ciemku autobusem, a potem długo iść piechotą. Czasem, jeśli miał szczęście spotkać po drodze jakichś chłopów, podwozili go furmanką. Nini martwiła się, że zimą nasilą się u niego objawy astmy. Wszyscy zaś się zgodzili, że złożenie gratulacji Ahmetowi i zaproszenie go na kawę było błędem.

– Wiedziałam – powiedziała mama. – Wiedziałam, że ma załatwioną pracę. Pewnie pracował już podczas studiów. Mówiłam, żeby się z nim nie kontaktować. Jego żona była nauczycielką. Wiele osób musiało przez nią studiować dłużej. Ktoś zrezygnował nawet ze studiów.

Dopatrywanie się związku między odnowieniem kontaktu z Ahmetem a przeniesieniem taty wydawało mi się jeszcze bardziej niedorzeczne niż dyskusja o tym, czy powinniśmy mu złożyć gratulacje z okazji otrzymania dyplomu. Jednak w rodzinnych rozmowach te dwa wydarzenia często ze sobą łączono. Wizyty Ahmeta miały oznaczać, że zagrożone jest również miejsce pracy mamy.

– Musimy przestać otwierać mu drzwi – oświadczyła w pewnym momencie Nini – bo w przeciwnym razie Doli też niedługo przeniosą.

Tak też zrobiliśmy. Kiedy Ahmet i Erion przychodzili z wizytą, udawaliśmy, że nie ma nas w domu. Wyłączaliśmy radio i telewizor. Przez kilka minut siedzieliśmy cicho. Czasem Donika zauważała ich w dole ulicy i wołała przez okno do mamy:

– Dalaaaa! Dalaaaa! On idzie. Wasz kuzyn idzie.

Ahmet stukał swoją laską i czekał. Erion walił w drzwi pięścią. Wystawiałam znad parapetu czubek głowy i wyglądałam. Czekali jeszcze chwilę, po czym podnosili torby z latawcami i kapeluszami, które postawili na ziemi, i zawracali. Erion biegł przodem, a Ahmet szedł za nim, powłócząc jedną stopą, tak jakby należała do kogoś innego. Miał dziwnie obojętny wyraz twarzy, jakby również jego myśli nie należały do niego. Było mi smutno, kiedy odchodzili. Tata zauważył to kiedyś i powiedział:

– Nie martw się, brigatista – próbował mnie pocieszyć. – Nie bądź smutna. Jak będziesz starsza, wszystko zrozumiesz. Ahmet skończył studia, ale wciąż pracuje.

W mojej rodzinie zawsze interesowano się ludźmi, którzy skończyli uniwersytet. To był najczęstszy temat rozmów podczas urodzinowych przyjęć i spotkań z dalszą rodziną. W czasie kilku miesięcy poprzedzających grudzień 1990 roku stał się on właściwie jedynym tematem godnym uwagi. Im mniej wszyscy interesowali się polityką, tym żywiej rozprawiali o wyższym wykształceniu. Gdy odwiedzał nas ktoś z krewnych, podawano kawę i zaczynały się rozmowy w rodzaju:

- Słyszeliście, że Nazmi zdobył dyplom?
- Och, myślałam, że skończył studia już wcześniej.
- Nie, dopiero teraz.

Potem mówiono o osobach, które porzuciły studia, i o tych, które uzyskiwały świetne oceny. Wspominano, jak trudno było kiedyś, w porównaniu z dzisiejszymi czasami, skończyć uniwersytet.

– Wtedy Isuf nie obronił dyplomu, ale kiedy jego żona zdała na studia, radziła sobie bardzo dobrze – opowiadała babcia.

- Tak, tak – przytakiwał ktoś. – Była świetna. Została potem na uczelni. Niektóre uniwersytety były znacznie trudniejsze do ukończenia niż inne.
- Fatime trafiła do B. i niestety nie skończyła.

Albo:

– Jej mąż był w V., a potem przeniósł się do T. i z wielkim trudem zaliczał egzaminy.

- Kto wie, jak by to wyglądało obecnie, po zmianie rektora?

Bądź:

– Wydaje się, że dziś mniej osób ma problemy z ukończeniem uniwersytetu.

– Tak – odzywał się jakiś sceptyczny głos – ale nie wiemy przecież, ilu kandydatów przyjmują.

W wielu rozmowach porównywano różne wydziały pod kątem trudności ich ukończenia.

- Josif studiował stosunki międzynarodowe, ale Bela wybrał filozofię.

Wiadomo było, że jeśli ktoś szedł na stosunki międzynarodowe, uzyskanie dyplomu było praktycznie niemożliwe. Za to ekonomię kończyło się dość szybko. Z innych rozmów wywnioskowałam, że jeśli ktoś

ukończył bez kłopotów trudne studia, mógł otrzymać nakaz pracy na uczelni, żeby na niej uczyć. Z jakichś powodów takie przypadki traktowano podejrzliwie. Różne były też opinie o nauczycielach. Niektórzy byli surowi i budzili strach – tych trzeba było za wszelką cenę unikać – inni zaś mieli luźniejszy styl nauczania i byli bardziej przystępni.

Dorośli nigdy nie wypowiadali nazw uczelni, tylko pierwszą literę. Mówili na przykład:

– Avni ukończył B.

Albo:

– Emine zaczęła studia w S., a potem przeniosła się do M.

Siedziałam przy małym stoliku w salonie i nic nie mówiąc, bawiąc się lalkami, próbowałam dopasowywać te litery do nazw miast uniwersyteckich. Kiedy uznałam, że mi się udało, pytałam:

– Czy jak mówicie S., to macie na myśli Szkodrę?

Wtedy jednak dorośli uświadamiali sobie, że ich słucham, i wysyłali mnie z lalkami do mojego pokoju.

Najbardziej zagubiona byłam, gdy rozmowa dotyczyła studiów dziadka. Część krewnych mówiła, że być może nie musiałby się uczyć tak długo, gdyby nie jego ojciec, który nazywał się tak samo jak nasz były premier. Inni uważali, że te dwie biografie nie mają ze sobą żadnego związku, że dziadek i tak poszedłby na uniwersytet, bo był „intelektualistą”, a większość intelektualistów studiuje. Kiedy dowiedziałam się, że dziadek obronił swój pierwszy dyplom w Paryżu, byłam ciekawa, gdzie studiował później, w okresie, gdy uczył się angielskiego i rosyjskiego oraz tłumaczył *Kandyda* Woltera, co w sumie zajęło mu piętnaście lat. Ale ta druga uczelnia pozostawała tajemnicą.

– Studiował w B., a potem był w S. – odpowiadano mi.

– Co to jest B. i S.? – dopytywałam.

– Studiował literaturę – słyszałam wtedy.

– Ale mi nie chodzi o to, co studiował – upierałam się. – Tylko *gdzie*.

– No cóż, tu i tam. Niedaleko stąd.

– Niedaleko skąd? Ale dlaczego tam? – pytałam.

– No wiesz, biografia – powtarzali. – To była część jego biografii.

Z licznych rozmów, których wysłuchałam przez lata, najwyraźniej pamiętam te dotyczące starego nauczyciela dziadka o imieniu Haki. Wielu krewnych, którzy studiowali na tej samej uczelni, znało Hakiego. Wszyscy opowiadali, że jeśli trafiło się do niego na zajęcia, szansa na ukończenie studiów dramatycznie malała; znacznie bardziej prawdopodobne było, że się z nich wyleci. Informację o tym, że ktoś został usunięty z uczelni, przekazywano zwykle szeptem. Ludzie reagowali na nią smutnymi spojrzeniami i odpowiadali drżącym głosem:

– Tak mi przykro, to straszne. Naprawdę mi przykro.

Bardziej dramatyczne reakcje wywoływały tylko wiadomości o tym, że ktoś dobrowolnie zrezygnował ze studiów.

– To przez Hakiego – słyszałam wtedy. – Ona nie mogła już dłużej znieść Hakiego.

– Nie, nie tylko przez Hakiego. Przez cały ten wydział.

– Tak, ale bez Hakiego może by dała radę.

Haki miał opinię człowieka traktującego nauczanie bardzo poważnie. Był jednym z najsurowszych nauczycieli, słynącym z wymierzania dotkliwych, upokarzających kar.

Jedną z historii dotyczących Hakiego omawiano wielokrotnie. Zdarzyła się, gdy dziadek Asllan skończył już wydział literatury, latem 1964 roku. Był po studiach, ale nie mógł znaleźć pracy. Pukał do wielu drzwi, okazało się to jednak trudniejsze, niż myślał. Przeszkodą była jego biografia. Postanowił napisać list do dawnego szkolnego kolegi, wysoko postawionego w kręgach partyjnych. Kopię tego listu wciąż mieliśmy – znajdowała się w tej zakurzonej torbie z wyblakłymi pocztówkami, wśród których babcia znalazła kartkę z wieżą Eiffla. Zaczął go od słów: „Drogi towarzyszu Enverze”. Dalszy ciąg brzmiał jak początek konstytucji: „Ludzka godność jest nienaruszalna. Podstawą socjalizmu jest godność mająca swoje źródło w pracy”. W kolejnym akapicie znalazły się wyrazy wdzięczności za umożliwienie dziadkowi kontynuowania edukacji jeszcze przez rok oraz wyrazy uznania dla Partii za wspaniałe postępy, jakie kraj poczynił dzięki socjalistycznej władzy. Na zakończenie dziadek prosił o przyjęcie do pracy, najlepiej w zawodzie zgodnym z jego umiejętnościami.

Kilka dni po wysłaniu listu Asllan otrzymał odpowiedź wysłaną z siedziby Partii. Mógł zacząć pracować na stanowisku prawnika. W poniedziałek założył swój jedyny garnitur i udał się do pracy. Był to czarny garnitur w jasne prążki, ten sam, który miał na sobie podczas zakończenia studiów, na ślubie moich rodziców oraz w dniu, w którym przywieziono mnie do domu ze szpitala położniczego. Ten sam, w którym go pochowano. Minęło kilka miesięcy i do drzwi jego biura zapukał Haki. Przyszedł z prośbą o wydanie jakiegoś zaświadczenia.

Początkowo nie poznał ubranego w garnitur Asllana.

– Potrzebny mi jest podpis pod tym dokumentem – powiedział, pokazując kartkę, którą trzymał w dłoni.

– Proszę usiąść – zaproponował Asllan. – Czy mogę poczęstować was papierosem?

Haki zdał sobie wtedy sprawę, że gdzieś już spotkał dziadka, i poczuł się nieswojo.

– Czy my się znamy? – zapytał.

– Witajcie, Haki. Jak miło was zobaczyć.

Haki zawahał się.

– Mogę przyjść kiedy indziej – zaproponował.

– Nie martwcie się – powiedział dziadek. – Załatwimy to błyskawicznie.

Haki siedział w biurze, paląc papierosa, podczas gdy Asllan grzebał w papierach. Gdy wszystko było gotowe, Haki chciał zapłacić, ale dziadek odmówił.

– Tak wiele już zrobiliście, Haki. Teraz moja kolej.

Haki podziękował mu wylewnie i na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie.

Ze wszystkich historii o uniwersytetach ta utkwiała mi w pamięci najmocniej, nie z tego powodu, że słuchałam jej tyle razy, ale dlatego, że ton, jakim ją opowiadano, a także reakcje słuchaczy były za każdym razem inne.

– Asllan dobrze zrobił – mówili krewni znający Hakiego.

Inni jednak dziwili się, jak Asllan mógł podać mu rękę. Czyżby zapomniał, że jego najlepszy przyjaciel zrezygnował z powodu Hakiego ze

studiów? Później się dowiedziałam, że to właśnie ten przyjaciel był autorem gratulacji z pocztówki z wieżą Eiffla.

– Haki był nauczycielem. To nie on ustalał zasady, które musiał stosować – tłumaczyła Nini, usprawiedliwiając postępowanie męża.

– Jeśli tak, to w ogóle nie mamy prawa nikogo za nic winić – odpowiadali tamci. – Nauczyciel zawsze ma jakiś margines swobody i nie musi być tak surowy, jak się tego od niego wymaga. Łatwo skierować uwagę na sam szczyt łańcucha dowodzenia i za wszystko, co złe, winić Ministerstwo Edukacji bądź samego ministra, lecz za wprowadzanie w życie zasad odpowiada wiele współpracujących ze sobą osób.

Tłumaczyli, że na każdym szczeblu i w każdym momencie jest przestrzeń na własne decyzje. Haki nie musiał być tak surowy, a jego okrucieństwo nie powinno być nagradzane uściskiem dłoni.

Często się zastanawiałam, dlaczego babcia powtarzała tę opowieść za każdym razem, gdy podczas wizyt krewnych ktoś wspomniał uniwersytet B., gdzie pracował Haki. Nie rozumiałam sensu dogłębnego analizowania faktu, że dziadek poczęstował go papierosem. Jakie znaczenie miało to, że potraktował go jak dawnego znajomego? Kiedyś usłyszałam, jak babcia cytuje Robespierre'a: „Ukaranie ciemżyciela ludzkości jest aktem łaski, a wybaczenie mu – barbarzyństwem”. Imię Hakiego pojawiało się w podobnym kontekście, ale nazywanie go ciemżycielem ludzkości wydawało się przesadą. Wciąż jednak nie wiedziałam, co dziadek studiował na uniwersytecie. I dlaczego moja rodzina tak obsesyjnie dociekała, kto jest odpowiedzialny za wszystkie krzywdy.

Gdy myślę o nierozwiązanych zagadkach mojego dzieciństwa i przypominam sobie robiące na mnie takie wrażenie opowieści o Ahmecie i Hakim, wydają mi się one teraz częścią prawdy, która zawsze była obecna i czekała na odkrycie – tyle że ja nie wiedziałam, gdzie skierować spojrzenie. Nikt niczego przede mną nie ukrywał, wszystko znajdowało się w zasięgu wzroku. A mimo to musiałam czekać, by ktoś mi to powiedział.

Nie wpadłam na pomysł, by zamiast pytać, *gdzie* znajdowały się uniwersytety B., S. i M., zapytać, *czym* one były. Nie mogłam znaleźć właściwych odpowiedzi, bo nie potrafiłam zadawać właściwych pytań. Ale czy mogło być inaczej? Kochałam moją rodzinę. Wierzyłam jej.

Akceptowałam wszystko, co mówili, by zaspokoić moją ciekawość. W swoich poszukiwaniach pewności polegałam na nich, wierząc, że pomogą mi w odczytaniu sensu świata. Nigdy nie przyszło mi do głowy – aż do tamtego deszczowego dnia w grudniu 1990 roku, gdy spotkałam się ze Stalinem – że moja rodzina była źródłem nie tylko wszelkiej pewności, lecz także wszelkich wątpliwości.

Koniec historii

Kilka miesięcy przed tym, jak objęłam Stalina, widziałam jego portrety niesione ulicami stolicy 1 maja, podczas obchodów Święta Pracy. Pochód odbywał się co roku. Program telewizyjny zaczynał się wtedy wcześniej, a w jugosłowiańskiej telewizji nie było relacji sportowych, co oznaczało, że nie musiałam walczyć z tatą o dostęp do ekranu. Mogłam więc obejrzeć pochód, teatrzyk kukiełkowy i film dla dzieci, a potem wyjść z domu w odświętnym ubraniu, kupić lody i zapozować do zdjęcia u jedyne go fotografa w mieście, który zwykle stał pod fontanną niedaleko Pałacu Kultury.

1 maja 1990 roku, ostatnie Święto Pracy, jakie obchodziliśmy, był najradośniejszy. A może tak się tylko wydaje, bo był ostatni. Obiektywnie rzecz biorąc, nie mógł być radosny. Kolejki po podstawowe produkty stawały się coraz dłuższe, a półki w sklepach pustoszały. Nie obchodziło mnie to jednak. Kiedyś byłam wybredna, jeśli chodzi o jedzenie, ale teraz, gdy podrosłam, nie narzekałam już, że muszę jeść tanią fetę zamiast bardziej cenionego żółtego sera albo stary dżem zamiast miodu.

– Najpierw moralność, potem jedzenie – mówiła pogodnym tonem babcia, a ja nauczyłam się z nią zgadzać.

5 maja 1990 roku Toto Cutugno wygrał konkurs Eurowizji, w którym wystąpił z piosenką *Insieme: 1992*. Dzięki programowi *Języki obce w domu* zrobiłam wystarczające postępy, by zrozumieć jej słowa i nucić ją sobie w myślach: „*Sempre più liberi noi / Non è più un sogno e noi non siamo più soli / Sempre più uniti noi / Dammi una mano e vedrai che voli / Insieme... unite, unite Europe*”^[8]. Dopiero kilka lat później odkryłam, że piosenka, która – jak mi się zdawało – śławi wolność i jedność urzeczywistniane

w Europie dzięki rozpowszechnianiu się ideałów socjalizmu, dotyczyła tak naprawdę traktatu z Maastricht, który miał wkrótce doprowadzić do konsolidacji gospodarki wolnorynkowej.

Tymczasem Europę oblegali wszelkiej maści „chuligani”, podkopujący porządek publiczny. Polska rozważała wycofanie się z Układu Warszawskiego. Komunistyczne partie Bułgarii i Jugosławii zrzekły się politycznego monopolu. Litwa i Łotwa ogłosiły niepodległość i wystąpiły ze Związku Radzieckiego. Radzieckie wojska weszły do Baku, żeby tłumić protesty Azerów. Podśledzałam, że rodzice rozmawiają o „wolnych” wyborach w Niemczech Wschodnich. Spytałam tatę:

– Co się wybiera w wyborach, które nie są wolne?

Nie wyglądał na zachwyconego tym pytaniem i próbował zmienić temat.

– Nie cieszysz się, że Nelson Mandela został zwolniony z więzienia?

Podwoiła się liczba odwiedzających nas gości. Przychodzili nawet wtedy, gdy na Direkti nie było żadnych meczów piłki nożnej ani festiwali piosenki. Rodzice zaczęli mnie wysyłać wcześniej do łóżka. W chmurze dymu zasnuwającego wieczorami nasz salon ludzie skręcający papierosy wyglądali jak cienie.

W przyciszonych głosach gości witających się w wejściu wyczuwałam niepewność, ale nie było w nich słycać strachu. Wszyscy nadal klepali mnie po ramionach, pytali, jak radzę sobie w szkole, czy w klasie są uczniowie lepsi ode mnie i czy Partia nadal może być dumna z moich osiągnięć. Potakiwałam i przekazywałam dobre wiadomości.

Wstąpiłam właśnie do pionierów i zostałam wybrana, by reprezentować naszą szkołę w delegacji składającej wieńce na grobach bohaterów II wojny światowej. Miałam też wygłosić tekst ślubowania wierności Partii. Przed rozpoczęciem lekcji stanęłam przed wszystkimi uczniami i uroczystym tonem zapytałam:

– Pionierzy Envera! Czy jesteście gotowi walczyć o sprawę Partii?

– Zawsze gotowi! – odpowiedział grzmiący chór pionierów.

Rodzice byli ze mnie dumni i w nagrodę za moje osiągnięcia zabrali mnie w wakacje nad morze.

Tego lata spędziłam też dwa tygodnie na obozie pionierów. Dzwonek budził nas codziennie o siódmej rano. Bułki, które dostawaliśmy na śniadanie, smakowały jak guma, ale kobieta, która je rozdawała w kantynie, była niezwykle miła i serdeczna. Resztę przedpołudnia spędzaliśmy na plaży, gdzie mogliśmy się opalać, pływać i grać w piłkę. W porze obiadu ustawialiśmy się w kolejce po miskę ryżu, jogurt i winogrona. Później szliśmy do pokoi na sjęstę, żeby spać albo udawać, że śpimy. Dzwonek odzywał się po raz drugi o piątej po południu. Po sjęście graliśmy w ping-ponga albo w szachy, potem mieliśmy zajęcia edukacyjne w grupach – zajmowaliśmy się matematyką, naukami przyrodniczymi, muzyką, sztuką i literaturą. Na kolację podawano nam zupę warzywną, po której wybiegaliśmy na zewnątrz, żeby zająć miejsca w kinie pod gołym niebem. Po nocach gadaliśmy, nawiązywaliśmy nowe znajomości, a najodważniejsi i najstarsi się zakochiwali.

W dzień trwało nieustające współzawodnictwo. Konkurowaliśmy o to, kto najlepiej pościeli łóżko, kto pierwszy ukończy posiłek, kto zna najwięcej nazw stolic świata, kto przepłynie najdłuższy dystans, kto przeczytał najwięcej powieści, kto potrafi rozwiązywać skomplikowane równania kwadratowe i kto umie grać na większej liczbie instrumentów muzycznych. W czasie tych dwóch tygodni zniknęły więzi socjalistycznej solidarności, którą z takim trudem wpajali nam przez cały rok nasi nauczyciele. Po kilku pierwszych dniach przestano nas odwozić od współzawodnictwa – teraz było ono organizowane odgórnie, z podziałem na grupy wiekowe. Wprowadzono centralne zarządzanie wyścigami, olimpiadami na niby i konkursami poetyckimi; stały się one tak ważnym aspektem obozowego życia, że uczestnictwa w nich odmawiały jedynie elementy drobnomieszczańskie i reakcyjne. Gdy minęły dwa tygodnie, tylko nieliczne dzieci wracały do domu bez przynajmniej jednej czerwonej gwiazdy, proporczyka, dyplomu uznania albo medalu za zwycięstwo – jeśli nie w konkurencji indywidualnej, to choćby w drużynowej. Ja miałam po jednej nagrodzie z każdej kategorii.

To były moje ostatnie takie wakacje. Czerwona pionierska chusta, na której zdobyłam tak ciężko pracowałam i w której, pełna dumy, chodziłam codziennie do szkoły, wkrótce zmieniła się w szmatę do ścierania kurzu

z póltek. Gwiazdy, medale, dyplomy i sam tytuł pioniera zostały już tylko muzealnymi relikdami, wspomnieniami innej epoki, okruchami przeszłości, w której się żyło – gdzieś, kiedyś.

Nasz wcześniejszy pobyt nad morzem okazał się pierwszym i ostatnim rodzinnym wyjazdem wakacyjnym. To był ostatni sezon, kiedy państwo organizowało wczasy. 1 maja odbył się ostatni pochód, którym lud pracujący uczcił wolność i demokrację.

12 grudnia 1990 roku ogłoszono oficjalnie, że Albania jest teraz państwem wielopartyjnym i będą się w nim odbywać wolne wybory. Stało się to prawie dwanaście miesięcy po tym, jak w Rumunii rozstrzelano Ceaușescu, który zmarł z *Międzynarodówką* na ustach. Wojna w Zatoce już trwała. W niedawno zjednoczonym Berlinie na stoiskach z pamiątkami sprzedawano fragmenty muru. Przez ponad rok wydarzenia te nie miały wpływu na mój kraj. Albo prawie nie miały. Sowa Minierwy wyleciała, jak zwykle zapominając o nas. Potem jednak sobie przypomniała i wróciła.

Dlaczego socjalizm się skończył? Jeszcze przed kilkoma miesiącami pani Nora tłumaczyła nam na lekcji etyki, że socjalizm nie jest doskonały, bo nie jest jeszcze taki, jaki będzie komunizm, gdy wreszcie nadejdzie. Socjalizm to dyktatura, mówiła, dyktatura proletariatu, inna i z pewnością lepsza niż dyktatura burżuazyjna, panująca w krajach imperialistycznego Zachodu. W socjalizmie władzę w państwie sprawuje klasa robotnicza, a nie kapitał, prawo służy interesom ludu pracującego, a nie tych, którzy chcą mnożyć swoje zyski. Przyznała jednak, że w socjalizmie również są pewne problemy. Walka klasowa jeszcze się nie zakończyła. Mamy zewnętrznych wrogów, takich jak Związek Radziecki, który dawno już porzucił komunistyczne ideały i stał się represyjnym państwem imperialistycznym, wysyłającym czołgi, by miażdżyć mniejsze kraje. Mamy też wielu wrogów wewnętrznych. Ludzie, którzy kiedyś byli bogaci i utracili przywileje oraz majątki, wciąż spiskują przeciwko władzy robotniczej. Oni zasługują na karę. Z czasem jednak siły proletariatu zwyciężą. Gdy ludzi wychowuje się w systemie zgodnym z duchem humanizmu, a dzieciom wpaja słuszne poglądy, tłumaczyła Nora, to zostają one uwewnętrznione. Wrogów klasowych będzie coraz mniej, a walka klasowa najpierw osłabnie, a w końcu ustanie. Wtedy dopiero zacznie się

prawdziwy komunizm. Jego wyższość nad socjalizmem polega na tym, że prawo przestanie być potrzebne do karania obywateli, a ludzie zostaną wyzwoleni raz na zawsze. Wbrew propagandzie naszych wrogów komunizm nie będzie stosował represji wobec jednostek, lecz po raz pierwszy w dziejach ludzkości urzeczywistni pełną wolność.

Zawsze wierzyłam, że nie ma nic lepszego niż komunizm. Przez całe życie, gdy budziłam się rano, pragnęłam zrobić coś, żeby nadszedł szybciej. Ale w grudniu 1990 roku ci sami ludzie, którzy niedawno maszerowali, sławiąc socjalizm i świętując postępy na drodze do komunizmu, teraz wyszli na ulicę, by domagać się jego końca. Przedstawiciele ludu oznajmiali, że tym, czego zaznali za czasów socjalizmu, nie były wolność i demokracja, lecz tyrania i przymus.

Czego ja doczekałam? Jak teraz urzeczywistnimy komunizm, jeśli nie ma już socjalizmu? Wpatrywałam się z niedowierzaniem w ekran telewizora, gdzie sekretarz Biura Politycznego ogłaszał, że pluralizm polityczny nie jest już podlegającą karze herezją, moi rodzice zaś oświadczyli, że nigdy nie popierali Partii, na którą – sama to widziałam – zawsze głosowali, i że nigdy nie uznawali jej autorytetu. Nauczyli się po prostu sloganów i powtarzali je tak jak wszyscy, tak jak ja, kiedy każdego ranka składałam w szkole przysięgę wierności. Była jednak pewna różnica. Ja wierzyłam. Nie znałam niczego innego. I teraz nie zostało mi nic, z wyjątkiem tych wszystkich maleńkich, tajemniczych okruchów przeszłości, które były jak pojedyncze nuty dawno zaginionej opery.

Po kilku dniach powstała pierwsza partia opozycyjna, a moi rodzice ujawnili mi prawdę. Ich prawdę. Powiedzieli, że mój kraj przez prawie pół wieku był więzieniem na świeżym powietrzu. Że uniwersytety, które tak udręczyły moją rodzinę, owszem, były placówkami edukacyjnymi, ale szczególnego rodzaju. Że kiedy mówili o krewnych kończących studia, tak naprawdę chodziło im o ich niedawne wyjście z więzienia – ukończenie uniwersytetu oznaczało w sekretnym języku odbycie wyroku. Że litery, które miały być rzekomo inicjałami uniwersyteckich miast, były w rzeczywistości inicjałami więzień i miejsc zsyłki. B. oznaczało Burrel, M. – Maliq, a S. – Spaç. Że nazwy kierunków studiów stanowiły odpowiedniki różnych kategorii wyroków. Stosunki międzynarodowe

oznaczały oskarżenie o szpiegostwo, literatura – wrogą agitację i propagandę, a dyplom z ekonomii – przestępstwo niższej rangi, na przykład ukrywanie złota. Studenci, którzy zostawali na uczelni jako nauczyciele, to byli więźniowie, którzy po odsiedzeniu wyroku pracowali jako donosiciele tajnej policji, jak nasz kuzyn Ahmet i jego żona Sonia. Że surowy profesor był funkcjonariuszem, który doprowadził wielu ludzi do śmierci – jak Haki, któremu mój dziadek uściskał dłoń po odbyciu swojego wyroku. Gdy mówiono o kimś, kto miał świetne wyniki w nauce, chodziło o to, że wyrok był krótki, a pobyt w więzieniu minął bez żadnych komplikacji. Usunięcie ze studiów oznaczało natomiast wyrok śmierci, a ich dobrowolne porzucenie, tak jak w przypadku przyjaciela dziadka z Paryża – samobójstwo.

Dowiedziałam się, że premier, którym nauczono mnie gardzić, noszący to samo nazwisko co mój ojciec, nie nazywał się tak przez przypadek – *był* moim pradziadkiem. Ciężar tego nazwiska niszczył nadzieje taty przez całe jego życie. Nie mógł studiować na wybranym przez siebie wydziale. Musiał tłumaczyć się ze swojej biografii. Musiał zadośćuczynić za grzechy, których nie popełnił, i kajać się za poglądy, których nigdy nie wyznawał. Mój dziadek, choć nie zgadzał się ze swoim ojcem tak bardzo, że postanowił dołączyć do sił republikańskich w Hiszpanii, by znaleźć się po przeciwnej stronie frontu, zapłacił za to pokrewieństwo piętnastoletnim pobytem w więzieniu. Ja również, mówili rodzice, mogłam za nie zapłacić, kto wie, w jaki sposób. Mogłabym zapłacić, gdyby mnie nie oszukiwali, by utrzymać to wszystko w tajemnicy.

– Ale ja byłam pionierką – zaprotestowałam. – Przyjęto mnie do pionierów rok przed terminem.

– Każdy mógł zostać pionierem – tłumaczyła mama. – Ale nie przyjęto by cię do organizacji młodzieżowej. Nigdy nie pozwolono by ci wstąpić do Partii.

– *Tobie* nie pozwolono? – spytałam.

– Mnie? – zaśmiała się. – Nawet nie próbowałam. Miałam kiedyś kolegę. Zналиśmy się krótko i on mnie zarekomendował. A potem dowiedział się, kim jestem.

Zapłaciłabym również za rodzinę mamy. Dowiedziałam się, że statki, których papierowe modele robili razem z wujkiem Hysenem, tereny, fabryki i mieszkania, które jako dziecko zaznaczała na mapach, należały naprawdę do jej rodziny, jeszcze zanim się urodziła, oczywiście przed nadejściem socjalizmu, do czasu, gdy zostali wywłaszczeni. Należał do nich także budynek będący siedzibą Partii.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy przed nim o islamie? – spytała mama.

Przytaknęłam. Przypomniała mi, że za każdym razem, gdy tamtędy przechodziliśmy, spoglądała na okno na piątym piętrze, to, w którym nie było doniczki z kwiatami. Kiedyś stanął w nim mężczyzna, domniemany wróg ludu, i krzyknął: „*Allahu akbar*”. A potem z niego skoczył. Uciekał przed torturami. Był rok 1947. Tym mężczyzną był jej dziadek.

Również babcia opowiedziała mi pełną historię swojego życia, którą niezliczenie wiele razy próbowałam odgadnąć, podsłuchując jej rozmowy z Cocotte. Urodziła się w 1918 roku jako druga córka w rodzinie gubernatora prowincji Imperium Osmańskiego. Jej wujem był pasza. W wieku trzynastu lat jako jedyna dziewczynka uczyła się w liceum francuskim w Salonikach. W wieku piętnastu lat po raz pierwszy spróbowała whisky i zapaliła cygaro. Gdy miała osiemnaście lat, otrzymała złoty medal za najlepsze oceny w całej szkole. Jako dziewiętnastolatka pierwszy raz przyjechała do Albanii. W wieku dwudziestu lat została doradczynią premiera – pierwszą kobietą zatrudnioną w państwowej administracji – i poznała mojego dziadka. Spotkali się na ślubie króla Zogu – pili szampana, tańczyli walca, współczuli pannie młodej i odkryli, że od łączącej ich niechęci do królewskich ślubów silniejsza jest tylko pogarda dla samej monarchii. Miała dwadzieścia trzy lata, gdy wzięli ślub. Dziadek był socjalistą, ale nie rewolucjonistą. Ona miała poglądy raczej postępowe. Oboje pochodzili ze znanych konserwatywnych rodzin, wywodzących się z różnych zakątków Imperium Osmańskiego. Gdy skończyła dwadzieścia cztery lata, została matką. Rok później dobiegała kresu wojna – wtedy po raz ostatni widziała swoich krewnych w Salonikach. Mając dwadzieścia siedem lat, uczestniczyła w wyborach do konstytuandy – w pierwszych wyborach, w których kobiety mogły głosować na równych prawach z mężczyznami, i w ostatnich, do których

dopuszczono kandydatów z niekomunistycznej lewicy. Niedługo później kandydaci ci, w większości przyjaciele jej rodziny, zostali aresztowani i skazani na śmierć. Dziadek zaproponował ucieczkę z kraju. Mieli w niej pomóc wyjeżdżający właśnie brytyjscy oficerowie, których poznali podczas wojny. Odmówiła. Jej matka, która przyjechała do Albanii z Grecji, żeby pomóc jej w opiece nad dzieckiem, zachorowała i babcia nie chciała jej zostawić. Miała dwadzieścia osiem lat, gdy dziadek został aresztowany. Oskarżono go o wrogą agitację i propagandę i skazano na śmierć przez powieszenie, lecz wyrok zmieniono najpierw na dożywocie, a potem na piętnaście lat więzienia. Rok potem zmarła jej chora na raka matka. W wieku trzydziestu lat została zmuszona do opuszczenia stolicy i przeniesienia się do innego miasta, a dwa lata później trafiła do obozu pracy. Zanim skończyła czterdziestkę, straciła wielu krewnych – zostali skazani na śmierć albo popełnili samobójstwo, a ci, którzy przeżyli, trafili do szpitali psychiatrycznych, więzień albo na zesłanie. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat omal nie zmarła na zapalenie opłucnej. Ja się urodziłam, gdy miała lat sześćdziesiąt jeden. Została babcią. Dalszy ciąg znałam.

Babcia tłumaczyła, że uczyła mnie francuskiego, ponieważ język ten przypominał jej o dawnym życiu, o czasach, gdy wszyscy wokół niej mówili po francusku, i o rewolucji francuskiej. Jednak gdy zwracała się do mnie w ten sposób, było to nie tylko kwestią jej tożsamości, lecz przede wszystkim aktem buntu, drobnym gestem nieposłuszeństwa, który – wierzyła – kiedyś docenię. Miało mi to przypominać – kiedy jej już przy mnie nie będzie – o tym, skąd się wywodzę, o dziwnych politycznych losach mojej rodziny, o tym, że ludzie płacili wysoką cenę za to, kim byli, niezależnie od tego, kim chcieli być. Miałam dzięki temu zrozumieć, że życie może rzucać człowieka raz w jedną stronę, raz w drugą i że można się urodzić, mając wszystko, a potem wszystko stracić.

Babcia nie tęskniła za swoją przeszłością. Nie pragnęła wracać do świata, w którym jej arystokratyczna rodzina mówiła po francusku i bywała w operze, podczas gdy służba przygotowująca posiłki i piorąca ubrania nie potrafiła czytać ani pisać. Mówiła, że nigdy nie była komunistką, ale też nie tęskniła za ancien régime'em. Zdawała sobie sprawę z przywilejów, wśród

których wyrosła, i podchodziła sceptycznie do uzasadniającej je retoryki. Nie utożsamiała klasowej przynależności z klasową świadomością. Była przekonana, że poglądów politycznych się nie dziedziczy, lecz swobodnie je wybiera. A wybiera się te, które wydają się słuszne, a nie te, które są najwygodniejsze i najlepiej służą naszym interesom.

– Straciliśmy wszystko – powiedziała. – Ale nie straciliśmy samych siebie. Nie straciliśmy godności, bo godność nie ma nic wspólnego z pieniędzmi, honorami i tytułami. Jestem tą samą osobą, którą byłam kiedyś. I wciąż lubię whisky.

Tłumaczyła to wszystko spokojnie, wyraźnie oddzielając od siebie kolejne fazy swojego życia i upewniając się od czasu do czasu, czy nadażam za jej opowieścią. Chciała, bym zapamiętała jej drogę i rozumiała, że to ona była autorką własnego życia, że mimo wszystkich napotkanych przeszkód panowała nad swoim losem. Zawsze czuła się za niego odpowiedzialna. Wolność, mówiła, polega na uświadomieniu sobie konieczności.

Próbowałam zrozumieć i spamiętać wszystko, co w ciągu tych tygodni usłyszałam od babci i rodziców. Później wracaliśmy do tych rozmów jeszcze wiele razy. Byłam wciąż zagubiona. Nie wiedziałam, czy moja rodzina stanowiła wyjątek, i nie miałam pewności, czy to, czego właśnie dowiedziałam się o sobie, sprawi, że będę bardziej podobna do innych dzieci, czy też stanę się jeszcze większą outsiderką. Często słyszałam, jak moi znajomi dyskutowali o niejasnych dla nich sprawach, próbując rozszyfrować sens trudnych do zrozumienia rozmów dorosłych. Być może oni również mówili o socjalizmie i Partii, oglądając na Dajti czy Direkti obrazy z życia w innych krajach, i wymieniali się opiniami o uniwersytetach, które w rzeczywistości były więzieniami. A może ich krewni byli ludźmi w rodzaju Hakiego – prawdziwymi wyznawcami, jak mówiła babcia, którzy nie potrafili wyczuć, kiedy ściśle stosować reguły, a kiedy pozwolić sobie na pewną elastyczność.

Poznałam prawdę, gdy nie była już niebezpieczna. Miałam już jednak tyle lat, że zaczęłam się zastanawiać, dlaczego moja rodzina tak długo mnie okłamywała. Może mi nie ufali? A jeśli tak, to dlaczego ja miałabym ufać im? Dorastałam w społeczeństwie, w którym polityka i system edukacyjny

przenikały każdy aspekt życia, byłam wytworem zarówno mojej rodziny, jak i państwa. Kiedy konflikt między rodziną a państwem wyszedł na światło dzienne, poczułam się oszołomiona. Nie wiedziałam, w którą stronę spojrzeć, komu wierzyć. Czasem myślałam, że nasze prawo było niesprawiedliwe, a nasi władcy okrutni. Kiedy indziej rozważałam, czy moja rodzina nie zasługiwała na kary, jakie ją spotkały. Bądź co bądź, gdyby cenili wolność, nie mieliby służby. A gdyby cenili równość, nie powinni być tak bogaci. Babcia mówiła jednak, że oni również chcieli, by świat się zmienił. Dziadek był socjalistą i nie podobały mu się przywileje, jakimi cieszyła się jego rodzina.

– To dlaczego trafił do więzienia? – dociekałam. – Musiał coś zrobić. Nie trafia się do więzienia za nic.

– Walka klasowa – odpowiedziała. – Walka klasowa zawsze jest krwawa. I nie ma znaczenia, jakie ma się przekonania.

Z punktu widzenia Partii stłumienie indywidualnej wolności stanowiło historyczną konieczność, koszt przejścia do lepszej przyszłości. W szkole nauczyliśmy się, że każda rewolucja przechodzi przez fazę terroru. Z punktu widzenia mojej rodziny nie trzeba było nic wyjaśniać, osadzać w szerszym kontekście, usprawiedliwiać – dla niej było to tylko bezsensowne niszczenie jej życia. Być może terror zakończył się przed moimi narodzinami. Ale może jeszcze się nie zaczął. Czy zostałam ocalona przez nowe okoliczności, czy też wciąż byłam przeklęta, bo nigdy nie odkryłam niczego samodzielnie?

Zastanawiałam się, czy moja rodzina ujawniłaby mi kiedyś, kim jesteśmy, żeby nie dopuścić do tego, bym stała się kimś dla nich obcym, albo żebym nie przyjęła poglądów, których nie podzielali.

– Nie – usłyszałam – ale odkryłabyś to sama.

– A jeśli nie?

– Na pewno byś odkryła.

Wątpliwości dręczyły mnie jeszcze tygodniami. Trudno mi było pogodzić się z tym, że wszystko, co rodzice i babcia mówili i robili do tej pory, okazało się kłamstwem; kłamstwem, które musieli powtarzać, bym dalej wierzyła w to, co mówili inni. Przekonywali mnie, że muszę zostać

porządną obywatelką, choć wiedzieli, że z powodu mojej biografii zawsze będę wrogiem klasowym. Gdyby ich wysiłki się powiodły, wyrosłabym na osobę utożsamiającą się z systemem. Czy zaakceptowałyby tę przemianę? Mogłabym stać się kimś takim jak Ahmet, kolejnym podejrzanym członkiem rodziny, który przeszedł na drugą stronę – ze strachu, z przekonania, pod wpływem więziennej edukacji albo z innego tajemniczego powodu. A może gdyby nie pozwolono mi wstąpić do Partii, poczułabym się urażona, a kiedy odkryłabym prawdę, stałabym się wrogiem wszystkiego, co sobą reprezentowała – kolejnym milczącym wrogiem systemu.

Pewnego popołudnia mama przyniosła do domu „Rilindja Demokratike”, pierwszy numer pierwszej opozycyjnej gazety. Jej motto brzmiało: „Gwarancją wolności dla wszystkich musi być wolność dla każdego”. Od kilku dni krążyły pogłoski, że gazeta jest w druku i że tego dnia rano pojawi się w księgarniach, jedynym miejscu, gdzie sprzedawano gazety. Ludzie czekali, ściskając w dłoniach puste butelki, na wypadek gdyby pojawiła się Sigurimi, czyli służba bezpieczeństwa, i zadawała jakieś pytania – wtedy mogliby powiedzieć, że stoją w kolejce po mleko. Tata przeczytał na głos artykuł wstępny zatytułowany *Pierwsze słowo*. Redakcja gazety obiecywała bronić wolności słowa i myślenia: „Prawda musi być wolna – tylko wtedy wolność będzie prawdziwa”.

W grudniu 1990 roku zmieniło się więcej niż podczas całego mojego dotychczasowego życia. Dla niektórych były to dni, kiedy kończyła się historia. Ale nie wyglądało to na jej koniec. Nie wyglądało też na nowy początek, przynajmniej nie od razu. Bardziej na powrót wygnanego proroka, przepowiadającego nieszczęścia, których wszyscy się bali, choć nikt w to nie wierzył. Przez całe dziesięciolecia szykowaliśmy się na napaść, na wojnę atomową, budowaliśmy bunkry, zwalczaliśmy odmienne poglądy, antycypowaliśmy słowa kontrrewolucji, wyobrażając sobie zarys jej oblicza. Staraliśmy się określić siłę naszych wrogów, wyrzucić na opak ich retorykę, oprzeć się podejmowanym przez nich próbom zdeprawowania nas i dorównać potędze ich uzbrojenia. Gdy jednak wróg się wreszcie zmaterializował, okazało się, że wygląda prawie tak samo jak my. Brakowało nam słów, by opisać to, co się wydarzyło, oraz pojęć, które

umożliwiłyby uchwycenie tego, co straciliśmy, i tego, co w zamian dostaliśmy.

Ostrzegano nas, że dyktatura proletariatu jest nieustannie zagrożona przez dyktaturę burżuazji. Nie spodziewaliśmy się jednak, że pierwszą ofiarą w tym konflikcie będą właśnie te słowa: *dyktatura, proletariat, burżuazja*. Nie należały już do naszego słownika. Zanim jeszcze odeszło państwo, odszedł język, którym wyrażało ono swoje aspiracje. Socjalizm, czyli społeczeństwo, w jakim żyliśmy, zniknął również. Zniknął też komunizm, czyli społeczeństwo, jakie zamierzaliśmy stworzyć, społeczeństwo, w którym nie będzie już walki klasowej i każdy będzie mógł swobodnie rozwijać swoje zdolności. Zniknął nie tylko jako ideał, jako system polityczny, lecz także jako pojęcie.

Zostało tylko jedno słowo: *wolność*. Pojawiało się w każdej mowie transmitowanej przez telewizję, w każdym haśle wykrzykiwanym na ulicach. Gdy wolność w końcu nadeszła, była jak podana na talerzu mrożona ryba. Przeżuwaliliśmy jej maleńki kawałek, połykaliśmy go szybko, ale nadal byliśmy głodni. Niektórzy podejrzewali, że dostaliśmy tylko resztki. Inni uznali, że to były po prostu zimne przystawki.

W dniach i miesiącach poprzedzających grudzień 1990 roku chodziłam do szkoły, siadałam w ławce w mojej klasie, bawiłam się na ulicy, jadłam posiłki przy rodzinnym stole, słuchałam radia i oglądałam telewizję – tak jak to robiłam codziennie przez całe życie. Ludzkie czyny, pragnienia i poglądy miały wkrótce całkowicie zmienić swoją wymowę. Później mówiliśmy o odważnych gestach, podjętych w samą porę decyzjach i dojrzałych reakcjach na zmieniające się okoliczności. Ale wtedy nie braliśmy pod uwagę możliwości, że na tej drodze może się zdarzyć wypadek; nie wyobrażaliśmy sobie, że z tych planów nic nie wyjdzie. Scenariusze, które wcześniej zostałyby uznane za szalone fantazje, nabrały charakteru absolutnej konieczności. Nie byliśmy gotowi, by przyjąć do wiadomości porażkę. Porażka była brzegiem, od którego odbiliśmy, więc nie mogła być naszym portem docelowym.

Z tamtego okresu zapamiętałam jednak tylko strach, zagubienie i wątpliwości. Ideał, który właśnie się zmaterializował, określaliśmy słowem *wolność*, podobnie jak robiliśmy dawniej. Ale wszystko zmieniło

się tak gruntownie, że nie wiedzieliśmy, czy było to wciąż to samo „my” co kiedyś. Przez pół wieku żyliśmy razem w strukturze współpracy i ucisku, wypełniając społeczne role, które teraz wyglądały całkiem inaczej, podczas gdy odgrywający je mężczyźni i kobiety wciąż byli tymi samymi ludźmi. Krewni, sąsiedzi, znajomi jednocześnie walczyli ze sobą i sobie pomagali, podejrzewali się wzajemnie, budując zarazem więzi zaufania. Ludzie, którzy donosili na siebie nawzajem, starali się też siebie nawzajem jakoś chronić. Strażnicy więzienni byli więźniami, a więźniowie prześladowcami.

Nigdy się nie dowiem, czy przedstawiciele ludu pracującego maszerujący w pierwszomajowym pochodzie byli tymi samymi ludźmi, którzy uczestniczyli w grudniowych protestach. Nie dowiem się też, kim bym była, gdybym zadawała inne pytania albo gdyby odpowiadano na nie inaczej bądź wcale.

Świat wyglądał najpierw tak, a potem inaczej. Byłam kimś, a potem stałam się kimś innym.

CZĘŚĆ II

Szare skarpety

– Na kogo będzie głosować twoja rodzina? – spytała mnie w szkole Elona na kilka dni przed końcem roku, gdy ogłoszono datę wolnych wyborów.

– Będą głosować za wolnością – odpowiedziałam. – Za wolnością i demokracją.

– Tak, mój tata też. On mówi, że Partia nie miała racji.

– W jakiej sprawie?

– W żadnej. Czy myślisz, że Partia myliła się w sprawie Boga?

Zawahałam się. Wiedziałam, że zależy jej na odpowiedzi, ale nie chciałam sprawić Elonie przykrości. Nie potrafiłam jednak zdobyć się na kłamstwo. Po chwili milczenia powiedziałam, że nie wierzę, by Bóg istniał. I zaraz pożałowałam tych słów.

– Nie wiem – poprawiłam się. – Partia najwyraźniej nie miała racji w wielu sprawach. Dlatego teraz mamy pluralizm. To znaczy, że jest wiele różnych partii i są wolne wybory. Ludzie decydują, na jaką partię głosować, by wybrać tę, która ma rację. Tata mi to wytłumaczył.

– Pewnie dlatego pani Nora mówiła, że religia jest *opinią* ludu. W tej sprawie Partia się nie myliła.

– Nie pamiętam, żeby mówiła coś takiego. Pamiętam tylko coś takiego, że religia jest sercem świata, który jest bez serca. Spytałam o Boga Nini, ale ona mówi, że nic o nim nie wie. Że polega tylko na własnym sumieniu. Cokolwiek to znaczy.

– Może to znaczy, że kiedy jest pluralizm, niektóre partie mówią, że Bóg istnieje, a inne, że go nie ma, a o tym, kto ma rację, decyduje zwycięstwo

w wyborach? – zastanawiała się Elona.

– Ale oni nie mogą tego ciągle zmieniać. Bo co mogłoby powstrzymać jakąś partię wygrywającą wybory od prób przekonania ludzi, że Zeus, Atena czy ktoś tam istnieją i że musimy składać bogom ofiary z ludzi tak jak starożytni Grecy?

– Nic nie może jej powstrzymać – powiedziała Elona. – Na tym to polega. Jesteśmy teraz wolni i każdy może mówić, co mu się podoba.

Pokręciłam niedowierzająco głową.

– Przecież wtedy, w zależności od tego, kto wygra wybory, mogliby unieważniać i przywracać święta, takie jak Boże Narodzenie czy Nowy Rok. Politycy muszą jakoś trzymać się faktów. W socjalizmie opieraliśmy się na nauce, nie wymyślaliśmy niczego. Nauka jest czymś realnym, bo można robić eksperymenty i testować teorie. Nie wiem, czy można przetestować istnienie Boga.

– Ja wciąż trochę wierzę w Boga. To znaczy zdecydowanie wierzę w naukę, ale wierzę też w Boga. A ty nie? – nalegała.

– Nie wiem – powtórzyłam. – Nie wiem, co myśleć. Wierzyłam w socjalizm i czekałam na nadejście komunizmu. Wydawało mi się, że słusznie zwalczyliśmy wyzysk i daliśmy władzę klasie pracującej. Moi rodzice mówią teraz, że nasza rodzina w walce klas była po złej stronie.

– Nikt już nie wierzy w socjalizm – powiedziała Elona. – Nawet klasa robotnicza.

– A twój tata wierzy? Po której stronie walki klasowej jest teraz twoja rodzina?

– Mój tata? – Elona zastanawiała się przez chwilę. – Myślę, że nie. Wiesz, on jest kierowcą autobusu, czyli należy do klasy pracującej. Zawsze chodził na pochody pierwszomajowe. Teraz klnie, kiedy widzi w telewizji jakiegoś sekretarza Partii. I ciągle się denerwuje. Pije znacznie więcej niż kiedyś. Trudno go uspokoić. Moja siostra Mimi wciąż jest w sierocińcu. Obiecał, że po sześciu miesiącach weźmie ją do domu, a teraz mówi, że nas na to nie stać. Kiedyś upijał się na wesoło, a ostatnio jest ciągle wściekły. Wydaje mi się, że on nigdy nie wierzył w socjalizm.

– Moi rodzice też się zmienili. Przedtem wcale się nie denerwowali, nawet gdy były wyłączenia prądu, a teraz nerwy im puszczają z byle powodu. Krzyczą: „Sukinsyny! Sukinsyny!”. A kiedy przychodzę późno ze szkoły, tylko babcia to zauważa. Przynajmniej ona jest taka sama jak kiedyś. Wcale się nie zmieniła.

– Mój dziadek mówi, że zawsze trochę wierzył w Boga – ciągnęła Elona. – Obchodził po kryjomu Boże Narodzenie, nawet wtedy, gdy zdelegalizowano religię. On był partyzantem. Mówi, że Partia zrobiła kilka dobrych rzeczy, takich jak nauczanie wszystkich czytania i pisanie, budowa szpitali, elektryfikacja i tak dalej. Ale robiła również rzeczy straszne, takie jak niszczenie kościołów i zabijanie ludzi. Twierdzi, że jest socjalistą i chrześcijaninem, bo jak się jest chrześcijaninem, to łatwo być socjalistą. Wciąż należy do Partii, nie opuścił jej.

– Mój dziadek też był socjalistą – powiedziałam. – Spędził piętnaście lat w więzieniu. Rodzice nie mieli szans na przyjęcie do Partii.

– To takie dziwne – mówiła Elona. – Dziadek myśli, że może teraz, gdy mamy polityczny pluralizm, kościoły zostaną odbudowane. Mówi, że mama jest w raju, i modli się za nią. Poprosiłam, żeby nauczył mnie, jak się modlić.

– My jesteśmy muzułmanami. Chodzimy do meczetu. To znaczy teraz nie ma meczetów, więc nie wiem, czy chodzilibyśmy, gdyby je odbudowano. Mama mówi, że w jej rodzinie zawsze wierzono w Boga.

– Nie obchodzi mnie ani Boże Narodzenie, ani Nowy Rok – powiedziała Elona. – Mogą sobie świętować jedno albo drugie, zależnie od tego, na co ludzie zagłosują. Wybory odbędą się w niedzielę. Tego nie zmienili. Wiesz, że chrześcijanie chodzą w niedzielę do kościoła?

Wzruszyłam ramionami.

– Jesteśmy muzułmanami – przypomniałam. – Nie wiem, co muzułmanie powinni robić w niedzielę. No nic, zobaczymy, jak będzie.

Było tak, że po prostu poleżeliśmy sobie dłużej. W niedzielę, w dniu pierwszych wolnych i uczciwych wyborów, spędziliśmy poranek zakopani w łózkach. Tata od czasu do czasu wstawał i szedł do kuchni, żeby sprawdzić najnowsze wiadomości.

– Mamy czas – mówił szeptem, jakby się bał, że jego głos doda się dziennemu światłu, które przesączało się przez ciemne zasłony, utrudniając wszystkim pozostanie w łózkach.

Stawał w drzwiach sypialni w poważnej postawie, którą przyjmował, gdy zamierzał wygłosić jakąś istotną wiadomość. W tym wypadku wiadomość składała się z jednego słowa. Trzydzieści.

Po czym wracał do pokoju. Godzinę później szedł znowu do kuchni wysłuchać wiadomości i stawał pod drzwiami, żeby podać nam nową liczbę. Czterdzieści. A potem: pięćdziesiąt. Za każdym razem z łóżek wydobywało się coś w rodzaju stłumionego okrzyku radości.

– Rośnie – wyszeptała babcia, naciągając na siebie kołdrę w naszym wspólnym łóżku, jakby była północ.

– Nie wydaje mi się, żeby doszło do stu – odpowiedział.

Tym razem okrzyk radości był głośniejszy, nie udało nam się go powstrzymać.

– Musimy spać – upomniała nas babcia.

To nie był głęboki sen, raczej drzemka, taka, do jakiej czasem można się zmusić – albo w nadziei na dalszy ciąg pięknego snu, albo w obawie przed czekającą na jawie rzeczywistością. Tym razem sny mieszały się z informacjami o wyborczej frekwencji.

Chcieliśmy, żeby była wysoka. Powinna jednak rosnać powoli, a nie błyskawicznie. Ale ważniejsze było to, żeby wzrost zatrzymał się nieco poniżej dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. Gdyby już na początku dnia ogłoszono stuprocentową frekwencję, oznaczałoby to, że wybory nie były ani wolne, ani uczciwe, tylko takie same jak zawsze. Dawniej w dniu wyborów cała moja rodzina budziła się już o piątej rano. O szóstej wszyscy stali w kolejce do kabiny wyborczej. O siódmej oddawali głos. O dziewiątej ogłaszano wyniki. „Każdy głos przedstawiciela ludu to kula trafiająca naszego wroga” – głosił wyborczy slogan. Rodzice uważali, że im szybciej zagłosują, tym mniejsze ryzyko, że będą podejrzewani o niechęć do oddania strzału.

Zwykle pojawialiśmy się przed lokalem wyborczym jako jedni z pierwszych. Kolejki do urn przypominały te po mleko. One również

zaczynały się ustawiać w środku nocy, z tą jednak różnicą, że nie zostawiano w nich wieczorem toreb, puszek ani kamieni, które miałyby zastępować głosujących. Każdy stawiał się osobiście. Nikt nie krzyczał, nie szukał znajomych i nie miało się poczucia, że kolejkowy porządek może w każdej chwili zamienić się w chaos. Obserwując panujący w kolejce do głosowania ład oraz spokój oczekujących ludzi, dochodziłam do wniosku, że akt wyborczy daje większą satysfakcję niż kupno mleka. Ludzie mieli wyraźnie radośniejszy nastrój. Jeśli chodzi o moich rodziców, był on tak radosny, że aby dorównać ich wyborczemu entuzjazmowi, uznawałam za konieczne zrobienie czegoś, co mogłam zrobić tylko ja. Czasem deklamowałam przed komisją wyborczą wiersz sławiący Partię, innym razem przygotowywałam bukiet kwiatów, który kładłam przed urną, tuż obok zdjęcia Wujka Envera.

Ostatnie wybory, jakie pamiętam z czasów socjalizmu, odbyły się w 1987 roku. Napisałam wiersz, który zamierzałam wyrecytować, bo uznałam, że chociaż jestem za mała, by głosować, moją kulą może być właśnie wiersz. Zadręczałam się jednak, nie mając pewności, jaki pocisk udało mi się wyprodukować. Czy jest na tyle potężny, by zniszczyć naszych wrogów? Babcia dodawała mi otuchy – jej zdaniem wiersz był dobry – ale rodzice próbowali mnie mitygować, tłumacząc, że nie wiadomo, czy nadarzy się okazja do jego wygłoszenia. Powiedzieli, że to zależy od kolejki.

Gdy wychodziliśmy z domu, wciąż było ciemno. Denerwowałam się, więc mocno ścisnęłam dłoń taty, spoconą tak jak moja. Czekaliśmy w ogonku przed lokalem wyborczym. Kiedy został otwarty i przyszła nasza kolej, członek komisji wręczył tacie kartkę z listą przedstawicieli Frontu Demokratycznego, jedynej organizacji uprawnionej do zgłaszania kandydatów. Tata postawił znaczek, nawet na nią nie patrząc, złożył ją na pół i wrzucił do czerwonego pudła. Wpatrywał się przy tym w członka komisji wyborczej, który przygotowywał właśnie kartę dla następnej osoby w kolejce, czyli dla mamy. Tata pozdrowił go skinieniem głowy. Mężczyzna odpowiedział, unosząc zaciśniętą pięść. Ja też uniosłam pięść, tak jak robiłam zawsze, gdy ktoś inny wykonywał ten gest.

Nie pamiętam, bym wyrecytowała swój wiersz. Musiałam w ostatniej chwili zmienić zdanie na temat jego wartości, a może rodzice znaleźli jakiś sprytny sposób na wyprowadzenie mnie z lokalu, zanim zdążę zafundować im tego dnia jeszcze jedno upokorzenie.

Teraz, podczas wolnych i uczciwych wyborów, wszystko było inaczej. Nie musieliśmy budzić się tak wcześnie. Nie ustawiała się kolejka. Nikogo nie obchodziło, czy głosowaliśmy, czy nie. Mieliśmy na to cały dzień, ale gdybyśmy uznali, że nam się nie chce, mogliśmy tego nie robić wcale. Wszyscy wylegiwali się w łóżkach, jakby wciąż się zastanawiali, czy warto przerywać sen, by udać się do urn, a jeśli tak – to na kogo zagłosować.

Wieczorem poprzedniego dnia przygotowaliśmy ubrania, jakie zamierzaliśmy włożyć. Babcia, którą widywałam ubraną wyłącznie na czarno, ponieważ nosiła żałobę po dziadku, wyciągnęła z drewnianego kufra bluzkę w białe groszki. Ostatni raz wystroiła się tak na wybory w 1945 roku. Wtedy miała również kapelusz i naszyjnik z pereł. Zażartowała, że tamten kapelusz wciąż pewnie wisi w szafie Narodowego Studia Filmowego, gdzie trafiały ubrania skonfiskowane rodzinom burżujów. Rodzice debatowali nad tym, czy zagłosować jak najwcześniej, czy lepiej poczekać. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak skończą się wybory. Pamiętali te z 1945 roku. Nie skończyły się dobrze. Niedługo po nich obaj moi dziadkowie zostali aresztowani, a resztę rodziny deportowano. Czy historia mogła się powtórzyć?

– To były inne czasy – zauważył tata. – Sowieci wygrali wtedy wojnę. Teraz przegrali.

– Sowieci tak – odezwała się mama. – Tym razem Sowieci doczekali swojego końca. W zeszłym roku. A gdzie ty wtedy byłeś? – Pytanie było retoryczne, bo mama szykowała się tylko do zadania ostatecznego ciosu: – Przygotowywałeś pochód pierwszomajowy.

Tata pokręcił głową z dziwną pewnością siebie.

– Enver nie żyje. Partia jest skończona – przekonywał. – Już nie zawrócimy.

Kilka tygodni wcześniej obalono pomnik Hoxhy stojący na głównym placu stolicy. Studenci rozpoczęli strajk głodowy, domagając się zmiany nazwy uniwersytetu, którego patronem wciąż był Hoxha. Ponieważ partyjni

urzędnicy nie wiedzieli, jak zareagować na to żądanie, i zaproponowali przeprowadzenie referendum wśród studentów, konflikt tylko się zaognił.

Ale Partia nie była skończona. Wkrótce przestała być jedyną partią i stała się jedną z wielu. Nazywała się teraz Socjalistyczna Partia Albanii i konkurowała o miejsca w parlamencie z innymi ugrupowaniami, z których każde miało własnych kandydatów, własne gazety i programy, własne listy nazwisk. Były wśród nich nazwiska dawnych członków Partii, którzy niedawno zmienili front. Inni jednak pozostali jej wierni. Fakt, że Partia tak się podzieliła i rozmnożyła, można było interpretować jako oznakę zarówno zdrowia, jak i choroby, za źródło zła, ale też i nadziei. W nadchodzących latach tę niejednoznaczność uznawano za przyczynę wszystkich nieszczęść, mroczną klątwę, która sprawiła, że wolność wyglądała jak tyrania, a konieczność – jak pozór wolnego wyboru. Uwalnianie się od wszechobecnego wpływu Partii przypominało próby przegryzienia liny, której resztki odkrywa się nagle między zębami. Partia odeszła, ale wciąż tu była – nad nami, ale też głęboko w nas. Z niej wywodziło się wszystko i wszyscy. Jej głos się zmienił, przybrała inny kształt i mówiła nowym językiem. Ale jaką barwę miała jej dusza? Czy kiedykolwiek była tym, czym miała być? Tylko historia będzie mogła ją osądzić, ale na historię trzeba było jeszcze poczekać, więc pozostawały nam tylko wybory.

– Głosowanie to nasz obowiązek – oświadczyła Nini wieczorem przed otwarciem urn. – Jeśli nie zagłosujemy, pozwolimy, by inni decydowali za nas. Skończy się tak, że będzie jak dawniej, jakbyśmy wrzucali do urn karty z jedną listą kandydatów, nawet na nią nie patrząc.

Myślałam o jej słowach rano w dniu wyborów. Dlaczego rodzice zastanawiali się, czy mają głosować? Dlaczego nie poszli delektować się wolnością, za którą tak tęsknili? Teatralne ziewanie, udawanie snu i niezdecydowania – miałam wrażenie, jakby przez te dziesiątki lat wcale nie pragnęli, by wydarzyło się coś konkretnego, tylko by dostępne stały się jakieś abstrakcyjne możliwości. Teraz, gdy to coś znalazło się w zasięgu ręki, wystraszyli się utraty kontroli. Zamiast skorzystać z wolności wyboru, próbowali ochronić ten wolny wybór przed jakąkolwiek skazą. Może bali się poprzeć konkretnego kandydata lub program polityczny, by nie przeżyć później rozczarowania. A może obawiali się, że miliony wyborców

o innych poglądach i motywacjach wybiorą tych samych ludzi co zawsze – a wtedy ich nadzieje okażą się złudzeniem.

Poczekaliśmy z bratem jeszcze trochę, a potem wpadliśmy do pokoju rodziców. Wciąż uparcie leżeli w łózkach, sztywni, sparaliżowani niechęcią do stawienia czoła rzeczywistości. Okryci od stóp do głów białymi płachtami, wyglądali jak szpitalni pacjenci czekający w narkozie na operację. Zdumieni, podeszliśmy bliżej, żeby im się przyjrzeć. Gdy zdali sobie sprawę z naszej obecności, odwrócili się na drugi bok. A potem usłyszeliśmy głos dobiegający spod kołdry:

– Idźcie sobie. To jeszcze nie czas.

Wróciliśmy do naszego pokoju, żeby posłuchać radia. W wiadomościach pojawiła się informacja, że w dalekich wioskach i miasteczkach na południu kraju na ulice wyległy grupy ludzi ze zdjęciami Envera Hoxhy, skandujących komunistyczne hasła i ostrzegających wyborców, że Albańczycy już niedługo pożąją tego dnia. Dziennikarze nazwali te nostalgiczne demonstracje kontrprotestami, żeby odróżnić je od prawdziwych antyrządowych protestów sprzed kilku tygodni.

– Wieśniacy – skomentowała babcia. – Co oni mogą wiedzieć?

Grupy te składały się jednak nie tylko z mieszkańców wsi. Należeli do nich również robotnicy i członkowie wojowniczo nastawionych komunistycznych organizacji młodzieżowych. Nazwali się „Ochotniczymi oddziałami obrony pamięci Envera Hoxhy”. Zaczęli się organizować na kilka tygodni przed wyborami, kiedy obalono pomnik Hoxhy. Partia zareagowała na ich oburzenie oświadczeniem: „Popiersia można usunąć, ale nie wolno niszczyć pomnika Envera Hoxhy”. Kontrprotesty nie były jednak w stanie odwrócić biegu wydarzeń. Ich uczestnicy, jak ludzie wiszący nad przepaścią, chwyтали się nielicznych zachowanych jeszcze symboli komunistycznego dziedzictwa. Oni też bali się przyszłości. Ale w przeciwieństwie do mojej rodziny wielu z nich identyfikowało się z przeszłością. Partia zawsze mówiła i działała w ich imieniu. Moja rodzina była ofiarą państwowej przemocy. Oni byli tej przemocy akuszerami.

Kontrprotesty trwały tylko kilka miesięcy. Proces, który rozpoczął się od serii reform, coraz częściej nazywano rewolucją. W każdej innej rewolucji znaleźliby się prześladowcy i prześladowani, zwycięzcy i przegrani, ofiary

i zbrodniarze. U nas jednak łańcuch odpowiedzialności był tak skomplikowany, że mógł istnieć tylko jeden obóz. Rozstrzeliwanie przywódców, wtrącanie do więzień donosicieli, karanie członków Partii zaogniłoby jedynie konflikt, nasiliło chęć odwetu, doprowadziło do rozlewu krwi. Rozsądniej było więc wykasować całą odpowiedzialność i udawać, że wszyscy są niewinni. Jedynymi złoczyńcami, których należało nazywać po imieniu, okazali się ci, którzy już nie żyli. Całą resztę uznano za ofiary. Wszyscy, którzy przeżyli, stali się zwycięzcami. Ponieważ zabrakło sprawców zła, można było obwiniać tylko idee. Komunizm został uznany przez jednych za system beznadziejnie głupi, a przez innych za zbrodniczy, więc każda wzmianka na jego temat wywoływała albo szyderstwo, albo nienawiść. Ta aksamitna rewolucja była wymierzona w idee.

Rodzice uznali, że czas już iść głosować, tuż przed zamknięciem lokali wyborczych. Wyszliśmy pospiesznie z domu. Na ulicach było mnóstwo ludzi pozdrawiających się wzajemnie uniesionymi dwoma palcami ułożonymi w kształt litery V – nowym symbolem wolności i demokracji. Dziwiliśmy się z bratem, jak łatwo zastąpił zaciśniętą pięść. Mama musiała robić to już wcześniej, ale tata początkowo się wahał. Babcia, która tak naprawdę nigdy nie zapomniała o wpojonych jej w dzieciństwie manierach wyższych sfer, uznała chyba, że to poniżej jej godności. Znak ten, podobnie jak alianckie wojska, które go używały, nie dotarł, zdaje się, do Albanii w 1945 roku.

Aktywiści opozycyjnej partii rozdawali na ulicach nalepki z jej logo: niebieską literą P oznaczającą partię, zwiniętą wewnątrz, jak w kryjówce, litery D oznaczającej demokrację. Nigdy wcześniej nie widziałam nalepek. Kilka przyczepiłam sobie do ubrania na piersi, a inne do sklepowych szyb, tworząc miłą iluzję, że w sklepach jest coś do sprzedania. Jedną czy dwie naklełam na drzwi samochodów zaparkowanych na ulicy. Bardzo nielicznych. Kiedy weszliśmy do lokalu wyborczego, mój brat próbował umieścić jedną tuż obok urny, ale nie pozwolono mu na to, więc musiał się zadowolić nalepieniem jej ukradkiem pod blatem stołu.

Wyniki wyborów ogłoszono następnego dnia rano. Porażka opozycji okazała się druzgocąca. Socjaliści wygrali, zdobywając około sześćdziesięciu procent głosów. Mama oświadczyła, że wybory nie były ani

wolne, ani uczciwe. Całą kampanię, tłumaczyła, zorganizowała Partia. Niedorzecznością byłoby oczekiwać, że będzie uczciwie nadzorować konkurencję między sobą a innymi partiami, bo przecież sama chciała wygrać wybory. Było to jedno wielkie oszustwo.

Ten wynik wydawał się okrutny, w każdym razie według standardów turystów, którzy napłynęli wtedy do naszego kraju, uzbrojeni w notesy i kamery telewizyjne. Tym razem przybywali w imieniu „wspólnoty międzynarodowej”. Ich oficjalne wyjaśnienie – stworzyło ono precedens, po którym wszelkie oficjalne wyjaśnienia uznawano za wiarygodne tylko wtedy, gdy pochodziły od wspólnoty międzynarodowej – było inne. Tłumaczyli, że partie opozycyjne miały za mało czasu, by się przygotować, że trudno im było znaleźć kandydatów na terenach wiejskich, że dawni dysydenci wyszli z więzień dopiero niedawno, zbyt późno, by mogli wystartować w wyborach.

W kolejnych miesiącach w całym kraju dochodziło do protestów i zamieszek. Na północy podczas jednej z licznych demonstracji niezidentyfikowani strzelcy zabili czterech opozycyjnych działaczy. Przejście do liberalizmu zostało splamione krwią. Demokracja miała teraz swoich męczenników. Kilka tygodni później górnicy zrzeszeni w nowych, niezależnych związkach zawodowych przystąpili do strajku głodowego. Ich postulaty miały charakter raczej ekonomiczny niż polityczny. Partia i opozycja zgodziły się, że potrzeba reform; różniły się jedynie co do tego, jak je wprowadzać. Dawne socjalistyczne slogany zastąpiła nowa formuła, która miała wyjaśniać i uspokajać, ostrzegać i doradzać, podnosić na duchu i uśmierzać ból. Formuła ta uwzględniała wszystko, od dramatycznych braków żywności i zamykanych zakładów pracy po konieczność dalszych politycznych reform i przejścia do gospodarki wolnorynkowej. Sprowadzała się do dwóch słów: *terapia szokowa*.

Termin ten wywodzi się z psychiatrii. Terapia szokowa polega na przepuszczaniu impulsów elektrycznych przez mózg pacjenta w celu uwolnienia go od objawów poważnej choroby psychicznej. W tym przypadku obłędem była nasza gospodarka planowa, lekarstwem zaś nowa polityka monetarna, czyli zrównoważony budżet, uwolnienie cen, likwidacja rządowych dotacji, prywatyzacja sektora publicznego oraz

otwarcie gospodarki na handel zagraniczny i inwestycje bezpośrednie. Rynek miał wyregulować się sam, a nowe kapitalistyczne instytucje osiągnąć efektywność bez centralnego zarządzania. Wiadomo było, że doprowadzi to do kryzysu, ale ludzie przez całe życie poświęcali się u nas w imię lepszej przyszłości. To miał być ich ostatni wysiłek. Drastyczne środki i dobre chęci miały sprawić, że pacjent wkrótce wyjdzie z szoku i będzie się mógł cieszyć efektami terapii. Najważniejsze było tempo. Milton Friedman i Friedrich von Hayek niemal z dnia na dzień zastąpili Karola Marksa i Fryderyka Engelsa.

„Wolność się sprawdza” – oświadczył sekretarz stanu James Baker, przemawiając do tłumu ponad trzystu tysięcy Albańczyków, którzy zgromadzili się w stolicy z okazji pierwszej oficjalnej wizyty amerykańskiego polityka. Duch nowego prawa, podkreślał Baker, obiecując wsparcie Stanów Zjednoczonych na naszej drodze ku wolności, jest równie ważny jak jego litera. Amerykański rząd i tamtejsze organizacje pozarządowe miały pomóc nam w doprowadzeniu tego procesu do szczęśliwego końca, do zbudowania „demokracji, rynków i konstytucyjnego porządku”.

Nowy rząd nie przetrwał długo. Presja opinii międzynarodowej, rabowanie sklepów, przemoc na ulicach i pogarszająca się sytuacja gospodarcza zmusiły Partię do rozpisania nowych wyborów. Nie minął rok i znowu zaczęła się kampania wyborcza. Tym razem zwolennicy szybkich zmian mieli więcej czasu, by się do niej przygotować.

Pewnego popołudnia do naszych drzwi zapukał Bashkim Spahia, lekarz z sąsiedztwa, były członek Partii, który – jak się okazało – startował teraz w wyborach jako kandydat opozycji. Był bardzo ożywiony. Miał na sobie ciemnoszarą marynarkę w stylu Leonida Breżniewa, a pod nią fioletową koszulkę z jasnoróżowym napisem i pasujące do niej fioletowe spodnie. Napis był po angielsku: „Słodkich snów, kochani przyjaciele”.

Bashkim spytał tatę, czy ma jakieś szare skarpetki, które mógłby mu pożyczyć na kilka miesięcy. Powiedział, że puka do wszystkich drzwi. Wyjaśnił, że amerykański Departament Stanu przysłał przed wyborami broszury z ważnymi instrukcjami dotyczącymi ubioru kandydatów.

– Okazuje się, że dopuszczalne są tylko ciemne skarpetki, szare albo czarne, ale najlepiej szare – tłumaczył wyraźnie zestresowany. – Ja mam tylko białe. A poza tym napisali, że potrzebny mi *sponsour* mojej kampanii. O jakiego *sponsour* im chodzi? Przecież ja nawet nie mam odpowiednich skarpetek! – wykrzyknął zrozpaczony.

Rodzice zaprosili go na kawę. Próbowali mu wytłumaczyć, że te rady raczej nie pochodziły z Departamentu Stanu, lecz z amerykańskiej ambasady. A nawet w tamtych czasach informacje z ambasady mogły być zaledwie sugestiami. Bashkim pokiwał głową. Był niepokieszony. Jego syn, który przetłumaczył teksty z ulotki, powiedział mu, że były podpisane przez Departament Stanu. Martwił się, że nigdy nie wygra z tymi komunistycznymi sukinsynami, bo nosi skarpetki w niewłaściwym kolorze.

Tego wieczora, gdy ogłoszono jego wygraną, oglądaliśmy w telewizji debatę, w której brał udział. Na nogach miał szare wełniane skarpety taty, zrobione na drutach przez babcię. Moja rodzina była bardzo dumna ze swojego udziału w zwycięstwie Bashkima. Nie żywili żadnej urazy i chętnie zapomnieli o tym, jak jego żona, Vera, doniosła kiedyś do rady dzielnicowej, że moi rodzice niechętnie biorą udział w niedzielnym sprzątaniu ulicy. Nie mieli też pretensji o to, że Bashkim nigdy nie oddał tacie skarpet. Wkrótce nasz sąsiad lekarz stał się nie tylko charyzmatycznym politykiem, lecz także odnoszącym sukcesy biznesmenem. Koszulkę ze „słodkimi snami” zastąpił zegarkiem Rolex, a brezniewowskie wdzianko – marynarką od Hugo Bossa. Przypuszczam, że zaczął też nosić jedwabne skarpetki. Widywaliśmy go rzadko, a jeśli już, to tylko z daleka, gdy otoczony przez potężnych ochroniarzy trzaskał drzwiami lśniącego ciemnego mercedesa. Próba podejścia bliżej i przypomnienia mu, że bezprawnie przywłaszczył sobie skarpetki taty, okazałaby się nierozważna i prawdopodobnie bezskuteczna.

List z Aten

Któregoś dnia w styczniu 1991 roku, przed pierwszymi wolnymi i uczciwymi wyborami, babcia dostała list z Aten, wysłany przez osobę, o której nigdy nie słyszała – Katerinę Stamatis. Zanim go otworzyliśmy, pokazaliśmy kopertę sąsiadom. W domu Papasów zgromadził się mały tłum. List wręczyliśmy Donice, która całe życie pracowała na poczcie. Stała na środku salonu, otoczona zaciekawionymi ludźmi wpatrującymi się w cienki kremowy papier i wypisane na nim atramentem greckie litery; wyglądały jak hieroglify przyszłości.

Wiedziałam, że Donika nie potrafi czytać po grecku. Kilka tygodni wcześniej poprosiła moją babcie o przetłumaczenie listy składników na etykiecie butelki z jakimś żółtym płynem. Dostała ją w prezencie od kuzyna, który był niedawno w Atenach. Ponieważ uznała, że jest to zagraniczny cytrynowy szampon, umyła tym płynem głowę, a ta zaczęła ją potem dziwnie swędzieć. Z tłumaczenia babci wynikało, że przyczyną tych kłopotów był egzotyczny, do tej pory nieznan u nas produkt, czyli płyn do zmywarki.

Donika przez kilka minut spokojnie oglądała list z jednej i drugiej strony. Przyjęła tak dostojną pozę, że otaczający ją ludzie nie śmieli się odezwać. Słyszałoby tylko trzask palącego się w piecu drewna. Podniosła kopertę do nosa i powąchała ją w różnych miejscach, za każdym razem wydychając z płuc całe wciągnięte powietrze. Pokiwała głową i cmoknęła z dezaprobatą, a potem włożyła palec wskazujący pod zamknięcie koperty, trzymając kciuk po zewnętrznej stronie. Zmarszczyła w skupieniu brwi i z ponurą miną przesuwiała oba palce wzdłuż brzegów, tak jakby ten ruch sprawiał jej ból, którego nie mogła po sobie pokazać. Gdy skończyła

badanie, podniosła wzrok. Na jej twarzy widać było niepokój, który, gdy zaczęła powoli mówić, przerodził się w złość.

– Ten list był otwierany – powiedziała, spoglądając w stronę drzwi. – Oni go otwarli.

Panującą w pokoju ciszę przerwały pomruki oburzenia.

– To dranie – odezwała się w końcu mama.

– Nie otworzyli go raz. Zrobili to kilka razy – dodała Donika.

– Tak, oczywiście – wtrącił się jej mąż Mihal. – Przecież na poczcie nie zatrudnili nowych ludzi. Robią więc to, co robili wcześniej.

Jedni sąsiedzi przytaknęli, inni się z tym nie zgodzili.

– Trzeba było powiedzieć pracownikom poczty, żeby przestali otwierać listy – stwierdziła Donika.

– Prywatność – odezwała się mama. – Prywatność jest bardzo ważna. Nigdy wcześniej jej nie mieliśmy.

A potem dodała, że nic się nie zmieni, dopóki poczta nie zostanie sprywatyzowana. Tylko prywatyzacja może zagwarantować prywatność.

Wszyscy zgodzili się, że prywatność jest ważna.

– Nie tylko jest ważna. Mamy do niej prawo – tłumaczyła Donika, a w jej głosie słyhać było mądrość, jaką zdobyła przez te wszystkie lata otwierania cudzych listów.

Potem poproszono babcie, żeby odczytała na głos treść listu i dokładnie go przetłumaczyła. Nadawczyni, Katerina Stamatis, pisała, że jest córką Nikosa, kiedyś biznesowego wspólnika swojego pradziadka. Nikos był przy nim w chwili jego śmierci w Salonikach w połowie lat pięćdziesiątych. Katerina pytała, czy babcia chciałaby podjąć jakieś kroki prawne, żeby odzyskać majątek i ziemię należące do jej rodziny w Grecji. Pisała, że może w tym pomóc. Babcia powiedziała, że nazwisko Kateriny wydaje się jej znajome. To nie był żaden przekręt.

Nini ostatni raz widziała ojca na swoim ślubie w Tiranie w czerwcu 1941 roku. Po wojnie, jak powiedziała, „drogi zostały zamknięte”. Pamiętała wprawdzie wysłany z Aten telegram z informacją o jego śmierci, ale ponieważ nie wydano jej paszportu, nie mogła pojechać na pogrzeb, i nigdy się nie dowiedziała, jak umarł. Dostała tę wiadomość prawie

czterdzieści lat temu, w czasach, gdy za dnia pracowała w polu, a wieczorami dawała lekcje francuskiego synowi ważnego funkcjonariusza partyjnego. Tamtego dnia przerabiała z chłopcem zaimki dzierżawcze i poprosiła go, żeby zbudował zdanie ze słowem „twoje”. „Twoje oczy są czerwone” – powiedział. Chłopiec ten również został ważnym działaczem Partii – to on był towarzyszem Mehmetem zasiadającym w komisji, która zezwoliła mi na wcześniejsze rozpoczęcie szkoły.

Katerina wzruszająco opisywała niezachwianą lojalność Nikosa wobec mojego pradziadka. Obiecała ojcu przed jego śmiercią, że jeśli sytuacja w Albanii kiedykolwiek się zmieni, skontaktuje się z Nini. Cała sprawa, dodawała już mniej emocjonalnym tonem, bardzo się opłaci obu rodzinom. Katerina była gotowa gościć babcię w Atenach, towarzyszyć jej podczas wizyt w archiwach i skontaktować ją z kompetentnymi prawnikami.

Babcia zareagowała na tę nowinę tak, jakby szykowałą się na nią przez całe życie, jakby wiedziała, że jest to rola, o której odegranie zostanie kiedyś poproszona. Mogła teraz zająć się zupełnie nowym wymiarem rozważań finansowych. Od czasu, gdy rodzice dostali od Partii zezwolenie na budowę prywatnego domu przy ulicy, gdzie dorastałam, byli nieustannie zadłużeni. Pożyczyli pieniądze od wszystkich: wujka, znajomych mamy i dalekich krewnych mieszkających w innych miastach. Tego dnia Nini i rodzice zasiedli razem z sąsiadami, żeby się zastanowić, czy babcia dostanie wizę, i policzyć różne rzeczy: ile pieniędzy wciąż mamy, ile zostaje nam na koniec miesiąca, ile wynosi emerytura babci i czy stać ją na podróż do Grecji. Gdy zestawili te informacje, okazało się, że wszystkie nasze oszczędności ledwo wystarczą na jeden dzień pobytu w Atenach, nie mówiąc już o opłacie wizowej i kosztach dwutygodniowej podróży.

Babcia pokazała mi kiedyś dokument z czasów, gdy nasz kraj był jeszcze królestwem. Przypięto do niego jej zdjęcie, a pod spodem widniało kilka linijek tekstu z informacjami o wzroście, kolorze włosów i oczu, miejscu i dacie urodzenia oraz znakach szczególnych. Paszport przechowywała w tej samej szufladzie co pocztówkę z wieżą Eiffla i list do Envera Hoxhy napisany przez dziadka po wyjściu z więzienia. Babcia miała na zdjęciu poważny wyraz twarzy, który – gdyby wyglądała na więcej niż siedemnaście lat – można by uznać za napuszony, oraz krótko obcięte

włosy – fryzurę, która miała chyba zacierać wrażenie, że żadnej fryzury nie ma. Jej usta były mocno zaciśnięte, ale wydawało się to raczej próbą powstrzymania uśmiechu. Całe zdjęcie wyglądało tak, jakby miało przekonać każdego, kto na nie spojrzy, że odpowiedź „kobieta” wpisana w rubryce „płeć” jest najzupełniej przypadkowa, a może wręcz pojawiła się w wyniku urzędniczej pomyłki.

– To jest to, czego nam potrzeba – mówiła często. – To się nazywa paszport.

Paszport, tłumaczyła mi, decyduje o tym, czy drogi są otwarte, czy zamknięte. Jeśli ktoś ma paszport, może podróżować. Jeśli nie, jest unieruchomiony. W Albanii tylko nieliczni mogli ubiegać się o paszport, zwykle ci, którzy wyjeżdżali do pracy. Ale ponieważ to Partia decydowała, co jest pracą, a co nie jest, musieliśmy czekać.

– Do paszportu można dołączyć fotografię dziecka – powiedziała babcia. – Jeśli go dostanę, zabiorę cię ze sobą.

W grudniu 1990 roku stało się jasne, że moja rodzina nie czeka na wydanie nam paszportów przez Partię, tylko na to, żeby paszporty przetrwały upadek Partii, tak jak przeżyły upadek monarchii. Kiedy przyszedł list z Aten, a ja podsłuchiłam dorosłych, którzy w salonie Doniki cierpliwie obliczali, czy babcie stać na to, by tam ze mną pojechać, poczułam się znowu zagubiona. Zrozumiałam, że posiadanie paszportu nie wystarcza, nigdy nie wystarczało, że był on zaledwie pierwszą z serii coraz bardziej abstrakcyjnych przeszkód oddalających nas od celu. Żeby drogi naprawdę się otworzyły, potrzebowaliśmy wiz, których wydanie nie zależało ani od chwiejącej się już na nogach dawnej Partii, ani od żadnej z partii, które dopiero co powstały. Najbardziej przygnębiające było jednak to, że nawet gdybyśmy dostały paszporty i wize, nie wręczono by nam razem z nimi pieniędzy na podróż. Jak więc mogłyśmy wyjechać za granicę? Dojście do właściwych wniosków trwało zaskakująco długo. Nie mogłyśmy.

Minęło kilka dni i list z Aten, starannie złożony i wsunięty z powrotem do koperty, trafił na niski stolik w salonie, obok wazonu i paczki papierosów, którą trzymaliśmy dla gości. Nikt nie odważył się włożyć go do szuflady, bo szuflada była miejscem dla naszej przeszłości, a list z Aten

woleliśmy traktować nie jako przeszłość, lecz jako teraźniejszość albo przyszłość, nawet gdyby miała to być przyszłość odległa. Mama troszczyła się o niego jak o niedawno oswojone zwierzątko, które jednak wciąż potrafiło ugryźć. Starannie ścierała kurz ze stolika i sprawdzała, czy woda z wazonu na kwiaty nie kapnęła na list; nazywaliśmy go teraz „Keti”, od imienia jego nadawczynie. Reszta z nas nie zbliżała się do niego. Chodziliśmy wokół na palcach, czasem rzucając nań ukradkowe spojrzenie, lecz na ogół udawaliśmy, że nie wiemy o jego istnieniu. Raz czy dwa list stał się przyczyną rodzinnych sporów o to, jak należy na niego odpowiedzieć, tak by nie wykluczyć szansy na wyjazd, i o to, jak powinniśmy byli w przeszłości zarządzać naszymi finansami. Stał się również źródłem spekulacji, czy jest jeszcze ktoś, komu nie jesteśmy winni żadnych pieniędzy, więc może moglibyśmy je od niego pożyczyć.

Kiedy porzuciliśmy już wszelką nadzieję, problem został rozwiązany dzięki drugiej babci, Nonie Fози. Odwiedziła nas w dniu urodzin mojego brata. Gdy zauważyła leżący na stoliku Keti, spytała, co wyszło z planów wyjazdu do Aten. Nini westchnęła.

– Trudniej będzie nam wyjechać do Aten, niż Gagarinowi znaleźć się na orbicie – zażartował tata.

– Towarzyszka Stamatis obiecała, że zapłaci za bilety – wtrąciłam się zaniepokojona. – Znaleźliśmy pieniądze na wizę. Ale nie możemy wybrać się do Grecji bez zapasu gotówki na wypadek, gdyby coś się stało.

– Pani Stamatis – poprawiła mnie mama. – Nie towarzyszka. Ona nie jest twoją towarzyszką. Ale cała reszta się zgadza.

A potem spojrzała na swoją matkę, która nie kończąc kawy ani porcji urodzinowego tortu, wyszła pospiesznie z domu. Pół godziny później wróciła, ściskając coś w prawej dłoni, którą pomachała nam z daleka, tak jakby przekazywała nam komunistyczne pozdrowienie. Kiedy podeszła do stolika, gdzie leżał Keti, otworzyła dłoń i z niezwykłą precyzją oraz dumnym spojrzeniem rzuciła na kopertę pięć złotych napoleonów. Upadły na stół, wydając dźwięczny odgłos, niemający nic wspólnego z głuchym stukotem naszych leków uderzających o podłogę – odgłos tak obcy i daleki jak miejsce, z którego pochodziły. Nikt nie wiedział, że Nona Fози wciąż miała złoto. Mama czasem zastanawiała się, czy jej rodzice zdołali je ukryć,

zanim zostali wywłaszczeni, ale nie wierzyła w to. Mówiła, że nawet wtedy, gdy byli rozpaczliwie głodni, dawne złoto wspominali czysto hipotetycznie, tak jakby samo jego wyobrażenie mogło napełnić ich puste żołądki. Nona powiedziała, że ocaliła część złota przed konfiskatą i trzymała je w bezpiecznym miejscu, gdzie czekało na dzień, gdy drogi zostaną otwarte.

– Jest tu – powiedziała do Nini z satysfakcją kogoś, kto trafnie przewidział przyszłość. – Teraz możesz wyjechać w podróż. *Inszallah* to złoto się pomnoży.

Tata zaniósł monety do banku, żeby wymienić je na papierowe pieniądze. Wrócił ze studolarowym banknotem, który za nie dostał. Rozgorzała dyskusja, gdzie należy go schować, żebyśmy go nie wydały ani nie zgubiły. W pewnym momencie w naszym domu tłoczyło się piętnaścioro sąsiadów gotowych pożyczyć nam portfele z różnych epok i różnych rozmiarów, ale po uważnych oględzinach uznano, że żaden z nich nie jest bezpieczny, bo wiadomo przecież, że „na Zachodzie jest pełno kieszonkowców”. Po wykluczeniu różnych innych opcji – takich jak umieszczenie banknotu na dnie walizki, między stronami książki, we wnętrzu medalionu – podjęto jednomyślnie decyzję, że zostanie on zaszyty w babci spódnicy, z zaleceniem, by zdejmowała ją tylko do snu i nigdy nie prała.

W dniu wyjazdu przyszła nas pożegnać cała ulica. Każda rodzina przyniosła coś, co mogło nam się przydać w podróży: zawinięty w gazetę byrek, główki czosnku na szczęście, nazwiska (bez adresów) dawno zaginionych krewnych, których miałyśmy szukać, gdyby nie udało nam się odnaleźć rodziny Stamatisów. W samochodzie babcia wciąż poprawiała spódnicę, by się upewnić, że studolarowy banknot nie zniknął. Robiła to z godnością i sztucznym uśmiechem, który miał mówić: „Tak, świetnie wiem, że dama nie wchodzi na lotnisko, bawiąc się spódnicą”.

W sali odlotów miałyśmy przez chwilę wrażenie, że spełniły się nasze najgorsze obawy.

– Nic nie czuję – powiedziała Nini spanikowanym głosem.

Ruszyłyśmy pospiesznie do toalety. Ponieważ babcia nie mogła się schylić i zajrzeć przez mały otwór w rąbku spódnicy, musiałam położyć się na podłodze i sprawdzić, czy banknot wciąż tam jest. Był, tyle że nieco

pomięty, tak jakby chciał wyrazić niezadowolenie z tego, że został zabrany ze sklepu walutowego i skończył w babcinym ubraniu.

W pustej niemal sali odlotów na swoje loty czekało tylko kilkoro cudzoziemców. Kupowali coś w niewielkim sklepie przy wejściu. Wyglądał podobnie jak sklep walutowy, ale tu można było brać z półki różne przedmioty. Babcia zauważyła, że sprzedawca uśmiecha się jak szpieg.

– Jak uśmiechają się szpiedzy? – spytałam.

– Właśnie tak – odpowiedziała, wykrzywiając usta w taki sposób, by nie pokazać zębów.

– To wygląda na normalny uśmiech.

– No właśnie – stwierdziła. – O to chodzi.

W sali było też kilku policjantów w niebieskich mundurach. Jeden z nich obejrzał uważnie nalepkę w paszporcie, która, jak się dowiedziałam, była naszą wizą, i ostemplował ją. Inni czekali, aż położymy przed nimi walizkę, by mogli ją przeszukać.

– To dranie – westchnęłam, naśladując reakcję mamy na odkrycie, że list z Aten był otwierany.

Nini wyglądała na skonsternowaną.

– Nikt w tym kraju nie dba o prywatność, prawda? – powiedziałam po zakończeniu kontroli. – Zdaje się, że na lotnisku też nie zatrudniono nowych ludzi.

W samolocie pierwszy raz w życiu zobaczyłam kolorową plastikową torbę. Stewardesa spytała, czy leciałyśmy już kiedyś samolotem, a potem wręczyła mi ją i wyjaśniła, że to na wypadek, gdybym musiała zwymiotować. Przez całą podróż zastanawiałam się, czy już jestem gotowa na wymioty, a gdy wylądowaliśmy, byłam zaniepokojona tym, że mnie ominęły. W czasie lotu dostałyśmy obiad w plastikowych pudełkach. Miałyśmy jednak nasz byrek, więc obiad zostawiłyśmy sobie na wypadek, gdybyśmy później zgłodniały. Poza tym nigdy nie widziałyśmy plastikowych sztućców i talerzyków, więc chciałyśmy zabrać je do domu, żeby używać ich przy specjalnych okazjach.

– Są takie ładne – powiedziała babcia. – Przed wojną takich nie robili. Nie przypominam sobie tego materiału.

Gdy znalazłyśmy się już w Atenach, namówiła mnie do prowadzenia dziennika. Spisałam w nim skrupulatnie listę wszystkich rzeczy, które widziałam po raz pierwszy: pierwszy raz poczułam na dłoniach powiew klimatyzacji, pierwszy raz spróbowałam banana, pierwszy raz widziałam sygnalizację świetlną, pierwszy raz włożyłam dżinsy, pierwszy raz weszłam do sklepu bez kolejki, pierwszy raz miałam do czynienia ze strażą graniczną, pierwszy raz widziałam, jak w kolejkach zamiast ludzi stoją samochody, pierwszy raz usiadłam na sedesie, zamiast załatwiać się w kucki, pierwszy raz widziałam ludzi prowadzących psy na smyczy zamiast bezpańskich psów chodzących za ludźmi, pierwszy raz dostałam gumę do żucia zamiast papierka po gumie, pierwszy raz widziałam budynki składające się wyłącznie ze sklepów oraz wystawy sklepowe pełne zabawek, pierwszy raz widziałam krzyże na grobach, pierwszy raz widziałam ściany pokryte reklamami, a nie antyimperialistycznymi hasłami, i pierwszy raz patrzyłam zachwycona na Akropol, ale tylko z zewnątrz, bo nie było nas stać na bilet. Opisałam też obszernie moje pierwsze spotkanie z dziećmi turystów, w którym brałam udział jako dziecko turystki. Zdziwiłam się, gdy odkryłam, że one nie wiedzą, kim byli Atena i Ulisses, a one śmiały się ze mnie, bo nie rozpoznałam na obrazku jakiejś słynnej podobno myszy o imieniu Mickey.

Nasi gospodarze, Katerina i jej mąż, mieli mieszkanie z tarasem na dachu w Ekali, bogatym przedmieściu na północy Aten, gdzie przez bramy oddzielające wille od zewnętrznego świata widać było wielkie ogrody z idealnie przystrzyżoną trawą i basenami. Stamatisowie nie mieli basenu, ale mieli coś jeszcze bardziej egzotycznego – pięć różnej wielkości lodówek porozstawianych po pokojach. Żadna z nich nie była jugosłowiańską lodówką marki Obodin. W dwóch stały tylko alkohole, a w trzeciej napoje gazowane, łącznie z coca-colą, którą – jak się okazało – sprzedawano nie tylko w znanych mi puszkach, lecz także w plastikowych butelkach. Nauczyłam się wstawać w nocy i chodzić do lodówki, żeby napić się coli. Nie tylko dlatego, że jej smak był uzależniający. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy cola w puszkach i w butelkach smakowała tak samo – a jeśli tak, to dlaczego sprzedawano ją w dwóch różnych opakowaniach. Gospodarze zachęcali nas, żebyśmy częstowały się

napojami i jedzeniem, gdy tylko przyjdzie nam na to ochota, ale babcia surowo zabroniła mi sięgać do lodówek i pouczyła mnie, bym nigdy o nic nie prosiła. Gdy wyczuwała, że mam ochotę poprosić o kolejnego banana lub jakiś napój, szczypała mnie mocno pod stołem, a jeśli byłam za daleko, mamrotała coś przez zęby po albańsku, uśmiechając się przy tym fałszywie, by nikt się nie domyślił, o czym rozmawiamy. Jak szpieg – pomyślałam. Sama prawie nic nie jadła, co niepokoiło Yiorgosa, męża Kateriny, największego mężczyznę, jakiego widziałam. Prowadził firmę sprzedającą naturalne gąbki i sam przybrał kształt jednej z nich.

– Przez czterdzieści pięć lat panowania Hoxhy – mawiał podczas wspólnych posiłków – wasze żołądki skurczyły się do wielkości oliwki!

Pojechaliśmy do Salonik i znalazłyśmy budynek francuskiego liceum, gdzie uczyła się babcia. Teraz mieściły się w nim biura różnych firm. Moim zdaniem wyglądał jak siedziby banków, które widywałam na filmach z Zachodu. Nini pamiętała imiona chłopców z jej klasy, tych najbardziej popularnych. Podczas przerw palili wspólnie cygara. Pamiętała również nauczycieli, zwłaszcza monsieur Bernarda, który powiedział jej, że będzie miała szczęśliwe życie, jeśli nie będzie się za dużo uśmiechała i zapuszczała włosów. Zastosowała się do obu tych rad, ale jego przepowiednia raczej się nie sprawdziła.

Nini odwiedziła też grób swojego ojca. Ból, który musiała wtedy czuć, zniosła ze stoicką godnością, na jaką tylko ona potrafiła się zdobyć. Przez cały czas milczała. Dopiero gdy miałyśmy już odchodzić, pochyliła się, żeby złożyć czuły pocałunek na zdjęciu umieszczonym na nagrobku. Poprosiła, żebym zrobiła to samo. Nie miałam na to ochoty; nie znałam tego człowieka ani on nie znał mnie. Posłuchałam jednak, by nie sprawiać jej przykrości. Potem postanowiła, że musi znaleźć grób swojej dawnej niani, Dafne, którą widziała ostatni raz tuż po zakończeniu wojny. Gdy stanęła sztywno wyprostowana obok białego krzyża, ściskając w dłoniach torebkę, zobaczyłam, że jest blada i chuda, tak jakby przez te wszystkie lata jej ciało wyschło, pozostawiając same kości. Kilka łez z jej oczu skapnęło na marmurową płytę, jednak szybko zniknęły w promieniach zimowego słońca.

– Widzisz? – zwróciła się do mnie z melancholijnym półuśmiechem. – Dafne zawsze osuszała moje łzy. Nadal to robi.

Odszukałyśmy jej dawny dom w tureckiej części miasta, duży biały budynek otoczony ogrodem, w którym rozkwitały właśnie drzewa owocowe. Jedno z najwcześniejszych wspomnień Nini – miała wtedy dwa lata – związane było z pożarem domu. Zapamiętała, że ktoś ją owinął kocami i pospiesznie wyniósł na zewnątrz. Mówiła, że wciąż słyszy krzyki, że widzi ogień we włosach mamy. Ślady pożaru nadal były widoczne na frontowej ścianie, ale chciała mi pokazać dom od środka. Kiedy zbliżyłyśmy się do drzwi wejściowych, na tarasie pojawiła się kobieta. Spytała, w czym nam może pomóc. Babcia wyjaśniła, dlaczego tu przyszłyśmy, i poprosiła o wpuszczenie nas do środka. Kobieta odpowiedziała, że nam wierzy, lecz nie może zaprosić nieznajomych do domu, bo ona w nim tylko sprząta. Babcia powiedziała, że ją rozumie.

– Czy tutaj ludzie sprzątaj u swoich sąsiadów? – spytałam.

– Ona sprząta za pieniądze – wyjaśniła Nini.

Potem znów odwróciła się do sprzątaczk i poufałym tonem, tak jakby już się kiedyś spotkały, zawołała do niej po grecku „dziękuję”.

Babcia wiedziała, że szanse na odzyskanie majątku są znikome. Zgodziła się na tę podróż, żeby nie rozwiewać nadziei tych, którzy ją mieli, a poza tym chciała nawiązać kontakt z własną przeszłością i pokazać mi ją. Ludzi, których spotykałyśmy, traktowała miło i serdecznie, ale jej zainteresowanie pieniędzmi było chyba słabsze, niż się spodziewali. Różni prawnicy wyjaśniali trudności wiążące się z dochodzeniem praw do domów i terenów należących kiedyś do jej rodziny, opowiadali o migracjach ludności po upadku Imperium Osmańskiego, o zmianach w prawie własnościowym i kłopotach z dotarciem do dokumentów, o tym, że formalnie rzecz biorąc, od lat czterdziestych nasze kraje są wciąż w stanie wojny, o dziedzictwie junty czarnych pułkowników i wielu innych sprawach. Potakiwała głową. Byłyśmy wożone po wielu biurach, odbywałyśmy rozmaite spotkania. Stamatisowie zawsze siedzieli obok nas, uważnie słuchali i robili notatki. Czasem używali słów, których nie rozumiałam, a czasem wykonywali gwałtowne gesty, machali rękoma, unosili palce, potrząsali głową.

Podczas ostatniego spotkania Yiorgos tak się zdenerwował na jednego z prawników, że zaczął krzyczeć coś po grecku na cały pokój, wskazując palcem na mnie jako uzasadnienie jego argumentów. Podszedł do mnie, złapał mnie za rękę i zaczął wymachiwać nią w powietrzu, tak jak wcześniej machał swoją, krzycząc coraz głośniej. Nie wiedziałam, co mówi. Spojrzałam na babcię. Kiwała głową, kiedy odezwał się prawnik, i teraz, kiedy odpowiadał mu Yiorgos. Uznałam, że lepiej będzie nie wyrywać ręki z jego dłoni.

– Chodziło o dokument zwany testamentem – wyjaśniła mi wieczorem – w którym ludzie piszą, kto po ich śmierci ma dostać ich majątek.

– Mieliśmy go? – spytałam.

– Testament? – zaśmiała się. – Były ważniejsze dokumenty, których nie udało mi się uratować przed konfiskatą.

Przez pięćdziesiąt lat spędzonych poza krajem babcia mówiła po grecku tylko z Cocotte, kiedy nie chciały, żebym rozumiała ich rozmowy o polityce. Nasi gospodarze w Atenach, którzy czasem mówili do mnie łamanym francuskim, znacznie gorszym od mojego, albo łamanym angielskim, znacznie lepszym od mojego, zauważyli, że wcale nie zapomniała greckiego. Miała jednak zabawny akcent, typowy dla dawnych wyższych sfer, który – jak powiedzieli – brzmiał już staroświecko, a jej głos stawał się wtedy znacznie cichszy od znanej mi bałkańskiej średniej. Obserwując ją podczas nieustających rozmów w niezrozumiałym dla mnie języku, czułam się tak, jakbym podróżowała z dwiema osobami: z Nini, której ufałam i którą podziwiałam, i z kimś innym, z tajemniczą kobietą z innej epoki.

Babcia zawsze podkreślała, że się nie zmieniała. Przed wyjazdem do Aten wierzyłam jej. Te słowa były pokrzepiające, a obecność Nini kojąca, zwłaszcza zimą 1990 roku, gdy wszystko wokół mnie się chwiało, łącznie z moimi rodzicami, którzy miotali się między strachem a entuzjazmem, tak jakby nie istniało nic pomiędzy. Z babcią było inaczej. Zawsze spokojna i konsekwentna, potrafiła się zaadaptować do zmieniających się gwałtownie okoliczności i pokonywała trudności z łatwością świadczącą o tym, że największe przeszkody tworzymy sami i że jedyne, czego potrzebujemy, to wola zwycięstwa. Przekonała mnie, że nasza teraźniejszość jest zawsze

powiązana z naszą przeszłością i że w każdym zestawie przypadkowych na pozór okoliczności można dostrzec racjonalne postaci i motywacje. Sam jej wygląd, jej postawa i sposób mówienia – wszystko to przekazywało ten sam komunikat.

Podczas podróży do Aten coś się zmieniło. Oglądałam stare zdjęcia przedstawiające nieżyjących od dawna ludzi, których kochała, i czułam obojętność. Byli moimi krewnymi, przodkami, ale nic dla mnie nie znaczyli. Pewnego dnia Katerina dała babci fajkę mojego pradziadka. Kiedy zaczęłam się nią bawić, Nini nie wytrzymała. Wyrwała mi ją z ręki ze złością, jakiej nigdy u niej nie widziałam, i krzyknęła:

– *Ce n'est pas un jouet! Tu ne penses qu'à toi-même!*^[9]

Nie rozumiałam nabożeństwa, z jakim traktowała ten przedmiot. Dlaczego jego odzyskanie było dla niej tak ważne?

– Daj spokój – powiedziałam. – To tylko fajka. Przecież ty już nie palisz.

Zawsze mówiła, że ja i mój brat jesteśmy najważniejszymi osobami w jej życiu. Niewiele jednak o tym życiu wiedzieliśmy. Kiedy pozwalała sobie na słabość, tak jak wtedy nad grobem Dafne, gdy myślała o szkolnych przyjaciółkach albo wspominała z naszymi gospodarzami swojego ojca, jej hart ducha przestawał być przekonujący. Czułam wtedy, że się gdzieś cofa, wyobcowuje. Zdałam sobie sprawę, że jestem wytworem zdarzeń, które przerwały jej wcześniejsze życie i skazały ją na lata cierpień, izolacji, strat i żalu. Gdyby nie wyjechała z Salonik, nigdy nie spotkałaby mojego dziadka, tata nie przyszedłby na świat, a wtedy nie byłoby również mnie. Te zdarzenia składały się na logiczną sekwencję. Tak zawsze mówiła. Gdybym potrafiła zrozumieć związki między przyczyną a skutkiem tak, jak ona mi je tłumaczyła, zaakceptowałabym, że decyzje mają swoje konsekwencje. Dostrzegłabym ciągłość tam, gdzie inni widzieli jej zerwanie. Byłabym wytworem wolności, a nie konieczności.

Podczas pobytu w Grecji trudno było uwierzyć, że przez cały czas ponosiła konsekwencje wszystkich decyzji, jakie podjęła, że udało się jej pogodzić z tym, co spotkało ją po przyjeździe do Albanii. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego po zakończeniu wojny nie chciała wyemigrować, gdy pojawiła się taka możliwość. Pewnie nie wiedziała, co się wydarzy. Musiała

jednak czuć, jeśli nie nienawiść i pragnienie zemsty, to przynajmniej głęboką urazę. Czy po tym, jak zmuszono ją do unieważnienia całej jej przeszłości, mogła jeszcze przeżyć miłość? Kiedy znalazłam się w tym obcym kraju, obcym dla mnie, lecz jej znanym aż za dobrze, nie myślałam już o sobie jako o kimś, z kogo – jak zawsze mówiła – była dumna i kogo kochała. Teraz zobaczyłam siebie w kontekście jej wielkiej straty. Chciałam stamtąd wyjechać. Chciałam wrócić do domu. Chciałam poczuć się bezpieczna.

Wszyscy chcą wyjechać

Ostatniego wieczora w Atenach zapakowałam do plastikowej torby połowę tabliczki czekolady Milka, zawiniętą w folię aluminiową, gumę do żucia udającą papierosa i naturalną gąbkę w kształcie truskawki, wyprodukowaną w zakładach Yiorgosa. Obiecałam Elonie, że przywiozę jej prezenty z mojej pierwszej zagranicznej podróży, i byłam dumna, że dotzymałam słowa.

Nie było jej jednak, kiedy wróciłam i przyszłam do szkoły. Powiedziano mi, że zachorowała i że przez kilka dni nadal jej nie będzie. Minął tydzień, a ona wciąż się nie pojawiała. Potem minął kolejny, a potem zaczęły się wiosenne ferie.

Pod koniec kwietnia, kiedy wróciliśmy do szkoły, Elony wciąż nie było. Postanowiłam ją odwiedzić, żeby się dowiedzieć, jak się czuje. Zjadłam już przeznaczoną dla niej połówkę czekolady Milka, ale wciąż miałam gumę do żucia w kształcie papierosa i gąbkę wyglądającą jak truskawka. Zapukałam do drzwi domu Elony. Otworzył jej ojciec.

– Szukam Elony – powiedziałam. – Słyszałam, że jest chora. Mogę ją zobaczyć?

– Elona? – spytał, jakby nie znał imienia własnej córki. – Elona to zła dziewczyna. Bardzo zła.

I zatrasnął przede mną drzwi. Stałam tam jeszcze kilka minut, nie wiedząc, co robić. Musiał zobaczyć mnie przez okno albo wyczuł, że wciąż jestem pod drzwiami. Otworzył je znowu.

– Może pan jej to dać? – powiedziałam łamiącym się głosem i podałam mu drżącymi dłońmi plastikową torbę.

Chwylił ją i odrzucił od siebie na kilka metrów. Wylądowała na środku drogi.

– Jej tu nie ma! – krzyknął. – Rozumiesz? Jej tu nie ma!

Niedługo później Elona została wykreślona z listy uczniów. Nauczyciele nie mówili już, że jest chora, ale że przeniosła się do innej szkoły. Zastanawialiśmy się w klasie, gdzie może być. Jedni mówili, że zamieszkała u swoich dziadków w innej dzielnicy miasta. Drudzy uważali, że tak jak jej siostra trafiła do sierocińca, takiego dla starszych dzieci. Jeszcze inni przypuszczali, że wyjechała z kraju. Kiedy wyczerpały nam się domysły, Elona przestała się pojawiać w naszych rozmowach. Spytałam o nią rodziców. Wzruszyli ramionami.

– Biedna dziewczyna – skomentowała babcia. – Jej matka była taką dobrą kobietą. Kto wie, gdzie ta biedna dziewczyna mogła się podziać.

Prawdę poznaliśmy dopiero pod koniec października. Gdy wracałyśmy z Nini ze spaceru, zauważyłam na ulicy dziadka Elony. W poprzednim roku był u nas w szkole 5 maja, żeby opowiedzieć o tym, jak walczył w partyzantce w górach przy granicy z Grecją. Nie wiedziałam, jak ma na imię, bo Elona zawsze mówiła o nim po prostu „dziadek”. Zawołałam więc:

– Towarzyszu! Towarzyszu!

Nie odwrócił się.

– Proszę pana! Proszę pana! – zawołała babcia, głośniej niż ja.

Zatrzymał się. Kiedy podeszłam, poznał mnie. Powiedziałam, że tęsknię za Eloną i że chciałabym wiedzieć, gdzie ona jest. Nabrał powietrza do płuc, a potem westchnął.

– Elona, to nieszczęsne dziecko. Niedawno dostaliśmy od niej list. W którą stronę idziecie?

Ruszył z nami i zaczął opowiadać: rano 6 marca 1991 roku Elona wyszła z domu do szkoły w uczniowskim mundurku, z torbą pełną podręczników i zeszytów potrzebnych na lekcje tego dnia. Już od kilku tygodni wychodziła wcześniej, żeby spotykać się z niedawno poznanym chłopcem, osiemnastolatkiem o imieniu Arian.

Wiedziałałam o Arianie. Mieszkał na mojej ulicy, ale właściwie z nim nie rozmawialiśmy. Nawet Flamur bał się do niego zbliżyć. Elona powiedziała

kiedyś – szłyśmy wtedy do domu dziecka odwiedzić jej siostrę – że go zna. Nie myślałam jednak, że widuje się z nim regularnie. Okazało się, że spotykali się rano w ustronnej uliczce, którą chodziła do szkoły. Znałam to miejsce. Na tyłach małego bloku znajdował się tam osłonięty przed ludzkim wzrokiem zakątek, gdzie przychodziły młode pary. Bywały tam jednak tylko „złe dziewczyny”. Trudno mi było wyobrazić sobie tam Elonę z Arianem. Zastanawiałam się, dlaczego mi o tym nie powiedziała. Skończyła niedawno trzynaście lat, ale zawsze mi się wydawało, że podobnie jak ja ma obojętny, jeśli nie wręcz pogardliwy stosunek do starszych chłopców. Może zaczęła się spotykać z Arianem, kiedy byłam w Grecji.

Rano 6 marca, opowiadał jej dziadek, ulice były pełne ludzi. Nawet w ustronnym zakątku, gdzie Elona przesiadywała z Arianem, koczowały rodziny mówiące z dziwnymi akcentami. Wyglądało na to, że spędziły tam noc i szykowały się do następnego etapu podróży. Na ulice wylegli również miejscowi i zmierzali w pośpiechu w stronę portu: młodzież, mężczyźni w robotniczych kombinezonach, kobiety niosące owinięte kocami małe dzieci.

Elona czekała na Ariana. Pojawił się, dopiero gdy usłyszała szkolny dzwonek i zamierzała właśnie odejść.

– Port nie jest już strzeżony – powiedział. – Kontenerowce są pełne ludzi. Wszyscy chcą wyjechać. Żołnierze nie strzelają, a niektórzy sami wsiadają na statki. Ja jadę. A ty?

– Ale dokąd?

– Do Włoch. Albo gdzieś indziej, do innego kraju, nie wiem. Gdziekolwiek zabierze nas statek. Jak nam się nie spodoba, wrócimy.

Było już za późno, żeby zdążyć do szkoły. Elona poszła więc z Arianem do portu. Najpierw tylko po to, żeby zobaczyć, co się dzieje. Im bardziej zbliżali się do nabrzeża, przy którym stały kontenerowce, tym bardziej gęstniał tłum. Udało im się dopchać do miejsca, gdzie cumował Partizani, jeden z największych statków towarowych. Ktoś krzyknął, że Partizani odbija od brzegu. Arian pociągnął Elonę i wbiegli na pokład. Chwilę później podniesiono trap.

W liście Elona napisała, że rejs trwał siedem godzin, potem jednak musieli długo czekać na oficjalną decyzję zezwalającą im na opuszczenie statku. Otrzymali ją po dwudziestu czterech godzinach. Przybysze trafili najpierw do miejscowej szkoły, w której urządzono obóz dla uchodźców. Kilka dni później rozwieziono ich po kraju. Elona i Arian trafili do północnych Włoch, do małego mieszkania, które dzielili z kilkoma innymi osobami poznanymi na statku. Ona była za młoda, żeby pracować, ale Arian znalazł pracę – dostarczał lodówki klientom lokalnego sklepu. Zarabiał niewiele, tyle jednak, że – jak pisała – wystarczało na przeżycie. Na potwierdzenie tych słów dołączyła do listu banknoty o wartości dwudziestu tysięcy lirów. Podążyła również swój adres, prosiła jednak, żeby adresować listy do Ariana, ponieważ udawała jego młodszą siostrę.

Trudno było mi uwierzyć, że moja przyjaciółka, z którą jeszcze kilka miesięcy temu kupowałyśmy ziarna słonecznika i bawiłyśmy się lalkami i która właściwie nigdy nie wyjechała z naszego miasta, zdobyła się na odwagę, by uciec z kraju. Jak mogła porzucić dom, szkołę, rodzinę, a nawet siostrę?

– Próbowałem sam tam pojechać – opowiadał dziadek Elony. – Chciałem ją znaleźć i przywieźć z powrotem. Wyjechałem w sierpniu. Trafiłem na Vlorę. Byliśmy tam traktowani jak psy.

Pamiętałam dzień wypłynięcia Vlory. Rano do drzwi wszystkich domów na naszej ulicy pukała mama Flamura. Pytała, czy ktoś widział jej syna. Wsiadł na statek, nic jej nie mówiąc. Wyjechali również Marsida i jej rodzice. Jej tata reperował właśnie czyjeś buty, gdy nagle do warsztatu wpadł ich właściciel, domagając się natychmiastowego zwrotu. Powiedział, że może chodzić w dziurawych. Otwarto port, więc nie miał czasu do stracenia. Tata Marsidy zostawił swoją maszynę, pobiegł zabrać córkę ze szkoły i znaleźć żonę w fabryce, w której pracowała. Oni też wsiedli na Vlorę.

W porcie tłoczyły się dziesiątki tysięcy ludzi. Vlora wróciła właśnie z Kuby z ładunkiem cukru i utknęła w doku z powodu głównego silnika, który wymagał remontu. Tłum wdarł się na pokład i zmusił kapitana, by popłynął do Włoch. Ten, obawiając się o własne życie, zgodził się wyruszyć w drogę na silniku zapasowym, lecz bez radaru. Statek mógł

pomieścić trzy tysiące pasażerów, ale tego dnia znalazło się na nim prawie dwadzieścia tysięcy osób. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim dotarł do Brindisi, tego samego portu, który w marcu przyjął tysiące Albańczyków. Tym razem jednak władze kazały kapitanowi zawrócić i płynąć do odległego o sto dziesięć kilometrów Bari. Potrwało to kolejne siedem godzin.

Wciąż mam przed oczami obrazy Vlory przybijającej do Bari. Na ekranie małego kolorowego telewizora, który niedawno kupiliśmy, widziałam dziesiątki półnagich mężczyzn wdrapujących się na czubki masztów. Pot spływał im po plecach, byli nieogoleni i brudni. Chwiejąc się na rejach, wyglądali jak samozwańcy generałowie armii, która podupadła na duchu jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Machali rękoma do telewizyjnych kamer i krzyczeli: „*Amico*, pozwól nam zejść!”, „Pozwól nam wysiąść!”, „Jesteśmy głodni, *amico!*”, „Potrzebujemy wody!”. Nad nimi latały dwa czy trzy helikoptery, a pod nimi, na pokładzie, kłębiło się ludzkie morze: tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, spalonych słońcem, poranionych w tłoku, przepychających się, zawodzących i podejmujących desperackie próby opuszczenia statku. Stłoczeni w kabinach albo siedzący na parapetach okien machali i krzyczeli do tych na pokładzie, by skakali do wody. Niektórzy próbowali. Część z nich aresztowano, ale niektórym udało się uciec. Ci, którzy zostali, wołali, że zjedli już cały ładunek cukru, że wiele osób cierpi na odwodnienie, że piją morską wodę, że na pokładzie są ciężarne kobiety.

O tym, co stało się później, opowiadano po to, by przestrzec innych przed powtórzeniem tego błędu. Podróż, która miała trwać siedem godzin, wydłużyła się do trzydziestu sześciu. Gdy w końcu pozwolono ludziom zejść ze statku, zapakowano ich do autobusów, a te przewiozły ich na nieużywany stadion pilnowany przez policję. Ci, którzy próbowali go opuścić, byli aresztowani i bici. Z helikopterów zrzucano paczki z jedzeniem i butelki z wodą. Mężczyźni, kobiety i dzieci walczyli o nie. Niektórzy pomagali sobie w tym nożami, które ze sobą przywieźli.

Do ludzi uwięzionych na stadionie dotarła wiadomość, że ponieważ Albania nie jest już, formalnie rzecz biorąc, państwem komunistycznym, prośby o udzielenie azylu politycznego zostaną najpewniej odrzucone,

a nowi przybysze będą traktowani jak migranci zarobkowi. To była nowa, nieznana kategoria. Obejmowała tych samych ludzi, ale niosła ze sobą inne, nie do końca jasne konsekwencje, które ujawniły się dopiero później. Po dwóch tygodniach przetrzymywanych na stadionie ludzi wsadzono znowu do autobusów. Powiedziano im, że jadą do Rzymu, żeby załatwić formalności. Szybko się jednak zorientowali, że autobusy jadą w stronę portu. Załadowano ich na promy, które miały zabrać ich do Albanii. Ci, którzy stawiali opór, byli bici.

– Nie chciałem zostać we Włoszech – tłumaczył Nini dziadek Elony. – Chciałem tylko ją znaleźć i przywieźć do domu. Ale oni nie pozwolili nikomu niczego wytłumaczyć. Mówiłem im, że nie potrzebuję żadnych dokumentów, żeby tam zostać, że próbuję tylko znaleźć wnuczkę. Nie chcieli słuchać. Dali wszystkim po dwadzieścia tysięcy lirów i wepchnęli nas na prom. Nie chcieli mnie słuchać – powtórzył.

– Może niech pan spróbuje jeszcze raz przez ambasadę – poradziła babcia. – I wystąpi o wizę?

– Wizę? – prychnął. – Widziała pani, co się dzieje pod ambasadą? Nie można nawet podejść do wejścia. To obszar wojskowy. Wszędzie są strażnicy. Pięć kręgów ochrony. Wewnątrz. Na zewnątrz. Wszędzie.

– Próbował pan zadzwonić, żeby umówić się na spotkanie? – spytałam, bo pamiętałam, jak umawialiśmy się w sprawie wizy w greckiej ambasadzie.

– Zadzwonić? – zaśmiał się. – Zadzwonić? – zaśmiał się znowu, tym razem głośniej. – Prędzej doczekam się śmierci, niż się dodzwonię.

– My wyjechałyśmy do Grecji – powiedziałam. – Dostałyśmy wizę. Byłyśmy na spotkaniu w ambasadzie.

– Kiedy to było?

– W tym roku, ale wcześniej – odpowiedziała babcia.

– Niedługo przed wyjazdem Elony – dodałam. – Kiedy wróciłyśmy, już jej nie było.

– No właśnie. Teraz pozamykali wszystkie drogi. Wszystko jest zablokowane. Nie można nigdzie wyjechać, chyba że do pracy.

– Nasz rząd... – zaczęła babcia.

– Nie, nie rząd – przerwał jej. – Nasz rząd byłby szczęśliwy, gdyby wszyscy wyjechali. Może to nawet oni zorganizowali te statki, żeby pozbyć się ludzi. Żeby nie musieli ich żywić ani szukać dla nich pracy po tym, jak wszystkie fabryki zostały zamknięte. Mnie chodzi o ambasady, o inne kraje. Mówią, że nie mogą przyjąć więcej imigrantów. Ale spróbuję jeszcze raz. Znajdę sposób. Myślę o południu kraju, o granicy lądowej. Spróbuję przejść do Grecji. To niebezpieczne, tam mogą strzelać. Ale znam te okolice. Walczyłem tam podczas wojny. Tylko że nie jestem już taki sprawny jak wtedy. Nie jestem już partyzantem. – Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Niektórym udało się jednak wyjechać – powiedziała. – Tak jak Elonie i Arianowi. Udało im się wydostać.

Pokiwał głową. Zastanawiał się nad czymś.

– W marcu mówili, że wszyscy jesteśmy ofiarami. Przyjmowali nas. W sierpniu patrzyli na nas tak, jakbyśmy im zagrażali. Jakbyśmy zamierzali zjadać ich dzieci.

Babcia przytaknęła. Myślałam o tym, że moi rodzice nigdy nie zastanawiali się nad opuszczeniem kraju. Kiedy Marsida i jej rodzice zatrzymali się przed naszym domem, żeby się pożegnać przed wyjazdem do Włoch na tamtym kontenerowcu, Nini próbowała ich przekonać, by nie ryzykowali.

– To niebezpieczne – ostrzegała. – Nawet jeśli się uda, to niebezpieczne. Urodziłam się w rodzinie imigrantów. Wiem, jak wygląda ich życie.

– Było jej ciężko w Imperium Osmańskim, w którym rządzą paszowie i bejowie z jej rodziny – żartował z niej tata.

– Tam nie może być gorzej niż tu – odezwała się mama, która chyba miałaby ochotę spróbować. Nini wciąż kręciła głową.

Ja też nie chciałam wyjeżdżać. Na początku cieszyłam się, że jestem w Atenach, zanim jeszcze zaczęło być ciężko z babcią, ale w końcu zatęskniłam za domem. Irytowało mnie, że nie rozumiem języka. Złościłam się, kiedy ludzie mi się przyglądali, pokazywali mnie palcami, a ja nie mogłam zrozumieć, co mówią. Kiedy spotykałam turystów w naszym kraju, sytuacja wydawała się symetryczna: oni gapili się na nas, my na nich.

Nasze światy były od siebie oddzielone. Teraz nie byliśmy już oddzieleni. Ale nie byliśmy też równi.

– Może znowu otworzą drogi – powiedziałam teraz.

– Nie sądzę – odparł dziadek Elony i zwrócił się do babci: – Próbują uszczelnić granice. Na morzu jest coraz więcej łodzi patrolowych. Nie czekają tam na nas. Na początku byli nieprzygotowani. Teraz wiedzą, co się dzieje. Mówię wam, oni nie rozluźnią kontroli. Będą starali się ją jeszcze zacieśnić.

Brzmiał jak ktoś, kto zna się na wszystkich technicznych sprawach związanych z kontrolowaniem granic i rozumie je tak, jak kiedyś, w młodości, rozumiał strategię walki partyzanckiej.

– Jeśli kogoś złapią na przekraczaniu granicy, wsadzają go do obozu, gdzie można utknąć na zawsze.

– Potrzeba też pieniędzy – zauważyła babcia.

– Jak byliśmy w Atenach, wszystko było takie drogie – powiedziałam. – Nie miałyśmy pieniędzy. To było straszne. W sklepach było tyle rzeczy. I żadnych kolejek. Ale nie mogłyśmy nic kupić.

– Pieniądze – powtórzył, choć widać było, że wciąż myśli raczej o własnym planie niż o naszych uwagach. – Tak, pieniądze to inny sposób. Jeśli ma się pieniądze, drogi przestają być zamknięte. Gdy wpłaci się je do banku, a bank wystawi jakieś zaświadczenie, że ma się je na koncie, wszystko jest znacznie łatwiejsze.

– Z Eloną na pewno wszystko w porządku – powiedziała babcia. – Jeśli napisała, że jest jej dobrze, to pewnie podoba się jej we Włoszech. Nastolatki. Podejmowanie takich poważnych decyzji pomaga w dojrzewaniu. W moich czasach dziewczynki w tym wieku były wysyłane do szkół z internatem.

– Albo do pracy – powiedział dziadek Elony.

Babcia przytaknęła.

– Pewnie niedługo przyjedzie was odwiedzić – próbowała go pocieszyć. – Może musi pozałatwiać jakieś sprawy z dokumentami. Ale dopóki się odzywa...

Dla mnie to wszystko brzmiało niedorzecznie. Jak ktoś mógłby być szczęśliwszy za granicą niż w domu? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że życie z Arianem może poprawiać komuś samopoczucie, nawet we Włoszech. Im więcej nad tym myślałam, tym bardziej miałam wątpliwości.

„Wszyscy chcą wyjechać – napisałam w moim dzienniku, komentując wydarzenia z marca i sierpnia 1991 roku. – Wszyscy z wyjątkiem nas”. Większość naszych znajomych i krewnych spędzała całe dnie, tygodnie, a nawet miesiące, planując wyjazd z kraju. Było wiele możliwości: sfałszowanie dokumentów, porwanie łodzi, przejście przez granicę lądową, wystąpienie o wizę, znalezienie na Zachodzie kogoś, kto wyśle zaproszenie i zagwarantuje sfinansowanie pobytu gościa. Ludzie nie zastanawiali się właściwie nad celem wyjazdu. Od tego, *po co* wyjeżdżają, ważniejsza była wiedza, *jak* to zrobić.

Niektórzy zostali zmuszeni do opuszczenia kraju przez proces nazwany oficjalnie „transformacją”. Byliśmy społeczeństwem na etapie przejściowym, zmierzaliśmy od socjalizmu do liberalizmu, od systemu jednopartyjnego do pluralizmu, z jednego miejsca do drugiego. Okazja nigdy nie pojawi się sama, trzeba jej szukać, tak jak w albańskiej bajce o połówce koguta, która w poszukiwaniu swojego przeznaczenia wyrusza w daleką podróż i wraca objuczona złotem. Dla innych wyjazd był przygodą, spełnieniem dziecięcego marzenia albo zaspokojeniem ambicji rodziców. Byli tacy, którzy wyjechali i nigdy nie wrócili. I tacy, którzy wyjechali i wrócili niedługo później. Dla jeszcze kolejnych organizowanie wyjazdów stało się zawodem – otworzyli biura podróży albo szmuglowali ludzi na łodziach. Jedni przeżyli i stali się bogaci. Inni przeżyli i wciąż musieli walczyć o przetrwanie. Jeszcze inni próbę przekroczenia granicy przypłacili życiem.

Kiedyś za chęć opuszczenia kraju trafiało się do więzienia. Teraz nikt nas nie zatrzymywał, ale po drugiej stronie nie byliśmy już mile widziani. Jedyne, co się zmieniło, to barwy policyjnych mundurów. Mogliśmy zostać aresztowani nie przez nasze władze, lecz przez władze innych krajów, których rządy zachęcały nas jeszcze niedawno do walki o wolność. Zachód przez dziesiątki lat krytykował Wschód za zamykanie granic, finansował kampanie na rzecz swobody podróżowania, wyrażał moralne oburzenie

wobec państw, które ją ograniczały. Naszych uchodźców witano jak bohaterów. Teraz traktowano ich jak przestępców.

Być może swoboda podróżowania nigdy tak naprawdę się nie liczyła. Łatwo było jej bronić, gdy ktoś inny wykonywał brudną robotę, zamykając uciekinierów w więzieniu. Co warte jest prawo do wyjazdu, gdy nie ma się prawa wjazdu? Czy granice i mury były złe tylko wtedy, gdy miały nie wypuszczać ludzi, ale teraz, gdy mają ich nie wpuszczać, są w porządku? Straże graniczne, łodzie patrolowe, zatrzymywanie i prześladowanie imigrantów, które zaczęto w tamtych czasach praktykować na południu Europy, stały się w kolejnych dekadach rutyną. Zachód, początkowo nieprzygotowany na przybycie tysięcy ludzi pragnących innej przyszłości, miał wkrótce udoskonalić system odpychania najbardziej bezbronnych i przyciągania najzdolniejszych, a wszystko to, by bronić granic i „naszego stylu życia”. A przecież ci, którzy próbowali emigrować, robili to, ponieważ tego właśnie stylu życia pragnęli. Nie byli dla tego systemu zagrożeniem, lecz jego najbardziej żarliwymi zwolennikami.

Dla naszego państwa emigracja była chwilową ulgą, ale na dłuższą metę – przekleństwem. Stanowiła zawór bezpieczeństwa dla politycznego ciśnienia wywoływanego przez bezrobocie. Jednocześnie jednak pozbawiała kraj najmłodszych, najzaradniejszych, a często również najbardziej wykształconych obywateli i rozdzielała rodziny. W normalnych okolicznościach powinno być tak, że swoboda podróżowania obejmuje także wolność do pozostawania na miejscu. To jednak nie były normalne okoliczności. W sytuacji gdy tysiące fabryk, zakładów pracy i państwowych przedsiębiorstw zamykano lub zmuszano do redukcji zatrudnienia, dla ludzi zagrożonych zwolnieniem wyjazd z kraju był czymś w rodzaju dobrowolnego przyjęcia odprawy.

Nie wszyscy próbowali, a tym, co próbowali, nie zawsze się powiodło. Wielu z tych, którzy zostali, miało się wkrótce dowiedzieć, jak wygląda życie bez pracy. W tym moi rodzice.

Gra w konkurencję

Tata stracił pracę niedługo po pierwszych wielopartyjnych wyborach. Pewnego popołudnia wrócił do domu i oświadczył, że za kilka tygodni jego biuro zostanie zamknięte. Był leśnikiem i pierwszą połowę swojego życia poświęcił na badanie, sadzenie i dogłębne oglądanie nowych gatunków drzew, przede wszystkim wawrzynów. Teraz państwo miało inne priorytety. Nie sadzono już drzew, lecz je wycinano. Z jednej strony awarie prądu i brak opału, z drugiej zaś nowy kult indywidualnej inicjatywy doprowadziły do tego, że każdej nocy z naszych lasów znikają kolejne drzewa. Można by to nazwać kradzieżą, gdyby nie fakt, że przywłaszczanie publicznych zasobów stało się fundamentem własności prywatnej. Lepiej więc nazwać to oddolną prywatyzacją.

Tata poinformował o zamknięciu biura takim samym tonem, jakim mówił nam o innych zmianach w pracy – przeniesieniu z jednej miejscowości do drugiej czy pojawieniu się nowego dyrektora. Powiedział, że nie będzie już musiał przedstawiać własnej biografii i wyjaśniać historii swojej rodziny. Teraz tamte dawne sprawy nikogo nie interesowały. Potrzebował natomiast łacińskiego dokumentu zwanego *curriculum vitae*, czyli w skrócie CV.

– Ale kto napisze go po łacinie? – spytałam.

– Nie musimy go pisać po łacinie, brigatista – wyjaśnił. – Tylko nagłówek. Ale przydałaby się też wersja angielska. Można ją będzie wysyłać do prywatnych firm.

Wszyscy przyjęli spokojnie wiadomość o zwolnieniu taty. Reagowali tak, jakby czekały nie niego – niczym domowe ciasteczka w piekarniku –

dziesiątki nowych, znacznie atrakcyjniejszych posad, które pojawią się, gdy tylko złoży CV.

– Zacziesz w przyszłym tygodniu? – spytałam, bo tak na ogół się działo przy jego wcześniejszych przeniesieniach.

– Nie! – zawołała mama, jakby sama ta sugestia uwłaczała godności taty. – Nikt nie da ci pracy tak szybko!

– Zobaczymy – odpowiedział. – To jest kapitalizm. O pracę trzeba konkurować. Na razie jestem wolny!

Ponieważ od chwili, gdy poinformował nas o utracie pracy, wszyscy patrzyli w przyszłość z ufnością, zdziwiłam się, a nawet wystraszyłam, gdy któregoś dnia wróciłam ze szkoły i zastałam go leżącego na kanapie. Zamiast piżamy miał na sobie żółto-zielony, nieco za duży dres, który mama kupiła mu niedawno w sklepie z używaną odzieżą. W obu dłoniach ścisnął pilota od naszego nowego, małego telewizora Philips i z wyrazem niezwykłego skupienia na twarzy kołysał nim, jakby kierował ruchem planet na ich orbitach.

– To takie przygnębiające – powiedział, gdy mnie zobaczył, i wyłączył telewizor. W jego oczach pojawiła się troska. – To zbyt smutne. Nie wytrzymuję tego. Nie wiem, co robić.

– Będzie dobrze – odpowiedziałam, nie bardzo wiedząc, co by to miało znaczyć. – Na pewno będzie dobrze.

Wzruszył ramionami.

– Próbuję oglądać mistrzostwa Europy, ale nie mogę. Serce mi pęka. Jugosławia chyba piąty raz zdobędzie tytuł. W zeszłym roku była mistrzem świata.

– To chyba dobrze?

– Możliwe, że ostatni raz grają razem – powiedział z ponurą miną. – Słowenia już ogłosiła niepodległość. Wkrótce odejdzie Chorwacja. To tak, jakbyś patrzyła na kogoś, kto wygrywa konkurs piosenki z rakiem gardła. Zbyt smutne. Jeśli o mnie chodzi, koszykówka się skończyła.

Mama, formalnie rzecz biorąc, nie straciła pracy. Zaproponowano jej, by w wieku czterdziestu sześciu lat przeszła na wcześniejszą emeryturę. Zgodziła się. Z tej okazji tata, który właśnie dostał ostatnią wypłatę, kupił

w nowo otwartym minimarkecie piwo Amstel. To był bardzo miły rodzinny wieczór, ale tylko do chwili, gdy mama poinformowała, czym zamierza się zajmować na emeryturze. Oświadczyła, że zapisała się do opozycyjnej partii. W dniu jej powstania.

Nini i ja zamarłyśmy. Tata spojrział na mamę ze zdumieniem, które – wiedziałam to – zaraz przejdzie w wybuch wściekłości. Patrzył tak na nią, gdy bez konsultacji podejmowała ważne decyzje. Po tym pełnym zdumienia spojrzeniu następowały dociekliwe pytania, reprimendy, gniew, obustronna agresja, a później zapadała cisza, trwająca czasem tygodniami. Następnym krokiem mogła być tylko groźba rozwodu.

Do tej pory zdarzyło się to dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy mama kupiła nielegalnie od kogoś, kto pracował w państwowym gospodarstwie, pięćdziesiąt kurczaków, żeby hodować je w ogrodzie i nie stać w kolejce po jajka. Gdy poinformowała o tym tatę, wpadł w furię. Powiedział, że zostaniemy aresztowani. Nasz ogród był za mały, by można było w nim ukryć pięćdziesiąt kur. Mama odparła, że będziemy je na razie trzymać w łazience i że większość pewnie umrze. Przeżyje co najwyżej dziesięć – tak jej powiedział człowiek, który je sprzedał. Później okazało się, że i on, i mama mieli rację. Ale ta informacja zaogniła sytuację jeszcze bardziej. Jedyną rzeczą, która mogła się okazać dla taty trudniejsza niż areszt, był z pewnością ból spowodowany pomorem małych kurczaczek. Za każdym razem, gdy wchodził do łazienki i znajdował martwego ptaka, wychodził z niej zrozpaczony i coraz bardziej rozgoryczony pomysłem mamy. Rozejm nastąpił dopiero po kilku miesiącach, kiedy kurczęta przestały umierać, a Nini zagroziła, że jeśli rodzice się nie pogodzą, przeprowadzi się do domu starców.

Za drugim razem poszło o to, że mama namówiła mnie do sprzedawania naturalnych gąbek na głównym bulwarze miasta, tam, gdzie romskie dziewczynki handlowały szminkami i spinkami do włosów. W Atenach Yiorgos dał nam całą torbę gąbek do rozdania rodzicom i innym krewnym. Nie było jasne, czy miały to być prezenty, czy reklama jego firmy. Mama wspominała, że jej dziadek, który zbudował rodzinną fortunę, zaczynał bardzo skromnie – ścinał drzewa na wsi, gdzie mieszkał, i woził drewno do miasta, żeby je sprzedać. My też możemy zacząć własny biznes,

powiedziała, ale musimy to zrobić szybko. Niedługo wszyscy będą próbowali zarabiać, kupując i sprzedając na wolnym rynku. Uznała jednak, że wyglądałaby dziwnie, gdyby to ona siedziała z romskimi dziewczynkami; mogliby to zobaczyć jej uczniowie, a wtedy ucierpiałby autorytet mamy w szkole. Dlatego przygotowała mi listę cen i wytłumaczyła, że mam usiąść na chodniku i wołać: „Cudowne naturalne gąbki z Grecji! Różne kolory i różne kształty!”. Tak zrobiłam. Do wieczora sprzedawałam cały zapas.

Nie spodziewałam się, że kiedy przyniosę do domu zarobione pieniądze, tata tak się zdenerwuje. Najpierw uznał, że to był mój pomysł. Już chciał wysłać mnie do pokoju, żebym przemyślała swoje postępowanie, ale powiedziałam mu, że robiłam tylko to, o co poprosiła mnie mama. Wtedy zwrócił się do niej z oczami pałającymi gniewem. Krzyczał, że nawet jeśli każdy może dziś wyjść i sprzedawać, co zechce, to nie znaczy, że ona ma prawo wykorzystywać własne dziecko. Mama, zamiast mu odpowiedzieć, spojrzała na mnie i spytała:

– Czy poszłaś tam z własnej woli?

Pokiwałam energicznie głową. Tata jednak trząsał się ze złości.

– Jasne, że tak! – krzyknął. – Wykorzystywanie odbywa się za zgodą wykorzystywanych. Gdy nie ma zgody, jest to zwykła przemoc.

Mama była spokojna. Wyjaśniła, że nie jestem już dzieckiem, że niedługo skończę dwanaście lat i że na Zachodzie jest czymś normalnym, gdy nastolatki pomagają w rozwijaniu rodzinnego biznesu.

– Ale my nie mamy żadnego rodzinnego biznesu! Ani rozwijającego się, ani upadającego!

– I nigdy nie będziesz go miał – mruknęła.

Tata pewnie nie zgodziłby się na mój udział w handlu gąbkami, nawet gdyby mama go o to wcześniej spytała, lecz fakt, że nie przyszło jej do głowy, by z kimś to skonsultować, głęboko go uraził. Zasadniczo było tak, że z wielkim uporem wygłaszał swoje poglądy, ale mama równie uparcie je ignorowała. Nieustannie się kłócili. Prawie zawsze jednak byli w tych kłótniach równorzędnymi przeciwnikami. Gdy mama podejmowała decyzje, nie pytając go o zdanie, naruszała tę symetrię i tata czuł się

zraniony. Swoją relację zbudowali na wzajemnym przekrzykiwaniu się, jednak z upływem lat granica między kłótniami żartobliwymi a zaciekłymi coraz bardziej się rozmywała. Ich małżeństwo przypominało skalisty łańcuch górski – oboje byli doświadczonymi wspinaczami, więc wiedzieli, jak wchodzić na niebezpieczne szczyty i jak strzec się przepaści, w których zginęło już wielu innych. Przychodziły jednak chwile, gdy bałam się, że wpadną do nich oboje. Trzeci taki kryzys nastąpił, gdy mama oznajmiła, że zajmie się polityką.

Tata wiedział, że nie jest i nie będzie kimś takim jak wielu jego przyjaciół, których żony potrzebowały zgody męża na uszminkowanie ust. Mama nigdy nie używała szminki, lecz jej wola miała twardość spiżu. Gdy ze swoją potrzebą uczestniczenia w podejmowaniu decyzji tato natykał się na jej upór, zawsze stawał przed dylematem. Mógł albo udawać, że kontroluje jej postępowanie, reagując na nie zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami, czyli gniewem, albo przyznać się do porażki i przejść nad tym do porządku dziennego, tak jakby nie miało to w istocie żadnego znaczenia. Tyle że kochał ją za bardzo, by to mogło nie mieć znaczenia. Nie potrafił wycofać się bez walki. Nigdy nie posunął się do przemocy, dawał upust złości, rzucając talerzami. Ale gdy całe jego ciało dygotało z wściekłości, trudno było mieć pewność, że jedynymi ofiarami będą spodki i talerze.

Kiedy mama oznajmiła, że wstąpiła do opozycyjnej partii, myślałam, że stanie się to, co zawsze. Myliłam się. Tata spojrział na nią z dobrze mi znanym zdumieniem w oczach. Lecz zaraz potem zbladł. Nie dał rady. Nie podszedł do niej, nie wygrażał jej palcem. Nie krzyczał. Wciąż patrzył na nią z niedowierzaniem, z zastygłym na twarzy grymasem i ciałem znieruchomiałym na krześle, jakby został sparaliżowany.

Mama to zauważyła. Musiało jej być przykro. I też zareagowała nietypowo. Nie omijała go ostentacyjnie wzrokiem, tak jak robiła to zwykle, by pokazać, że nic sobie nie robi z jego gróźb. Poczula, że musi się wytłumaczyć. Powiedziała, że wszystko wciąż kontrolują donosiciele. Wszędzie są byli komuniści, w rządzie i w opozycji. Ludzie z biografią taką jak jej muszą się zaangażować. Ktoś musi zdobyć się na odwagę. W przeciwnym razie nic się nigdy nie zmieni. Będą nas reprezentować

wciąż ci sami ludzie. Musimy wziąć sprawy we własne ręce i sami być naszymi reprezentantami. Być może lepiej byłoby, gdyby się kogoś poradziła, gdyby decyzja została podjęta wspólnie. Wiedziała jednak, że tata podejdzie do tego sceptycznie; miał inne poglądy polityczne. A ona musiała to zrobić. Teraz, gdy on był bez pracy, potrzebne nam też były koneksje, żeby mieć jakieś szanse w przyszłości. Wyglądało na to, że solidnie wszystko przemyślała.

Tata słuchał jej spokojnie. Zapanował nad złością. Kiedy później myślałam o tym epizodzie, przyszło mi do głowy, że mógł przeżywać utratę pracy bardziej, niż to okazywał. Być może widział istotną różnicę między zwolnieniem z pracy a wcześniejszą emeryturą. Może teraz, gdy stał się zależny od emerytur dwóch kobiet, przestał czuć się mężczyzną. Nie mógł już robić tego, co inni faceci: krzyczeć, grozić, dygotać z wściekłości i rzucać talerzami o ścianę. A może wszystko wokół niego zmieniło się tak bardzo, że jego typowe reakcje stały się nieadekwatne, jakby należały do innej epoki albo jakby były odpowiednie dla innej osoby, dla starszej wersji jego samego, która stała mu się obca. Gdy zniknęły elementy znanego mu świata, poczuł się zagubiony. Nie potrafił znaleźć wyjaśnienia kłopotów, jakie na niego spadły. Nie potrafił też znaleźć ich rozwiązania. Mógł jedynie spokojnie przytakiwać, tak jak to kiedyś robił, słuchając przełożonych w pracy.

Po przejściu na emeryturę mama nie przestała pracować. Rozpoczęła najbardziej aktywny okres swojego życia. Wkrótce po wstąpieniu do Demokratycznej Partii Albanii została jedną z liderek działającej pod jej auspicjami organizacji kobiecej. Brała udział w partyjnych zebraniach, szukała kandydatów i kandydatek na wybory, organizowała wiece i kampanie w sprawie reform, zasiadała w ogólnokrajowych komitetach, spotykała się z zagranicznymi delegacjami. Resztki wolnego czasu spędzała w archiwach lub w sądzie, starając się o odzyskanie skonfiskowanego rodzinnego majątku.

- Powinnaś częściej być w domu, zająć się dziećmi – mówiła jej Nini.
- Nie, jest mi dobrze – zapewniłam. Byłam zachwycona tym, że z agendy mamy wypadły okresowe kontrole moich postępów

w matematyce. – Mamusiu, powinnaś zrobić prawo jazdy – zasugerowałam alternatywne rozwiązanie.

– Nie potrzebujemy żadnego prawa jazdy – wtrącił się tata w obawie, że jeśli nie sprzeciwi się temu pomysłowi od razu, to jego przedłużające się bezrobocie zmusi go do objęcia stanowiska rodzinnego szofera. – Samochody szkodzą środowisku.

Ten temat prowadził zwykle do kłótni.

– Wszyscy kupują samochody – mówiła mama. – To konieczność. Czarnobyl był znacznie gorszy dla środowiska!

– Co Czarnobyl ma wspólnego z samochodem? – pytał tata.

Mama jednak nie dawała się zbić z tropu i kontynuowała:

– A co dobrego dla środowiska zrobiły zakłady metalurgiczne, które zbudowali nam Chińczycy? Naszym problemem nie jest środowisko, ale to, że nie stać nas na samochód!

– Nie należy dokładać jednego zła do drugiego – zauważył tata.

Te pozornie niewinne spory o kupno samochodu prowadziły zwykle do szeroko zakrojonych dysput na temat historii świata – od szkód, jakie w środowisku naturalnym spowodowała rewolucja przemysłowa, po naukowe postępy, jakie poczyniono dzięki wyścigowi kosmicznemu; od eurokomunizmu po odpowiedzialność Chin; od tego, kto ma prawo zanieczyszczać środowisko, po pytanie, kto komu sprzedał broń; od wojny w Zatoce po rozpad dawnej Jugosławii.

– To nie ma związku! To nie ma żadnego związku! – powtarzał tata, kiedy nie wiedział już, co powiedzieć, ale mama rzadko zmieniała zdanie. – Takie rzeczy opowiadasz tłumom na waszych wiecach? – pytał, gdy musiał się poddać. – Tak przygotowujesz swoje przemówienia?

Mama nigdy nie przygotowywała przemówień. A wygłaszała ich setki. W tamtym czasie miałam większą szansę zobaczyć ją, jak czeka na zabranie głosu na politycznym wiecu, niż spotkać w domu podczas obiadu. Stawała wyprostowana na podium i przemawiała do tysięcy ludzi, zawieszając często głos i w zależności od potrzeby modulując go tak, by zmusić publiczność do zachowania martwej ciszy albo pobudzić ją do gromkiego aplauzu. Nigdy nie czytała z kartki. Wygłaszała swoje mowy tak, jakby

miała je od lat zapisane w głowie, jakby przez całe życie układała i powtarzała zdania, które kiedyś będzie miała wypowiedzieć. Ale jej słowa nie pochodziły z przeszłości. Były nowe i często miały nieco obce brzmienie: indywidualna inicjatywa, transformacja, liberalizacja, terapia szokowa, własność, kontrakt, zachodnia demokracja. Wyjątek stanowiło słowo „wolność” – ono było stare. Ale mama wymawiała je inaczej, dodawała do niego wykrzyknik. Wtedy brzmiało jak nowe.

Kiedy nie uczestniczyła w żadnym politycznym wydarzeniu, przekopywała miejskie archiwa w poszukiwaniu dawnego majątku swojej rodziny, badając plany oraz wyrisy działek, albo chodziła po sądach, próbując odzyskać tytuły własności. W imieniu całego rodzeństwa walczyła o tysiące kilometrów kwadratowych ziemi, o setki mieszkań i dziesiątki fabryk należących kiedyś do jej dziadka – drwala, który zdobył fortunę i pod koniec wojny był już milionerem. Tata i babcia nie interesowali się tym, ponieważ nie wierzyli w zwrot majątku, ale również dlatego, że mieli wątpliwości, czy powinien on zostać zwrócony.

– To strata czasu – mawiała babcia, kręcąc głową.

Nie zawsze było jasne, czy stratą czasu jest polityka, czy starania o odzyskanie majątku, czy może jedno i drugie.

– Co się stało, to się nie odstanie – powiedziała raz zagranicznemu dziennikarzowi, który robiąc z nią wywiad o jej dawnym życiu i sprzeciwie wobec systemu, zapytał o dobra należące kiedyś do jej rodziny. – Dziś każdy jest przeciwnikiem systemu. Ziemia w Grecji? To tylko błoto.

Ale mama nie odpuszczała. Chodziło jej nie tylko o znalezienie źródeł utrzymania, lecz także o zasady. Te dwie kwestie były jakoś ze sobą powiązane. Uważała, że na tym świecie jedynym rozwiązaniem problemu naturalnej walki o przetrwanie jest prawne uznanie własności prywatnej. Jej zdaniem walczyli wszyscy: mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, pokolenia obecne i przyszłe. W przeciwieństwie do taty, który wierzył, że ludzie są z natury dobrzy, ona była przekonana, że są z natury źli. Próby uczynienia z nich ludzi dobrych nie mają sensu; trzeba tylko skanalizować to zło, by zminimalizować jego skutki. Dlatego zawsze uważała, że socjalizm nie może się sprawdzić, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, ponieważ jest sprzeczny z ludzką naturą. Ludzie muszą wiedzieć, co

posiadają, i muszą mieć prawo do dysponowania tym tak, jak im się podoba. Wtedy zajmą się swoją własnością i nie będą już ze sobą walczyć. To będzie zdrowa konkurencja. Poza tym wierzyła, że gdyby każdy był w stanie odkryć prawdę o tym, kto był pierwszym właścicielem jakiegokolwiek rzeczy, można by tak poukładać ludzkie sprawy, by nie tylko nasza rodzina, ale również wszyscy inni mieli szansę stać się tak samo bogaci jak jej przodkowie.

Mówiła, że nasza sytuacja przypomina przerwany w połowie turniej szachowy. Wszyscy gracze mieli w punkcie wyjścia równe szanse, ale niektórzy zdołali wypracować sobie przewagę. A potem zmuszono ich do uczestnictwa w innej grze. Tą nową grą był socjalizm. Kiedy zimna wojna się skończyła, mogli powrócić do przerwanej gry. Jednak jego najstarsi uczestnicy poumierali, więc miejsca przy szachownicach zajęli ich spadkobiercy. Mama tłumaczyła, że byłoby niesprawiedliwe, gdyby mieli zaczynać grę od nowa. Nowi gracze powinni móc kontynuować ruchy wykonane przez ich przodków, mieć do dyspozycji te same figury i grać według tych samych reguł.

Dotarcie do prawdy na temat rodzinnych posiadłości było dla mamy kwestią naprawienia historycznej niesprawiedliwości i poszanowania prawa własności. Uważała, że jedyne zadanie państwa polega na ułatwianiu takich operacji i ochronie umów gwarantujących, że każdy zachowa to, co zarobił. Gdy państwo robiło coś, co wykaczało poza to minimum, pobudzało rozwój pasożytów marnujących pieniądze i inne zasoby. Tak właśnie działał socjalizm. Państwo ma być jak sędzia szachowego turnieju, który wymaga przestrzegania reguł i co jakiś czas patrzy na zegar, ale nie może doradzać graczom, cofać ich ruchów, przywracać do gry zbitych figur ani dopuszczać zawodników, którzy zostali zdyskwalifikowani. To wypaczyłoby jego rolę. Na koniec zaś będą wygrani i przegrani. No i co z tego? Wszyscy to wiedzieli, wszyscy zgodzili się na zasady – taka jest natura tej gry. To była przecież rywalizacja, nawet jeśli zdrowa.

Zawsze miałam przy sobie nóż

Pewnego dnia pod koniec lata 1992 roku zostaliśmy poinformowani, że w naszym domu pojawi się delegacja francuskich kobiet z organizacji współpracującej z tą, którą kierowała mama. Przygotowaliśmy się na tę wizytę tak, jakby chodziło o powitanie nowego roku. Odmalowaliśmy ściany, zanieśliśmy do pralni zasłony, wynieśliśmy materace, żeby wywietrzyły się w ogrodzie, wymyliśmy od środka szafy i powycieraliśmy z kurzu wszystkie książki na półkach. Na kilka godzin przed przybyciem Francuzek nasz dom był polem bitwy, na którym działał doskonale zorganizowany oddział wojsk wyposażonych w szczotki, ścierki, gąbki, miski, wiadra, mopy i inne domowe uzbrojenie potrzebne do tej operacji. Mama, niczym dowodzący generał, wydawała tacie głośne rozkazy, podczas gdy sama niestrudzenie odwracała do góry nogami stoły i krzesła, sprawdzała, czy wszystko zostało wyczyszczone, i odkrywała brudne miejsca przeoczone na wcześniejszych etapach sprzątanania. Na pół godziny przed przybyciem gości, gdy dom lśnił już czystością, złapała mnie i brata i zaprowadziła do łazienki, żeby nas umyć. Nie miała nawet czasu, by sprawdzić temperaturę wody, którą nas polewała, a nasze twarze szorowała z równym zapalem jak podłogi. Gdy już skończyła z nami, zajęła się sobą.

Spytała babcię, w jakim stylu powinna się ubrać na spotkanie z przedstawicielkami organizacji walczącej o prawa kobiet. Nini zasugerowała coś jednoczęściowego. Mama wybrała sukienkę kupioną niedawno w sklepie z używaną odzieżą, ponieważ widywała podobne w reklamach mydła i kojarzyła je z wizerunkiem wyemancypowanej kobiety Zachodu. Poza tym z tyłu miała napis „Gloria”, który mama uznała

za nazwę luksusowej marki odzieży z górnej półki. Sięgającą do kolan sukienkę z ciemnoczerwonego jedwabiu, z wyciętym dekoltem, ozdabiały na dole czarna koronka, a na rękawach wstążki. W tamtym czasie albańskie kobiety często myliły trafiającą do lumpeksów zachodnią bieliznę nocną ze zwykłymi sukienkami i nosiły ją w ciągu dnia. Niektóre z moich nauczycielek przychodziły do szkoły w koszulach nocnych albo szlafrokach. Mamie do tej pory się to nie zdarzyło – nie dlatego, że potrafiła odróżniać te dwie kategorie ubrań, tylko dlatego, że nie lubiła falbanek. Chodziła w spodniach, gardziła makijażem i czesała włosy, nie patrząc nawet w lustro. Akceptowała tylko wstążki i koronki, którymi razem z Nini obszywały moje sukienki – to było jak publiczna deklaracja, że pięćdziesiąt lat proletariackiej dyktatury nie osłabiło w nich woli uczynienia ze mnie bałkańskiej wersji infantki Małgorzaty z obrazu Velázquez.

Kobiety, które do nas przyszły, nosiły ciemne, poważne kostiumy. Jak zauważył w kuchni tata, wyglądały jak pięcioosobowa delegacja maoistek. Zasiedliśmy z nimi w salonie i podaliśmy kawę, raki oraz rachatlukum. Nasze goście nawet nie mrugnęły okiem na widok koszuli nocnej, którą miała na sobie mama. Musiały uznać, że jest ona albo wyrazem naszego przywiązania do lokalnej tradycji, albo skutkiem zachłyśnięcia się odzyskaną niedawno wolnością.

– Jesteśmy pod wielkim wrażeniem pani przemówienia na wiecu sprzed kilku dni – powiedziała mamie jedna z nich, niejaka madame Dessous. – Ten długi aplauz publiczności był wspaniały. Oczywiście nie mogłyśmy zrozumieć, o czym była mowa, nie znamy albańskiego – dodała z przepaszającym uśmiechem – ale bardzo nas interesuje, co ma pani do powiedzenia na temat wyzwolenia kobiet.

Babcia przetłumaczyła słowa madame Dessous. Mama wyglądała na wystraszoną, jak ktoś, kto przystępuje do egzaminu i nagle zdaje sobie sprawę, że przygotował się na inne pytania.

– O jakim przemówieniu ona mówi? – wymamrotała do babci po albańsku. – Nigdy nie mówiłam niczego o kobietach. – A potem, odzyskując kontrolę nad sobą, zwróciła się pewnym głosem do madame Dessous i jej koleżanek: – Myślę, że wszyscy muszą być wolni, nie tylko kobiety.

– Doli uważa, że to bardzo złożona kwestia – przetłumaczyła Nini, a kobiety pokiwały głowami.

– Tak, z pewnością – zgodziła się madame Dessous. – Wiemy, że w czasach socjalizmu wiele mówiono o równości kobiet. Ale czy tak było w rzeczywistości? Czy albańskie kobiety bywały *napastowane*?

Na chwilę zapadła cisza, bo babcia nie była pewna, jak przetłumaczyć to słowo. Zapamiętałam je, ale wtedy nie rozumiałam jego znaczenia. Pamiętam też pełne zdumienia spojrzenie mamy. Przestała mieszać kawę i patrzyła na swoją rozmówczynię, zastanawiając się nad możliwym efektem tego, co zamierzała powiedzieć. Kontrast między radosną zmysłowością jej sukienki a powagą pozy, jaką przyjęła, był komiczny i niepokojący. Odstawiła filiżankę z kawą, ale zaraz później sięgnęła nerwowo po kawałek rachatlukum i wsunęła go sobie do ust.

– Oczywiście – odpowiedziała, wciąż gryząc, po czym odchrząknęła i dodała: – Ja zawsze nosiłam ze sobą nóż.

Madame Dessous była zdumiona. Cofnęła się w głąb kanapy, tak jakby chciała zwiększyć dystans między sobą a mamą. Pozostałe kobiety wymieniały pełne zakłopotania spojrzenia.

– Zwykły kuchenny nóż – dodała szybko mama, widząc reakcję, jaką wywołało jej wyznanie. – Nic specjalnego. – A ponieważ jej rozmówczyni odsuwały się od niej jeszcze dalej, zaczęła mówić szybciej. Jej słowa padały jedno po drugim, jak małe kamyczki staczające się ze stromego wzgórza: – Byłam młoda, miałam góra dwadzieścia pięć lat. Dojeżdżałam codziennie do szkoły położonej na północ od miasta. Wracając do domu, mogłam liczyć tylko na kierowców ciężarówek. Zimą mrok zapada wcześniej. Nie można było łapać okazji, jeśli nie miało się noża. Użyłam go tylko raz. Nie, nie zabiłam nikogo. Nic w tym rodzaju. – Uśmiechnęła się sama do siebie, tak jakby z zakamarków jej pamięci wypłynęło jakieś zabawne wspomnienie. – Połaskotałam go tylko nożem po dłoni. No wiecie, położył ją na moim udzie. To nie było przyjemne.

Babcia tłumaczyła wszystko dosłownie. Mama odetchnęła z ulgą, najwyraźniej zadowolona ze swoich wyjaśnień, a zwłaszcza z lekkości, z jaką przedstawiła wydarzenie, które musiało być traumatyczne. Jej wypowiedź nie przyniosła jednak zamierzonego efektu. Spojrzała na tatę,

jakby oczekiwała od niego pomocy. Do tej pory się nie odzywał, ale najwyraźniej znał tę historię. Widać było, że każde zdanie jest dla niego kolejnym powodem do dumy. Ich oczy spotkały się i tata posłał jej porozumiewawczy uśmiech, tak jakby to on sam dał jej ten nóż do ręki. A potem, przekonany, że jest w stanie dokonać tego, co nie udało się mamie, zwrócił się do jej słuchaczek:

– Ta kobieta ma w sobie moc! Jest wyjątkowa. Częstujcie się raki. Doli robi ją sama.

To również nie pomogło. Kobiety podniosły do ust kieliszki, wydając nieśmiały pomruk aprobaty, ale bardzo uważały, żeby nie wypić ich zawartości. Mamę ogarnęły nowe wątpliwości i poczuła, że dotarła do granic swoich zdolności narracyjnych. Sięgnęła po jeszcze jeden kawałek rachatlukum, lecz rozmyśliła się i odłożyła go na miejsce. Postanowiła wypróbować inną strategię.

– W ojczyźnie wolności – zaczęła tak, jakby miała wygłosić jedno ze swoich przemówień – w Stanach Zjednoczonych Ameryki, ludzie mają prawo posiadać broń. Dlatego oczywiście łatwiej im się bronić. W Albanii nasze możliwości były ograniczone. W socjalistycznym państwie obywatelom nie pozwalano mieć prywatnej broni. Umieliśmy się nią posługiwać, bo w wieku szesnastu lat zaczynaliśmy w szkole obowiązkowe szkolenie wojskowe. Ale nie mieliśmy kontroli nad tą bronią. Nie mogliśmy, tak jak w Ameryce, używać jej, kiedy chcieliśmy.

Gdyby mamie pozwolono uczyć kobiety z jej organizacji, jak używać noża do obrony przed napastowaniem, chętnie by to robiła. Ponieważ nie mogła, ograniczyła swoją rolę do organizowania pomocy w sprawach wizowych dla matek, które chciały odwiedzić dzieci przebywające na emigracji. Sporządzała listy nazwisk, zbierała fundusze dla tych kobiet, które trzeba było wesprzeć finansowo, pomagała im wypełniać formularze i umawiała je w ambasadach. Oficjalnym celem tych wyjazdów były spotkania z partnerskimi organizacjami działającymi w różnych europejskich stolicach: w Atenach, Rzymie, Wiedniu, Paryżu. W rzeczywistości owe delegatki zaraz po przekroczeniu granicy rozjeżdżały się do różnych innych miast. Na zaplanowanych spotkaniach pojawiała się tylko mama z jedną lub dwiema koleżankami. Reszta kobiet wolała spędzać

czas z dziećmi i wnukami, więc zostawały u nich przez cały pobyt. Dopiero ostatniego dnia zbierały się wszystkie razem, żeby zrobić obchód sklepów i centrów handlowych. Nie po to, by cokolwiek kupować, bo nawet najtańsze rzeczy były dla nich za drogie. Chodziły tam, jak mówiły, żeby „otworzyć oczy”.

Mama zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakim było ukrywanie prawdziwego celu tych podróży. Opanowała jednak szybko odpowiednie formuły, które powtarzała w ambasadach: efektywny transfer wiedzy, rozwijanie synergii zespołowej, zdobywanie umiejętności szkoleniowych, praca nad misją organizacji, planowanie strategiczne i tak dalej. Kiedyś pracownik ambasady zapytał ją podczas spotkania, czy jej organizacja angażuje się również w kampanie feministyczne.

– Spytałam, co to jest „feminizm” – opowiadała. – Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

Urzędnik powiedział coś o kwotach i akcji afirmatywnej. Zapewniła go, że właśnie dlatego wizyty w krajach Zachodu są tak cenne. Jej organizacja przyjęła właśnie plan działania, ale ona ma nadzieję, że nauczy się więcej dzięki wymianie wiedzy z bardziej doświadczonymi partnerami.

– Kwoty! Równość! – parsknęła, gdy wróciła do domu. – Musiałam bez przerwy potakiwać. To był jedyny sposób, żeby dali nam te wizy. Jestem pewna, że jego żona zatrudnia w domu sprzątaczkę i burczy coś o prawach kobiet, gdy wychodzi sobie pobiegać.

Kiedy opowiadała o przebiegu rozmów w sprawach wizowych, na jej policzkach i szyi pojawiały się czerwone rumieńce.

– Akcja afirmatywna! – wykrzykiwała. – Feminizm! A co z matkami i dziećmi? Moje kobiety nie widziały swoich dzieci od lat. Sanie, która jest na liście delegatek do Rzymu, nie ma pojęcia o tym, jak żyje jej córka. Ma tylko zapisaną na karteczce nazwę ulicy. Martwi się tak, że nie śpi po nocach. Myślisz, że ją obchodzą jakieś kwoty? Gdybym opowiedziała o tym w ambasadzie, pokazaliby mi drzwi i powiedzieli, że Sanie nie dostanie wizy. Jest bez pracy, więc nie mają żadnej gwarancji, że wróci. Nie zwróciliby jej nawet opłaty wizowej. Chciałabym zobaczyć, jak wygląda *afirmacja* w takich sytuacjach. Ale nie, według nich afirmacja nie polega na tym, by pozwolić tym matkom spotkać się z dziećmi. Polega na

uczeniu nas reprezentacji, partycypacji i innych tego rodzaju mrzonek. Jasne. To przecież nic ich nie kosztuje.

A potem zwróciła się nagle do taty:

– A co ty myślisz o akcji afirmatywnej?

Wzruszył ramionami.

– Nic złego – odpowiedział. – Myślę, że to zależy od tego, kto i jak to robi. Te działania mogą być tylko wymówką, mogą też stygmatyzować czarnych. – Próbował wyjaśnić to dokładniej, powołując się na jedyny autorytet w kwestiach praw obywatelskich, jaki uznawał: – Oglądałem ostatnio wywiad z Muhammadem Alim...

Mama przerwała mu:

– Mam na myśli kobiety, a nie czarnych. Nie słuchasz tego, co mówię? Wiesz, te kobiety z Zachodu nie potrafią zajmować się kilkoma sprawami naraz. To straszne niedorajdy. Gdyby musiały jednocześnie studiować i pracować, pracować i zajmować się dziećmi, zajmować się dziećmi i gotować, nie poradziłyby sobie. A ponieważ zakładają, że tutejsze kobiety są takie same, wydaje się im, że tym wszystkim musi zająć się państwo. Niewykluczone, że jakaś inna niedorajda sporządzi idiotyczną listę kryteriów, od których spełnienia zależy równość szans kobiet.

– Co to jest akcja afirmatywna? – spytałam.

Mama próbowała mi to tłumaczyć, ale ledwo panowała nad nerwami.

– Wyobraź sobie, że ktoś podnosi ci szkolne oceny tylko dlatego, że jesteś dziewczynką. Jak byś się wtedy czuła? Czułabyś się znieważona, prawda? – mówiła coraz głośniej. Próbowałam coś powiedzieć, lecz odpowiedziała sama na swoje pytanie: – Nie byłoby żadnej różnicy między tobą a twoimi koleżankami, mimo że ty zapracowałaś na dobre stopnie ciężką pracą, a one dostałyby je tylko dlatego, że wyglądają jak ty, dlatego, że są dziewczynkami. To byłoby w porządku?

Spróbowałam sobie wyobrazić, jak bym się wtedy czuła, mamy jednak nie interesowała moja opinia. Jej pytania były czysto retoryczne. Chciała się po prostu wyładować.

– Wyobraź sobie, że tak samo byłoby ze wszystkim, co robisz – perorowała dalej. – Jak mogłabyś rozpoznać różnicę między tymi, którzy

zasłużyli na swoje wysokie oceny, a tymi, którzy nie zasłużyli? Jak byś się czuła, gdyby ludzie zawsze podejrzewali, że dostałaś się tam, gdzie jesteś, dzięki znajomościom?

Mama gardziła akcją afirmatywną oraz kwotami, a ich zwolenników uważała za żalosnych. Gdyby ktoś ośmielił się zasugerować, że osiągnęła coś dzięki temu, że jest kobietą, a nie dlatego, że na to zasłużyła, byłaby gotowa połaskotać go swoim kuchennym nożem. Podczas spotkań z członkiniami organizacji partnerskich często oświadczała, że jedyny element komunistycznego dziedzictwa, z którego możemy być dumni, to sposób, w jaki Partia wymusiła wprowadzenie w życie zasady równości płci, nie dopuszczając żadnych wyjątków. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, musieli pracować i nie tylko mieli równy dostęp do wszelkich zawodów, ale też aktywnie zachęcano ich, by z tego dostępu korzystali. Nawet normy dotyczące ubioru odnosiły się w równym stopniu do obu płci. Podczas rewolucji kulturalnej, gdy zainspirowaliśmy się przykładem naszych chińskich sojuszników, założenie prochowca o zachodnim kroju oznaczało podobne kłopoty zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet.

Miała rację, ale tylko częściowo. Faktycznie, w przeszłości kobiety musiały pracować. Pracowały wszędzie. Mamy wszystkich moich koleżanek były gdzieś zatrudnione. Żadna nie zostawała w domu. Wstawały o świcie, żeby posprzątać mieszkanie, przygotować dzieci do szkoły, a potem wychodziły, żeby kierować pociągami, wydobywać węgiel w kopalniach, naprawiać kable elektryczne, uczyć w szkołach albo pielęgnować chorych w szpitalach. Niektóre całymi godzinami dojeżdżały do swoich biur, kołchozów i fabryk. Do domu wracały późno. Były zmęczone, a musiały jeszcze przygotować kolację, pomóc dzieciom w odrabianiu lekcji, pozmywać naczynia i do późnego wieczora gotować jedzenie na następny dzień. W nocy albo doglądały dzieci, albo kochały się ze swoimi mężami. Albo robiły jedno i drugie.

Mężczyźni po pracy odpoczywali. Czytali gazety, oglądali telewizję bądź wychodzili spotkać się z przyjaciółmi. Wielu domagało się prasowania ich koszul, a kiedy kawa, którą dostawali, była nie dość gorąca, pozwalali sobie na sarkastyczne żarty. Jeśli ich żony wychodziły z domu zobaczyć się z przyjaciółkami, mieli prawo wypytywać o cel tych spotkań. Czasem

uznawali, że wyjaśnienia są nieprzekonujące, albo ich nie akceptowali. Mogli wtedy zażądać, by żona została w domu lub w ogóle przestała się widywać z tą lub inną przyjaciółką. Mówili, że robią to wyłącznie z miłości. Kochać kobietę i sprawować nad nią kontrolę – dla nich było to praktycznie jedno i to samo. Nauczyli się tego od swoich ojców, którzy nauczyli się tego od swoich ojców, którzy nauczyli się tego od swoich ojców. A potem przekazywali tę naukę własnym dzieciom.

Niektóre żony nie chciały się podporządkować tym zasadom. Czasem granica między sprawowaniem kontroli a jej utratą przestawała być szczelna, podobnie jak granica między miłością a kontrolą. Takie przypadki mogły się skończyć zwichniętym nadgarstkiem lub krwawiącym nosem. Awanturom przyglądały się poukrywane po kątach zasmarkane dzieci, które następnego dnia w szkole opowiadały o nich szczegółowo kolegom i koleżankom. Informacje te docierały niekiedy do nauczycieli, a wtedy sprawą zaczynała się interesować Partia. Gdy sytuacja stawała się poważna, w miejscu pracy rodziców lub w radzie dzielnicy organizowano spotkanie, podczas którego towarzysze potępiali te zachowania, dopatrując się ich źródeł w ograniczeniach ludzkiej natury, lokalnych obyczajach lub spuściźnie religijnych tradycji. Socjalizm zdołał zedrzeć chusty z głów kobiet, ale nie udało mu się zmienić myślenia ich mężów. Zerwał z kobiecych piersi zawieszane na łańcuszkach krzyżyki, ale nie potrafił zdjąć łańcuchów krępujących mózgi mężczyzn. Można więc było jedynie czekać, aż czas wszystko zmieni, albo – jak uważała mama – po prostu się bronić.

Tata chciał być inny, podobnie jak jego ojciec. Mój dziadek tłumaczył w więzieniu pisma Olympe de Gouges, kiedy jednak pokazał Hakiemu przekład *Deklaracji praw kobiety i obywatelki*, ten kazał mu go zjeść. Jeśli chodzi o mojego pradziadka, owego premiera, jego wkład w obronę praw albańskich kobiet sprowadzał się do legalizacji prostytucji. Niedługo po wojnie Partia unieważniła tę ustawę. Nie wiemy nic o mózgu pradziadka – po wybuchu bomby nic z niego nie zostało, zresztą tak czy inaczej nie wolno nam było myśleć o pradziadku. Z historii mojej rodziny wynika jednak, że należący do niej mężczyźni od kilku pokoleń uznawali kobiety,

przynajmniej teoretycznie, za istoty, których nie da się zredukować do roli, jaką odgrywają w życiu swoich mężów i ojców.

Czy to się przekładało jakoś na kwestie bardziej przyziemne, takie jak gotowanie, sprzątanie i zmywanie naczyń? To całkiem inna sprawa. Tata podchodził do prac domowych jak dziecko do jedzenia kapusty. Dziecko wie, że kapusta jest zdrowa, ale jej smak wywołuje u niego mdłości. Tata reagował podobnie. Na jego usprawiedliwienie należy jednak dodać, że niechęci do tych prac nigdy nie tłumaczył zestawem swoich chromosomów, lecz astmą. Gdy chciał mamie ulżyć, wysyłał jej na pomoc własną matkę. Babcia jednak miała z domowymi obowiązkami problem innego rodzaju – nie chodziło o to, że nie powinny one spoczywać na kobietach, lecz o to, że w jej czasach zlecano je służbie. W rezultacie i tata, i babcia zostawiali mamę samą ze wszystkimi ciężkimi fizycznymi pracami. Oni odpowiadali za edukację.

Mamie nigdy nie przyszło do głowy, że może żyć inaczej. Gdy miała z czymś problem, zamiast pomyśleć o zwróceniu się do kogoś o pomoc, zastanawiała się, jak może rozwiązać go sama. Jej charyzma i naturalny autorytet sprawiały, że zachowywała niezależność wobec innych ludzi – czasem posuniętą zbyt daleko. Jediną bronią, jaką mogła zaoferować innym kobietom, była jej własna siła. Jediną metodą obrony, jakiej mnie uczyła, był jej własny przykład. Dorastając, widziałam, że ludzie okazują mamie szacunek, tak jakby się jej bali, i nie dotyczyło to tylko jej uczniów, dzieci z sąsiedztwa i nas samych, lecz także wielu dorosłych, w tym również mężczyzn. Zastanawiałam się, skąd bierze tę władzę, i wydawało mi się, że może inni się jej boją, bo ona sama nie bała się niczego. Gdy jednak chciałam być taka jak ona i próbowałam zyskać kontrolę nad własnymi lękami, pokonać je, nie dawałam rady. Stwierdziłam, że jej przykład jest zbyt trudny, by za nim podążać. Mama nie walczyła ze swoimi lękami ani nie próbowała ich pokonywać. Ona po prostu nie знаła uczucia strachu.

Podobnie odbierały ją kobiety, którym pomagała. Trudno im było traktować mamę jako istotę podobną do nich, skoro onieśmiała nawet mężczyzn. Nigdy się nie przyznawała, że zdarzają się jej chwile słabości, że potrzebuje czasem pomocy albo ratunku. Oferując kobietom wsparcie, nie

kierowała się odruchem solidarności, lecz współczuciem. Moralne dylematy, opinie innych ludzi i próby znalezienia z nimi płaszczyzny porozumienia uznawała za rozprasające uwagę, bezsensowne przeszkody na drodze do celu. Dlatego trudno jej było konsultować się z kimkolwiek. Nie ufała nikomu – tylko sobie samej.

A przede wszystkim nie ufała państwu. Reagowała alergicznie na abstrakcyjne dyskusje o równości lub roli instytucji w promowaniu sprawiedliwości społecznej. Zastanawianie się nad tym, czy jakaś sprawa powinna wyglądać tak czy inaczej, uważała za zły punkt wyjścia. Zamiast myśleć o tym, co państwo mogłoby dla nas zrobić, mówiła, należy myśleć o tym, co zrobić, żeby zminimalizować naszą zależność od państwa. Podejrzewała, że wszystkie debaty na temat akcji afirmatywnej i kwot służą odwróceniu uwagi od rzeczywistych problemów i wzmocnieniu biurokratycznej kontroli, a także tworzą więcej możliwości dla pasożytniczych, podatnych na korupcję jednostek. Nigdy nie uważała państwa za wehikuł postępu. Nigdy nie wierzyła w sprawczą moc kolektywu.

Dopiero wiele lat później przyszło mi do głowy, że musiała się czuć bardzo samotna. Mniej więcej w tym samym czasie pomyślałam również, że może nie była wcale wyjątkowa, że może były setki, a nawet tysiące kobiet takich jak ona. Żyły, nie wiedząc wzajemnie o swoim istnieniu, zadowolone z własnej samowystarczalności, a przy tym pełne urazy do innych kobiet, pozbawionych ich zdaniem odwagi, ambicji i woli walki. Nie wiem, czy była to porażka instytucji, czy jej własny brak wyobraźni, ale mama, która spędziła całe życie w socjalistycznym państwie, uważała, że walczyć można tylko przeciwko komuś, a nie wspólnie z kimś. Chciałabym myśleć o niej ze współczuciem, wiem jednak, że uznałaby to za zniewagę.

To wszystko jest częścią społeczeństwa obywatelskiego

Gdy pewnego październikowego popołudnia 1993 roku wróciłam ze szkoły, zastałam babcię stojącą na progu domu z zatroskaną twarzą. Weszłam do środka, a ona poszła za mną, nic nie mówiąc. Poczekała, aż rozpakuję torbę, przebiorę się i zjem klopsiki, które dla mnie podgrzała, a potem wskazała mi gestem dłoni miejsce na kanapie. Sama usiadła jak zwykle naprzeciwko mnie w fotelu. I wreszcie zadała mi pytanie, równie nieoczekiwane, jak absurdałne.

– Skąd się dowiedziałaś, co to są kondomy?

– Skąd co? – odpowiedziałam tak szybko, że babcia uznała to za dowód, że próbuję zaprzeczyć prawdzie, którą właśnie odkryła. – Nie wiem, co to są kondomy.

– Wiesz – upierała się. – Twój ojciec spotkał na ulicy Kasema, który powiedział, że jego syn był świadkiem, jak mówiłaś, że ludzie powinni używać kondomów. Zdaje się, że było przy tym ze dwudziestu chłopców, i to starszych od ciebie. Nawet oni czuli zakłopotanie, słysząc młodą kobietę z dobrej rodziny wygadującą takie rzeczy. *Ton père est en colère*. Jest naprawdę bardzo zły.

– Ach, chodzi ci o to tłumaczenie z francuskiego? – dopiero gdy odezwała się w tym języku, skojarzyłam, o czym mówi. – Nie mówiłam tego do nikogo w szczególności. Po prostu przetłumaczyłam końcówkę francuskiego filmu.

Jednak to wyjaśnienie tylko pogorszyło sprawę.

– A dlaczego tłumaczyłaś w szkole film o kondomach? – Babcia kontynuowała przesłuchanie.

– Mulica mnie poprosiła – odpowiedziałam. – Musiałam zajrzeć do słownika, żeby sprawdzić słowo *préservatif*. Nie miałam pojęcia, co ono znaczy.

Mulicą nazywaliśmy nauczycielkę z liceum, do którego właśnie zaczęłam chodzić. Dawniej uczyła w nim marksizmu. Kiedy chodziła, miało się wrażenie, że próbuje puścić się kłusem. Dostawała przy tym zadyszki, bo nosiła ciężki plecak – tak jakby miała na grzbiecie jeźdźca i próbowała go zrzucić. Rodzice podejrzewali, że w przeszłości była agentką Sigurimi. Kiedy widzieli ją na ulicy, przechodzili na drugą stronę. Ostatnio jednak Mulica dołączyła do społeczeństwa obywatelskiego. Dorabiała do skromnej nauczycielskiej pensji pracą dla kilku zagranicznych organizacji pozarządowych, które otworzyły biura w naszym mieście. Do pomocy często angażowała uczniów. Nie miała żadnego problemu z tym, że jeszcze niedawno organizowała spotkania komunistycznej młodzieży i uroczystości z okazji urodzin Envera Hoxhy. Tata żartował sobie, że pewne umiejętności przydają się w każdym czasie.

– Dlaczego Mulica chciała, żebyś tłumaczyła film o kondomach, skoro nie wiesz, co to są kondomy? – dociekała Nini, ale czułam, że jej gniew ustępuje miejsca zdumieniu.

– Nie prosiła, żebym przetłumaczyła cały film, tylko jego zakończenie. To był film o młodej kobiecie, która umiera na AIDS, zakaźną i bardzo groźną chorobę. Pod koniec ona opowiadała swoją historię. Musiałam wszystkim przekazać jej słowa. Stałam przed nimi i powiedziałam: „Proszę, używajcie kondomów”. Tak właśnie mówiła ta kobieta. Nie widzieliśmy całego filmu, tylko kawałek, ale to było bardzo poruszające. Kobieta miała łzy w oczach i wszyscy bardzo się przejęli. Mulica jest teraz szefową nowej organizacji, która nazywa się Aksion Plus, ich misją jest szerzenie wiedzy na temat AIDS, co dwa miesiące w szkole odbywają się w tej sprawie popołudniowe spotkania i na ostatnim widzieliśmy końcówkę tego francuskiego filmu, i proszono nas o różne rzeczy. Besa miała przeczytać wiersz *Jeżeli* Rudyarda Kiplinga, inni zaśpiewać *I Want to Break Free* Freddiego Mercury’ego, który zmarł na AIDS, a mnie Mulica poprosiła o przetłumaczenie końcówki tamtego filmu, bo wydawała się jej bardzo wzruszająca, chociaż jej nie rozumiała, a tylko ja znam francuski. Na to

spotkanie przyszli jacyś Amerykanie, którzy finansują Aksion Plus, na końcu bili brawo i mówili, że nasza kampania była *fantastically inspiring*.

Kiedy skończyłam te wyjaśnienia, nie mogłam zaczerpnąć tchu. Udało mi się wprawdzie przekonać babcię o mojej niewinności, ale zaczęłam podejrzewać, że w działalności Aksion Plus jest coś nieczystego.

Nini milczała. Wstała ze swojego fotela, usiadła obok mnie na kanapie i udzieliła mi pierwszej lekcji edukacji seksualnej. Wy tłumaczyła, co to jest kondom i dlaczego się go używa. Ja z kolei opowiedziałam jej o HIV, a potem razem się zastanawiałyśmy, jak przenosi się AIDS – choroba, o której nigdy nie słyszała. Opowiedziałam jej też o sławnych ludziach zmarłych na AIDS, takich jak Rudolf Nuriejew, którego pamiętała, bo w 1961 roku uciekł ze Związku Radzieckiego na Zachód, i Anthony Perkins, którego nie kojarzyła, ale przypomniała sobie, gdy powiedziałam, że grał Normana Batesa w filmie *Psychoza*.

– To straszne – powiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Naprawdę straszne. Nigdy o tym nie słyszałam. Ale kto wie, może wkrótce do nas dotrze.

Obiecała mi, że przekona tatę, że Aksion Plus nie jest organizacją szkodliwą, lecz bardzo potrzebną, i że nie ma potrzeby kontrolować mojego zaangażowania w działalność Mulicy. Zamierzała mu też powiedzieć, że chociaż na razie nie ma przypadków AIDS w naszym kraju, bo kobiety są dobrze wychowane i raczej nie uprawiają seksu przed ślubem, to jednak niedługo może się to zmienić. Należy założyć, że AIDS – podobnie jak narkotyki i inne zachodnie perwersje – kiedyś się jednak pojawi, a jeśli tak, to wszelkie działania zapobiegawcze są nie tylko akceptowalne, ale wręcz obowiązkowe.

– To jest wolność – podsumowała babcia. – Takie są skutki nadmiaru wolności. Dobre rzeczy i złe rzeczy. Nie da się cały czas kontrolować ludzi. Nie da się uchronić wszystkich przed tym wirusem. Do tego chyba potrzebujemy tych organizacji pomocowych. Do tego, żeby ustrzec nas przed nowymi chorobami, przed wszystkimi nadciągającymi katastrofami. Nie możemy w tych sprawach polegać na państwie. Dlatego potrzebujemy społeczeństwa obywatelskiego.

„Społeczeństwo obywatelskie” było nowym pojęciem, które pojawiło się niedawno w naszym politycznym języku i stało się czymś w rodzaju substytutu terminu „Partia”. Wiedzieliśmy, że społeczeństwu obywatelskiemu zawdzięczamy aksamitną rewolucję w Europie Wschodniej i że to ono przyspieszyło upadek socjalizmu. U nas pojęcie to zyskało popularność, kiedy rewolucja już się dokonała; być może było potrzebne, by nadać sens nieprawdopodobnej, jak się wydawało, sekwencji zdarzeń, którą należało jakoś nazwać. Dołączyło do innych nowych słów, takich jak „liberalizacja”, która zastąpiła „centralizm demokratyczny”, „prywatyzacja”, która zastąpiła „kolektywizację”, „transparentność”, która zastąpiła „samokrytykę”, oraz „przejście”, które brzmiało wprawdzie tak samo, ale teraz nie oznaczało już przejścia od socjalizmu do komunizmu, lecz od socjalizmu do liberalizmu. Była jeszcze „walka z korupcją”, która zastąpiła „walkę z imperializmem”.

Te wszystkie nowe idee dotyczyły wolności, ale nie wolności kolektywu (to słowo stało się nieprzyzwoite), lecz jednostki. Wciąż jednak podejrzewano – a może była to głęboka warstwa pamięci kulturowej – że bez społecznej kontroli wolność jednostki obejmie również wolność jednostek do krzywdzenia samych siebie. A społecznej kontroli, uważano, nie można już powierzyć państwu. Dlatego tak pilna stała się potrzeba budowy społeczeństwa obywatelskiego. Miało ono być czymś zewnętrznym wobec państwa, ale też czymś, co mogłoby je zastąpić. Miało wzrastać organicznie, ale też trzeba było ten wzrost stymulować. Miało przynieść harmonię, ale przyznawano, że pewnych sprzeczności nie da się nigdy rozwiązać. Społeczeństwo obywatelskie składało się z wielu różnych grup i organizacji, które zawiązywały się niczym nowe znajomości w kolejkach z czasów socjalizmu, jedno w wyniku lokalnych inicjatyw, inne, liczniejsze, przy pomocy zagranicznych przyjaciół. Słyszeliśmy często, że wśród problemów naszego kraju jest brak społeczeństwa obywatelskiego. Nie wiadomo było, czy mieliśmy je kiedyś w przeszłości, tylko połknęła je Partia – jak Kronos pożarł własne dzieci po ich urodzeniu – czy też musimy je tworzyć od początku. Tak czy inaczej, bezpieczniejsze wydawało się założenie, że należy działać dwutorowo, to znaczy zmusić Kronosa do wymiotów, by odzyskać dziecko, a jednocześnie

budować życie społeczne, które nie tylko umożliwi obywatelom spontaniczne organizowanie się, wymianę poglądów, wspólne działanie i tworzenie przestrzeni dla wymiany doświadczeń oraz handlu, ale także uchroni ich przed nadciągającymi zagrożeniami.

Jako nastolatka brałam hiperaktywny udział w życiu społeczeństwa obywatelskiego. Podobnie jak inni nie byłam ślepa na płynące z tego korzyści, zarówno duchowe, jak i materialne. Podczas spotkań Open Society Institute można było dyskutować na temat zasadności kary śmierci albo dowiedzieć się, czym jest ósma poprawka do konstytucji Stanów Zjednoczonych. Dzięki udziałowi w debacie *Otwarte społeczeństwa wymagają otwartych granic* można było zrozumieć rolę Światowej Organizacji Handlu. Kampania informacyjna Aksion Plus dotycząca problemu AIDS stwarzała okazję, by spędzić popołudnie na objadaniu się darmowymi orzeszkami i picciu coca-coli w dawnej sali do gry w ping-ponga w Pałacu Sportu. Współpraca ze stowarzyszeniem Przyjaciele Esperanto dawała nadzieje na wyjazd do Paryża. Gdy roznosiłam po okolicy paczki żywnościowe Czerwonego Krzyża dla rodzin w potrzebie, dostawałam za darmo torebkę ryżu. Nie był to jednak taki ryż, jaki pożyczaliśmy od sąsiadów. Po pierwsze było go więcej, po drugie pochodził z Zachodu, po trzecie na opakowaniu widniał termin przydatności do spożycia, informujący zwykle, że należało go zjeść w poprzednim tygodniu.

Moja przyjaciółka Marsida dołączyła do grupy studiujących Koran. Jej rodzina uciekła z Albanii na Vlorze, ale jak wszyscy inni została odesłana z powrotem. Kiedy w warsztacie szewskim jej taty urządzono nocny klub, a on stracił pracę, postanowił pójść w ślady swojego ojca i zostać imamem. Marsida nauczyła mnie sury al-Ichlas: „*Bismillah ar-rahman ar-rahim / Kul huwa Allahu ahad / Allahu as-samad / Lam jalid wa-lam julad / Wa-lam jakun lahu kufuwan ahad*”^[10]. Powiedziała, że najlepiej nauczyć się właśnie tej sury, w której wymienione zostają atrybuty Boga: jedność, wieczność i potęga. Wypowiedzenie jej na głos zajmuje dwanaście sekund, ale jak powiedział Prorok, w niej zawarta jest jedna trzecia całego Koranu. Kiedy Marsida mi ją przetłumaczyła i zrozumiałam, że wszechmocny Allah

jest tym, do kogo możemy zwrócić się o pomoc, postanowiłam pójść do meczetu, by usłyszeć coś więcej o Bogu muzułmanów.

– Czy pomodliłaś się o to, żebym znalazł pracę? – zakpił tata, gdy powiedziałam mu, że dołączyłam meczet do listy moich aktywności w ramach społeczeństwa obywatelskiego.

– To nie pomoże – odpowiedziałam. – Musisz zmienić czcionkę w swoim CV z Times New Roman na Garamond.

Zadziałało. Nie wiem, czy była to modlitwa, czy zmiana czcionki – a może nowe polityczne koneksje mamy – ale w okolicach moich cztertnastych urodzin tata dostał ofertę pracy. Miał zostać szefem firmy Plantex, dawnego państwowego przedsiębiorstwa zajmującego się eksportem roślin leczniczych. Teraz jego najpilniejszym zadaniem było zmniejszenie ogromnego zadłużenia.

Tata przyjął tę ofertę dopiero po upewnieniu się, że jego poprzednik zajął się już redukcją zatrudnienia. Perspektywa podjęcia pracy ożywiła go – był gotów na nowe wyzwanie.

Jego osiągnięcia w zarządzaniu finansami naszej rodziny tuż po upadku komunizmu mówiły same za siebie. Na kilka tygodni przed objęciem stanowiska w Plantexie udało mu się zwrócić pieniądze, które pożyczył 4 listopada 1980 roku, czyli w dniu wyborczego zwycięstwa Ronalda Reagana nad Jimmym Carterem. Zapamiętałam datę, ponieważ rodzice w ten właśnie sposób zaksięgowali ostatnią pożyczkę udzieloną przez wujka.

Gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że powierzenie misji zarabiania pieniędzy człowiekowi, który do tej pory zajmował się sadzeniem drzew, było jak wysłanie Pinokia na Pole Cudów. Lecz wiara taty we własne siły nie miała w sobie nic z arogancji ani nie była niczym wyjątkowym – jego podejście do finansów podzielali wszyscy w naszym kraju.

W 1993 roku nie mieliśmy żadnych oszczędności. Zwyczaj pożyczania pieniędzy od krewnych i sąsiadów powoli zanikał, ponieważ ludzie mogli już podróżować za granicę, ale również dlatego, że teraz można było bez trudu wydać całe oszczędności, co kiedyś nie było łatwe. Poza tym dochody

uległy wielkiemu zróżnicowaniu, więc pojawiło się ryzyko, że ktoś pukający do czyichś drzwi po pomoc zostanie uznany za nieudacznika. Zanikała też instytucja kas pracowniczych, które udzielały pożyczek ze środków pochodzących z dobrowolnych składek pracowników – dzięki nim ich koledzy mogli kupić pralkę albo telewizor. Pojawiły się firmy pożyczkowe i agencje ubezpieczeniowe, lecz moja rodzina nie miała do nich dość zaufania, by powierzyć im oszczędności albo ubiegać się o kredyt.

– Pamiętacie rozdział o bankructwach z *Historii wielkości i upadku Cezarego Birotteau*? – pytała babcia, tak jakby przywołanie losów fikcyjnych postaci z powieści Balzaka stanowiło rozstrzygający dowód niemoralności systemu kredytowego. Mama prezentowała bardziej wyważone opinie. Sugerowała, że byłoby dobrze, gdybyśmy posiadali jakieś nieruchomości, tak jak jej rodzina przed wojną. Później zmieniła zdanie, ale przez jakiś czas nadal chowaliśmy drobne sumy, jakie udawało się nam zaoszczędzić, w wewnętrznej kieszeni starego płaszcza dziadka – „tak na szczęście”. Płaszcz był jedną z niewielu rzeczy, które funkcjonowały tak samo w socjalizmie i w kapitalizmie.

Jakoś sobie radziliśmy. Babcia zaczęła dawać prywatne lekcje francuskiego i włoskiego. Ludzie szybko się dowiedzieli, że nie uczyła się tych języków, tak jak inni, z piosenek i filmów, tylko we francuskim liceum. Wkrótce chętnych do nauki było więcej, niż babcia mogła przyjąć. Nasza sypialnia zmieniła się w salę lekcyjną ze składanym stołem, krzesłami, kredą, sztalugą i tablicą, na której nieustannie widniały odmieniane czasowniki: *je viens d'oublier, tu viens d'oublier, il/elle vient d'oublier*^[11] – tak jakby chodziło o uwiecznienie nazywanego przez nie stanu. Czułam się, jakbym zamieszkała w szkole. Tata na koniec każdej lekcji pobierał pieniądze, a kiedy musiał upomnieć się o zaległe płatności, robił to z wdziękiem, lecz stanowczo. Zarządzał teraz naszymi rodzinnymi finansami sumiennie i oszczędnie, wykazując się umiejętnościami, o które nikt go nie podejrzewał. Babcia uznała, że ma wrodzony talent do interesów, podobnie jak mama. Ale tak naprawdę bał się popadnięcia w długi. Mówił, że dług jest bestią, która w socjalizmie pozostaje uśpiona – tak jak wiele innych rzeczy – lecz budzi się w kapitalizmie. Musimy ją

zabić, zanim ona zabije nas. Tata nie spoczął więc, dopóki nie spłacił wszystkich pieniędzy, jakie byliśmy winni. A kiedy wyeliminował już jeden gatunek bestii, był gotów zmierzyć się z następnym. Stąd jego entuzjastyczne podejście do kolejnej bohaterkiej misji: ratowania Plantexu.

Mama kupiła mu w lumpeksie czarny krawat w biały wzorek składający się z maleńkich słoni, pocerowała marynarkę oraz spodnie dziadka. Gdy szedł pierwszego dnia do pracy, babcia, która nigdy wcześniej nie okazywała żadnych religijnych skłonności, poprosiła, żeby przed wyjściem z domu pocałował trzykrotnie Koran – „żebyś był po tej bezpiecznej stronie”. Tata mógł się wykazać dobrymi wynikami, jeśli chodzi o rodzinne finanse, słonikami na krawacie oraz przynoszącym szczęście ubraniem, w którym poszedł do biura; okazał też szacunek Allahowi. Pozostawał jednak jeden front, na którym mógł zostać zaatakowany przez zły los – znajomość angielskiego.

Początkowo wydawało się, że to niewielki kłopot. Tata znał poza albańskim pięć języków. Francuskiego nauczył się, tak jak wszyscy w naszej rodzinie, już w dzieciństwie, a włoskiego – czytając przemycone egzemplarze *Novelle per un anno* Pirandella. Kiedy nasz kraj utrzymywał jeszcze dobre relacje z Moskwą, wygrał olimpiadę języka rosyjskiego. Dzięki znajomości rosyjskiego i wizualnemu wsparciu jugosłowiańskiej telewizji opanował serbsko-chorwacki oraz macedoński, który wydawał mu się identyczny z bułgarskim. Nie mógł przewidzieć, że żadne z tych osiągnięć nie wystarczy, by zrekompensować jego największy, jak się okazało, życiowy błąd – zaniechanie nauki angielskiego. Znajomość tych wszystkich języków nie tylko nie dawała mu żadnej satysfakcji, więcej: swoją biegłość w posługiwaniu się nimi uznał za skutek manipulacji złowrogich sił, które odwiodły go od nauki jedyne go języka, jaki powinien był opanować.

– Gdybym tylko oglądał *Języki obce w domu* – powiedział, trzymając się za głowę. – Gdybym przerobił *Essenshel*.

– To się nazywa *Essential English for Foreign Students* – zauważyłam, co przygnębiło go jeszcze bardziej.

– Ty miałaś szczęście, brigatista. Uczyłaś się angielskiego już w szkole, bo wtedy nie przyjaźniliśmy się już z Sowietami. Mnie uczyli tylko

rosyjskiego.

Angielski stał się jego nową obsesją, koszmarem, który budził go w nocy.

– Oni niedługo przyjadą – mówił łamiącym się głosem. – Zagraniczni eksperci. Wkrótce tu będą, a ja nie będę potrafił się z nimi porozumieć. Gdy tylko rząd się zmieni, zostanę zwolniony. To pewne. Nie znam angielskiego.

– Ale możesz się go nauczyć, Zafo – odezwała się łagodnym głosem babcia. – Poza tym znasz francuski. Wiesz, teraz ważna jest Bruksela, bo przecież zamierzamy wstąpić do Unii Europejskiej. Wciąż jest mnóstwo ludzi, którzy uczą się francuskiego.

– Tak, Francuzi wciąż się go uczą – szydziła mama. – Najpierw jako języka ojczystego, a potem jako języka obcego. – Czuła, że ma nad tatą przewagę, bo знаła podstawy angielskiego dzięki swojej matce, Nonie Fozi, która przed wojną uczyła się w amerykańskiej szkole z internatem dla dziewcząt z bogatych rodzin. – Ale faktycznie, ucz się angielskiego – nakazała. – Nie marnuj czasu na zamartwianie się.

Tata zazwyczaj nie „marnował czasu” na zamartwianie się. Przeciwnie, to było raczej przesiadanie się z jednego zestawu zmartwień na następny, co pomagało mu mierzyć upływ czasu, nadawało strukturę zdarzeniom i kształtowało oczekiwania wobec przyszłości. Zamartwianie się było dla niego stanem naturalnym, tak jak oddychanie i spanie. Z pewnością znalazłby jakiś powód do niepokoju związany z nową pracą, nawet jeśli miałyby to być coś znacznie mniej istotnego niż angielski. Problem nie polegał na tym, że tata się tym martwił, lecz na tym, że nikt nie mógł mu w tym zmartwieniu ulżyć. Nikt nie mógł powiedzieć, że to nie ma znaczenia.

Na początku podszedł do tego wyzwania tak, jak to robił w przeszłości. Kupił słownik i zaczął tłumaczyć książkę. Wkrótce jednak okazało się, że to na nic. Być może dlatego, że znane mu języki nie pomagały w nauce angielskiego. A może dlatego, że książką, którą sobie wybrał, były dzieła wszystkie Szekspira – luksusowe dziewiętnastowieczne wydanie, które po wojnie uniknęło konfiskaty tylko po to, by pół wieku później zgotować mu upokorzenie.

Spróbowałam więc go namówić, by zapisał się, tak jak ja, na popołudniowy kurs angielskiego Cambridge School. Lekcje były bezpłatne, ale w zamian uczestnicy musieli napisać pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt listów do przypadkowych osób mieszkających w Wielkiej Brytanii. Każdy dostawał skserowane strony z książki telefonicznej i wybierał z nich odbiorców. W liście należało przedstawić siebie i swoją rodzinę, dołączyć fotografię lub dwie, wyrazić pragnienie znalezienia przyjaciół za granicą i poprosić o finansowe wsparcie kursów angielskiego. Ja dostałam kartki z nazwiskami na literę F. Nie dowiedziałam się jednak, co należało zrobić po otrzymaniu odpowiedzi, bo nigdy żadnej nie dostałam. To było jak wpuszczanie kropli do oczu do oceanu. Krążyły pogłoski, że niektórzy kursanci znaleźli w ten sposób finansową pomoc, a inni zostali zaproszeni do Wielkiej Brytanii na wycieczkę lub na studia. Nie mieliśmy jednak na to żadnych dowodów, bo ci, którzy dostawali takie zaproszenia, nie przynosili otrzymanych listów, żeby ci mniej szczęśliwi „nie ukradli im adresu sponsora”. Jeśli o mnie chodzi, jedyną korzyścią, jaką z tego miałam, była lepsza angielszczyzna. Każdy list musiał być inny, więc nauczyłam się różnych sformułowań opisujących te same proste fakty. Tata podszedł do tego pomysłu z wielkim entuzjazmem, ale kiedy chciał się zapisać, powiedziano mu, że kursy są przeznaczone dla dzieci i młodzieży i że jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek odpisał na list albańskiego mężczyzny w średnim wieku. Nie muszę dodawać, że przygnębiło go to jeszcze bardziej.

Nadzieja pojawiła się za sprawą szczęśliwego przypadku. Wracając z pracy, tata spotkał w autobusie grupę młodych Amerykanów. To chyba byli *marines*, powiedział. Wydawało mu się, że tak się przedstawili, a poza tym wyglądali na zdyscyplinowanych. Wszyscy mieli czarne plecaki, obcisłe spodnie i świeżo wyprasowane białe koszule, byli dokładnie ogoleni i ostrzyżeni. *Marines* podeszli do niego, żeby spytać o drogę. Próbował im wyjaśnić, że ich nie rozumie, ale musiał przy tym jakoś pokazać, jak bardzo jest mu smutno z tego powodu. Jeden z nich napisał coś na kartce, którą wsunął mu do kieszeni. Okazało się, że prowadzą wieczorami lekcje angielskiego i zapraszają go, by się na nie zgłosił.

Zrobił to od razu. Bardzo mu się u nich spodobało. Spotkał tam znajomych, w tym naszego sąsiada, Murata, szewca przygotowującego się do roli imama. Ucząc się angielskiego od Amerykanów, robił szybkie postępy, a poza tym uznał, że podręczniki, z których korzystali, są same w sobie interesujące. Dowiedział się z nich o istnieniu czegoś, co nazywało się Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, i poznał nową doktrynę religijną, o której nigdy nie słyszał. Dopuszczała ona, podobnie jak islam, poligamię. Tata opowiadał, że dyskusje w klasie były zawsze bardzo poważne i dogłębne. Nigdy nie pojawiały się banalne tematy, jakich można się spodziewać na podstawowym kursie angielskiego. Wielu uczestników broniło wyższości proroka Mahometa, który w przeciwieństwie do Jezusa nie był na tyle zuchwały, by utrzymywać, że jest synem Boga, lecz przedstawiał się jako jeden z wielu proroków, tyle że jako ostatni z nich był najbliższy prawdy. Tata nie zabierał głosu w tej sprawie. Przeczytał gdzieś, że kwestii rozumu i wiary nie można rozstrzygać za pomocą tych samych kryteriów. Lubił jednak słuchać tych dyskusji i występować w nich jako mediator. Mówił, że niektórzy bardzo agresywnie krytykowali Świętych w Dniach Ostatnich. Murat zaprosił *marines* do meczetu, w którym urządzono dom młodzieży, ale teraz, dzięki pomocy muzułmanów z Arabii Saudyjskiej, został odremontowany i powrócił do swojej dawnej funkcji.

Po jakimś czasie tata odkrył, że ci młodzi Amerykanie wcale nie nazywali się *marines*. Wtedy, w autobusie, jego angielski był tak słaby, że źle ich zrozumiał. To byli mormoni. Mówili, że są misjonarzami, ale w mojej rodzinie powstały kontrowersje co do natury ich misji. Tata sądził, że chcą po prostu uczyć angielskiego. Nini jednak upierała się, że gdyby chcieli uczyć angielskiego, nie przedstawialiby się jako misjonarze, lecz nauczyciele. Misjonarze nazywają się misjonarzami, ponieważ ich misją jest nawrócenie ludzi na ich wiarę. Mama wniosła w ten spór własną opinię.

– To wszystko jest częścią społeczeństwa obywatelskiego – powiedziała, tak jakby użycie tych dwóch słów kładło kres wszelkim religijnym sporom.

– Biedni chłopcy – westchnęła babcia.

– Tak, biedni – zgodził się tata. – Nie można im zarzucić, że próbują nawracać ludzi. W naszej klasie są w mniejszości i zawsze muszą się

bronić. To Murat i jego znajomi próbują nawrócić ich na islam.

– O to właśnie mi chodziło – powiedziała mama. – Wszystko jest kwestią dyskusji.

– Biedni chłopcy – powtórzyła Nini.

Od tej pory tata, wychodząc na wieczorne lekcje angielskiego, mówił zawsze, że idzie odwiedzić „tych biednych chłopców”.

Krokodyl

Tata ćwiczył swój angielski również z pewnym „biednym człowiekiem”, którego początkowo nazywaliśmy Krokodylem. Tak naprawdę nazywał się Vincent van de Berg. Urodził się w Hadze, ale przez większość życia mieszkał za granicą. On też był w pewnym sensie misjonarzem. Pracował dla Banku Światowego. Nie nosił Biblii w plecaku – zamiast niej miał drukowaną na różowym papierze gazetę „Financial Times”. Trzymał ją w małej skórzanej teczce, w której znajdował się elegancki komputer, pierwszy, jaki widziałam w życiu. Przyjechał do Albanii doradzać rządowi przy różnych projektach prywatyzacyjnych. Był „ekspertem” – jednym z tych, których przybycie tata trafnie przewidział i z powodu których czuł pilną potrzebę nauczenia się angielskiego.

Vincent specjalizował się w społeczeństwach znajdujących się w stadium przejściowym. Sam też znajdował się nieustannie w stadium przejściowym, ponieważ przenosił się co chwila z jednego transformującego się społeczeństwa do kolejnego. Był w tak wielu krajach, że jedyne pytanie, które wprawiało go w większe zakłopotanie niż zainteresowanie jego zarobkami, brzmiało: gdzie przez te wszystkie lata mieszkał? Nie potrafił przypomnieć sobie nazw wszystkich miejsc, które odwiedził. Wzruszał lekko ramionami, mrużył oczy i patrzył w pustkę. Spoglądał na horyzont, tak jakby czekał, aż chmury ułożą się w kształt globu i utworzą mapę, na której odnajdzie te wszystkie kraje. Drapał się po głowie i niemal czerwienił, a potem z tajemniczym uśmiechem, smutnym i przepraszającym, mówił:

– Och, w wielu, wielu krajach. Bardzo wielu. W Afryce, w Ameryce Południowej. W Europie Wschodniej. Teraz jestem na Bałkanach.

Wszędzie byłem. Jestem obywatelem świata.

Vincent był prawie łysy – zostało mu tylko kilka kępek krótkich siwych włosów – i nosił duże okulary w srebrnych oprawkach. Chodził w dżinsach i koszulach z krótkimi rękawami, przypominających trochę koszulki amerykańskich *marines*, tyle że zamiast kieszeni miały naszywkę z małym krokodylem. Krokodyl zawsze patrzył w tę samą stronę, miał szeroko otwartą paszczę i ostre zęby, które robiły wrażenie nieproporcjonalnie dużych w stosunku do reszty ciała. Van de Berg często je zmieniał i każdego dnia miał koszulkę w innym kolorze, ale krokodyl zawsze był na swoim miejscu. Żartowałam sobie, że lubi krokodyle pewnie dlatego, że przypominają mu egzotyczne kraje, w których bywał. Tata mówił, że nosi je, by łatwiej było go rozpoznać. Kiedy van de Berg zamieszkał w naszej okolicy, wszyscy nazywali go Krokodylem – do czasu, aż zasłużył sobie na przezwisko „biedny człowiek”.

Na naszą ulicę sprowadził go Flamur. Poznali się na bazarze, gdzie Flamur pracował jako kieszonkowiec. Wybrał tę profesję, gdy po zamknięciu fabryki, w której pracowała jego matka, musiał zrezygnować ze szkoły, a nie powiodły się próby wyjazdu z kraju. Próbował ukraść Vincentowi portfel, ale nie wiedział, z kim ma do czynienia – van de Berg potrafił równie sprawnie wykrywać obiekty poruszające się w jego kieszeniach, jak zarządzać transformacją.

– Zostawiłem portfel tam, gdzie był – opowiadał później Flamur – i żeby odwrócić jego uwagę, zaproponowałem, że oprowadzę go po bazarze. Obszedłem z nim kilka straganów. Właśnie przyjechał i szukał mieszkania do wynajęcia. Zaproponowałem nasz dom.

Van de Berg przyszedł go obejrzeć. Spodobał mu się, więc spytał, kiedy może w nim zamieszkać. Flamur powiedział, że obecni lokatorzy mają się zaraz wyprowadzić, najpóźniej za tydzień. Przez te kilka dni pomagaliśmy Flamurowi i jego mamie Shpresie w pakowaniu rzeczy i przenoszeniu ich do pokoju wynajętego w domu rodziny Simoni, sąsiadów, którzy wyjechali do Włoch. Dzięki różnicy czynszów i pieniądзом, jakie Shpresa zarabiała u van de Berga jako sprzątaczką i kucharką, Flamur mógł wrócić do szkoły, gdzie informował nas szczegółowo o wszystkim, co robił Holender. Krokodyl wychodzi z domu wcześniej rano. Krokodyl zaprasza na kolacje

tylko cudzoziemców, żadnych Albańczyków. Krokodyl z przyjaciółmi jedli sałatkę w ogrodzie. Krokodyl powiedział, że przypomina mu sałatkę grecką. Krokodyl spotykał się z dziewczyną, która pracowała we włoskiej szkole katolickiej, a potem z jej koleżanką, która była tłumaczką fundacji Sorosa. Krokodyl powiedział, że w nocy ktoś ukradł jego bieliznę suszącą się na sznurku. Takie różne sprawy.

Zaczeliliśmy go nazywać „biednym człowiekiem” kilka tygodni po tym, jak wprowadził się do domu Flamura, po powitalnym obiedzie zorganizowanym przez wszystkich sąsiadów z okazji pojawienia się Vincenta na naszej ulicy. Vincent nie był biedny, tak przynajmniej założyliśmy. Gdyby był naprawdę biedny, z pewnością próbowaliby, tak jak wszyscy, wyjechać z naszego kraju, a nie w nim zamieszkać. Uznaliśmy więc, że jest bardzo bogaty, ale skąpy. Nigdy nikomu nic nie dawał na ulicy, żadnej gummy do żucia czy słodczy, tak jak robili to turyści, których spotykaliśmy w dzieciństwie.

Obiad powitalny zaczął się radośnie. W ogrodzie Papasów ustawiliśmy stoły i krzesła, tak jak w dawnych czasach. Jak zwykle przy takich okazjach było bardzo gwarnie, dzieci biegały do domu i z powrotem, donosząc talerze i sztucce, psy grzebały pod stołami, z głośników dobiegała muzyka. Wszystkie rodziny przyniosły ze sobą przekąski, byrki, klopsiki, faszerowaną paprykę, pieczone bakłazany, oliwki, rozmaite sosy, jagnię z różną rachatłukum, bakławę, kadaifi, piwo, wino, śliwownicę, raki, ouzo, kawę po turecku i z ekspresu, herbatę górską, herbatę chińską i wiele, wiele puszek nie tylko coca-coli, lecz także innych gazowanych napojów, które pojawiły się już w sklepach. Flamur pełnił obowiązki didżeja – siedział na werandzie i niestrudzenie przekładał kasety w magnetofonie, żeby zadowolić wszystkie gusta, a gdy zauważał, że w jego repertuarze jest jakaś luka, wysyłał dzieci po następne nagrania. Parkiet taneczny był pełen. Jedni wstawali od stołu, by dołączyć do tradycyjnych albańskich tańców, drudzy zrywali się z krzesel tylko wtedy, gdy słyszeli kozackie pieśni, inni wychodzili na parkiet w parach, gdy z głośników płynęło *Nad pięknym modrym Dunajem*, a jeszcze inni, jak mój tata, tańczyli tylko przy utworach Billa Haleya i Elvisa Presleya. W przerwach śpiewano: od *Oczy cziornyje* i *Let It Be*, przez *Felicità* w wykonaniu Al Bano i Rominy Power, po

Luleborë. Ta ostatnia piosenka była jedyną, której słowa goście potrafili zaśpiewać w sposób zbliżony do oryginału.

Van de Berg siedział przy stole pośrodku ogrodu, w miejscu, które podczas wesela zajmowałyby para młoda. Nie śpiewał ani nie tańczył, ale wyglądał na zadowolonego – uderzał w blat do rytmu, potrząsał głową i nucił znane mu piosenki. Powiedział, że to przyjęcie przypomina mu imprezy, w jakich uczestniczył w Ghanie. Mężczyźni podchodzili do niego jeden po drugim, przedstawiali się, potrząsali energicznie jego dłonią i poklepywali po plecach.

– Witaj, Vincent! Jeszcze jeden kieliszek raki! Sam ją zrobiłem – mówił jeden.

– Ta kolejka jest za twoje zdrowie! – dodawał drugi.

– Mówiłeś, że jesteś z Holandii? – zagadywał inny. – No to wypijmy za przyjaźń między Albanią a Holandią!

Albo:

– Tutaj, Vincent, tutaj! Niech żyje Bank Światowy! Niech Bóg błogosławi Amerykę!

Potem inicjatywę przejęły kobiety. Nie były tak hałaśliwe jak mężczyźni, lecz im również zależało na tym, by Vincent poczuł się mile widziany, by uczestniczył w coraz bardziej ożywionych dyskusjach, a przede wszystkim żeby cały czas miał coś do zjedzenia.

– Vincent, czy próbowałeś już byrka z mięsem i cebulą?

– Jest pyszny – odpowiedział Vincent. – Jadłem kiedyś samosy, ale były bardziej pikantne.

– Samowar? Co to jest? To po rosyjsku, prawda? Patrz, tu są klopsiki, trzeba je jeść z sosem pomidorowym, nie, nie z tym. Ten sos już wystygł, weź ten albo tamten sos jogurtowy, jest znacznie lepszy. Leuszka, przynieś móździerz, zapomnialiśmy utłuc pieprz, Vincent musi tego spróbować z pieprzem...

W połowie uczyty był już zmęczony. Przestał bębnić w stół i położył dłonie na brzuchu, tak jakby czuł tam ból. Ludzie wciąż go pytali, w jakich krajach mieszkał i jak znalazł pracę w Albanii, szukali wspólnych znajomych.

– Mówiłeś, że urodziłeś się w Hadze, prawda? Mój kuzyn mieszka w Hadze. W latach pięćdziesiątych uciekł z Albanii przez jugosłowiańską granicę. Nazywa się Gjergji, Gjergji Maçi. Zdaje się, że tam używał imienia Joris. Spotkałeś go kiedyś? Joris, Joris Maçi. No tak, on może już nie żyć...

Van de Berg kiwał głową. Marszczył brwi i coraz rzadziej się uśmiechał, ale nikt na to nie zwracał uwagi. W pewnym momencie wstał i spytał, gdzie jest toaleta. Kilku mężczyzn zaprowadziło go do domu. Poczekali na niego i wrócili razem.

– Vincent – spytała Donika, gdy zajął już swoje miejsce – powiedziałaś, że nie masz żony? Jak to możliwe? Nie jesteś taki stary. Ile masz lat? Nie martw się, może spotkasz piękną albańską dziewczynę. Albańskie kobiety są ładne i potrafią ciężko pracować! Masz tu trochę baklawy. Sama robiłam ciasto. W środku są orzechy włoskie.

– Orzechy włoskie – powtórzył Vincent, ale grzecznie odmówił. – Próbowałem baklawy z orzechami arachidowymi, z włoskimi jeszcze nie. Dziękuję, za dużo już zjadłem.

– Za dużo zjadłeś? Nic podobnego! Taki duży mężczyzna jak ty musi jeść więcej. Może jest ci za gorąco? Zdejmij, proszę, marynarkę. Patrz, ile tu jest jeszcze rzeczy. Shpresa będzie niepokieszona, jeśli nie spróbujesz jej kadaifi, jest pyszne. Weź teraz kawałek baklawy, ale zostaw trochę miejsca na kadaifi.

Czarę goryczy przelał Flamur, puszczając na cały regulator muzykę do tradycyjnego tańca napoloni. Gdy zabrzmiały pierwsze dźwięki, wszyscy, którzy jeszcze siedzieli, rozpoznali melodię i rzucili się na parkiet w takim pośpiechu, jakby uciekali przed kataklizmem. Ktoś przypomniał sobie, że najważniejszy gość został sam przy stole. Szybko wysłano do niego delegację składającą się z dwóch mężczyzn. Jeden był młody, drugi starszy. Podeszli do van de Berga i wskazując śpiewających, tańczących, wymachujących chusteczkami ludzi, krzyczeli mu do ucha:

– Vincent, musimy tańczyć, to jest napoloni, musisz się tego nauczyć! Nie możesz mieszkać w Albanii, jeśli nie nauczysz się tańczyć napoloni. Chodź! – Van de Berg wykonał gest oznaczający, że nie ma ochoty na tańce, ale mężczyźni pociągnęli jego krzesło, krzyząc dalej: – Chodź, nie wstydź się, to jest napoloni, musisz to zatańczyć! Masz, tu jest chustka!

Van de Berg uwolnił ramiona z ich uścisku.

– Nie potrafię tańczyć – powiedział. – Nie jestem dobrym tancerzem. Wolę popatrzeć, podoba mi się. To jest trochę jak taniec Zorby.

Muzyka już zmierzała do końca, więc mężczyźni, nieco zirytowani, że ominie ich ulubiony taniec, ponagli go jeszcze bardziej stanowczo.

– Vincent! – krzyknął ten młodszy; był bliski desperacji. – Szybko, szybko, Vincent, napoloni prawie się kończy! Co to znaczy, że nie potrafisz tańczyć? Jasne, że potrafisz, każdy potrafi tańczyć napoloni. Patrz, trzymasz tak chustkę i machasz nią, ręce masz rozłożone jak skrzydła samolotu i trzymasz je nieruchomo w górze, otwarte, musisz tylko poruszać biodrami...

Żeby pokazać mu, jak wygląda tańczący samolot, starszy chwycił jego lewą rękę, a młodszy prawą, i próbowali zmusić go, żeby je podniósł. Van de Berg poczerwieniał na twarzy, a po jego czole spłynęły kropelki potu. Odepchnął obu mężczyzn, wrócił na swoje krzesło i dokładnie w momencie, gdy muzyka zaczęła cichnąć, uderzył pięścią w stół, tak że kieliszek z raki spadł na ziemię. Był wściekły.

– Słuchajcie, ja jestem wolny! – wrzasnął. – Rozumiecie? Jestem wolny!

Ludzie na parkiecie zamarli i spojrzeli w stronę stołów. Mihal, mąż Doniki, który siedział po drugiej stronie kręgu i niewiele widział, podniósł się, by sprawdzić, czy chodzi o zwykłą bójkę pijanych facetów. Wtedy zobaczył, że van de Berg ma jakiś problem, a ponieważ mówił tylko po albańsku, poprosił kogoś o pomoc w tłumaczeniu. Vincent już ochłonął. Zebrał swoje rzeczy, wstał z krzesła i powiedział Mihalowi:

– Przepraszam, muszę już iść. Jestem bardzo zmęczony. Dziękuję za wspaniały obiad.

Gdy Mihal odprowadzał Vincenta do furtki, słychać było szmer rozmów powracających do stołów ludzi.

– Powiedział, że nie jest już głodny – tłumaczyła Shpresa, gdy Vincent wyszedł. – Ale myślałam, że nie chce nas objadać i że martwi się o nasze wydatki. Biedny człowiek.

– Biedny człowiek – przytaknęła Donika. – To pewnie przez komary. Albo przez ten upał. Turyści go nie wytrzymują. Mówiłam mu kilka razy,

żeby zdjął marynarkę, ale nie chciał.

– Biedny człowiek – potwierdził tata. – Powiedział mi kiedyś, że jest słabym tancerzem, że nie lubi tańczyć.

– „Jestem wolny!” – powtarzali mężczyźni, którzy próbowali uczyć Vincenta napoloni. Przewracali oczami i wzruszali ramionami. – Co to ma niby znaczyć? Tak jakby ktoś tutaj chciał pozbawić go wolności. Wszyscy jesteśmy wolni. Jeśli chcesz tańczyć, to świetnie. Jeśli nie chcesz, też dobrze. Tylko trzeba to jasno powiedzieć, a nie walić pięścią w stół. Biedny człowiek. Musiało mu być za gorąco.

Po tym obiedzie zgodnie uznano, że niezależnie od tego, jak usilnie będziemy próbowali włączyć van de Berga w naszą społeczność, nigdy nie zostanie jednym z nas. Z całej ulicy tylko tata utrzymywał z nim regularne kontakty – albo chciał ćwiczyć angielskie liczebniki, omawiając przez furtkę wyniki meczów piłkarskich, albo dlatego, że i tak musiał się z nim spotykać podczas rozmów w sprawie prywatyzacji. Reszta sąsiadów pozdrawiała Vincenta uprzejmie, ale na odległość, a plotkując na jego temat, nazywali go „biednym człowiekiem”, „biednym Holendrem”, albo – rzadziej już – Krokodylem. Gdy pojawiał się u wylotu ulicy, gawędzące przed domami kobiety chowały się i po kilku minutach pokazywały znowu, by powrócić do szczegółowego roztrząsania obyczajów „biednego człowieka”, niczym grupa terapeutek prowadzących sesję psychoanalizy pod nieobecność pacjenta. Zauważyłyście, że on wychodzi co rano biegać, tak jakby wychowywał się w czasie rewolucji kulturalnej? Czy on może być szpiegiem? To chyba dziwne, że nie podaje nikomu ręki i nikogo nie obejmuje? Ciekawe, czy jego rodzice jeszcze żyją. Pewnie są w jakimś domu opieki, tam tak się to załatwia. Musi zarabiać mnóstwo pieniędzy, skoro chce mu się tu mieszkać, znosić te kolejki i wyłączenia prądu. Płacą mu stówę dziennie? A może tysiąc?

W weekendy van de Berg robił wycieczki za miasto. Chodził na nie oczywiście w koszulkach z krokodylem, ale zamiast torby na laptop brał ze sobą plecak i aparat fotograficzny, dzinsy zmieniał na beżowe szorty, a na głowę wkładał słomkowy kapelusz z napisem „Ekwador”, wyglądał więc jak typowy turysta.

– Vincent, byłeś już na górze Dajti? – spytał go tata podczas wymiany uprzejmości przy furtce.

– Jeszcze nie – odpowiedział – ale zamierzam się tam wkrótce wybrać. No i w to drugie miejsce... Zapomniałem, jak ono się nazywa. Nie pamiętam tej nazwy, jest taka trudna do wymówienia. Nie będę nawet próbował!

Ze wszystkich osobliwości van de Berga to właśnie dziwiło ludzi najbardziej. Nie potrafił zapamiętać dokładnych nazw miejsc, w których był, rzeczy, które robił, i nazwisk ludzi, których spotkał. Rozmaite dźwięki, zapachy i spotkania wypełniały jego umysł jak dokumenty na nieposprzątanym biurku – tylko jego właściciel był w stanie odnaleźć w tym chaosie jakiś porządek. Zawsze, gdy zachęcaliśmy go do spróbowania jakiejś potrawy, odwiedzenia ciekawego miejsca albo uczyliśmy go prostego słowa z naszego języka, przyjmował te sugestie bez zdziwienia – a potem przypominał sobie sytuację, do której mógł porównać nowe doświadczenie, co pozwalało mu zastosować się do wskazówek bez żadnych oznak dezorientacji. Podobnie było, gdy ostrzegaliśmy go przed czymś albo pomagaliśmy mu w kłopotach. Vincent przyjmował rady z wdzięcznością, zawsze jednak mieliśmy poczucie, że tak naprawdę ich nie potrzebuje.

Pomijając tamten obiad, podczas którego stracił nad sobą kontrolę, nigdy nie okazywał niepokoju.

– Vincent, wieczorem mogą wyłączyć prąd, bo był przez cały dzień. Masz świeczki? – mówiliśmy.

Albo:

– Vincent, jest druga po południu, o tej porze zwykle pojawia się woda. Trzeba łać ją do butelek, bo za pół godziny się skończy.

– Rozumiem! Dzięki za informację. Mieliśmy tak samo, kiedy byłem... gdzieś tam na Bliskim Wschodzie. Tam też często były kłopoty z wodą i prądem. Ale tu przynajmniej nie ma bomb!

Powtarzalność zdarzeń stanowiła jego tajną broń. Poczucie *déjà vu* traktował jak magiczną sztuczkę, która pozwalała oswoić wszystko to, co nowe, ująć to, co obce, w znane kategorie.

Na nas działało to odwrotnie. Kiedy Vincent opowiadał o skojarzeniach z miejscami, gdzie bywał, i doświadczeniach ze swojego dawnego życia, to, co znane, stawało się obce. Nie czuliśmy się urażeni, że nie możemy nauczyć Vincenta niczego nowego, jednak niepokoiło nas odkrycie, że coś, co wydawało się wyłącznie nasze, nie jest niczym wyjątkowym, że to, co w naszym mniemaniu nas wyróżniało, dla ludzi wiedzących więcej o sprawach tego świata stanowiło element dobrze znanego schematu. Nasze potrawy podobne do potraw innych kuchni, nasze tradycyjne pieśni i tańce, brzmienie naszego języka – wszystko to zdawało się należeć nie tylko do nas, lecz także do innych; i to była nasza wina, że tego nie wiedzieliśmy. Nasi bohaterowie okazywali się zwyczajnymi ludźmi, bo na świecie były miliony takich jak oni. Nasz język był mozaiką słów niewiadomego pochodzenia. Jeśli istnieliśmy, to nie dzięki własnym staraniom, tylko z łaski innych – wrogów potężniejszych od nas, ale pozwalających nam żyć. Ślady ich zwycięstw zachowały się w tysiącach miejsc, które stworzyli na swój obraz i podobieństwo; wszystkie one wyglądały tak samo, choć zarazem uważały się za jedyne w swoim rodzaju.

Van de Berg potrafił znajdować paralele między bardzo różnymi doświadczeniami i dostrzegać wspólne cechy u ludzi z różnych stron świata, uświadamiając nam na przykład, że albański byrek smakuje tak samo jak samosy, tyle że jest mniej pikantny, a wysypisko śmieci w Durrës wygląda tak samo jak wysypisko śmieci w Bogocie. Umiejętność ta sprawiała, że czasem przypominał mi panią Norę. Nie dlatego, że zdarzało się im mówić to samo, bo tak nie było, lecz z powodu wspólnej im skłonności do uogólniania i zręcznego abstrahowania od szczegółów – oraz z uwagi na sposób, w jaki porównywali rozmaite sytuacje, by na tej podstawie przedstawić szerszą wizję świata oraz własną wiedzę o działaniu całego systemu.

Nora mówiła, że z naszymi braćmi i siostrami z innych części globu łączy nas więcej, niż nam się wydaje. Wszyscy, tłumaczyła, są ofiarami tej samej kapitalistycznej eksploatacji, chyba że – tak jak my – się od niej wyzwolili. Wszyscy są uczestnikami tej samej globalnej walki z imperializmem. Ucisk ma wszędzie to samo oblicze.

Van de Berg nie zajmował się kapitalizmem, a w każdym razie nie uważał, by „kapitalizm” był terminem nadającym się do opisu jakiegokolwiek etapu procesu historycznego. Była to równie mało przydatna etykieta jak konkretne nazwy miejsc, w których mieszkał. Jedyne ogólne rozróżnienie, jakie akceptował, obejmowało społeczeństwa, które się transformują, i te, które transformację mają już za sobą; ludzi będących w drodze i tych, którzy swoją drogę już przeszli. Miał oczywiście jakieś wyobrażenie o celu tych przemian, ale od wyjaśniania, ku czemu one prowadzą, ważniejsze było dla niego utrzymywanie ich tempa. W odróżnieniu od pani Nory, która mówiła o konieczności ogólnoświatowej rewolucji proletariackiej, van de Berg nie zamierzał organizować żadnego ruchu oporu, tylko wzywał do „promowania transparentności”, „obrony praw człowieka” oraz „walki z korupcją”. Gdzie indziej szukał sprawców zmian – miały nimi być „społeczność międzynarodowa” i „przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego” – i w całkiem innych zamiarach.

Reformy strukturalne

– Wiesz, co w moim życiu było najtrudniejsze? – spytał tata pewnego listopadowego poranka przed wyjściem do pracy.

Stał przed zaciągniętą zasłoną w salonie, wsłuchując się w stukot poruszanego przez wiatr okna. Mieszał kawę w filiżance.

– Oszukiwanie mnie w sprawie naszych związków z premierem Ypi? Tak, to musiało być trudne.

Pokręcił głową.

– Poczekaj, już wiem – powiedziałam. – Pamiętasz, jak domagałam się rozpaczliwie zdjęcia Envera Hoxhy na regale? Powiedziałeś, że musimy je oprawić w ładną ramę i czekamy, aż będzie gotowa – zachichotałam. – Prawie w to uwierzyłam.

Pięć lat po upadku socjalizmu epizody z naszego dawnego życia dołączyły do repertuaru rodzinnych anegdot. Wspomnienia były absurdalne, zabawne, czasem bolesne, a niekiedy miały wszystkie te cechy jednocześnie. Śmialiśmy się z nich przy stole jak pijani marynarze, którzy przeżyli katastrofę statku i teraz zabawiają się pokazywaniem sobie nawzajem własnych ran. Tata żartował najchętniej. Żartował bez przerwy, tak że często trudno było się zorientować, czy mówi coś poważnie, czy chce nas rozśmieszyć. W pewnym momencie swojego życia odkrył, że ironia jest czymś więcej niż figurą retoryczną – to sposób na przetrwanie. Korzystał więc z niej, ile się dało, i zwykle się cieszył, gdy mój brat i ja próbowaliśmy iść w jego ślady.

– A może to było wtedy...

– To nie jest tak, Leuszka, że cały świat kręci się wokół ciebie – przerwał mi teraz szorstko.

Tym razem nie miał nastroju do żartów. Niedawno awansował na dyrektora generalnego portu, największego w kraju i jednego z największych nad Adriatykiem. Miał w domu służbowy telefon i każdego dnia rano dzwonił do biura. Martwił się, że sztorm uniemożliwi promom wejście do portu, wiatr zagrozi żurawiom, a przed urzędem celnym ustawią się kolejki. Po dwóch latach pracy w Plantexie, gdzie dowiódł, że potrafi ciąć koszty i ograniczać zadłużenie, ktoś na górze uznał, że jest gotowy na większe wyzwanie. Zarabiał teraz lepiej, otrzymał służbowego mercedesa z kierowcą, który woził go codziennie do pracy, i podwoił dawkę valium, jaką zażywał wieczorem, by usnąć.

Moje kolejne domysły wypowiadałam już nieco innym tonem. Czy to było wtedy, gdy jako sześć- lub siedmioletni chłopiec próbował obronić swoją matkę przed kopniakami policjanta? Czy wtedy, gdy musiał oddać swojego ulubionego psa, ponieważ jego rodzina została deportowana? A może wtedy, gdy pierwszy raz spotkał swojego ojca po jego wyjściu z więzienia i zastanawiał się, kim jest ten obcy człowiek, który z nimi zamieszkał? Czy wtedy, gdy zaczął podejrzewać, że jego najlepszy przyjaciel jest donosicielem?

Kręcił głową i wpatrywał się w dno małej filiżanki, tak jakby miał nadzieję, że czarny, gęsty płyn spłucze jeszcze czarniejsze myśli.

– Najtrudniejsze jest to – powiedział, odsuwając powoli zasłonę, żeby pokazać nam grupę dwadzieściora czy trzydzieściora Romów zgromadzonych w naszym ogrodzie. Niektóre kobiety miały na plecach zawinięte w chusty małe dzieci, inne karmiły niemowlęta piersią, siedząc na ziemi. Większość tłoczyła się za furtką; z twarzami przyciśniętymi do metalowych prętów przypominali zmarzniętych więźniów za kratami. Ożywili się, gdy zauważyli tatę, który odsunął zasłonę. Pokazywali go sobie palcami, wołając:

– On tam jest! Jest tam! Wstał! Zaraz wyjdzie!

Tata zaciągnął zasłonę i usiadł na kanapie. Sięgnął po inhalator i wziął kilka głębokich wdechów. Zawsze trzęsły mu się dłonie. Był to skutek

przyjmowania leków przeciwhistaminowych, którymi już w dzieciństwie leczono jego astmę. Tym razem jego ręce trzęsły się bardziej niż zwykle.

– Oni pracują w porcie – powiedział po chwili. – Wiecie, jak ich nazywamy? Reformami strukturalnymi.

Starał się zapanować nad bolesnym grymasem na twarzy, niczym aktor, który tuż przed wyjściem na scenę przytrzasnął palce drzwiami od garderoby. Od początku swojej pracy w porcie negocjował z zagranicznymi ekspertami takimi jak van de Berg sprawę, jak to nazwał Bank Światowy, „reform strukturalnych”. Port, tak jak wszystkie inne przedsiębiorstwa państwowe, miał deficyt i musiał pilnie ograniczać koszty. Tym razem nikt nie obiecywał, że obędzie się bez zwolnień zbiorowych. Eksperci sporządzili coś, co nazwali „mapą drogową”; jej pierwszy etap zakładał serię redukcji, dotyczących zwłaszcza pracowników o niskich kwalifikacjach. W porcie pracowały setki Romów. Byli tragarzami, sprzątałi, przewozili towary, obsługiwali magazyny. Mój tata miał ich wszystkich wyrzucić.

Kiedy pracownicy portu dowiedzieli się, że mają zostać zwolnieni, zaczęli się pojawiać rano przed naszym domem. Przychodzili i cierpliwie czekali, aż tata wyjdzie. Na początku było ich czworo czy pięcioro, ale gdy wiadomość o reformach strukturalnych rozniosła się po porcie, przybywało ich coraz więcej. Stali na podwórku, a kiedy tata pojawiał się w drzwiach, zaczynali krzyczeć i błagać, żeby przemyślał jeszcze swoją decyzję.

– Dzień dobry, szefie. Jest pan dobrym człowiekiem, niech pan tego nie robi, niech pan nie słucha tych złodziei.

– Szefie, chodzi o picie, tak? Mogę rzucić picie od jutra, jeśli to jest problem. Jutro przestanę pić. Mogę też przestać palić, jeśli pan sobie zażyczy. Kto w tych czasach ma pieniądze na raki? Odmawiam sobie wielu rzeczy, naprawdę bardzo oszczędzam, pan przecież wie.

– Zostało mi niewiele do emerytury. Tylko dwa lata. Kiedy zacząłem pracować w porcie, miałem trzynaście lat.

– Szefie, nigdy niczego nie ukradłem. Wie pan, ludzie mówią, że Cyganie wszystko kradną. Może ktoś panu powiedział, że ukradłem coś z magazynu. Nie ukradłem nawet grosza. Przysięgam na głowy moich dzieci. Nigdy nic nie ukradłem.

– Proszę pozwolić mi pracować. Lubię moją pracę. Jest ciężka, ale ją lubię. Znam w porcie wszystkich. Port jest dla mnie jak dom. Tam śpię, tam jem. Robię tam wszystko. Kiedy wracam do domu, moje dzieci już śpią.

– Nie wiem, jak mam do nich wyjść – powiedział tata tego ranka. – Z dnia na dzień jest ich coraz więcej. Wczoraj znowu miałem z nimi spotkanie w biurze. Cały czas mam jakieś spotkania. Najpierw z Bankiem Światowym, potem z nimi, a potem znowu z Bankiem Światowym. Spójrzcie na tych ludzi. Oni myślą, że to zależy ode mnie. Myślą, że mogę coś zrobić. Nie wiem, co im powiedzieć. Teraz są nowe zasady. Świat działa inaczej, firmy są zarządzane inaczej. Część portu zostanie sprywatyzowana. Ktoś musi to zrobić. Wypadło na mnie, ale gdybym to nie był ja, byłby ktoś inny, wszystko jedno kto. Ktoś musi to zrobić.

– Dlaczego musicie to zrobić? – spytałam.

– Nie możemy im wszystkim wypłacać pensji – powiedział. – Van de Berg mówi, że musimy się modernizować, oszczędzać pieniądze, kupować nowy sprzęt. Że trzeba ich zastąpić, tak jakby byli maszynami. Pozbywasz się starej maszyny i kupujesz nową, szybszą. Po prostu. Ale nie wiem, jak to zrobić. Nie jestem maszyną. Chciałbym być maszyną, żeby ktoś mógł mnie zaprogramować do zrobienia tego. Van de Berg mówi, że tak robili w Boliwii. Nigdy nie byłem w Boliwii. A ci ludzie nie wiedzą nawet, gdzie ona jest. Ale co to ma znaczyć, że zrobili tak w Boliwii? Co ma z tego wynikać? Spójrz na nich. Oni nie są maszynami. Są ludźmi. Mają lzy w oczach i pot na czołach. Powinni mieć nadzieję, ale nie wiem, czy im jej choć trochę zostało. Podejdz do okna. Spójrz na nich. Nazywają ich reformami strukturalnymi. Reformy strukturalne.

Coraz bardziej zdenerwowany, ściągnął z wieszaka płaszcz i wyszedł, trzaskając drzwiami. Zrobiłam to, o co prosił. Podeszłam do okna i otworzyłam je, żeby słyszeć, co się dzieje. Kiedy tata znalazł się przed domem, tłum milczał. Potem furtka się otworzyła – i pojawił się w niej mężczyzna wzrostu pięciolatka. Podpierając się rękoma, przestawiał resztki amputowanych nóg, zwisające z tułowia jak rybi ogon. Poznałam go – to był żebrak Ziku, którego widywałam w dzieciństwie pod cmentarną bramą.

Ziku się uśmiechnął i pomachał do taty jak ktoś, kto spotyka po latach starego przyjaciela. Wcześniej nie zauważyłam, że Ziku poza nogami stracił

również przednie zęby. Nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechał. Teraz zobaczyłam, jak wykrzywia usta. Jego uśmiech był jak bolesny grymas.

– Szefie, pan mnie na pewno pamięta! – zawołał. – Powiedziałem im, że sumienie nie pozwoli panu tego zrobić. Nigdy nie przeszedł pan obok kaleki, nie dając mu czegoś. Czasem dał pan więcej, czasem mniej, ale zawsze coś. Powiedziałem im, że jest pan człowiekiem, który trzyma z ludem. Wiem, że ich pan nie zawiedzie. Niewielu lubi Cyganów i kaleki, ale pan tak. Wiem o tym. Nigdy nie zostawił mnie pan bez chleba. Nie pozwoli pan, żeby te dzieci były głodne. Jest pan dobrym człowiekiem. Tak im powiedziałem.

Tata spojrzał na mnie z drugiej strony okna. „To nie wina Ziku, że jest kaleką” – mówił mi, kiedy byłam mała. Teraz jego oczy mówiły: „To nie moja wina”. Wsunął dłoń do prawej kieszeni spodni, tak jakby szukał w niej jakichś drobnych. Nie znalazł jednak żadnych monet, tylko chusteczkę, którą przetarł sobie twarz. Ziku popatrzył na niego i przysunął się bliżej do jego stóp.

– On płacze – powiedział, odwracając się do tłumu. – Widzicie, on płacze – powtarzał, wskazując palcem tatę. – Szefie, mówiłem im, mówiłem, że zrobi pan, co będzie mógł.

– Wiemy, że jest pan dobrym człowiekiem – wtrącił się inny mężczyzna. – Niech pan tego nie robi, niech pan ich nie słucha. Oni chcą tylko zarabiać pieniądze. Panu nie chodzi o pieniądze, pan chce je oddać biednym, a nie trzymać je dla siebie.

Dwie kobiety z niemowlętami padły do stóp taty. Błagały, żeby nie zabierał pracy ich mężom. Gdy dzieci usłyszały płacz matek, rozplakały się również. To nie był protest; wyglądało to raczej jak opłakiwanie zmarłych. One nie były rozzłoszczone, lecz zrozpaczone.

– Proszę, nie tutaj – odezwał się tata słabnącym głosem. – To mój dom. Możemy porozmawiać o tym w biurze. Jeśli ja... jeśli ja... Te pieniądze nie są moje. Ja zostawiłbym wszystkich w pracy, ale tu nie chodzi o mnie, to nie ja podejmuję decyzje. To znaczy... tak, podejmuję, tylko decyzje... one nie są moje. – Zauważył chyba, że się płacze, i spróbował uporządkować myśli. – Wiecie – zwrócił się do tłumu – to nie jest tak jak wtedy, kiedy daje się pieniądze Ziku. Widzicie, dostaliśmy *matę* drogową. Są pewne

zasady, musicie to zrozumieć. Uruchamiamy gospodarkę rynkową. Jest droga, którą musimy kroczyć. Jeśli zrobimy to właściwie, każdemu będzie lepiej, będzie lepiej nam wszystkim. To są reformy strukturalne. Wszystko wymaga zmiany. Musimy zmienić sposób postępowania. Nie możemy każdemu zagwarantować pracy, to niemożliwe. Niedługo jednak wszyscy będą mieli pracę, będzie lepiej. Teraz nie mamy wyboru, musimy się poświęcić. Musimy to zrobić.

Swoim szefom obiecał, że to zrobi, ale nie zrobił. Nigdy nie podpisał decyzji o zwolnieniach. Powtarzał, że reformy strukturalne są konieczne, lecz wciąż je odwlekał.

– Tu chodzi o politykę – mówił. – To są decyzje polityczne. Ja jestem tylko administratorem, biurokratą. Mogę opóźnić pewne sprawy, ale nie mogę ich zatrzymać.

Wieczorami wpatrywał się w kolumny liczb, wykresy i diagramy, szukając sposobu zredukowania kosztów bez zwalniania ludzi. Rezultaty nie napawały go dumą. Jednocześnie czuł się zakłopotany, zawstydzony wręcz tym, że nie zdobył się na odwagę, by wypełnić powierzone mu obowiązki. Przez całe życie sumiennie wykonywał swoją pracę. Babcia uczyła nas wszystkich, że musimy z całych sił starać się wykonywać choćby bezsensowne zadania, żeby mieć wpływ na ich skutki, nawet jeśli nie mieliśmy wpływu na przyczyny. Tata nie mógł nie odegrać swojej roli.

– Już niedługo, bardzo niedługo – mówił.

Spotykał się z wiceministrem, potem z ministrem i wreszcie z premierem. Wszyscy oni powtarzali przestrogi van de Berga. Strukturalne reformy, mówili, są jak wizyta u dentysty – można je odwlekać, ale im dłużej się je odwleka, tym boleśniej się okażą. Tata nigdy nie chciał być dentystą. Chciał zostać kimś innym, niż był, chociaż nigdy nie odkrył kim. W głębi serca pozostał dysydem. Krytykował kapitalizm. Nigdy nie wierzył w zasady, które miał teraz wcielać w życie. Nie wierzył też za bardzo w socjalizm. Nienawidził władzy w każdej jej postaci. Teraz, kiedy sam reprezentował władzę, czuł się z tym źle. Dlatego nie zatwierdził reform strukturalnych, ale też ich nie blokował. Brzydził się łamaniem życia ludziom i brzydził się zwalaniem brudnej roboty na innych.

Początkowo był dumny ze swojego awansu. Po latach, kiedy jego los zależał od życzliwości przełożonych, po tym, jak całe życie musiał liczyć na łaskawość partyjnych funkcjonariuszy, cenił sobie bardzo niezależność, jaką miał nadzieję zyskać dzięki nowej roli. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że ta niezależność ma granice. Nie był tak wolny, jak mu się wydawało. Chciał zmieniać rzeczywistość, lecz odkrył, że pozostawiono mu niewiele do zrobienia. Świat przybrał ostateczny kształt, zanim ktokolwiek zdołał ten kształt zrozumieć. Imperatywy moralne i osobiste przekonania stały się mało istotne. Uświadomił sobie, że chociaż nikt mu nie rozkazywał, co ma mówić i robić, musiał coś powiedzieć i zrobić, zanim zdążył się nad tym zastanowić i rozważyć wynikające z tego korzyści i koszty. Dawniej, gdy pojawiały się dylematy, a on nie był w stanie wypełnić swoich zobowiązań, mógł winić za to system. Teraz było inaczej. System się zmienił. Nie próbował powstrzymywać tych zmian. Akceptował je i do nich zachęcał.

A może inaczej: tata zakładał, podobnie jak wielu ludzi z jego pokolenia, że wolność traci się wtedy, gdy inni mówią nam, jak myśleć, co robić i dokąd zmierzać. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że przymus nie zawsze przybiera tak bezpośrednią formę. Socjalizm odebrał mu możliwość zostania tym, kim chciał zostać, popełniania błędów i uczenia się na nich, poznawania świata na własnych warunkach. Kapitalizm odmawiał tego samego innym, ludziom, którzy zależeli teraz od jego decyzji – pracownikom portu. Walka klasowa wciąż trwała. Tyle potrafił zrozumieć. Nie chciał, by świat stał się miejscem, gdzie nie ma już solidarności, gdzie przeżywają tylko najlepiej przystosowani, a ceną sukcesu jest odebranie nadziei innym. W przeciwieństwie do mamy, która uważała, że istoty ludzkie mają naturalną skłonność do wyrządzania sobie nawzajem krzywdy, wierzył, że każdy człowiek jest wewnętrznie dobry, ale dobroć ta nie może się ujawnić, ponieważ żyjemy w złych społeczeństwach.

Nie potrafił jednak wskazać dobrych społeczeństw, żadnych realnych miejsc, gdzie działało się dobrze. Nie miał zaufania do wielkich teorii. „Nie filozofuj!” – upominał mnie często. Wychował się na socrealistycznych powieściach i radzieckich filmach tłumaczących, co jest dobre, a co złe, oraz jak bronić sprawiedliwości i korzystać z wolności. Cenił intencje

autorów tych dzieł, ale wątpił w wartości ich zaleceń. Zawsze pragnął świata innego niż ten, w którym przyszło mu żyć. Dlatego gdy ujrzał początek ruchu, który miał zmienić dotychczasowy porządek, dostrzegł w nim nadzieję. Gdy jednak ów ruch przybrał realny kształt, gdy wyznaczył swoich przywódców oraz własny zestaw nakazów i reguł, gdy stał się czymś, a nie tylko odrzuceniem czegoś innego, tata stracił wiarę. Wiedział, że wszystko ma swoją cenę, ale nie był gotów z tą ceną się pogodzić. Podziwiał nihilistów i buntowników, mężczyzn i kobiety, którzy poświęcali życie na oskarżanie znanego im świata, lecz nie angażowali się w żadne alternatywne rozwiązanie.

Jego koledzy, stając przed tym samym dylematem związanym z reformami strukturalnymi, stawali się cyniczni.

– No cóż – mówili – przeżyliśmy Turków. Przeżyliśmy faszystów i nazistów. Przeżyliśmy Sowieców i Chińczyków. Bank Światowy też przeżyjemy.

Tata bał się jednak, że zapomni o cenie tego przeżycia. Teraz, gdy był już bezpieczny, gdy naszej rodzinie nie groziły śmierć, więzienie ani zesłanie, niepokoił się, że już niedługo nie będzie pamiętał, jak to było budzić się rano i martwić, co przyniesie dzień. Próbował zapamiętać nazwiska wszystkich ludzi pracujących w porcie, chociaż były ich setki.

– Jeśli je zapomnę – mówił – to będzie tak, jakbym zapomniał, że w ogóle żyli. Nie będą już ludźmi, lecz liczbami. Ich ambicje, ich obawy przestaną być ważne. A my będziemy pamiętać tylko o regułach, a nie o tych, którzy im podlegali. Będziemy myśleć tylko o poleceniach, a nie o celach, którym one służą. Tak pewnie robiła Mulica, gdy donosiła na rodziny swoich uczniów. To powtarzał sobie Haki, gdy sięgał po narzędzia tortur.

Sama myśl o tym, że będzie taki jak oni, że podporządkuje się regułom w równie abstrakcyjny, bezduszny sposób, wystarczała, by nie mógł spać w nocy. Nie podzielał wyobrażeń van de Berga dotyczących tego, jak to wszystko będzie działać po zakończeniu transformacji. Wiedział, że potrzebna jest jakaś gospodarka rynkowa, ale nie zastanawiał się zbyt wiele nad tym, jaką formę przyjmie. Jak wiele osób z jego pokolenia bardziej

interesował się wolnością myślenia, prawem do protestu, możliwością życia w zgodzie z własnym sumieniem.

Nawet jeśli się przekonał do prawd, które teraz zaakceptowali wszyscy, obawiał się, że uwierzy w nie zbyt mocno. Spotkał zbyt wielu ludzi, którzy na pierwszym miejscu stawiali teorię; wiedział, że działając w dobrej wierze, można kogoś skrzywdzić. Teraz obowiązywały inne ideały. A może nawet przesadą było nazywanie ich ideałami – to były raczej zdroworozsądkowe zalecenia. Jednak żeby je wprowadzić w życie, wciąż potrzebni byli wykonawcy. On był do tej pory niewinny. Był ofiarą. Jak mógłby teraz stać się złoczyńcą?

Nie płacz

W połowie lat dziewięćdziesiątych miałam własne dręczące mnie problemy. Jako nastolatka byłam na ogół nieszczęśliwa. Uczucie to było tym dotkliwsze, im bardziej rodzice i babcia przekonywali mnie, że nie ma ono żadnych podstaw. Oni, zdaje się, uważali, że człowiek może cierpieć tylko wtedy, gdy ma do tego obiektywne powody w postaci głodu, zimna, bezdomności lub przemocy. To były progi absolutne – jeśli można było zrobić coś, by się ponad nie wznieść, traciło się prawo do narzekania, bo to obrażałoby tych, którym się nie poszczęściło. Trochę tak jak z kartkami za socjalizmu: każdy miał swój przydział, więc głód był niemożliwy. Kiedy ktoś mówił, że jest głodny, stawał się wrogiem ludu.

Przekonywali mnie, że powinnam być wdzięczna i delektować się wolnością, która nadeszła zbyt późno, by mogli się nią w pełni nacieszyć moi rodzice. Że powinnam korzystać z niej odpowiedzialnie. Gdy nie okazywałam chęci wczuwania się w ich życiowe doświadczenia, oskarżali mnie o egoizm, obojętność wobec cierpień moich przodków oraz niefrasobliwe zacieranie pamięci o ich ciężkim losie. Ale ja wcale nie miałam wrażenia, że jestem wolna. Najbardziej ograniczona czułam się zimą. Zmrok zapadał wcześniej i po zachodzie słońca nie wolno mi było wychodzić z domu. „Wpakujesz się w kłopoty” – mawiali rodzice, nie wyjaśniając, jakich kłopotów się obawiali, ja zaś nie domagałam się wyjaśnień.

Kłopoty mogły być rozmaite. Można było zostać przejechanym przez samochód, jak Dritan, mój kolega z klasy, który spacerował wieczorem wzdłuż plaży i zabił go młody człowiek uczący się prowadzić audi swojego wuja. Można było zniknąć bez śladu, jak Sokrat, ojciec Besy, który utykał

na nogę. Sokrat miał łódź i nocami przewoził nią ludzi do Włoch, a potem wracał do domu, żeby się wyspać w łóżku – z wyjątkiem tej nocy, gdy nie wrócił. Przytrafiało się mnóstwo drobniejszych kłopotów. Idąc ciemną ulicą, można było wpaść na zepsutą latarnię albo do studzienki kanalizacyjnej, której pokrywę ktoś ukradł i sprzedał na złom. Można było przez całą drogę do domu opędzać się od głodnych bezpańskich psów, natknąć się na pijanych facetów lub chłopców robiących zakłady o to, jak zareaguje na gwizdanie przechodząca dziewczyna. Ale dla moich rodziców to nie były poważne problemy. Bądź co bądź przechodziliśmy transformację. Trzeba było zachować cierpliwość. Poza tym zawsze można było zrobić coś, żeby ich uniknąć – na przykład zostać w domu.

I tak robiłam. Zamykałam się w moim pokoju i spędzałam długie popołudnia, żując pestki słonecznika. Trudno powiedzieć, że to było nudne, bo nawet takie określenie masy zdarzeń, z których żadne niczym się nie wyróżniało, mogłoby uczynić tę sytuację jakoś interesującą. Upływ czasu polegał na wiecznym powrocie tego samego. Wszystkie kluby i kółka zainteresowań, do których należałam w dzieciństwie – poetyckie, teatralne, wokalne, matematyczne, przyrodnicze, muzyczne i szachowe – zakończyły nagle działalność w grudniu 1990 roku. W szkole poważnie traktowano tylko nauki ścisłe, czyli fizykę, chemię i matematykę. Jeśli chodzi o przedmioty humanistyczne, to albo zastępowano je innymi – na przykład materializm dialektyczny zastąpiono ekonomią wolnego rynku, do której nie mieliśmy żadnych podręczników – albo, jak w przypadku historii i geografii, wciąż przedstawiały one nasz kraj jako „latarnię morską wskazującą całemu światu drogę do pokonania imperializmu”. Szybko kończyłam prace domowe i zostawałam z pytaniem, jak zabić czas, który dzielił mnie od chwili, gdy będę mogła pójść spać. Mieliśmy już wtedy telefon, więc dzwoniłam do przyjaciółek bądź czytałam książki w łóżku, często przy zapalanej świecy, trzęsąc się z zimna pod kołdrą. Wciąż zdarzały się wyłączenia prądu, a chłodne zimowe wieczory kęsały mocniej niż smutek.

Co czterdzieści pięć minut babcia bez pukania wchodziła do pokoju ze szklanką mleka albo owocami.

– Wszystko dobrze? – pytała.

Potakiwałam. Babcia dowiedziała się o nowej zachodniej chorobie zwanej anoreksją, która atakowała nastolatki. Nie miała pojęcia, jak się przenosi i skąd się bierze, uznała jednak, że jeśli zmusi mnie do jedzenia w regularnych odstępach czasu, będę bezpieczna. Gdy negocjowałam zastąpienie jej przekąsek moimi własnymi zapasami słonecznika, domagała się pokazania jej potem pustych łupin. Odstępy między posiłkami zostały wydłużone do dziewięćdziesięciu minut.

– Mamy tyle szczęścia – mówiła sama do siebie, wychodząc z pokoju.

Nie wyjaśniała, co ma na myśli, przypuszczam, że mogło jej chodzić o mleko, po które nie trzeba już było stać w kolejce.

W mieście otwarto kilka pubów i nocnych klubów. Większość z nich należała do przemytników ludzi, dilerów narkotykowych i handlarzy żywym towarem. O profesjach tych mówiono jak o normalnych zajęciach, tak jak kiedyś mówiono, że ktoś pracuje w spółdzielni produkcyjnej lub w fabryce, że jest kierowcą autobusu albo pielęgniarką. Te zawodowe etykiety z różnych epok często dotyczyły tej samej osoby:

– Ten tam, facet w bmw z przyciemnianymi szybami, to syn Hafizy – tłumaczył sąsiad, pijąc z żoną kawę na balkonie. – Dawniej pracował w zakładach cukierniczych, ale kiedy je zamknięto, stracił pracę. Udało mu się przedostać do Szwajcarii. Teraz robi interesy. Import–eksport. Marihuana, kokaina, te sprawy.

Do klubów wolno mi było chodzić tylko za dnia. Opuszczano w nich wtedy zasłony, żebyśmy mogli bawić się w ciemnościach. Wnosiliśmy potajemnie do środka poncz i papierosy. Moi rówieśnicy grali w butelkę – nową zabawę sprowadzoną z zagranicy. Ja też w nią grałam. Udawałam, że nie widzę min chłopców, gdy butelka wskazywała na mnie, i że nie słyszę ich narzekań, kiedy to ja miałam kogoś pocałować.

– Nie całuję się z facetami! Nie jestem gejem! – mówili.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, kto to lub co to jest „gej”, lecz wstydziałam się zapytać. Tak, z pewnością wyglądałam jak chłopiec. Nie musieliśmy już nosić mundurków, wolno było nam ubierać się tak, jak mieliśmy ochotę. Podczas gdy inne dziewczęta przemycały do szkolnych toalet przybory do makijażu i zakładały krótsze sukienki, ja chodziłam w za dużych spodniach i wyprodukowanych jeszcze za socjalizmu koszulach

w kratę mojego ojca. One zaczęły prostować włosy i farbować je na blond, ja natomiast poprosiłam fryzjerkę, żeby obcięła mnie na krótko. One buntowały się przeciwko swoim rodzinom, naśladując Madonnę z teledysku *Material Girl*, ja buntowałam się przeciwko mojej, wyrzucając kokardki, koronki i upodabniając się do dziewczyny z plakatu z czasów rewolucji kulturalnej. Moje domowe przydomki zmieniły się z brigatista na Gavroche, szkolne zaś – z Mamuazel na Wazon (od rymującego się z Ypi słowa *qypi*), ale nie z powodu kształtów mojego ciała, jak zawsze chudego i słabowitego, tylko przez ubrania, w których pływało.

Zastanawiałam się często, czy czułabym się inaczej, gdyby Elona wciąż tu mieszkała. Widywałam czasem jej ojca z nową żoną i nowym dzieckiem. Udawał, że mnie nie poznaje. Być może Elona też zaczęła się malować, nosić tipsy oraz minispódniczki. Może farbowała swoje blond włosy na jeszcze jaśniejsze. Może jej wolno było wychodzić po zmroku. A może odkryła właśnie *Zbrodnię i karę* lub *Braci Karamazow*.

Zimą 1996 roku widziałam Ariana, chłopca, a teraz już młodego mężczyznę, z którym Elona uciekła. Jego rodzice powiększyli dom, kupując sąsiedni. Ten drugi należał kiedyś do rodziców Marsidy, którzy z kolei wyprowadzili się z naszej dzielnicy, żeby wynająć mniejsze mieszkanie w innej części miasta. To było jakoś upiorne – zobaczyć go, jak stoi przed drzwiami tego samego domu, w którym chowałyśmy się z Marsidą, gdy tylko zjawiał się na ulicy. Zapuścił długie, opadające na ramiona włosy, na szyi miał gruby złoty łańcuch. Był ubrany w ciemną skórzaną kurtkę z czaszką nadrukowaną na plecach, skórzane spodnie i ciężkie czarne buty obwieszane srebrnymi łańcuszkami. Jeździł wielkim mercedesem, którym przyjechał z Włoch, żeby zabrać rodziców. Mercedes ruszał, wydając z siebie głośny, zgrzytliwy odgłos. Kiedy słyszały go dzieci bawiące się na ulicy – było ich mniej niż kiedyś – uciekały do domów, tak jak my zawsze uciekaliśmy, gdy pojawiał się na niej Arian. Żadnego śladu Elony. Bałam się o nią spytać.

Brakowało mi mojej przyjaciółki. Chciałam jej powiedzieć, że kobieta, od której kupowałyśmy ziarna słonecznika, zniknęła, a jej miejsce zajął uroczy dziesięcioletni chłopiec sprzedający banany i papierosy. Chciałam powiedzieć, że sklepy walutowe zostały zamknięte, ale czerwone staniki,

takie jak ten, który kiedyś tak się jej spodobał, można kupić wszędzie – w sklepach z używaną odzieżą kosztują równowartość dwóch bananów lub pięciu kubeczków ziaren słonecznika. Chciałam powiedzieć, że teraz nawet ja potrzebuję biustonosza – tak jak zapowiadała moja babcia, przestrzegając nas, że niedługo nasze ciała się zmienią, podobnie jak umysły. Babcia mówiła też, że wtedy zaczną się, jak to określała, *des amitiés amoureuses*. Chciałam spytać Elonę, czy już wie, co to jest *amitié amoureuse* – czy to tego właśnie doświadczyła z Arianem – i czy słyszała o czymś znacznie bardziej gwałtownym, osamotniającym i bolesnym, co w książkach nazywają miłością.

Latem po zakończeniu roku szkolnego życie stawało się bardziej swobodne, lecz wciąż było równie ponure. W czerwcu 1995 roku, po tygodniu odprawiania codziennego rytuału – plaża, powrót do domu, obiad, sjesta i obowiązkowy wieczorny spacer wzdłuż morza w towarzystwie koleżanek paradujących w nowych letnich sukienkach – zdarzyła się katastrofa. Babcia ostrzegała mnie, że jest jedna tylko kategoria chłopców, w których nigdy, w żadnych okolicznościach nie mogę się zakochać: synowie byłych agentów służby bezpieczeństwa. Tego lata przytrafiło mi się to dwukrotnie. Moje poczucie winy było tak wielkie, że postanowiłam częściej zaglądać do meczetu. Zastanawiałam się nawet, czy nie powinnam nosić chusty na głowie, ale tego też mi zabroniono. Jest różnica między religijnością a fanatyzmem, powiedziała Nini. Ponieważ coraz więcej dziewczyn przychodziło do meczetu z zasłoniętymi włosami, a ja nie chciałam się wyróżniać, znalazłam sobie nową religię – buddyzm. Odkryłam ją, gdy nie mając co czytać, zabrałam się do starego słownika Larousse'a mojego dziadka. Do swojego rozkładu dnia dodałam sesję medytacji, jednak medytując, nie potrafiłam powstrzymać się od płaczu. Nawiedzały mnie historie o prześladowaniach mojej rodziny przez agentów Sigurimi, lecz myślenie o tym nie pomagało mi się odkochać w ich synach, za to czyniło tę miłość jeszcze bardziej desperacką.

– Nasza Leuszka upodabnia się do młodego Wertera – żartował tata, nie wiedząc, dlaczego płaczę.

– Płacz nigdy jeszcze nikomu nie pomógł – besztła mnie Nini. – Gdybym ja pozwalała sobie na płacz, nie byłoby mnie tutaj. Rzuciłabym się

pod pociąg albo dołączyła do moich kuzynów w domu wariatów. Zrób coś. Przeczytaj jakąś książkę. Naucz się nowego języka. Znajdź sobie jakieś zajęcie.

Zaczęłam pracować w lokalnym domu dziecka jako wolontariuszka w ramach projektu Czerwonego Krzyża. Codziennie rano zabieraliśmy dzieci na plażę i pilnowaliśmy ich razem z opiekunkami, gdy bawiły się na piasku i pluskały w morzu.

– To ci pomoże spojrzeć na własne życie z właściwej perspektywy – dodawała mi otuchy babcia. – Nie zdajesz sobie sprawy, jakie masz szczęście. Na świecie jest mnóstwo cierpienia.

– Pamiętaj – powiedziała mama, gdy szykowałam się do pierwszego dnia mojej pracy dla Czerwonego Krzyża – że dom dziecka jest teraz w innym miejscu. Budynek, w którym był wcześniej, został zwrócony właścicielom.

Gdy mówiła o „właścicielach”, zawsze miała na myśli *dawnych* właścicieli. Jej zdaniem państwa nie można uważać za właściciela czegokolwiek – to przestępcza organizacja, która przemocą odbiera ludziom owoce ich ciężkiej pracy. Pamiętam nazwiska tych właścicieli z poniewierających się po domu map, na których zaznaczone były posiadłości jej rodziny.

– Te mapy robią straszny bałagan – skarżyła się babcia podczas sprzątania. – A poza tym szkodzą Zafo. On ma przecież astmę i alergię na kurz. Sto razy mówiłam to Doli. Sto razy. A ona przynosi je z urzędu geodezji, a potem wszędzie zostawia. Jeśli chce je zanieść do sądu, niech to zrobi. Ale z tych wszystkich posiadłości nic nie będzie. To tylko linie wyrysowane na papierze.

Dom dziecka nie był jednak tylko linią wyrysowaną na papierze. Dawnym właścicielom udało się odzyskać nieruchomość od państwa. Potem sprzedali ją jakiemuś kościołowi. Ośrodek przeniesiono do nowej siedziby, czyli do trzech pokoi w opuszczonym dwupiętrowym budynku. Docierało tu niewiele słonecznego światła, wszędzie pachniało skwaśniałym mlekiem, a w czasie popołudniowego leżakowania w pokojach panowała nienaturalna cisza, którą zakłócały jedynie odgłosy myszy krzątających się na parterze.

W ostatnich latach osieroconych bądź porzuconych dzieci, od niemowlaków po przedszkolaków, było coraz więcej. Pochodziły z najbliższej okolicy. Te, które nie zostały adoptowane, w wieku sześciu lat wracały do swoich rodziców – jeśli chcieli je przyjąć – albo wysyłano je na północ, do domu dla starszych dzieci.

Wiele opiekunek, które poznałam, gdy chodziłyśmy tam wcześniej z Eloną, zostało zwolnionych lub wyjechało z kraju. Spotkałam tylko jedną znajomą, Tetę Aspasię, pełną życia kobietę w średnim wieku, która zajmowała się dziećmi potrafiącymi chodzić. Kiedy pojawiłyśmy się z Eloną z wizytą u jej siostrzyczki, Teta dawała nam smakołyk – wodę z cukrem.

– Urosłaś! – zawołała na mój widok. – Mała Mimi też urosła. Jest teraz w innym domu dziecka, w Szkodrze. Jej ojciec w ogóle się nie pokazuje. Odwiedzają ją czasem dziadkowie. Zgodzili się, żeby zaadoptowało ją kanadyjskie małżeństwo. Ale potem Kanadyjczycy postanowili wziąć cygańskie bliźnięta. Pamiętasz te Cyganiątka z sali dla niemowląt, których rodzice byli w więzieniu? Wyszli po amnestii z 1990 roku, ale od razu zostali oskarżeni o próbę sprzedania bliźniąt i zamknięto ich znowu. Pech. Trudno znaleźć rodzinę dla cygańskich dzieci. Nikt ich nie chce. Ludzie mówią: „Nie, tylko nie Cyganie. Trudno nad nimi zapanować, a poza tym wszystko kradną”. Jedno z bliźniąt było jakoś upośledzone, miało problem psychiczny, nie pamiętam jaki. Z niepełnosprawnymi dziećmi jest jeszcze trudniej. Kanadyjczycy widzieli Mimi, a potem ktoś zapytał, czy nie woleliby bliźniąt. Pytaliśmy wszystkich, nikt ich nie chciał. To niewiarygodne, ale oni się zgodzili. Zdaje się, że byli bardzo religijni. Dyrektorka myślała, że Mimi będzie łatwiej oddać, a jednak wciąż jest w Szkodrze. Twoja przyjaciółka, jej siostra, czasem do niej pisała...

– Elona? – wykrzyknęłam. – Wiesz, gdzie ona jest? Co robi?

– Ostatnio nie mieliśmy od niej żadnych wiadomości. Listy wędrują teraz strasznie długo. Albo nie docierają wcale. Zadzwoiła kilka razy. Tak, wiem, co robi. Jedna z naszych opiekunek, która mieszka teraz w Mediolanie, widziała ją niedaleko dworca. Pracuje. Na ulicy. Wiesz, o co mi chodzi. Wyjechała z jakimś tutejszym chłopcem. On też pracuje. Handluje czymś, zdaje się, że kobietami. Zaczął chyba od niej... Kochanie,

musisz iść. Bus Czerwonego Krzyża jest na dole, czeka na ciebie. Samochód jest prawie nowy. To dar od Francuzów. Dzieci są tak podekscytowane, nigdy nie widziały morza. Te biedactwa rzadko wychodzą na świeże powietrze. Nie mamy tutaj ogrodu. Musisz uważać, żeby nie miały oparzeń słonecznych. Przyniosłam z domu trochę oliwy. Niech się nie rozbierają tak całkiem od razu, poczekajmy kilka dni. Weź Ilira, jest gotowy do wyjścia. Pojedzie z tobą Drita. – Wskazała swoją koleżankę. – Ilir jest słodki, polubisz go. Jego mama jest jak twoja przyjaciółka. Wygląda trochę podobnie i wykonuje tę samą pracę. Ilir, chodź tutaj. Poznaj Leę, Lea zabierze cię na plażę.

Wciąż trawiłam to, czego dowiedziałam się o Elonie, nie miałam jednak czasu, żeby pytać o więcej. Ilir chował się za drzwiami, ale gdy usłyszał swoje imię, wszedł do pokoju, najpierw nieśmiało, a potem nieco odważniej. Był małym, puciołowatym chłopcem, mniej więcej dwuletnim, z kręconymi włosami i wielkimi brązowymi oczami.

– Mama – wyszeptał, kiedy podszedł bliżej, jakby zamierzał mnie wtajemniczyć w swój największy sekret. Jego twarz pojaśniała, a źrenice się rozszerzyły. – Mama tutaj... Mama...

– Nie, nie mama – przerwała mu Aspasia. – To nie mama, kochanie. Mama jest wciąż w Grecji. To jest Lea. Zabierze cię na plażę. – Odwróciła się do mnie. – Dziwię się, że jeszcze pamięta matkę. Ostatni raz widział ją w zeszłym roku. Przychodziła do niego codziennie przez jakiś tydzień. Przysyła jednak zdjęcia, pokazujemy mu je. Nie jesteś do niej podobna. Może to kwestia twojego wieku. Przypomnij mi: ile masz lat? Piętnaście, tak myślałam. Jego mama jest trochę starsza, ma chyba siedemnaście, tak jak twoja przyjaciółka Elona. Ale ona pracuje w Grecji, nie we Włoszech.

Później tego samego dnia poznałam całą historię mamy Ilira – opowiedziała ją opiekunkom z domu dziecka. Została zgwałcona przez swojego chłopaka, a potem przez jego kolegów. Zaszła w ciążę, ale chciała urodzić dziecko i je zatrzymać. Niedługo po porodzie została wywieziona do Grecji. Ilir miał trzy tygodnie, kiedy zostawiła go, owiniętego kocem, na schodach domu dziecka, razem z pudełkiem z ubraniami, kilkoma butelkami mleka i listem, w którym obiecała, że odbierze go w dniu jego szóstych urodzin. Regularnie dzwoniła i pisała, wysyłała też pieniądze na

prezenty. Opiekunki wierzyły, że wróci, więc nie umieściły Ilira na liście adopcyjnej. On też wiedział, że pewnego dnia mama go stąd weźmie. Gdy mnie zobaczył, uznał, że ten dzień właśnie nadszedł.

– Ilir idzie mama – upierał się. – Ilir idzie mama plaża.

– To nie mama, kochanie. Idziesz na plażę z Leą. To jest Lea, nie mama. Mama jest w Grecji i niedługo przyjedzie – powtórzyła Aspasia, a potem zwróciła się do mnie: – Musisz mu to przypominać. Tłumacz, że nie jesteś jego mamą, tylko jedną z nas. Dzieci tak czasem robią, mówią do nas „mamo”. Musimy być bardzo konsekwentne. W przeciwnym razie przywiązują się do nas i pod koniec dnia nie pozwalają nam pójść do domu. To bardzo trudne. Spróbuj mu to wyjaśnić. Mów, że mama jest w Grecji i że zostawiła nam pieniądze, żebyśmy kupiły mu zabawkę na urodziny i na Nowy Rok. On to zrozumie.

Ilir nigdy jednak tego nie zrozumiał. A może nigdy się z tym nie pogodził. Po kilku wizytach, podczas których bawiłam się z nim, czytałam mu bajki albo zabierałam go na plażę, upierał się jeszcze bardziej:

– Mama tutaj! – wołał na mój widok. – Idzie mama plaża!

A potem, kiedy musiałam już iść, przywierał do mojej nogi, rzucał się na podłogę i kopał opiekunki. Domagał się, żebym z nim została albo zabrała go ze sobą.

– Zabierz Ilir dom! – krzyczał. – Mama zabierz Ilir!

W mojej obecności stawał się nieznośny. Na plaży odmawiał wyjścia z wody, nie chciał jeść ani położyć się na popołudniową drzemkę. Kiedy miałam wracać do domu, odkrywałam, że zniknęła moja torba albo że nigdzie nie ma moich sandałów. Mogło to być normalne zachowanie małego dziecka – tylko że tutaj niemowlęta nigdy nie płakały, a dzieci nie miały napadów wściekłości. Opiekunki tłumaczyły mi, że problemem jestem ja, moja obecność i przywiązanie Ilira do mnie, że on nie musi tak cierpieć i będzie mu lepiej, jeśli zniknę mu z pola widzenia. Poproszono, żebym ograniczyła wizyty na tym oddziale i przeniosła się do innej części budynku, gdzie były niemowlęta – one łatwiej zapominają ludzi.

A potem nadszedł koniec lata. Zmieniła się pogoda, skończyły się pieniądze na projekt i przestałam odwiedzać dom dziecka. Nie wiem, co się

stało z Ilirem, nie słyszałam też nic więcej o Elonie i jej siostrze. Czasem się zastanawiałam, czy Elona dalej pracuje na ulicy i czy Mimi znalazła jakichś kanadyjskich rodziców. Wróciłam do mojego pokoju, gdzie co dziewięćdziesiąt minut zaglądała bez pukania babcia ze szklanką mleka albo z owocami.

– Mamy tyle szczęścia – mówiła sama do siebie, wychodząc.

Jak reszta Europy

Początkowo to mama miała wystartować w wyborach parlamentarnych w 1996 roku. Wstąpiła do partii w dniu jej powstania, znała tam wszystkich. Przeczytała nawet jej program wyborczy. Nazywaliśmy ją „partią”, chociaż nie była to tamta Partia – tylko Demokratyczna Partia Albanii, główna przeciwniczka byłych komunistów. Ale wszyscy wiedzieli, o czym mowa. Nie było takiej możliwości, żeby moja rodzina poparła byłych komunistów. Dla nas istniała tylko jedna partia. Dla nich zresztą również.

Mama działała w polityce już pięć lat. To ona lansowała główne hasło partii, które w swojej rozbijającej prostocie wyrażało dławione przez dziesiątki lat aspiracje: „Chcemy, żeby Albania była jak reszta Europy”. Kiedy ktoś ją pytał, jaka jest, jej zdaniem, reszta Europy, odpowiadała krótko: walka z korupcją, wolna przedsiębiorczość, poszanowanie własności prywatnej, wspieranie indywidualnej inicjatywy. Mówiąc jeszcze krócej: wolność.

Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że wyjaśnianie partyjnego hasła nie wystarczy jej do wygranej w wyborach. Potrzebne były inne zalety. Ona miała charyzmę, gdy przemawiała publicznie, lecz nie starczało jej cierpliwości na zebrania i narady. Miała w sobie profetyczną żarliwość, ale jej przemowy, chociaż napawały ludzi entuzjazmem, na dłuższą metę ich przerażały. Powaga, z jaką traktowała swoją misję, sprawiała, że rzadko godziła się na kompromisy. Zachowywała się jak surowa nauczycielka matematyki.

Zaproponowała więc, żeby zamiast niej w wyborach wystartował tata.

– Jest mężczyzną – powiedziała. – To pomaga. A ludzie kochają go, jakby był kobietą. To też pomaga.

Faktycznie był bardziej popularny niż mama. Niewielu kandydatów mogło liczyć na sympatię zarówno romskich robotników portowych, broniących swoich miejsc pracy, jak i dawnych dysydentów walczących o odzyskanie majątków swoich dziadków. Szanowali go nawet jego socjalistyczni przeciwnicy, ponieważ nie przerywał im podczas debat, a wygłaszając własne poglądy, nie atakował nikogo osobiście.

– Jeśli trzeba, potrafi też walczyć – dodała mama pospiesznie, jakby przyszło jej jednak do głowy, że łagodne usposobienie taty może zmniejszać jego szanse. – Może walczyć z korupcją. Mamy tak wielką korupcję. Potrzebujemy uczciwych polityków.

To było kolejne modne słowo. Służyło jako ogólne wyjaśnienie wszelkich grzechów, dawnych i obecnych, indywidualnych i politycznych, wynikających z ludzkiej słabości i niewydolności instytucji. Korupcja powstawała na styku liberalnej gospodarki i politycznych reform, które zamiast harmonijnie się połączyć – jak obiecywano – zaczynały gnić. Opisywano ją czasem jako naruszenie zasad moralnych, czasem jako nadużycie stanowiska, najczęściej jednak uznawano za porażkę ludzkiej natury po nieudanej próbie jej naprawy podjętej przez komunistów. Okazała się wyjątkowo trudna do zwalczenia. Była jak Hydra – w miejscu każdej odciętej głowy wyrastały dwie nowe. Korupcja miała swoją własną logikę, której jednak nikt nie próbował zrozumieć, a tym bardziej zmierzyć się z przyczynami tego zjawiska. Do jego wyjaśnienia wystarczało samo to słowo.

Tata początkowo się wahał. Nie należał do partii. Martwił się, że jego poglądy są nie dość wyraziste, a może wręcz kontrowersyjne. Miał wątpliwości w sprawie prywatyzacji i wolnego rynku. Miał wątpliwości w sprawie wstąpienia Albanii do NATO. Nie był nawet pewien, czy naszym największym problemem jest korupcja. Nie wiedział, czy pasuje bardziej do lewicy, czy do prawicy. Był lewicowy, jeśli chodzi o sprawiedliwość, ale prawicowy, jeśli chodzi o wolność.

Mama zwracała mu uwagę, że w byłym komunistycznym państwie nie ma lewicy ani prawicy – są tylko „postkomunistyczne nostalgie”

i „liberalne nadzieje”. On jednak nie całkiem pasował do obozu nadziei. Narastała w nim frustracja z powodu biurokratycznej funkcji, jaką pełnił. Codziennie wracał z portu coraz bardziej niespokojny i rozdrażniony, opowiadał o sprawach, których nie udało mu się załatwić, i pokazywał dokumenty, których jego zdaniem nie należało podpisywać. Łatwo więc było go przekonać – z czego skorzystała mama – że jeśli chce zrobić coś dobrego albo zwalczać zło, nie może siedzieć beczynnym. Musi działać, a żeby działać, trzeba zaangażować się w politykę. Polityka daje możliwości, mówiła, bo gdy się w nią wejdzie, nie wprowadza się w życie decyzji innych, lecz samemu się je podejmuje. Na tym polega demokracja.

Żadna partia nie była jednak w stanie powstrzymać reform strukturalnych. Stanowiły one nieodłączny element czegoś, co nazywano wtedy, z nieskrywanym samozadowoleniem, „procesem integracji z europejską rodziną”. Być może w historii mojego kraju istniały momenty, kiedy polityka dawała możliwości, kiedy stanowisko polityczne, w przeciwieństwie do urzędowego, pozwalało zmienić reguły gry, bo działało się na poziomie, na którym prawa są stanowione, a nie stosowane. Lecz nie był to jeden z tych momentów. Reformy strukturalne wydawały się nieuchronne, tak jak zmiany pogody. Wprowadzano je wszędzie w tej samej postaci, ponieważ przeszłość okazała się porażką, a my nigdy nie nauczyliśmy się kształtować przyszłości. Nie było już polityki, a jedynie administrowanie, które miało przygotować państwo do nowej ery wolności i sprawić, by ludzie poczuli, że należą do „reszty Europy”.

W tych latach „reszta Europy” była czymś więcej niż wyborczym hasłem. Oznaczała szczególny sposób życia, który raczej imitowano, niż próbowano zrozumieć, raczej po prostu przyjmowano, niż próbowano uzasadniać. Europa jawiła się jak długi tunel z wjazdem oświetlonym lampami i migającymi znakami oraz mrocznym, początkowo niewidocznym wnętrzem. Kiedy zaczęliśmy podróż, nikt nie pytał, gdzie jest koniec tunelu, czy światła się nie zepsują i co jest po drugiej stronie. Nikomu nie przyszło do głowy, by przynieść pochodnie albo sporządzić mapy, by spytać, czy ktokolwiek wyszedł z tunelu i czy wyjście z niego jest jedno, czy jest ich wiele, i czy wszyscy wychodzą tą samą drogą. Szliśmy więc dalej, mając nadzieję, że w tunelu wciąż będzie jasno – bo przecież

ciężko pracujemy i cierpliwie czekamy, tak jak czekaliśmy w socjalistycznych kolejkach, nie zwracając uwagi na mijający czas i nie tracąc nadziei.

– Jak reszta Europy – powtórzył imam Murat. Było ciepłe majowe popołudnie. Złożyliśmy mu wizytę, żeby spytać, czy tata może liczyć na jego wsparcie w wyborach. – Jasne, jasne, że ci pomożemy, Zafo. Ale potrzebujesz pieniędzy. W takich sprawach nic nie zdasz bez pieniędzy.

Po sprzedaniu domu rodzicom Ariana Murat wyprowadził się z rodziną z naszej okolicy i wynajął małe mieszkanie w pobliżu cmentarza. Było tam ciasno, więc meble ułożono jedno na drugim, jak na barykadzie. Rozpoznałam starą poliestrową zasłonę z nadrukowanymi kwiatami i motylami. Półki zostały zdjęte ze ściany, bo potrzebne było miejsce na kolorowy telewizor. Na podłodze leżały egzemplarze Koranu w różnych językach i kilka par butów owiniętych w gazetę – w wolnych chwilach Murat wciąż pracował jako szewc.

– Któregoś dnia widziałem wywiad z Berlusconim – mówił dalej. – Widziałeś go. Co za facet! No i świetnie się trzyma, jakby miał dwadzieścia kilka lat. Zawsze uśmiechnięty. W tym wywiadzie opowiadał o swoim życiu. Zaczął od budownictwa. Potem występował jako muzyk na statku. I wreszcie kupił prywatną stację telewizyjną. Trzeba próbować różnych rzeczy, nigdy nie wiadomo, co się uda. On tak sobie powiedział. Jest biznesmenem. Wie, jak zarabiać pieniądze, więc wie również, jak wygrać wybory. Ma oczywiście wielu wrogów, ludzie są zazdrośni, zawsze byli. Ale może ich po prostu ignorować: ma własną telewizję i własne gazety. Jeśli chcesz wygrać, potrzebujesz pieniędzy. Człowiek zawsze potrzebuje pieniędzy. Jeśli sam nie masz pieniędzy, nie możesz ich dać innym. Gdzie są twoje pieniądze?

– W kieszeni płaszczka mojego ojca – zażartował tata.

Murat zachichotał.

– Będziesz potrzebował mnóstwa pieniędzy, Zafo. Mnóstwa. Wiem, jak to działa. Obserwuję Arabów, którzy dają pieniądze na meczet. – Przerwał, żeby zapalić papierosa, i spojrzał na żonę. – Kiedy zamknęli fabrykę, w której pracowała Flutura, nie wiedziałem, co z nami będzie. Bałem się, że

będziemy przymierać głodem. *Allah kerim*^[12], myślałem. Lecz Allah pomaga tym, którzy pomagają sobie sami. Potem zrobiło się lepiej. Pojawiły się firmy. Wiesz, co mam na myśli. Firmy...

– *Xhaxhi* Muracie – przerwałam mu – mam pytanie. Czy to naprawdę pan śpiewa rano i wieczorem „*Allahu akbar*” z minaretu, czy to jest nagranie? Założyliśmy się o to w szkole. Niektórzy mówią, że robi to pan codziennie. Ja powiedziałam, że to nagranie.

– Tak, Leuszka, to nagranie. Teraz jesteś mi winna dziesięć tysięcy leków – powiedział i mrugnął okiem. A potem zwrócił się do taty z poważną miną: – Sude, Populli, Kamberi, Vefa. Firmy. Musisz wpłacić im pieniądze, żeby potem wypłacić ich więcej. My nie mieliśmy pieniędzy, które moglibyśmy wpłacić. Co mogliśmy zrobić? Postanowiliśmy wyjechać z kraju. Pamiętasz, byliśmy na Vlorze. Z podróży do Włoch przywieźliśmy tylko kilka siniaków. Wtedy zdecydowaliśmy się na sprzedaż domu. Dzieci były smutne, nie chciały opuszczać naszej ulicy. Nam też było smutno. Sam zbudowałem ten dom, własnymi rękoma. Tymi samymi rękoma, którymi zrobiłem wasze buty. – Przerwał na chwilę i wyciągnął ręce, tak jakby trzymał w nich te wszystkie buty, które uszył. – Czasem trzeba coś poświęcić. Nasi sąsiedzi, Bakisowie, zapłacili za dom gotówką. Mogliśmy z nią zrobić, co chcieliśmy. Mogliśmy ją wydać albo... – Zastanowił się przez chwilę. – Jak brzmi to słowo? Zainwestować. Zainwestowaliśmy ją. Nic sobie nie zostawiliśmy. Wiesz, co reszta Europy robi z pieniędzmi? Inwestuje. Żeby je pomnożyć.

Tata się zamyślił. Wyglądało, jakby poczuł się winny. Ostatnio rozmawialiśmy o tym w domu. Sude, Kamberi, Populli, Vefa – tak nazywały się powstające od niedawna firmy, które obiecywały wysokie odsetki od zainwestowanych oszczędności. W szczycie ich działalności pieniądze powierzyło im dwie trzecie mieszkańców kraju, a inwestycje te sięgnęły połowy wartości albańskiego PKB. Niektóre z firm zajmowały się również budowaniem hoteli, restauracji, klubów i centrów handlowych. Moja rodzina wahała się jednak i nie wpłaciła im przechowywanej w domu gotówki.

Murat wydmuchał dym, zgasił papierosa i sięgnął po następnego.

– Posłuchaj mnie, Zafo – powiedział. – Nie możesz trzymać wszystkich oszczędności w kieszeni. Czasy się zmieniły. Musisz inwestować. Tak jak to robi reszta Europy. Na co czekasz? Mieliśmy pieniądze w Kamberi, ale oni płacili tylko dziesięć procent miesięcznie, więc przenieśliśmy je do Populli, gdzie dawali trzydzieści procent. Potem odkryliśmy Sude, tam co miesiąc nasze oszczędności co najmniej się podwajają. Oczywiście nie wypłacamy wszystkich zysków, zostawiamy je, żeby rosły dalej. Jak reszta Europy. Musisz oszczędzać i inwestować. Oszczędzaj i inwestuj, żeby pieniędzy przybywało.

Tata uśmiechał się i potakiwał. Gdy rozmawialiśmy o tych firmach w domu, rodzice zawsze się kłócili. Mama mówiła, że musimy przenieść do nich nasze oszczędności i zapomnieć o kieszeni w płaszczu, ale tata i babcia byli przeciwni.

– Nie rozumiem, jak to możliwe – mówił tata – że wpłaca się sto tysięcy leków, a po kilku miesiącach dostaje się dwa razy więcej. To brzmi jak hazard.

– Możemy zacząć od niewielkiej sumy i zobaczyć, co z tego wyjdzie – odpowiadała mama. – Nie musimy się spieszyć. Nie mówię, żebyśmy sprzedali dom albo coś innego.

– Ale skąd się biorą te pieniądze? – dociekał tata. – Tu nie ma fabryk ani żadnej produkcji.

– To, że nie jesteś do tego przyzwyczajony, nie znaczy, że jest w tym coś podejrzanego – upierała się mama. – Te firmy inwestują. Mają restauracje, kluby, hotele. Pieniądze są w ruchu. Ludzie wysyłają je z Włoch i Grecji, bo ci, którzy wyjechali, pomagają swoim rodzicom. Większość pochodzi z uczciwej pracy. Stąd się biorą pieniądze. Wysyłają je do rodziców, rodzice powierzają je firmom, a firmy je inwestują i wypłacają odsetki. Jeśli ktoś potrzebuje pieniędzy, bo chce coś kupić, firmy je wypłacają albo pożyczają. To nie jest fizyka jądrowa. Skończyłeś przecież uniwersytet. Czego tu można nie rozumieć?

– Ja nie rozumiem – wtrąciła się Nini – co się stanie, jeśli wszyscy w tym samym czasie będą chcieli wycofać swoje pieniądze. Jak firmy zdołają wypłacić je każdemu?

Ta uwaga szczególnie zirytowała mamę.

– Dlaczego ludzie mieliby zażądać pieniędzy w tym samym momencie? – spytała. – Dlaczego mieliby chcieć je wycofać? Przecież nie wydadzą ich wszystkich naraz. Dlaczego ktoś miałby trzymać je pod materacem, zamiast powierzyć firmie?

– Dlaczego wolisz trzymać pieniądze w kieszeni ojca? – powtarzał również Murat. – Dobrze nam się teraz wiedzie. Niedługo będziemy mogli odkupić nasz dom. *Positive thinking* – powiedział po angielsku. – Musimy być jak reszta Europy. Nikt nas nie uczył *positive thinking*. Na tym polega nasz problem.

Koniec końców *positive thinking* zwyciężyło. Nie sprzedaliśmy domu, ale większość naszych oszczędności „zainwestowaliśmy” w jedną z firm, Populli. Jej pełna nazwa brzmiała Demokracja Popullore (Demokracja Ludowa). Babcia nigdy się do niej nie przyzwyczaiła i wciąż myliła ją z Fronti Demokratik (Front Demokratyczny), czyli nazwą lokalnych rad, które przed rokiem 1990 wydawały nam kartki żywnościowe.

– Dostałeś już odsetki od Frontu Demokratycznego? – spytała tatę, gdy po upływie pierwszego kwartału poszedł do biura Populli wypłacić zyski.

– Tak – odpowiedział. – Wszystko jest w kieszeni.

Positive thinking sprawdziło się również w przypadku startu taty w wyborach do parlamentu. Otrzymał ponad sześćdziesiąt procent głosów. Okazało się to jednak jedynym sukcesem w jego poselskiej karierze. Miesiące spędzone w parlamencie były kompletną porażką. Bardzo szybko odkrył, że nie ma ani instynktu nieustraszonego lidera, ani wyrachowania i cierpliwości politycznego doradcy. Miał natomiast wielkie kłopoty z partyjną dyscypliną. Nie potrafił sam podejmować decyzji, ale nie chciał wykonywać decyzji podejmowanych przez innych. Nie miał ambicji, by przewodzić, ani gotowości, by podążać za przywódcą.

To był fatalny czas na zasiadanie w parlamencie. Tamte wybory należały do najbardziej kontestowanych w całej historii Albanii. Socjalistyczna opozycja oskarżyła rząd o oszustwo. Nie uznała wyników, a jej posłowie odmówili zasiadania w parlamencie. Kraj przeżywał najazd międzynarodowych obserwatorów, mediatorów i doradców politycznych.

Przeżywał również najazd ekspertów od finansów, którzy uczyli nas fachowych angielskich terminów, takich jak: „rynki wschodzące”,

„zaufanie inwestorów”, „struktury zarządzania”, „transparentność”, „zwalczanie korupcji”, „przekształcenia”. Jedyne terminy, jakiego nas nie nauczyli, dotyczyły owych „firm”, którym ogromna większość moich rodaków powierzyła swoje oszczędności: „piramida finansowa”. Zaczęły one powstawać na początku lat dziewięćdziesiątych, wypełniając lukę na wciąż niedojrzałym rynku finansowym, zasilanym w znacznej mierze przez emigrantów wysyłających pieniądze do kraju, gdzie kredytu szukano nie w banku, lecz wśród członków rodziny. Gdy w 1995 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych zawiesiła sankcje wobec byłej Jugosławii, nie można już było zarabiać na przemyśle, a ponieważ wielu Albańczyków miało sporo gotówki, piramidy finansowe zaczęły oferować coraz wyższe oprocentowanie depozytów. Wybory w 1996 roku tylko pogłębiły problem, ponieważ wiele z tych firm umocniło swoją pozycję, finansując kampanię Demokratycznej Partii Albanii i dołączając do chóru wyznawców inwestowania – bo tak przecież zarabia pieniądze „reszta Europy”.

Kilka miesięcy później okazało się, że piramidy finansowe nie są w stanie dotrzymać swoich obietnic. Wszystkie stały się niewypłacalne. Ponad połowa Albańczyków, w tym moja rodzina, straciła oszczędności. Ludzie oskarżyli rząd o współudział w oszustwie i wyszli na ulicę, żeby domagać się zwrotu swoich pieniędzy. Protesty, które zaczęły się na południu, gdzie poparcie dla Socjalistycznej Partii Albanii było najsilniejsze, wkrótce ogarnęły cały kraj. Plądrowano budynki rządowe i magazyny wojskowe. Zginęło ponad dwa tysiące ludzi, a dziesiątki tysięcy uciekły z kraju. Historycy nazwali te wydarzenia albańską wojną domową. My jednak mówimy po prostu „1997”.

21

1997

Jak się pisze o wojnie domowej? Oto co ja sama zanotowałam w moim dzienniku od stycznia do kwietnia 1997 roku.

1 stycznia

Nie wiem, dlaczego ludzie przekonują mnie, że nowy rok przynosi nowe życie. Przecież nawet lampki na choince są te same. Fajerwerki też są takie same jak rok wcześniej.

9 stycznia

Mieliśmy sprawdzian z elektrotechniki^[13]. Dostałam dziesiątkę.

14 stycznia

Szkoła jest bez sensu. Nie lubię jej. Ale kończy się semestr, a ten rok jest ostatni. Muszę postarać się o dobre stopnie. Cały dzień uczyłam się matematyki i fizyki.

27 stycznia

Sude^[14] zbankrutowała. Rząd zamroził aktywa wszystkich innych firm. Na południu ludzie protestują. Tęsknię za K. Chyba się w nim zakochałam. Ale on nie zwraca na mnie uwagi.

7 lutego

Jest już ciemno. Leżę w łóżku i słucham nowego albumu Metalliki. Zaraz pewnie ktoś przyjdzie i powie, żebym ściszyła muzykę.

10 lutego

Zbankrutowała Gjallica^[15]. Ludzie żądają zwrotu pieniędzy. Są zamieszki we Wlorze^[16]. Protestujący domagają się ustąpienia rządu.

13 lutego

Z okazji walentynek Mulica zorganizowała w szkole spotkanie, na którym pojawili się, nie wiem dlaczego, ludzie z ambasady francuskiej. K. przyszedł w dresie, tak jakby nic go to nie obchodziło. Spytał, co mój tata myśli o sytuacji politycznej. Powiedziałam, że podpisał się w parlamencie pod wnioskiem o dymisję rządu. Ojciec K. nie żyje. Zmarł w tajemniczych okolicznościach na samym początku lat dziewięćdziesiątych. Był agentem Sigurimi. To strasznie irytujące.

14 lutego

[Bardzo długi list miłosny do K., który nigdy go nie otrzyma i nie dowie się, że został napisany].

15 lutego

Zwyciężyliśmy w ogólnokrajowej debacie organizowanej przez Sorosa pod hasłem „Otwarte społeczeństwo potrzebuje otwartych granic”.

24 lutego

Brałam dziś udział w olimpiadzie fizycznej. Zobaczyłam zadania i spędziłam nad nimi trzy godziny, a potem napisałam wiersz o nudzie.

25 lutego

Sytuacja polityczna wciąż jest napięta. Studenci we Wlorze rozpoczęli strajk głodowy. Babi^[17] i trzynastu innych posłów podpisali oświadczenie, które zostało opublikowane we wszystkich gazetach. Wybuchł skandal. Partia oskarżyła posłów, że są „czerwonymi oportunistami”.

9 marca w parlamencie odbędzie się głosowanie w sprawie objęcia prezydentury przez Beriszę^[18]. Unia Europejska na wczorajszym spotkaniu udzieliła mu poparcia. Babi tłumaczył, że sygnatariusze oświadczenia są proeuropejscy, co stawia ich w trudnej sytuacji. Unia popiera Beriszę, więc otwarte wystąpienie przeciwko niemu wydaje się im „destabilizujące”. Powiedziałam mu, że jeśli zagłosuje za Beriszą, okaże się tchórzem.

Odpowiedział, że polityka jest skomplikowana. Wydaje mi się, że ludzie powinni robić to, co uważają za słuszne, a nie to, co dyktują im okoliczności.

26 lutego

Nie odrobiłam dzisiaj pracy domowej. Jutro bojkotujemy szkołę – solidaryzujemy się ze strajkiem głodowym studentów we Wlorze. Wszyscy jesteśmy bardzo przejęci tym, że opuścimy lekcje.

27 lutego

Dyrektor szkoły nie potępił naszego bojkotu. Powiedział jednak, że nie chce ponosić jego konsekwencji, więc prosi nas, byśmy przedstawili petycję sygnowaną przez wszystkich uczniów. Napisaliśmy: „Solidaryzując się ze studentami z Wlory, a jednocześnie odcinając się od aktów przemocy, do jakich dochodziło w ostatnich tygodniach, oświadczamy, że nie będziemy uczestniczyć w lekcjach przez czas nieokreślony”. Nie wszyscy się jednak pod tym podpisali.

Kiedy wróciłam dziś do domu, zadzwonił sekretarz młodzieżówki Demokratycznej Partii Albanii i spytał, kto zorganizował strajk. Odpowiedziałam, że nie wiem, bo protest był spontaniczny i nie mamy przywódców. Wtedy zasugerował, że jeśli chcemy dodatkowe kilka dni wakacji, oni mogą to załatwić, ale to, co zrobiliśmy, jest bardzo nieprzyjemne. Wyjaśniłam, że nie chodziło nam o wakacje. On wciąż pytał o nazwiska organizatorów protestu. Powiedziałam, że wszyscy jesteśmy organizatorami. Spytał więc, czy są jacyś inni uczniowie mający, tak jak ja, związki z partią, którzy mogliby namówić resztę do powrotu do szkoły. Odparłam, że nie zamierzam nikogo namawiać do powrotu. Spytał, dlaczego jestem taka chętna do protestowania, skoro moja mama należy do partii, tata jest jej posłem, a partia jest u władzy. Co będziecie jeść, pytał dalej, jeśli premier poda się do dymisji? Własne gówno? Nie podałam żadnych nazwisk. Czy ja wyglądam na donosicielkę?

28 lutego

K. denerwuje się, że artykuł o szkolnym bojkocie ukazał się na piątej stronie „Koha Jonë”^[19]. Mówi, że powinien się znaleźć na stronie drugiej.

K. na ogół nie zwraca na mnie uwagi, ale dziś mieliśmy miłą rozmowę. Żartował, że osiemdziesiąt procent uczniów naszej szkoły nie potrafi mówić poprawnie po albańsku, dziesięć procent potrafi mówić, ale nie czyta gazet, a pięć procent czyta gazety, lecz ich nie rozumie. Jest fajnym kolegą, ale zakochanie się w nim nie było dobrym pomysłem. Jest dziwny.

Nikt już nie dzwoni z partyjnej młodzieżówki, żeby skłonić mnie do popierania partii w szkole. Niby po co? Władza wymyka im się z rąk. Nie dadzą rady jej utrzymać – ona wisi na włosku.

1 marca

We Wlorze podczas walk z policją zginęło dziewięć osób. O pierwszej w nocy Babi odebrał telefon – powiadomiono go, że rano odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie parlamentu. Zamieszki rozlały się na inne miasta. Wiele dróg na południe zablokowano barykadami. Mówią, że zaczyna się wojna domowa. Nie rozumiem, kto z kim będzie walczyć. Wszyscy stracili pieniądze. My byliśmy na tyle mądrzy, by nie sprzedawać domu. Mama mówi, że to w porządku, że przychodzimy pod szkołę i nie wchodzimy do niej, ale powinnam siedzieć cicho i nie angażować się w protesty. Widziałam K. Spotkałam się też z Besą. Szła na prywatkę. Ten bojkot szkoły jest fajny. Mamy mnóstwo czasu dla siebie.

2 marca

20.00

Dziwnie jest. Premier podał się do dymisji. Berisha zorganizował okrągły stół, do którego zaprosił przedstawicieli wszystkich partii. Wczoraj socjaliści zgodzili się na powołanie nowego rządu przez demokratów. Dziś wycofali się z tego porozumienia. Na południu panuje chaos. W Sarandzie i Himarze^[20] zaatakowano pięć magazynów broni, a baza marynarki została wysadzona w powietrze. Wszyscy skazani za morderstwo uciekli z więzienia.

22.00

Przestałam pisać, żeby obejrzeć wiadomości. Babi wrócił z parlamentu, a potem znowu wyszedł. Zadzwoił w drodze do Tirany i ostrzegł mnie,

żeby nie wychodziła z domu. Mówił, że nie jest bezpiecznie i że jeśli ludzie mają do niego pretensje, mogą się zemścić na mnie. Prezydent ogłosił stan wyjątkowy i przekazał władzę armii. Władza armii – to brzmi fatalnie. Ludzie nie mogą gromadzić się w grupach większych niż cztery osoby, obowiązuje godzina policyjna, nie można organizować żadnych spotkań, nawet jeśli miałyby to być wydarzenia kulturalne, a żołnierze mogą strzelać do osób łamiących prawo. Ludzie z Wlory idą na Tiranę, żeby obalić rząd. Wszyscy wokół mnie mówią szeptem. Dziś zadzwonili włoscy dziennikarze, których poznałam w szkole. „È grave” – tylko tyle byłam w stanie powiedzieć. Boję się. Chociaż tu jest spokojnie. Może to tylko słowa. Dyktatura wojskowa. Stan wyjątkowy. Brzmią przerażająco.

3 marca

Dziś oglądaliśmy w telewizji farsę z wyborem prezydenta. Ze stu osiemnastu posłów Demokratycznej Partii Albanii stu trzynastu głosowało za Berishą, jeden przeciwko, a czterech wstrzymało się od głosu. Babi był jednym z tej czwórki. Rano w Tiranie podpalono redakcję „Kaha Jonë”. Jeden dziennikarz zniknął. Nie sądzę, by armia miała dość sił do stłumienia rebelii. O drugiej w nocy studenci z Wlory zakończyli strajk głodowy. Nie wiedzieli, z kim mają negocjować. Różne bandy napadają na wojskowe budynki, kradną broń, rabują sklepy. Nasze czołgi są stare. Nie wiem nawet, czy działają.

Boję się. Babi mówi, że nie możemy wychodzić z domu, ale jeśli znajdzie sposób, wyśle mnie do Włoch. Dowiedział się, że jeśli ktoś ma dobre stopnie, może wystąpić o uniwersyteckie stypendium. Generał Bashkim Gazidede ogłosił, że od dziś szkoły będą zamknięte. Zdaje się, że nie wie, co robić. Między ósmą wieczorem a siódmą rano jest godzina policyjna. Sklepy zamykają o trzeciej po południu. W Durrës jest spokojnie. Może to dobry pomysł, żeby wyjechać. Będę tęsknić. Wszystko się zawaliło. Nie, nie chcę jechać.

4 marca

13.40

Mama właśnie wróciła z zebrania partyjnego. Powiedziała, że partia spisuje nazwiska ludzi, żeby wydać im broń, by w razie potrzeby mogli się obronić. Babi mówi, że nie chce broni w domu. I tak zresztą by jej nie użył. Mama mówi, że broń może odstraszać. Ona by jej użyła. Dziś w Durrës widziano samochody z numerami rejestracyjnymi z Vlory. Rząd wysłał na południe czołgi. Wygląda na to, że jednak działają. Protestujący uciekli w góry. Dziennikarzy ewakuowano helikopterem. Nie wiem, co zrobimy, jeśli protesty dotrą do Durrës. Tutaj wszystko jest dobrze. Gram w domu w karty i szachy. Nie chcę wyjeżdżać. Chcę skończyć szkołę.

5 marca

Tęsknię za K. Chciałabym go zobaczyć, zanim wyjadę. Nie chcę wyjeżdżać. Kiedy się wyjeżdża, zapomina się rzeczy, zapomina się ludzi.

7 marca

12.30

Prezydent powiedział, że jeśli ludzie poddadzą się i złożą broń, powstanie rząd koalicyjny, który w ciągu czterdziestu ośmiu godzin ogłosi amnestię. Wczoraj wszystkie partie spotkały się przy okrągłym stole. Pomyślałam, że atmosfera w parlamencie się uspokaja. Wciąż nie wolno mi wychodzić z domu. Tylko mnie. Wszyscy inni wychodzą. Ludzie ze szkoły spotykają się podczas godziny policyjnej. Nie wiem, dlaczego mnie nie wolno. Nie wiem, o co chodzi.

20.40

Europejscy eksperci radzą, żeby Albania opracowała nową konstytucję i rozpisała nowe wybory. Ale nie mówią nic o tym, czy rząd może zastosować środki konieczne do stłumienia powstania.

8 marca

Ogłoszono zawieszenie broni na czterdzieści osiem godzin. Rebelianci zajęli Gjirokastrę^[21]. Przyjeżdża i wyjeżdża wiele delegacji.

9 marca

Sytuacja się poprawia. Wczoraj odbyła się kolejna runda rozmów przy okrągłym stole. Partie zgodziły się na powołanie rządu koalicyjnego, nowe wybory w czerwcu i amnestię dla ludzi, którzy w ciągu tygodnia złożą broń. Może nie będę musiała wyjeżdżać. Dzisiaj rodzice pozwolili mi wyjść z domu. Niedługo skończy się stan wyjątkowy i otworzą szkoły. Jestem taka szczęśliwa. To już było nie do wytrzymania. Jeszcze trochę i mielibyśmy prawdziwą wojnę. Tęsknię za K. Mam nadzieję, że z moimi egzaminami wszystko będzie dobrze. Czekam na powrót do nauki. Babi jest w okropnym stanie. Nie da się z nim rozmawiać. Przykro mi, że jego polityczne życie trwało tak krótko. Nie wiem, czy będzie kandydował w nowych wyborach. Myślę, że to zależy od tego, czy partia się zreformuje.

10 marca

Strasznie nudno. Nie widziałam K. od dziesięciu dni. Dziesięć dni.

11 marca

Mimo porozumienia zawartego przez partie, mimo powołania rządu technicznego z socjalistycznym premierem, mimo „bilateralnych” starań o zażegnanie kryzysu protesty wciąż trwają. W wiadomościach słyszałam, że również na północy kilka miast – Szkodra, Kukës i Tropoja – zostało opanowanych przez protestujących. Parlament zatwierdził amnestię dla ludzi, którzy złożą broń. Wydaje mi się, że to nie powstrzyma grabieży.

13 marca

Nic nie widzę przez łzy, które zalewają mi oczy. Jestem w swoim pokoju. Jedyne, co słyszę poza moim szlochem, to strzały z karabinów maszynowych. Nie wiem, skąd dobiegają. Słychać je wszędzie. Nikt nie sądził, że ten bałagan dotrze aż tutaj. Wczoraj słychać było gdzieś pojedyncze wybuchy i warkot helikopterów, ale nie martwiliśmy się za bardzo. Krążyły pogłoski, że rozruchy dotarły do Tirany, i pomyśleliśmy, że to jakieś ich dalekie echa. Kiedy jednak usiadłam przy kuchennym oknie, zobaczyłam biegnących ludzi. Wszyscy mężczyźni z naszej ulicy szli na wzgórze. Nieśli broń: kałasznikowy, pistolety, bomby domowej roboty. Widziałam naszego sąsiada Ismaila; jest tak stary, że normalnie chodzi o lasce. Teraz mocował się z jakimś wielkim metalowym przedmiotem,

próbując go wciągnąć na drewnianą taczkę. Słysząc było zgrzytanie metalu. Ismail wyjaśnił, że jest to rakietą średniego zasięgu RS-82. Ludzie chwalili go i pytali, czy ma również wyrzutnię. Odpowiedział, że nie, ale może ktoś inny ją znajdzie. I że nigdy nie wiadomo, kiedy rakietą może się przydać.

Później usłyszeliśmy pogłoski o nowym exodusie. Mówiono, że statki z portu zabiorą ludzi do Włoch. Komuś udało się dostać z bronią na prom pasażerski pływający po Adriatyku i zmusić kapitana do odpłynięcia. Wróciłam do pokoju, gdzie zastałam roztrzęsioną Nini. Powiedziała, że Babi utknął w parlamencie, chyba toczą się tam walki i jego siedziba płonie. Połączenie telefoniczne się urwało. Była taka blada.

Mama jest na plaży z Lanim, poszli tam rano, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wciąż nie wrócili. Rozpłakałam się. Przyszła Besa, żeby powiedzieć, że idzie z mamą do portu sprawdzić, czy są tam jakieś statki. Jej mama spytała Nini, czy pozwoli mi pójść z nimi, ale babcia odmówiła. Szlochałam coraz bardziej. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć, że chcę iść, ale nie mogłam wydobyć żadnego dźwięku. Spróbowałam jeszcze raz. Znowu nic. Nie mogłam nic powiedzieć.

Straciłam głos. Więcej nie próbowałam. Nie wiem, czy mogę jeszcze mówić. Nie chcę próbować, bo boję się, że nie będę w stanie. Jest taki hałas dookoła. Słyszę tylko kałasznikowy. Przyszła Donika, żeby pobyć z Nini. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy proszą, żebym coś powiedziała, żebym użyła mojego głosu. A jeśli go z siebie nie wydobędę? Nie chcę próbować. Nini powiedziała, że kiedy Babi wróci, wyślą mnie do lekarza. Gdy proszą mnie, żebym coś powiedziała, od razu wybucham płaczem. Nie mogę powstrzymać łez. One po prostu płyną. Próbuję je zatrzymać, ale nie potrafię. Nie mogę mówić. Nie wiem, co zrobić. Teraz jestem sama i chcę spróbować, ale co będzie, jeśli głos nie wróci? Czy straciłam go na zawsze? Może wróci, jeśli będę płakać.

14 marca

9.50

Słyszę tylko karabiny maszynowe. Mama i Lani wyjechali wczoraj do Włoch. Przyszedł jakiś człowiek, żeby nam o tym powiedzieć. Byli nad morzem i zobaczyli statek, który zacumował przy nabrzeżu, więc weszli na

niego. Mężczyzna, który nam o tym opowiadał, również tam był ze swoją rodziną, ale postanowił nie wchodzić. Ludzie na pokładzie mieli kałasznikowy i strzelali. Mama tłumaczyła mu, że teraz strzelają wszędzie, więc mogą równie dobrze popłynąć do Włoch, ale jego rodzina za bardzo się bała. Powiedział, że mama z Lanim są pewnie w obozie dla uchodźców w Bari. Nie wiem jednak, czy tam dotarli. Nie zadzwonili. Nie wiem, jak zapłacili za rejs. Nie mieli ze sobą pieniędzy. Pewnie nie wypuszczą ich z obozu. Przetzymają ich tam dwa albo trzy tygodnie i odeślą z powrotem. Telefon zaczął działać, a potem przestał. Myślę, że teraz znowu działa, tyle że nikt nie dzwoni. Ulice są zablokowane, ale wydaje mi się, że gdyby ktoś zginął w parlamencie, powiedzieliby o tym w telewizji. Więc tacie chyba nic się nie stało.

Wciąż jednak nie mogę mówić. Wydaje mi się, że mój głos jeszcze nie wrócił. Nie wiem, czy kiedykolwiek wróci. Nini mówi, że powinnam próbować mówić, żeby Babi się nie wystraszył, kiedy wróci do domu. Dała mi valium. Mówiła, że to powinno pomóc. Ale nie zadziałało. Więc dała mi drugą pastylkę. Dalej nie mówię. Nie próbuję, bo co będzie, jeśli spróbuję i okaże się, że mój głos zniknął na zawsze? Nini mówi, że sytuacja jest nie najgorsza. Że muszę być silna. Nie wiem, kiedy uzna, że jest naprawdę źle. Nie mam głosu. Chce mi się spać.

15.30

Kałasznikowy są jak noworoczne fajerwerki. Strzelają, strzelają, strzelają. W dzień i w nocy. Kto mógł to przewidzieć? Stan wyjątkowy nic nie dał. Mówi się o sprowadzeniu sił NATO. Martwię się, że to tylko pogorszy sytuację, bo spowoduje wielki rozlew krwi. Będzie tak jak z siłami pokojowymi w Bośni. Tylko patrzeć, jak się zacznie. Nini ma rację, chyba muszę się do tego przyzwyczaić. Próbuję. Ciarki przechodzą mi po plecach, kiedy przypominam sobie wczorajszy dzień, ludzi biegających po ulicy, samochody pędzące na pełnym gazie, strzały. Dziś jest trochę lepiej. Myślę, że i ja lepiej to znoszę. Jest tak, jakby wszyscy jednocześnie oszaleli i zaczęli wszystko niszczyć.

Babi wrócił z Tirany. Mówi, że port jest kompletnie zniszczony. Budynki biurowe spłonęły. Ocalały tylko niektóre sklepy – właściciele bronią ich

kałasznikowami. Słyszę jedynie wystrzały. Kraj został opanowany przez gangsterów. Panuje całkowita anarchia. Nikt już nie mówi o rozwiązaniach politycznych. Tu już nie chodzi o walkę między socjalistami a demokratami. Wszystkie siły polityczne są całkowicie bezradne. Nikt niczego nie rozumie. Tak jakby cały kraj popełniał samobójstwo. Gdy wydawało się już, że sytuacja się poprawia, wszystko się popsuło. Teraz, gdy już spadamy w przepaść, nie jesteśmy w stanie się cofnąć. Jest znacznie gorzej niż w roku 1990. Wtedy można było pokładać nadzieję w demokracji. Dziś nie ma nic, wszystko jest przeklęte.

17.00

Nie wytrzymam tego. Wolę chyba wyjść na zewnątrz i dostać kulkę, niż tu siedzieć. Nie ma się do kogo odezwać. Zawsze mi się wydawało, że jak przyjdzie wojna, to będę silna. Nie sądziłam, że będę ciągle płakała. To czekanie jest okropne. Dławi mnie.

Nini powiedziała, żebym odsunęła łóżko od okna. Na parapety spadają pociski od kałasznikowa. Nie wiemy, skąd przyleciały, ale jeśli zostały wystrzelone gdzieś niedaleko i wytraciły tylko część swojej prędkości, mogą zabić. Tak powiedziała. Po prostu przestaw łóżko.

18.00

Te strzały. Jakby eksplodowały w mojej głowie. Nie mogę powstrzymać łez. Za każdym razem, gdy chcę coś powiedzieć, z oczu płyną mi łzy.

15 marca

Nini dała mi więcej środków uspokajających. Właśnie się obudziłam. Czuję się trochę lepiej. Nie wiem, czy na świecie jest aż tak źle, czy to moja wyobraźnia sprawia, że wygląda on gorzej niż w rzeczywistości. Teraz, gdy wyjechała również Besa, nie mam z kim rozmawiać. A zresztą i tak nie mogę mówić. Dziś słyszać mniej strzałów. Wygląda na to, że siły międzynarodowe wkroczą. Chcę wrócić do szkoły.

12.30

Chciałam się zabić, ale żal mi było Nini. To trwało tylko piętnaście minut. Muszę znaleźć jakąś nową książkę do czytania.

20.50

To popołudnie było fajne. Wcześniej zadzwoniła mama, pierwszy raz od wyjazdu. Są w obozie dla uchodźców w Bari. Babi jest na nią zły. Mówi, że nie powinna była wyjeżdżać, nie pytając nas o zdanie. Najpierw rozmawiała z nią Nini, a potem dała słuchawkę tacie. Nie odezwał się i oddał słuchawkę mnie. Nie potrafiłam nic powiedzieć. Nie próbowałam, ale zdaje się, że i tak nie mogę mówić. Chyba nie odzyskam głosu. Mami powiedziała, że zobaczyła statek i po prostu na niego wsiadła. Próbowała ratować Laniego. Nini tłumaczyła, że nie zabiera się jednego dziecka, zostawiając drugie. Babi przysiągł, że nie odezwie się do niej nigdy więcej.

16 marca

Wyszłam dziś z domu. Zrobiłam to, kiedy Nini spała. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Pomyślałam, że nawet jeśli mnie zabiją, to co z tego? Weszłam na wzgórze, żeby zobaczyć dawny pałac królewski. Nic z niego nie zostało. Balustrady są potrzaskane, dachówki rozkradziono. Zerwano wszystkie kwiaty. Żyrandole zniknęły. Stropy wyglądają tak, jakby zaraz miały spaść komuś na głowę. Kiedy tam byłam, spróbowałam krzyknąć. Wydobyłam z siebie głos. Wiedziałam, że tam jest. Po prostu nie chciałam go używać. Było tak pusto. Kompletnie pusto. Zniknęły wszystkie meble.

Zaczęłam czytać *Wojnę i pokój*. Jest tam wiele postaci. Tak jakbym się z nimi poznawała. Chyba lepiej spędzać czas z fikcyjnymi postaciami, niż tęsknić za realnymi osobami, których już się nigdy nie zobaczy. Przestałam myśleć o szkole. Przestałam myśleć o K.

17 marca

Flamur się zabił. Bawił się tokariewem TT-33. Myślał, że jest nienaładowany. Była przy tym jego matka. Nacisnął spust, ale w magazynku była jedna kula. Tylko jedna. Sąsiedzi mówili, że usłyszeli wystrzał, ale ja nic nie słyszałam. Było tak wiele strzałów. Słyszałam tylko płacz Shpresy. Wyła jak zwierzę. Wyszła na ulicę, rwąc włosy z głowy. Powtarzała, że ktoś musi wejść do domu i go przykryć. Nie mówiła nic więcej. Wejdźcie do środka i przykryjcie go.

18 marca

Tak fajnie być z tatą. Poszliśmy dziś na zakupy. On dużo mówi. I spotyka mnóstwo ludzi, więc trwało to wieki. Na ulicach byli dziś ludzie. Sytuacja nieco się poprawiła. Myślę, że wszystko będzie dobrze. Tylko muszę być dzielna. Nini jest taka dzielna. Nie wiem, jak ona to robi. Gdzieś w naszym domu utknęła kukułka. Wciąż jej szukamy, ale nie możemy znaleźć. Słysząc ją, odzywa się naprawdę głośno. Nini mówi, że kukułki przynoszą nieszczęście.

19 marca

Rozmawiałam dziś z Mami przez telefon. Powiedziała, że niedługo wyjdą z obozu. Znalazła pracę w Rzymie, ma się opiekować starszą sparaliżowaną panią. Mówi, że będą się starać o azyl polityczny. Ma mieszkanie, wyżywienie i dostaje pięćset tysięcy lirów. Lani może z nią zostać. Może za jakiś czas znajdzie pracę jako nauczycielka matematyki. Wtedy wystąpi o obywatelstwo, a potem o połączenie rodziny. Ona nie ma pojęcia, jak to naprawdę wygląda. Nie ogląda telewizji. Ja widziałam program o Albańczykach we Włoszech. Prędzej znajdzie tam faceta niż obywatelstwo. Babi nadal nie chce z nią rozmawiać.

20 marca

Nie mogłam pisać wczoraj wieczorem. O piątej po południu była awaria prądu i włączyli go dopiero rano. Potem znowu wysiadł, ale znaleźliśmy świeczkę. Wczoraj ulice były puste. W porcie pełno ludzi próbujących wyjechać. Zerwał się taki straszny wiatr. Wydawało się, że porwie dom i rzuci go gdzieś daleko. Nie wiem, gdzie oni zamierzają dotrzeć z tym wiatrem. Skończyłam *Wojnę i pokój*. Turgieniew napisał, że są tam rzeczy nieznośne i rzeczy wspaniałe, ale tych drugich jest więcej. Ja nie znalazłam nic nieznośnego. Do samego końca nie byłam w stanie odłożyć książki. Babi powiedział, że jeśli Mami kiedyś wróci, pójdzie z nią do sądu. Nigdy jej nie wybaczy. Wciąż trwają walki. Głowa mi pęka, tak jakby coś tkwiło w niej w środku, ale nie wiem, co to takiego. Jest w niej hałas. Na zewnątrz też jest hałas. Na ulicach nie ma ludzi, ale jest hałas. Strzały nie ustają.

25 marca

Nie wydaje mi się, żeby w tym roku otwarto szkoły. Nie wiem, co będzie z moimi egzaminami końcowymi. I z moimi studiami. Nie wiem nawet, co chciałabym studiować. Wkrótce pojawią się tu zagraniczni żołnierze, z Włoch, Grecji, Hiszpanii, Polski. Międzynarodowe siły pokojowe. Myślę, że to ożywi gospodarkę. I prostytucję.

29 marca

Tej nocy niedaleko Otranto zatonął statek płynący z Wlory do Włoch. Na pokładzie znajdowało się około stu osób. Zatopiła go włoska korweta patrolująca wybrzeże. Włosi wykonali manewr, próbując zatrzymać statek, i go przewrócili. Utonęło około osiemdziesięciu osób, głównie kobiet i dzieci, niektóre miały zaledwie trzy miesiące. Wciąż ich szukają. Dzień wcześniej nasz premier podpisał z Prodim, premierem Włoch, porozumienie, zgodnie z którym Włosi mogą siłą chronić swoje wody terytorialne – również taranując statki, żeby zmusić je do zawrócenia. Nie biorę już valium, tylko walerianę. Podobno jest łagodniejsza.

6 kwietnia

Minister edukacji wymyślił coś idiotycznego – „telewizyjną szkołę”. Nie otworzą szkół, bo to nie jest bezpieczne. Będą nadawać lekcje w telewizji, żeby „nikt ich nie opuścił”. Nie wiem, co z końcowymi egzaminami. Może też odbędą się w telewizji.

Filozofowie rozmaicie tylko *interpretowali* świat; idzie jednak o to, aby go *zmienić*^[22]

Szkoły pozostały zamknięte do drugiej połowy czerwca 1997 roku. Otwarto je wtedy na kilka dni, aby umożliwić uczniom ostatnich klas, takim jak ja, przystąpienie do egzaminów. Kilka tygodni wcześniej pojawiły się międzynarodowe siły pokojowe, żeby ustabilizować sytuację – nie tyle by powstrzymać przemoc, ile by pomóc państwu odzyskać na nią monopol. Zagraniczni żołnierze byli wszędzie. Nosili takie same zielone mundury i szare hełmy, różnili się tylko kolorami flag naszytych na rękawach. Operacji „Alba” („Świt”) przewodzili Włosi; drugi raz od wybuchu II wojny światowej prowadzili na albańskiej ziemi misję „cywilizacyjną”.

Niedługo miały się odbyć nowe wybory. Planowano też referendum, żeby zdecydować, czy Albania ma pozostać republiką, czy przywrócić monarchię. Potomkowie króla Zogu – tego samego, po którym władzę przejął na krótko mój pradziadek, gdy Albania stała się faszystowskim protektoratem – wrócili, by spróbować swoich sił w zarządzaniu upadkiem kraju. Gdy uciekli z Albanii, wywieźli tyle złota z narodowego banku, że teraz stać ich było na wykupienie telewizyjnych reklam zachęcających do głosowania za monarchią. Co wieczór na podzielonym na dwie części ekranie telewizora pokazywano z jednej strony płonąca Albanię, z drugiej zaś widoki z Oslo, Kopenhagi i Sztokholmu, pod którymi pojawiały się napisy: „Norwegia: monarchia konstytucyjna”, „Dania: monarchia konstytucyjna”, „Szwecja: monarchia konstytucyjna”.

Reklama ta miała moc natychmiastowego rujnowania nastroju mojej babci – robiła to skuteczniej niż odgłosy kałasznikowów strzelających za

oknem.

– Zogu! – prychała. – Nie mówcie mi o Zogu. Byłam na jego ślubie. Zogu! To jakieś szaleństwo. Nie mogę w to uwierzyć!

Komentarze taty były mniej emocjonalne, ale równie zaskakujące.

– Szwecja? – mówił, widząc tę reklamę. – Olof Palme. Leuszka, słyszałaś o Olofie Palmem? Był dobrym człowiekiem. Powinnaś coś o nim poczytać. Był socjaldemokratą. Prawdziwym. Polubiłabyś go.

Dopiero po latach dowiedziałam się o Olofie Palmem czegoś więcej. O tym, jak zaciekle krytykował zarówno Stany Zjednoczone, jak i Związek Radziecki, o jego wsparciu procesu dekolonizacji, o jego śmierci. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że tata przez całe życie podziwiał tylko tych polityków, którzy już nie żyli.

Dzień przed moim ostatnim egzaminem z fizyki otworzyłam wieczorem atlas geograficzny, żeby przypomnieć sobie nazwy stolic różnych krajów świata. Nie potrafiłam już się zmusić do czytania podręczników. Byłam wyczerpana. Od kilku miesięcy uczyłam się bez przerwy każdego wieczora, tak jak uczyłabym się w ciągu dnia, gdyby szkoły były otwarte. Wieczorami odgłosy kałasznikowów stawały się coraz rzadsze. Słyszeć już było szczekanie psów, a czasem nawet cykanie świerszczy w ogrodzie. Wyłączenia prądu stały się bardziej przewidywalne: czy będzie nocą, czy nie, wiadomo było około północy. W ciemnościach życie wracało niemal do normalności. Niemal, bo babcia czasem budziła się i przychodziła do mnie, żeby mi powiedzieć, że jeśli będę się za dużo uczyła, zaszkodzi to mojemu zdrowiu. To było niezwykle – nigdy wcześniej nie prosiła mnie, żebym przestała czytać.

W szkole poinformowano nas, że to, co powiemy czy napiszemy podczas egzaminów, będzie miało niewielkie znaczenie. Dostaniemy oceny na podstawie wyników prognozowanych. Ale ja nie chciałam rezygnować. Chciałam być przygotowana na każdą możliwą sytuację. Nie miałam pewności, czy wszystkie egzaminy się odbędą i czy ta obietnica zostanie dotrzymana. Mogło się okazać, że będę musiała powtarzać rok. Albo że skończę szkołę, nie znając nazw stolic wszystkich krajów świata.

W dniu egzaminu mój nauczyciel, Kujtim, otworzył kopertę z pytaniami przysłanymi przez Ministerstwo Edukacji. W szkolnej sali gimnastycznej,

w której siedzieliśmy pojedynczo przy rozstawionych w odległości metra stołach, panowała cisza. Nauczyciel zaczął odczytywać, jak to nazywaliśmy, „tezy egzaminacyjne” z powagą stosowną do uroczystego charakteru tego wydarzenia. Ton jego głosu upewnił mnie, że dobrze zrobiłam, przygotowując się do egzaminu – mimo nadzwyczajnych okoliczności – jak najbardziej sumiennie.

– Statek kosmiczny zbliżający się do Ziemi z prędkością v wysyła w jej stronę sygnały świetlne. Jaka jest...

Kujtimowi nie udało się dokończyć pytania, ponieważ do sali wszedł nagle dyrektor. Kujtim zdjął okulary i czekał. Dyrektor szepnął mu coś do ucha, on, również szeptem, odpowiedział, na co dyrektor pokiwał głową i wyszedł. Kujtim wyjrzał za okno, kaszlnął, przełknął ślinę i zaczął od nowa czytać zadanie:

– Statek kosmiczny zbliżający się do Ziemi z prędkością v wysyła w jej stronę sygnały świetlne. Jaka jest prędkość fotonów względem Ziemi?

Gdy skończył, odwrócił się do tablicy i zapełnił ją wykresami oraz równaniami. A potem odwrócił się do nas, trzymając przed sobą kartkę A4 jak tarczę.

– Tu są odpowiedzi – powiedział, wciąż spowity chmurą białego kredowego pyłu. – Nikt nie obleje egzaminu. Jeśli ktoś ma prognozowaną szóstkę, musi przepisać tylko dwie odpowiedzi. Jeśli ósemkę, musi przepisać trzy odpowiedzi. Jeśli dziesiątkę – wszystkie cztery. Nie próbujcie odpowiadać na pytania samodzielnie. Pan dyrektor odebrał anonimowy telefon. W szkole może znajdować się bomba, która wybuchnie za dwie godziny. Za dwie godziny. Policja już jej szuka, ale nic nie znalazła. Może to żart któregoś z waszych kolegów. Nie musicie panikować. Ale musicie być szybcy.

To był mój ostatni egzamin. Szkoła nie wyleciała w powietrze, alarm był fałszywy. Kiedy opowiedziałam o tym w domu, tata się roześmiał. Śmiał się jak szalony, waląc dłońmi w stół i ocierając łzy spływające mu po policzkach.

– Bomba! – krzyknął. – Bomba! Mówiłem ci, Leuszka, żebyś spała! Że to będzie formalność! Bomba! To genialne! Bomba! I pozwolili wam zdawać egzamin! Mistrzowie świata! Geniusze!

Wieczorem zmartwiłam się, że turkusowa jedwabna sukienka, którą kupiłam na bal absolwentów, jest za długa. Nie udało mi się znaleźć krawcowej, która pomogłaby mi ją skrócić.

– I tak kończy się sporo powyżej kolan – powiedziała babcia, kiedy ją przymierzyłam. – Mam zasłonę na oczach – tłumaczyła się, przypominając o swojej zaćmie. – Nie dam rady ci pomóc.

Chodziło o drobną poprawkę krawiecką, z którą moja mama poradziłaby sobie bez trudu. Znała się na tym. Żałowałam, że jej nie ma. Do szkoły chodziłam zawsze w znoszonych spodniach i chciałam jakoś uczcić tę okazję. Tata przewracał tylko oczami, z typową dla niego miną wyrażającą bezradność i coś w rodzaju poczucia winy. Był jednak przynajmniej na tyle łaskawy, by nie sugerować mi, że sukienka już jest wystarczająco krótka.

Następnego dnia w położonym przy plaży romantycznym hotelu California odbył się nasz bal absolwentów. Hotel należał do miejscowego gangu, tego samego, który wywiózł mamę do Włoch i kontrolował większość zrabowanej broni. Pilnowali go uzbrojeni strażnicy, którzy co jakiś czas strzelali w powietrze, żeby ostrzec konkurujące z nimi gangi, że hotel jest dobrze strzeżony, ale również po to, by przyłączyć się do trwającej w nim radosnej zabawy, zgodnie z dawną bałkańską tradycją strzelania podczas wesel. Bal jednak nie przypominał wesela: chłopcy ubrani byli w garnitury i nosili krawaty, a wszystkie dziewczęta, z wyjątkiem mnie, miały na sobie długie wieczorowe suknie. Kelnerzy przez cały dzień roznosili *meze*, a my tańczyliśmy aż do czwartej po południu, gdy uzbrojeni mężczyźni weszli do sali, by powiedzieć nam, że zaraz zacznie się godzina policyjna. Na koniec zagrano *Hotel California*. Zebraliśmy się do wyjścia. Mijając ochroniarzy, którzy mierzyli do nas ze swojej broni, śpiewaliśmy: „*Welcome to the Hotel California! Such a lovely place, such a lovely face!*”.

– Nienawidzę tego – powiedziała dziewczyna z mojej klasy, gdy wyszliśmy na zewnątrz. – Nienawidzę tego upału! Patrz, co się stało z moim makijażem. Wszystko mi spływa po twarzy, jakbym była trupem wyciągniętym z błota.

Kiedy teraz myślę o końcu szkoły, przypominam sobie ulgę, jaką poczułam, gdy się okazało, że egzaminy były tak łatwe, ale również żal

z powodu utraconych wieczorów, które poświęcałam na przygotowanie się do nich. Moje starania, by pomimo tego wszystkiego, co działo się wokół mnie, zachować ład w tym jednym obszarze mojego życia, dziś wydają mi się chorobliwe.

W ciągu tych miesięcy musiałam pogodzić się z wieloma sprawami. Pogodziłam się z tym, że tata często zostawał w parlamencie i nie wiadomo było, kiedy wróci do domu, jeśli w ogóle. Pogodziłam się z entuzjastycznymi doniesieniami mamy, że dostała pozwolenie na pracę we Włoszech, i jej komicznymi zapewnieniami, że wcale jej nie przeszkadza, iż przez jakiś czas będzie sprzątała łazienki cudzoziemców – powiedziała, że dzięki temu zapomina o polityce. Pogodziłam się z tym, że muszę nauczyć się wyrażać moje myśli na piśmie. Pogodziłam się z tym, że Flamur, mój kolega z dzieciństwa, który kiedyś w mojej obecności zabił kota, teraz zabił się w obecności własnej matki, bawiąc się tokariewem ТТ-33. Pogodziłam się z odgłosami kul z kałasznikowa spadających na mój parapet. Nauczyłam się przy nich zasypiać. Pogodziłam się z bombami w czasie egzaminów i uzbrojoną ochroną balu absolwentów.

Nauczyłam się żyć ze świadomością ulotności własnego istnienia. Przyjęłam do wiadomości bezsensowność zwykłych czynności – takich jak jedzenie, czytanie, zasypianie – w świecie, w którym nie ma się pewności, że następnego dnia będzie można je powtórzyć. Pogodziłam się z anonimowością wydarzających się wokół mnie tragedii i bezcelowością dociekania, jaką śmiercią zginął sąsiad czy krewny – czy była przypadkowa, czy zamierzona, spokojna czy gwałtowna, komiczna czy godna, czy umierał sam, czy wśród bliskich.

Pogodziłam się z różnymi wyjaśnieniami tego, co się stało, z tym, że społeczność międzynarodowa ostrzegała przed takimi bądź innymi decyzjami, z tym, że Bałkany mają długą i burzliwą historię – że musimy uwzględniać nie tylko etniczne i religijne podziały, lecz także dziedzictwo komunizmu. Pogodziłam się z tym, co słyszałam w zagranicznych mediach: że przyczyną albańskiej wojny domowej nie było załamanie się wadliwego systemu finansowego, lecz odwieczne animozje między dwiema grupami etnicznymi, czyli Gegami z północy i Toskami z południa. Przyjęłam do wiadomości tę opinię, mimo jej niedorzeczności, mimo tego, że *ja sama* nie

wiem, do której z tych grup należę – do obu czy do żadnej z nich. Moja mama należała do pierwszej, tata do drugiej, jednak przez całe wspólne życie dzieliły ich wyłącznie kwestie polityczne i klasowe, nigdy zaś akcent, z jakim mówili. Pogodziłam się z tym, tak jak pogodziliśmy się z liberalną *mapą drogową*, którą kierowaliśmy się jak religijnym dogmatem, przyjąwszy do wiadomości, że realizację tego planu mogą zakłócić wyłącznie czynniki zewnętrzne, takie jak zacofanie naszego społeczeństwa, a nie jego własne wewnętrzne sprzeczności.

Pogodziłam się z tym, że historia się powtarza. Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy tego właśnie doświadczyli moi rodzice. Czy chcieli, żebym ja doświadczyła tego samego co oni? Czy tak właśnie wygląda utrata nadziei, że człowiek staje się obojętny na niuanse i różnice, na mnogość możliwych interpretacji, na prawdę?

Było tak, jakbyśmy się cofnęli do roku 1990. Przeżywaliśmy taki sam chaos, takie samo poczucie niepewności, taki sam kryzys państwa i gospodarki. Z jedną wszakże różnicą. W 1990 roku nie mieliśmy nic poza nadzieją. W roku 1997 ją również straciliśmy. Przyszłość jawiła się mroczna. A mimo to musiałam żyć tak, jakbyśmy wciąż mieli jakąś przyszłość, i podejmować decyzje z nią związane. Musiałam postanowić, kim chcę być, gdy dorosnę, i wybrać kierunek studiów. Ten wybór okazał się straszliwie trudny. Trudno mi było ocenić różne opcje, wyobrazić sobie siebie w tym albo innym życiu, w takiej lub innej przyszłości. Nie potrafiłam myśleć o osobnych obszarach wiedzy, takich jak prawo, medycyna, ekonomia, fizyka, inżynieria, o tym, czym one są i jak zostaje się w nich ekspertem. Zastanawiałam się, czy mają one jakieś wspólne wartości, czy jest coś, co je łączy, czemu wszystkie służą. Myślałam też o ich roli w nadawaniu sensu temu, co nazywamy historią, którą uważamy za coś więcej niż chaotyczną sekwencję postaci oraz zdarzeń, której przypisujemy znaczenie i kierunek; którą, jak wierzymy, można badać, a potem wykorzystać tę wiedzę do kształtowania przyszłości. Nie wiedziałam, co wybrać. Miałam same wątpliwości.

Ale to właśnie wątpliwości pomogły mi w podjęciu decyzji. Ogłosiłam ją tacie i babci pewnego popołudnia przy obiedzie. Jadłam właśnie oliwki.

– Filozofia? – Tata był zaniepokojony. – Chcesz studiować filozofię jak Mulica?

– Mulica? – spytałam. Nie rozumiałam, dlaczego wspomina o mojej dawnej nauczycielce.

– Filozofia, marksizm – powiedział. – To właśnie studiowała Mulica. To samo. Ale nawet Marks wiedział, że filozofia nie jest nic warta. Wiesz, co powiedział? Że filozofowie tylko interpretowali świat. A chodzi o to, żeby go zmienić. Napisał tak w *Tezach o Feuerbachu*. Chcesz być jak Mulica? W tych jego pismach niewiele jest rzeczy prawdziwych, ale to może być jedna z nich.

Tata recytował jedenastą tezę o Feuerbachu tak, jakby to był werset z Koranu lub Biblii. Nie będziesz pożądał. Nie będziesz studiował filozofii.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam tego zdania – odpowiedziałam. Wciąż gryzłam oliwki. – A poza tym można zmienić świat, studiując filozofię.

– Takie było zdanie Marksa – mówił tata. – Filozofia jest martwa. Filozofowie wymyślają teorie, jedną po drugiej, jednak one wszystkie są wzajemnie sprzeczne. Nie da się rozstrzygnąć, który z nich miał rację, a który się mylił. Powinnaś wybrać jakąś naukę ścisłą, taką, w której można sprawdzić, czy coś jest prawdą, czy fałszem, na przykład fizykę lub chemię. Albo kierunek, który nauczy cię robić coś, żeby ludziom żyło się lepiej: medycynę, prawo, cokolwiek, co ma związek z rzeczywistością.

– Oczywiście, że to możliwe – odparłam, wciąż myśląc o zdaniu, które zacytował. Wyglądał na zbitego z tropu. – Mówiłeś, że nie chodzi o to, by interpretować świat, ale o to, by go zmieniać. Może Marks miał na myśli, że prawdziwą teorią filozoficzną jest ta, która zmienia świat we właściwym kierunku.

Trochę mamrotałam, bo musiałam owinąć język wokół oliwki, żeby wyjąć z niej pestkę.

– Już mówisz jak marksistka – powiedział. – Im się zdaje, że wiedzą, który kierunek jest słuszny.

To drugie nawiązanie do marksizmu było jeszcze bardziej niepokojące niż pierwsze. Zawsze gdy rodzice mówili, że coś jest „marksistowskie” albo „wciąż marksistowskie”, mogli mieć na myśli, że to coś jest „głupie”, że „nie można mieć do tego zaufania” albo wręcz że jest to „zbrodnicze”. Dla nich określenie „marksista” nigdy nie było komplementem.

– Filozofia to nie jest zawód! – krzyknął tata. – W najlepszym wypadku zostaniesz nauczycielką i będziesz opowiadać znudzonym szesnastolatkom o historii Partii.

– Jakiej Partii? – spytałam, przeżuwając kolejną oliwkę. – Partii już nie ma. I nie uczymy się jej historii.

– No dobrze, nie wiem, czego dziś uczy Mulica – przyznał.

– To nie ja zaczęłam mówić o Marksie – zauważyłam, podnosząc głos. – Ty zacząłeś. To jest wszystko, co wiesz o filozofii. Wszyscy macie obsesję na punkcie marksizmu. Może marksizm jest martwy. Ale filozofia to coś więcej – ciągnęłam, tym razem ciszej i mniej pewnie. – Nic nie wiem o marksizmie. Widziałam, jak zniszczył wasze życie. Ale...

– Gdybyś się urodziła kilka lat wcześniej – przerwał mi – zniszczyłby również twoje.

– Zniszczył i tak za dużo. Więcej złego już nie robi.

Babcia wstała, żeby pozbierać talerze ze stołu, ale odwróciła się do taty, tak jakby nawiedziły ją wątpliwości.

– Nie poszedłeś na studia, które wybrałeś – odezwała się spokojnym głosem. – Dlaczego chcesz, żeby twoją córkę spotkało to samo? Po co robić dziecku coś, czego ty żałowałeś przez całe życie?

Ton, jakim to powiedziała, dziwnie nie pasował do jej słów. Mówiła z wielkim ożywieniem, tak jakby pomagała w zdiagnozowaniu choroby, a nie wypowiadała się w sprawie wyboru studiów. Uznałam, że lepiej się nie odzywać.

– Nie rozumiem – odpowiedział się tata, wciąż zdenerwowany. – Oni nigdy nie uczyli się w szkole filozofii. Nie czytali nawet Marksa. Jak mam prosić ludzi, żeby pożyczili mi pieniądze na jej studia? Na jakie studia? FILO-ZO-FIĘ. Wszyscy pomyślą, że zwariowaliśmy. Co ona wie o filozofii?

Słysząc było, że jest rozzłoszczony.

Tego wieczora zawarliśmy pakt. Oni obiecali, że pozwolą mi studiować filozofię, a ja – że będę się trzymała z dala od Marksa. Tata zgodził się, żebym wyjechała. Opuściłam Albanię. Pomachałam tacie i babci, którzy stali na nabrzeżu, i wyruszyłam przez Adriatyk do Włoch. Statek przepłynął nad tysiącami ciał topielców, ciał ożywianych kiedyś przez dusze, które miały wprawdzie więcej nadziei niż ja, ale spotkał je los znacznie gorszy od mojego. Nigdy nie wróciłam.

Epilog

Każdego roku, gdy zaczynam wykłady z marksizmu w London School of Economics, tłumaczę studentom, że chociaż ludzie często uważają socjalizm za teorię relacji ekonomicznych, walki klasowej i sprawiedliwości społecznej, to w rzeczywistości jego siłą napędową jest idea bardziej fundamentalna. Mówię im, że socjalizm to przede wszystkim teoria ludzkiej wolności, w której chodzi o to, jak należy rozumieć dziejowy postęp, o to, jak ludzie przystosowują się do okoliczności, lecz także o to, jak próbują się ponad nie wznieść. Wolność ginie nie tylko wtedy, gdy inni dyktują nam, co mamy mówić, dokąd zmierzać i jak postępować. Opresyjne są również te społeczeństwa, które deklarują, że umożliwiają ludziom realizację ich potencjału, ale nie zmieniają struktur, które sprawiają, że szansę na dobre życie mają tylko nieliczni. A jednak, mimo wszystkich ograniczeń, nigdy nie tracimy naszej wewnętrznej wolności – wolności robienia tego, co słuszne.

Tata i babcia nie zdążyli się przekonać, jak potoczyły się moje studia. Po zakończeniu kariery parlamentarnej tata trafił od jednego prywatnego pracodawcy do drugiego. Za każdym razem, jak mówił, przyczyną wymówienia była jego słaba znajomość angielskiego, a także podstawowa zaledwie umiejętność posługiwania się komputerem. Aby ułatwić mu poszukiwanie pracy, rodzina przeniósła się do Tirany. Zamieszkali w pobliżu dawnego ogrodu botanicznego, teraz jednego z najbardziej zanieczyszczonych miejsc w kraju. Astma dokuczała mu coraz bardziej. Pewnego letniego wieczora, niedługo po swoich sześćdziesiątych urodzinach, miał szczególnie silny atak choroby. Otworzył okno, żeby

nabrać powietrza, ale spowiła go chmura tlenu węgla i kurzu. Gdy przyjechała karetka, już nie żył.

Mama była wtedy we Włoszech. Chociaż rodzice się pogodzili, wyjeżdżała tam co jakiś czas. Pracowała jako opiekunka lub sprzątaczką, by choćby częściowo pospłacać nasze nowe długi. W tym czasie jej rodzeństwo walczyło o odzyskanie skonfiskowanego przez komunistów majątku. Owe starania, nazywane przez babcię „stratą czasu”, przyniosły efekty kilka miesięcy po śmierci Nini. Umarła niedługo po tacie. Sprzedaliśmy spory kawałek wybrzeża arabskiemu deweloperowi i nasz los zmienił się z dnia na dzień.

Nie musiałam już liczyć ostatnich groszy, czekając na kolejną wypłatę stypendium. Mogłam jeść na mieście i pić do późna w barach, dyskutując o polityce z nowymi przyjaciółmi z uniwersytetu. Wielu z nich deklarowało, że są socjalistami – to znaczy socjalistami w zachodnim stylu. O Róży Luksemburg, Lwie Trockim, Salvadorze Allendem i Ernesto Che Guevarze mówili tak, jakby byli to świeccy święci. Pomyślałam, że w tych sprawach są podobni do mojego ojca: za godnych szacunku uważali tylko tych rewolucjonistów, którzy zostali zamordowani. Wizerunki tych postaci pojawiały się na plakatach, koszulkach, kubkach, trochę tak jak fotografie Envera Hoxhy w mieszkaniach albańskich rodzin z czasów mojego dzieciństwa. Kiedy o tym wspomniałam, moi koledzy poprosili, żebym opowiedziała im coś więcej o moim kraju. Uznali jednak, że moje historie z lat osiemdziesiątych nie mają związku z ich przekonaniami politycznymi. Zdarzało się, że gdy nazywałam socjalizmem zarówno to, czego sama doświadczyłam, jak i ich poglądy, traktowali to jak niebezpieczną prowokację. Chodziliśmy na wielkie koncerty pod gołym niebem organizowane w Rzymie z okazji 1 maja. Nie mogłam nic poradzić na to, że przypominały mi one pochody z okazji Święta Pracy, jakie widywałam w dzieciństwie. Mówili mi wtedy, z trudem powściągając irytację, że to, co było w moim kraju, to nie był *prawdziwy* socjalizm.

Moje opowieści o socjalizmie w Albanii i uwagi dotyczące innych socjalistycznych krajów, z którymi Albania porównywała swój socjalizm, w najlepszym wypadku tolerowano jako żenujące wypowiedzi nie w pełni jeszcze zintegrowanej cudzoziemki. Związek Radziecki, Chiny, Niemiecka

Republika Demokratyczna, Jugosławia, Wietnam, Kuba – tam też nie było żadnego socjalizmu. Uznawano te kraje za zasłużenie przegranych uczestników historycznej walki, w którą autentyczni socjaliści dopiero się włączają. Socjalizm moich nowych przyjaciół był czysty, jasny i należał do przyszłości. Mój był brudny, krwawy i należał do przeszłości.

A przecież wizję przyszłości, na którą czekali, jak i tej, którą chciały kiedyś urzeczywistnić państwa socjalistyczne, inspirowały te same książki, te same krytyczne diagnozy życia społecznego i te same historyczne postaci. Jednak ku mojemu zdumieniu moi znajomi uznawali to za niefortunny zbieg okoliczności. Wszystko, co poszło źle w mojej części świata, skłonni byli wyjaśniać okrucieństwem naszych przywódców albo wyjątkowym zacofaniem naszych instytucji. Uważali, że nie muszą się niczego od nas uczyć. Nie jest możliwe, by popełnili te same błędy, i nie ma powodów, by rozmyślali nad tym, co zostało osiągnięte, a co zaprzepaszczone. Ich socjalizm był tryumfem wolności i sprawiedliwości. Mój był ich brakiem. Ich socjalizm mieli urzeczywistnić właściwi ludzie, kierujący się właściwymi motywami, we właściwych okolicznościach, dzięki właściwemu połączeniu teorii i praktyki. Z moim socjalizmem można było zrobić tylko jedno – zapomnieć o nim.

Ja jednak nie chciałam zapominać. Nie dlatego, że za nim tęskniłam. Nie dlatego, że wolałam zachować romantyczny obraz mojego dzieciństwa. Nie dlatego, że ideologia, na której się wychowywałam, zakorzeniła się we mnie tak mocno, że nie potrafiłam się z niej wyplątać. Jeśli z historii mojej rodziny i mojego kraju wypływa jakaś nauka, to jest nią to, że ludzie nigdy nie tworzą historii w okolicznościach, które sobie wybrali. Łatwo powiedzieć: „To, co przeżyliście, nie było prawdziwe”, odnosząc tę ocenę do socjalizmu albo liberalizmu, do jakiegokolwiek skomplikowanej hybrydy idei i rzeczywistości. Zdejmujemy w ten sposób z siebie ciężar odpowiedzialności. Przestajemy być współwinni moralnym katastrofom wywołanym w imię wielkich idei, nie musimy się nad nimi zastanawiać, przepraszać za nie ani wyciągać z nich wniosków.

Pewnego dnia kolega powiedział mi, że zebrała się grupa studentów, którzy czytają razem *Kapitał*.

– Jeśli do nas dołączysz, dowiesz się, na czym polega prawdziwy socjalizm – dodał.

Tak zrobiłam. Kiedy przeczytałam pierwsze strony przedmowy, poczułam się trochę tak, jakbym usłyszała francuski, język, którego nauczyłam się w dzieciństwie, lecz rzadko go używałam. Pamiętałam wiele z najważniejszych terminów – kapitałiści, proletariusze, posiadacze ziemscy, wartość, zysk – rozbrzmiewały one w mojej głowie wypowiedane głosem pani Nory, wraz z przeznaczonymi dla dzieci uproszczonymi wyjaśnieniami. Na początku Marks przyznaje, że „o osoby idzie tu o tyle tylko, o ile są uosobieniem kategorii ekonomicznych, przedstawicielami określonych stosunków i interesów klasowych”^[23]. Dla mnie jednak za każdym uosobieniem kategorii ekonomicznej stali ludzie z krwi i kości. Kapitałistami i posiadaczami ziemskimi byli moi pradziadkowie; proletariuszami – romscy robotnicy portowi; chłopami – ludźmi, z którymi babcia pracowała na polu, kiedy dziadek był w więzieniu, i na których temat wyrażała się protekcjonalnie. Nie sposób więc było zakończyć lekturę i zająć się czymś innym.

Mamie trudno zrozumieć, dlaczego wykładam i badam marksizm, dlaczego piszę o dyktaturze proletariatu. Czasem czyta moje artykuły i jest nimi skonsternowana. Nauczyła się znosić niewygodne pytania krewnych. Czy ja naprawdę wierzę w te idee? W to, że uda się je zrealizować? Jak to możliwe? Swoje krytyczne opinie na ogół zachowywała dla siebie. Tylko raz zwróciła mi uwagę na komentarz kuzynki, która stwierdziła, że dziadek nie po to spędził piętnaście lat w więzieniu, żebym ja mogła wyjechać z Albanii i bronić socjalizmu. Uśmiechnęłyśmy się obie zakłopotane, zamilkłyśmy, a potem zmieniłyśmy temat rozmowy. Poczułam się wtedy tak, jakbym była zamieszana w morderstwo, jakby sama wzmianka o ideach głoszonych przez system, który zniszczył tyle osób w naszej rodzinie, czyniła mnie odpowiedzialną za pociągnięcie spustu. W głębi duszy wiedziałam, że ona tak właśnie myśli. Zawsze chciałam się wytłumaczyć, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Wydawało mi się, że do tego potrzebna byłaby cała książka.

I to jest właśnie ta książka. Początkowo miała to być filozoficzna rozprawa na temat wspólnych elementów w koncepcjach wolności

wywodzących się z tradycji liberalnej i socjalistycznej. Kiedy jednak zaczęłam ją pisać, stało się tak jak wtedy, gdy zaczęłam czytać *Kapitał* – idee wcieliły się w ludzi, ludzi, którzy uczynili mnie tym, kim jestem. Ci ludzie kochali się i walczyli ze sobą. Mieli odmienne spojrzenia na samych siebie i na własne obowiązki wobec innych. Byli, jak mówił Marks, wytworami stosunków społecznych, za które nie byli odpowiedzialni, lecz starali się ponad nie wznieść. Myśleli, że im się udało. Ale gdy ich marzenia się spełniły, ja byłam rozczarowana. Żyliśmy w tym samym miejscu, lecz w różnych światach. Światy te zachodziły na siebie tylko czasami i nigdy na długo. Gdy tak się zdarzało, wciąż widzieliśmy sprawy inaczej. Dla mojej rodziny socjalizm oznaczał odmowę – odmowę prawa do bycia ludźmi, jakimi chcieli być, do popełniania błędów i uczenia się na nich, do samodzielnego poznawania świata. Dla mnie liberalizm oznaczał złamane obietnice, zniszczenie solidarności, prawo do dziedziczenia przywilejów, zamknięcie oczu na niesprawiedliwość.

W pewnym sensie zatoczyłam pełny krąg. Gdy doświadczyło się jednej zmiany systemu, łatwo uwierzyć, że może się on zmienić raz jeszcze. Sprzeciw wobec cynizmu i politycznej obojętności wzbudza coś, co można nazwać moralnym zobowiązaniem. Czuję, że mam dług wobec wszystkich ludzi, którzy w przeszłości poświęcali wszystko, ponieważ *oni* nie byli obojętni, *oni* nie byli cyniczni, *oni* nie wierzyli, że sprawy ułożą się właściwie, jeśli pozwolimy im się toczyć własnym biegiem. Jeśli ja czegoś nie zrobię, ich wysiłki zostaną zmarnowane, a ich życie pozbawione znaczenia.

Mój świat jest równie odległy od wolności jak tamten, z którego próbowali się wydostać moi rodzice. Jeden i drugi nie zdołały urzeczywistnić tego ideału. Ich porażki przybierają jednak różne formy – i jeśli ich nie zrozumiemy, pozostaniemy na zawsze podzieleni. Opowiedziałam moją historię, żeby to wyjaśnić, żeby nas pogodzić, żeby kontynuować walkę.

Podziękowania

Książka ta powstawała głównie w mojej berlińskiej spizarni podczas pandemii COVID-19. Okazało się, że to doskonałe miejsce, by schronić się przed dziećmi (moimi własnymi) uczącymi się w domu i rozmyślać nad słowami mojej babci: „Gdy nie umiemy wyobrazić sobie przyszłości, musimy zwrócić się ku przeszłości”. Dziękuję mojej mamie Doli i bratu Laniemu za to, że zechcieli wrócić ze mną do tej przeszłości i pozwolili mi podzielić się *ich* historią opowiedzianą *moimi* słowami. I za to, że zawsze mówili prawdę.

Dziękuję mojej wydawczyni Casianie Ionicie za to, że jako pierwsza spytała, czy myślałam kiedyś o podzieleniu się moimi akademickimi przemyśleniami z szerszą publicznością, oraz mojej agentce Sarah Chalfant za zachęcenie mnie do pracy nad projektem, który zakończył się całkiem inaczej, niż to sobie początkowo wyobrażałam. Bez ich inteligencji, pytań, komentarzy, bez ich cierpliwości i poczucia humoru na różnych jego etapach tej książki po prostu by nie było.

Dziękuję Alane Mason z wydawnictwa Norton i Edwardowi Kirke'owi z wydawnictwa Penguin za świetne sugestie redakcyjne dotyczące ukończonego tekstu oraz niezwykle utalentowanym i oddanym swojej pracy zespołom osób, dzięki którym ta książka stała się materialną rzeczywistością: Sarah Chalfant, Emma Smith i Rebecca Nagel z Wylie Agency; Casiana Ionita, Edward Kirke, Sarah Day, Richard Duguid, Thi Dinh, Ania Gordon, Olga Kominiek, Ingrid Matts i Corina Romonti z Penguin Press; Alane Mason, Mo Crist, Bonnie Thompson, Beth Steidle, Jessica Murphy i Sarahmay Wilkinson z Norton & Company.

Moje podziękowania zechcą też przyjąć: Chris Armstrong, Rainer Forst, Bob Goodin, Stefan Gosepath, Chandran Kukathas, Tamara Jugov, Catherine Lu, Valentina Nicolini, Claus Offe, David Owen, Mario Reale, Paola Rodano i David Runciman – za wyborne uwagi, jakie mi przekazali na wczesnych etapach powstawania książki, a także za nieustające wsparcie i przyjaźń.

Dziękuję moim przyjaciołom z Albanii i z „drugiej” strony żelaznej kurtyny. Mieliśmy wspólne dzieciństwo, pomagaliście mi w odtwarzaniu zdarzeń i naszych doświadczeń, chwaliliście mnie i krytykowaliście, zawsze we właściwych proporcjach. Uran Ferizi i Shqiponja Telhaj (moi nieoficjalni redaktorzy!) – jestem im szczególnie wdzięczna; Odeta Barbullushi, Migena Bregu, Eris Duro, Borana Lushaj, Xhoana Papakostandini oraz Secret Pioneer zgłosili cenne komentarze do tekstu książki, a możliwość porównywania naszych geograficznych i politycznych punktów widzenia była bezcenna.

Moje podziękowania zechcą również przyjąć: Joni Baboci, Tsveti Georgieva, Anila Kadija, Bledar Kurti, Viliem Kurtulaj, Gjyze Magrini, Adlej Pici, Roland Qafoku, Fatos Rosa, Flora Sula i Neritan Sejamini – za pomoc w różnych sprawach związanych z tym projektem, a także za bardzo szybkie, mimo ograniczeń związanych z pandemią, przysyłanie z Tirany potrzebnych mi materiałów.

Dziękuję moim kolegom i wspaniałym studentom z London School of Economics za mnóstwo inspirujących rozmów o wolności, członkom sieci badawczej Normative Orders z Frankfurtu za świetną dyskusję nad moimi wczesnymi pomysłami na książkę oraz Leverhulme Trust i Fundacji Humboldta za sfinansowanie badań, które umożliwiły mi jej napisanie.

Dziękuję mojej rodzinie: Jonathan (kolejny nieoficjalny redaktor!), Arbien, Rubin, Hana, Doli, Lani i Noana dzielili ze mną wszystkie strapienia i radości związane z tą książką – i wszystko inne.

Mój tata Zafo i babcia Nini byli ze mną zawsze. W tym miejscu Zafo pewnie by zazartował, że jak na kogoś, kto uważa się za marksistkę, dziwnie często mówię „dziękuję”. Nini nauczyła mnie, jak żyć i jak myśleć o życiu. Brakuje mi jej każdego dnia. Tę książkę dedykuję jej pamięci.


Przypisy

- [1] R. Luksemburg, *Kryzys socjaldemokracji*, Warszawa 2005 (przyp. tłum.).
- [2] Ówczesny sekretarz generalny ONZ (przyp. tłum.).
- [3] Jesteś wreszcie! Czekamy już dwie godziny! Martwiliśmy się! Twoja mama już wróciła! Tata poszedł cię szukać w szkole! Twój brat płacze! (fr.)
- [4] „Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamieci? To ojciec z dzieciąciem jak gdyby wiatr leci” (przeł. Władysław Syrokomla) (przyp. tłum.).
- [5] Dasz mi słowo honoru (fr.) (przyp. tłum.).
- [6] Powieść Charlesa Dickensa, której bohater, Paul Dombey, właściciel dużego przedsiębiorstwa żeglugowego, marzy o synu, który przejąłby po nim firmę (przyp. tłum.).
- [7] W dosłownym tłumaczeniu: „Upadłem na ziemię, / To wina Woltera. / Leżę z nosem w strumyku, / To wina Rousseau”. Polscy tłumacze *Nędzników* układali własne rymowanki, w których powtarzały się tylko nazwiska francuskich filozofów, na przykład: „Śmieję się jak walet kier. / A kto winien? Pan Voltaire; / Że w sakiewce widać dno / Temu winien pan Rousseau” (przeł. Krystyna Byczewska) (przyp. tłum.).
- [8] „Jesteśmy bardziej wolni / To już nie sen i nie jesteśmy już sami / Jesteśmy bardziej zjednoczeni / Podaj mi rękę, zobaczysz, jak wzlecisz / Razem... jednocz się, jednocz, Europo”.
- [9] To nie jest zabawka! Myślisz tylko o sobie! (fr.)
- [10] „Mów: »On – Bóg Jeden, Bóg Wiekuisty! Nie zrodził i nie został zrodzony! Nikt Jemu nie jest równy!«”. *Koran*, przeł. J. Bielawski, Warszawa 1986.
- [11] Ja właśnie zapomniałem, ty właśnie zapomniałeś, on właśnie zapomniał / ona właśnie zapomniała (fr.) (przyp. tłum.).
- [12] Allah jest szczodroblivy (arab.).
- [13] Przedmiot, który pozostał w programie szkół średnich od czasów komunistycznych, dotyczący budowy maszyn i inżynierii.
- [14] Jedna z pierwszych piramid finansowych, która upadła.

- [15] Inna piramida finansowa, działająca głównie na południu Albanii.
- [16] Miasto położone na południu kraju, tradycyjnie lewicowe.
- [17] „Tatuś” po albańsku.
- [18] Sali Berisha, urodzony w 1944 roku, kardiolog i dawny członek Partii, był jednym z liderów ruchu studenckiego, który w latach pięćdziesiątych obalił komunizm. Przewodził sprawującej w tym czasie władzę Demokratycznej Partii Albanii, której posłem był mój ojciec.
- [19] Lewicowa gazeta nastawiona krytycznie do rządu.
- [20] Miasta na południu Albanii, tradycyjnie sprzyjające lewicy.
- [21] Popierające lewicę miasto w południowej Albanii. Miejsce narodzin Envera Hoxhy.
- [22] K. Marks, *Tezy o Feuerbachu* [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 3, przeł. S. Filmus i in., Warszawa 1975 (przyp. tłum.).
- [23] K. Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*, t. 1, przeł. J. Heryng i in., Warszawa 1970 (przyp. tłum.).

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2022

Wydanie I